

JOANNA OPIAT- -BOJARSKA



GRA O WSZYSTKO

JAK DALEKO SIĘ POSUNIESZ,
BY ZASPOKOIĆ SVOJE
FANTAZJE SEKSUALNE?



**GRA
O WSZYSTKO**

**JOANNA OPIAT-
-BOJARSKA**

**GRA
O WSZYSTKO**

Nikt nie pożąda tego, co mogą mieć

wszyscy, kusi to, co zakazane.

OWIDIUSZ

I

Wtorek

Biały obrus. Świeczki. Sztućce. Szkło.

Jej oczy przyjęły to wszystko jako zapowiedź niezwykle udanego wieczoru. Żołądek przypominał o swoim istnieniu delikatnym ssaniem.

W takiej oprawie nie liczyło się nawet to, co będzie jadła. Katarzyna siedziała przy perfekcyjnie przygotowanym stole i zastanawiała się, jak powinna użyć tych wszystkich dziwnych sztućców. Po lewej stronie talerza leżały trzy widelce, po prawej kolejny, podejrzanie mały, łyżka do zupy, łyżeczka i trzy noże.

Stuprocentowo pewna była jedynie przeznaczenia widelczyka leżącego samotnie nad talerzem.

– Mam nadzieję, że spodoba się pani nasze menu degustacyjne. Na początek proponuję krewetki tygrysie z masłem klarowanym, oliwą, czosnkiem i natką pietruszki.

Na stole pojawił się talerz z krewetkami, po nim krem z pomidorów z oliwą bazyliową, a następnie sałatka z pieczonym kozim serem, suszonymi pomidorami i prażonymi orzechami włoskimi.

– Nie smakowało pani? – dopytywał dyskretnie kelner, wskazując na niedojedzone resztki sałatki.

– Wręcz przeciwnie. Wszystko jest przepyszne. I tak pięknie podane, że trudno się temu oprzeć. Ale wie pan, oczy chcą, a żołądek...

– Nalegam jednak, żeby zjadła pani to, co ma na talerzu.

– Chciałabym zostawić sobie jeszcze trochę miejsca na danie główne i deser.

– Spokojnie, jestem pewien, że znajdzie pani miejsce.

Kelner podszedł do niej z boku. Jedną rękę trzymał schowaną za siebie, drugą dotknął jej brzucha.

– Przytyło się pani od ostatniej wizyty u nas, prawda?

– Yyy... – zawahała się. Nie była pewna, czy powinna odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Rzeczywiście. – Kiwnęła głową. – Pięć kilogramów w miesiąc...

– No pięknie. Gratuluję. Jestem pod wrażeniem!

Zachwyty w oczach kelnera sprawiły, że erotyczne napięcie, które czuła od chwili, w której spojrzała na zastawiony stół, wzrosło kilkukrotnie. Uwielbiała to uczucie.

Nakręcała się zawsze, kiedy obserwowała, że jej krągłości budzą pożądanie mężczyzn.

Że dodatkowe kilogramy stanowią afrodyzjak, a oponka wylewająca się spod obcisłej koszuli sprawia, że faceci z trudem opanowują swoje samcze instynkty.

Wiedziała, że gdyby nie konwencja restauracji, to kelner rzuciłby się na nią i zdarł z niej ubranie. Przyjemność płynąca z ugniatania nagiego brzucha jest przecież niewspółmiernie większa od dotykania go przez materiał.

Dopóki nie zaczęła tyć, nie wiedziała, że wielbicieli kobiet XXL jest aż tylu. Myślała, że przeważają fani rachitycznych modelek i niedojrzałych kształtów. Im była większa, tym mocniej docierało do niej, że stwierdzenie „kochanego ciała nigdy dość” to nie banalna uprzejmość, lecz prawidłowość. I że wielu mężczyzn na żony wybiera chudziny, ale rozkoszy szuka u prawdziwych kobiet. Takich z miękkimi biustami i konkretnych rozmiarów biodrami.

– Cudnie wygląda pani z tymi dodatkowymi kilogramami!

Nie mogła pozostać obojętna na takie komplementy. Dojadła sałatkę, patrząc w oczy kelnera.

– Dziękuję – szepnęła, odsuwając od siebie pusty talerz.

– A nie mówiłem, że się zmieści? W takim razie już biegnę po danie główne.

Toskańskie *pappardelle* z polędwicą wołową, czerwonym pesto, liśćmi szpinaku i parmezanem, w delikatnym sosie śmietanowym. Na pewno się pani temu nie oprze.

Nie zamierzała. Lubiła się obżerać. Doprowadzać się do stanu, w którym nie miała siły ruszyć się z krzesła. Zamykała wtedy oczy i wręcz czuła, jak pokarmy, które dostarczyła właśnie organizmowi, przekształcają się w tłuszcz.

Pappardelle wyglądało obłędnie, chociaż jego ilość nie miała nic wspólnego z porcjami degustacyjnymi. W normalnej sytuacji taka porcja wystarczyłaby dla trzyosobowej rodziny.

– Proszę jej się nie przyglądać, tylko jeść – upomniał ją kelner.

Odpowiedziała mu uśmiechem i wpakowała do ust widelec pełen długich, szerokich wstążek. Kompozycja smaków sprawiła, że chciała doświadczyć jej jeszcze raz.

A potem kolejny i kolejny, ale w pewnym momencie poczuła odruch wymiotny.

– Coś nie tak? – Kelner stał nad nią i obserwował każdy kęs.

– Nie, wszystko w porządku. Może zrobię sobie małą przerwę? Już nie mogę...

– Przykro mi, ale przerwa nie wchodzi w grę. Za kwadrans musi pani zwolnić stolik, a czeka na panią jeszcze deser i połowa *pappardelli*.

– To może od razu przejdźmy do deseru? – Odłożyła widelec.

– Wykluczone! Musi pani to zjeść. Nie chce pani zrobić przykrości kucharzowi, prawda? – Spojrzał na nią tak wymownie, że nie była w stanie odmówić.

– No... nie.

Była już pełna. Absolutnie pełna.

– Wygląda pani tak seksownie, gdy wciąga te *pappardelle* do ust. Powiem szczerze, że

będę nalegał na częstsze pani wizyty u nas, bo ten widok niezwykle mnie podnieca. Ją podniecało jego zaangażowanie. Zawinęła więc na widelec kolejne wstążki makaronu, ale zanim włożyła go do ust, postawiła sprawdzić, czy kelner może dać z siebie coś więcej.

– Ale ja już nie mogę. – Odłożyła widelec na talerz i dotknęła swojego brzucha.

Świadomie dążyła do tego, by podkreślić jeszcze trochę i tak nieznośne do wytrzymania podniecenie. – Nie dam rady wmusić w siebie kolejnej porcji.

– To tylko pozory! Jestem przekonany, że da pani radę... Za kucharza, za mnie, za siebie, za miłość. Jeszcze cztery widelce, hm?

Zaprotestowała na tyle delikatnie, żeby go nie urazić. Chciała, żeby na nią napierał. Żeby zmuszał i domagał się posłuszeństwa. A nie, żeby odpuścił.

Wiedziała, że jest na granicy obżarstwa. Pochłonięte już dania dostarczyły jej dużo przyjemności, ale to, co było przed nią, miało sprawić, że przyjemność przejdzie w ekstazę.

– Dwa. Dwa widelce. Za mnie i za pana.

– I za miłość – odpowiedział.

Zrobiła, o co prosił. Kiedy włożyła do usta ostatnią, trzecią porcję makaronu, poczuła, że przekroczyła granicę. Jej brzuch był już tak pełny, jakby za chwilę miał pęknąć.

Jednak nie martwiła się tym – przecież powoli doznawała spełnienia. Wrażenia potęgowało zaangażowanie kelnera.

– Tak nie może być! Za dużo zostało. Proszę zjeść jeszcze trochę.

– Nie mogę, naprawdę nie mogę. Przejdźmy do deseru.

Z nieukrywanym niezadowoleniem zabrał talerz i wrócił z kolejnym.

– Tort węgierski.

– Uwielbiam! – zareagowała entuzjastycznie, bo widok ciasta wykrzesał z niej nowe pokłady apetytu.

Krucha warstwa czekolady rozpadała się pod naporem jej zębów, biszkopt rozpląwał w ustach, a kwaśna wiśnia nie tylko przyjemnie równoważyła słodki smak kremu, ale również pozostawiała w ustach posmak dobrego, mocnego alkoholu.

Pierwszy kęs sprawił, że zapragnęła kolejnego. Mniej więcej przy czwartym poczuła, że kolejny zakończy się wymiotami. Doskonale wiedziała, kiedy może przesuwać granicę, a kiedy dochodzi do muru.

– Na dziś wystarczy – spasowała.

– Nie zjadła pani wszystkiego.

– Wiem, ale nie jestem w stanie wcisnąć w siebie nic więcej.

– Nalegam! Tort węgierski najszybciej wchodzi w uda.

Próbowała. Wsunęła do ust kolejny kawałek słodkości, próbując sobie wyobrazić, jak tłusty krem przemieszcza się do ud i uwypukla cellulit, a następnie jak jakiś mężczyzna gładzi jej nogi, zachwycając się, że ma skórę z pluszu.

Niestety niewiele to dało. Odruch wymiotny był zbyt silny. Zatrzymała go, ale musiała wypluć tort.

– Jeśli miała pani to w ustach, to proszę to teraz zjeść.

– Przestań! Zabierz to ode mnie!

- Da pani radę!
- Nie, zabierz to! Już mi niedobrze, nie mogę na to patrzeć!
- Jeszcze jeden kęs...
- Przestań, proszę. Koniec zabawy. Możesz wyjść z roli.
- Przecież to nie jest zabawa.
- Stop. Proszę cię. Nie jesteśmy przecież w pieprzonej restauracji, tylko u mnie w domu. Przepraszam, jeśli zepsułam ci zabawę. Jeśli skończyłam za szybko... Następnym razem postaram się być bardziej głodna.
- Następnym razem?
- Tak. Obiecuję.
- Nie będzie następnego razu...

*

Urszula Zimińska zatrzymała się przed drzwiami, wzięła kilka głębokich oddechów i zapukała.

– Wejść! – głos Waldemara Baraniaka, naczelnika wydziału kryminalnego, brzmiał jak zwykle. Czyli odpychająco.

Był jej przełożonym, a ich relacje od czasu rozwiązania zagadki zabójstwa legendarnej aktorki znajdowały się na polu minowym oznaczonym napisem: „ROZEJM”. Każdy nierozważny ruch mógł doprowadzić do eksplozji.

Zdawała sobie sprawę, że musi być ostrożna. Nie tylko tutaj, w jego gabinecie, ale także poza komendą, gdzie próbowała znaleźć funkcjonariuszki mające pomóc jej pozbawić Baraniaka zajmowanego stanowiska. Poruszała się delikatnie i nie zostawiała za sobą śladów, ale wiedziała, że prowadzi niebezpieczną grę.

– Podobno miałam się stawić?

– Tak. – Oderwał wzrok od komputera i spojrzał na nią z wyższością.

– Mam dla ciebie, Zimińska, dobre wieści... Jedziesz do Poznania.

– Słucham?

– Zostałaś oddelegowana.

– Słucham?!

Przed rzuceniem się na Baraniaka powstrzymywała ją jedynie myśl, że nie powinna dać się sprowokować. Swędziały ją jednak ręce i język. Najchętniej odpowiedziałyby Baraniakowi tym samym. Zaserwowałyby mu pozorną uprzejmość, nieudolnie zakrywającą złośliwość. Zrobiłyby wszystko, żeby sprowokować go słownie, tylko po to, by ją dotknął. A później rozwaliby mu nos. Z przyjemnością i wielkim zaangażowaniem.

– Przyszedł rozkaz o oddelegowaniu.

– Rozumiem. I oczywiście nie ma to nic wspólnego z...

– Skończ! – przerwał jej. – Mówiłem już, że twoje zachowanie zrzuciłem na karb

problemów hormonalnych. Dawno zapomniałem o tym, że próbowałaś mnie szantażować, więc dlaczego miałbym się na tobie mścić? Taki już jestem. – Zarechotał.

– Wybaczam ludziom potknięcia. Możesz to przyjąć do wiadomości lub nie.

Proponowałby jednak teraz skupić się na Poznaniu.

– Szczegóły, proszę.

– Pół roku w poznańskim wydziale kryminalnym. To nie jest kara, jak próbujesz sobie wmawiać, ale wyróżnienie. Jesteś im potrzebna. Musisz zająć się ważną sprawą, do której posiadasz najlepsze kwalifikacje.

– Rozumiem, że na całym kontynencie nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić?

– Też mnie to dziwi, ale widocznie komendant wojewódzki uznał, że nie.

– Kiedy zaczynam?

– Jutro rano.

– Że co?!

Podał jej kartkę. Spojrzała na datę znajdującą się w prawym górnym rogu.

– *Fuck*, przecież ten rozkaz jest z listopada!

– Tak? Co za pech, musiał zapodziać się gdzieś na biurku mojej sekretarki...

Flaga z napisem: „ROZEJM” zniknęła z pola minowego, a triumfujący uśmiech Baraniaka informował, że zawieszenie broni było mu potrzebne tylko do tego, żeby zdążył dobrze przygotować się do wojny krótkiej, ale obliczonej na zniszczenie przeciwnika.

*

Renata Trzeciak czekała na osiemnastą trzydzieści. Chciała jak najszybciej opuścić szpital, stanąć na przystanku autobusowym wśród ludzi, którzy jej nie zauważają, rozpiąć kurtkę i pozwolić, żeby wraz ze spadkiem temperatury ciała opadło z niej napięcie.

– Cześć! – W pokoju pielęgniarek pojawiła się Alina.

Kobieta była opatulona szalikiem, czapkę miała naciągniętą po same brwi, a na kurtce i czapce widniały płatki śniegu.

– Cholera, jak sypie. Na mieście oczywiście wszystko stoi, jakby śnieg w grudniu był zaskoczeniem. I dla kierowców, i drogowców, ma się rozumieć.

– Nareszcie jesteś! – Renata poderwała się z krzesła.

Pojawienie się pielęgniarki z kolejnej zmiany oznaczało, że w końcu mogła zakończyć najgorszy dyżur w jej życiu.

Pracowała w szpitalu od ośmiu lat. Doznawała różnych upokorzeń, była obecna przy zgonach, wysłuchiwała obelg i starała się, żeby to wszystko po niej służywało. Dzisiaj coś jednak w niej pękło.

Kiedy nerwowo zbierała swoje rzeczy, spojrzała na pokój pielęgniarek. Zarówno sprzęty, ściany, jak i koleżanki po fachu budziły w niej odrazę.

– Ciekawe, czy śnieg utrzyma się do weekendu. Marzy mi się wyjście z dziećmi na sanki. Słyszałam, że ten przystojny doktor z kardiologii wyjechał na narty. – Malwina, samotna matka, nie spieszyła się ani do domu, ani do swoich dzieci. Siedziała na krześle, oglądała sobie paznokcie, demonstrując tym samym gotowość do plotkowania.

– To zdecyduj się, czy marzą ci się sanki, czy narty z doktorkiem.

– Oj, Alinka, Alinka, spójrz mi w oczy i powiedz, że gdyby cię zaprosił, tybys odmówiła.

Renata nie chciała słuchać tych głupot. Przebrała się już, musiała tylko włożyć kurtkę i pożegnać się z koleżankami.

– Śpieszysz się? – zagadnęła ją Alina.

– A co cię to interesuje? – burknęła.

– Rany, wyluzuj! Tylko spytałam. Nie jestem twoim wrogiem. Co cię ugryzło?

Nie zdążyła zdecydować, czy wracać myślami do mijającego dnia, czy może dać sobie spokój. Alina już próbowała dopytać pozostałe pielęgniarki, o co chodzi.

– Mnie nie pytaj. – Malwina wzruszyła ramionami. – Ja dopiero przed chwilą przyszedłam.

– Renata, co jest?

– Ciężki dzień.

– Oddziałowa?

– Nie. Wszystko jest bez sensu. – Renata skapitulowała, czując, jak do oczu napływają jej łzy. Nagromadzenie problemów w życiu prywatnym sprawiło, że przestała panować nad swoimi reakcjami. Tym razem jednak nie miała gdzie uciec. W pokoju siedziały koleżanki. Gdyby z niego wyszła, mogłaby natknąć się na spacerujących po korytarzu pacjentów lub ich bliskich. Nie chciała wzbudzać sensacji. Musiała opanować łzy.

– Renata?

– Co ci mam powiedzieć? – Spojrzała koleżance w prosto w oczy. – Jedna wielka masakra! Wszystko za sprawą tej cholernej baby z ósemki.

– W ósemce leży teraz ta „hrabina”, Ilona Drzewiecka – dopowiedziała Malwina.

– Aha, ta, co ze trzy miesiące była nieprzytomna. Co dziś wykombinowała?

– Znowu zrobiła jazdę.

– Bo? Nie dostała obiadu na czas?

– Nie. Oznajmiła mi, że chce rozmawiać z policją i to właśnie ja mam ją wezwać. Zaczęła się wydzierać, że mam to zrobić, czaisz?

– Ale po co policja? Żeby przeprowadzić dochodzenie w sprawie ciągłych opóźnień firmy cateringowej?

– Nie, żeby odpowiednie służby wyjaśniły, jak doszło do wypadku, który, cytuję, „na pewno nie był wypadkiem, lecz próbą jej zabójstwa”.

– Teraz chce zgłosić? Chociaż z tego, co pamiętam, jak przyjęto ją na oddział, to pojawiła się kwestia zawiadomienia policji o ewentualnym pobiciu, ale jakoś nikt się tym nie zajął. Może dlatego, że mąż pacjentki i ordynator nie w jedną partyjkę squasha grali...

Alina wyglądała na rozbawioną, jednak Renacie wcale nie było do śmiechu. Najpierw w miarę grzecznie, a później być może zbyt nerwowo starała się wybić pacjentce

pomysł z głowy. Skutek był oplakany – nieporozumienie w błyskawicznym tempie urosło do rangi problemu, którym obarczony został ordynator. I nie był z tego powodu zadowolony.

– Co za debilka... Chyba też bym przychyliła się do wersji o zabójstwie. Nie uwierzę, że jest ktoś, w kim ta baba nie budzi morderczych instynktów. A tak w ogóle, to co ona się tak nagle obudziła? Od kiedy tu leży? Miała chyba wystarczająco dużo czasu, żeby zawiadomić policję.

– Od sierpnia. Pojawiła się u nas jako ofiara wypadku samochodowego, stan ciężki, długo była nieprzytomna. Od trzech tygodni dochodzi do siebie. Wszystko wskazuje na to, że lada dzień będzie mogła wyjść do domu.

– Może to ją właśnie przeraża, co? Powrót do domu. Domaga się uwagi? Nie przejmuj się.

– Łatwo ci powiedzieć. Nawet ordynator dostał zjebkę. Jak myślisz, na kim się wyżył? Na dodatek Filip się wyprowadził, matka obwinia mnie za to, że jestem starą panną, Drzewiecka za znęcanie się nad nią, a ordynator... Mam dość! – Głośno wypuściła powietrze przez usta i zakryła twarz dłońmi.

– Renata, przestań! To tylko głupia baba. Przecież ma telefon, mogła sama zadzwonić po policję.

– Tłumaczyła, że nie może, bo mogą ją szpiegować, podsłuchiwać i w ogóle. I że to, co się jej przydarzyło w sierpniu, to nie był wypadek. Że ktoś chciał ją zabić i ona nadal czuje się zagrożona.

Sygnal dźwiękowy przerwał im rozmowę, oznajmiając, że któryś z pacjentów potrzebuje pomocy. Malwina spojrzała na tablicę i jęknęła:

– O rany, to z ósemki. Pewnie znowu Drzewiecka. Która do niej pójdzie?

*

– Pani Aleksandro, widziała to pani? Na każdej wystawie sklepowej straszą te okropne bożonarodzeniowe dekoracje. Gwiazdory, bombki, choinki, prezenty. Do świąt jeszcze prawie dwadzieścia dni, a od co najmniej dwóch tygodni pandemia świątecznej radości zalewa świat!

Widziałam. Nie powiedziałabym jednak, że straszą. Nie mam do nich aż tak emocjonalnego stosunku. Chwilami jestem im nawet wdzięczna, bo pomagają mi się zorientować, że czas płynie, nawet jeśli próbuję go lekceważyć.

Właściwie każdą wolną chwilę spędzam w gabinecie. Klientów – na szczęście! – nie brakuje. Przychodzą i opowiadają o swoich problemach, dzięki czemu mnie łatwiej jest zapominać o swoich.

Lub chociaż próbować zapominać.

Jakich problemach? Chciałabym się roześmiać i stwierdzić, że nie mam żadnych problemów. Przecież psycholog nie ma prawa mieć problemów. Nie może mieć wątpliwości. Nie może nie radzić sobie z emocjami lub życiem. Bo teoretycznie wie

o życiu wszystko. Teoretycznie. Zastosowanie wiedzy w praktyce jest trudne. To, że jestem psychologiem, nie oznacza, że jestem robotem do analizowania potrzeb i emocji. Problemy? Nadal mam dach nad głową, dzieci są zdrowe, mam za co żyć, a na koncie przybywa pieniędzy dzięki niemalże dwudziestogodzinnym dyżurom w gabinecie psychologicznym.

– Jaki jest pana stosunek do świąt?

Dopytuję, bo słyszę, że klient zamilkł. Jasnoniebieska jaskinia zwierzeń dobrze działa na tych wszystkich, którzy przychodzą dzielić się ze mną swoimi troskami. A może to ja na nich tak działam? Nieważne.

– Beznadziejny.

– Rozumiem. Beznadziejny. A gdyby miał pan powiedzieć coś więcej?

– Wkurzają mnie ci wszyscy ludzie, którzy próbują narzucić innym swoją radość i oczekiwanie. Wkurzają mnie ci, którzy ulegają tej świątecznej histerii. Dopasowują się do reszty, udając, że też czekają. Że jest na co.

– A nie ma?

– Mam czterdzieści pięć lat i za sobą co najmniej czterdzieści świąt Bożego Narodzenia, które pamiętam. Spyta pani, czy się różniły? Tak. Te z odległej przeszłości niosły ze sobą magię. Na coś się czekało, coś było niezwykłego w tych dniach. Rodzice siedzieli przy stole, rozmawiali i się śmiali, a ja bawiłem się dopiero co rozpakowanymi zabawkami.

– Rozumiem. Jak się wtedy pan czuł?

– Jak... wybrany? Nie wiem, czy to dobre słowo. Czuję się wyróżniony. Bo Gwiazdor dokładnie wiedział, co chciałbym dostać i mi to dostarczył.

– Aż w końcu dotarło do pana, że Gwiazdor nie istnieje?

Podczas takich sesji zastanawiam się, czy literatura i filmy nie przynoszą ludziom więcej złego niż dobrego. Owszem, czasem dają nadzieję, rozśmieszają i podtrzymują na duchu. Ale z drugiej strony idealizują przyjaźń, miłość i inne kontakty międzyludzkie. Pokazują bajkową wizję świata. Narzucają myślenie, że jeśli nie jesteś szczęśliwy, to musisz zmienić całe swoje życie, bo prawdziwe szczęście gdzieś tam na ciebie czeka.

A później gabinety są pełne zagubionych klientów, którzy są przekonani, że muszą dokonać rewolucji w swoim życiu. Chcą rzucić pracę, zmienić partnera, wyjechać do Dubaju, by odnaleźć miłość lub sens życia. I są pod koniec terapii niezmiernie rozczarowani, że szczęście nie wymaga od nich odwagi i rewolucji, tylko cierpliwości, determinacji i poświęceń. Że czasem zmiana sposobu komunikacji z najbliższymi poprawia jakość naszego życia.

I chociaż brzmi to tak banalnie, to w praktyce okazuje się, że o wiele łatwiej byłoby trzasnąć drzwiami, sprzedać cały dobytek i polecieć do tego Dubaju, niż zmienić przyzwyczajenia. Swoje i swojego partnera. Łatwiej niż nauczyć się zauważać, że znowu wchodzi się na te same ślepe ścieżki komunikacji.

– Kiedy się dowiedziałem, że Gwiazdor nie istnieje? W szkole podstawowej, ale to nawet nie był ten moment, kiedy całkiem zniknęła magia. Bo wtedy jeszcze żyłem nadzieją, że magię da się odtworzyć. Że zbuduję swoją rodzinę, pojawią się dzieci i to

dla nich będziemy z żoną każdego roku odgrywać to całe świąteczne przedstawienie.

– Pojawiły się dzieci i co dalej?

– I razem z nimi wielkie gówno. Bo przy organizacji świąt, tych wszystkich zakupach, towarzyszącej im gorączce, kolejkach w sklepach, jakby zbliżało się jakieś tornado i trzeba się obkupić się na cały miesiąc... Przy tych kłótniach w domu o sprzątanie, pomaganie, pakowanie prezentów. Przy tym wszystkim trudno o magię.

– Ale to jednak czas, kiedy można usiąść spokojnie i pobyć ze swoimi bliskimi.

– I w tym chyba tkwi problem, pani Aleksandro. Można. A nawet trzeba. Zatrzymać się przez chwilę. Doznać wyjątkowości tej chwili. Spostrzec, że ma się cudowne życie, wspaniałą kobietę u boku, mniej lub bardziej zdolne dzieci. I samochód przed blokiem.

– I myśli pan, że ludzie tak robią?

– Robią. – Roześmiał się głośno. – Siadają do stołu. Wpieprzają grzybową, karpia, popychają to wszystko makiełkami i mają nadzieję, że jakoś dotrważą do końca wigilijnej wieczery. W tych białych koszulkach ze zbyt ciasnymi kołnierzykami, z uśmiechami, które powodują ból mięśni twarzy. Gadają o pogodzie, polityce i sąsiadach, byleby tylko uniknąć tematów, które są zbyt osobiste. A potem kładą się spać, pocieszając się, że jeszcze tylko dwa dni świąt i będą mogli wrócić do pracy.

– Unikają bliskości. Jak pan myśli? Dlaczego?

– Nie wiem. Ale wiem, że muszę... Nie, nie muszę, po prostu chcę – poprawia się i patrzy na mnie z nadzieją – to zmienić.

Zauważam, że sama deklaracja przyniosła mu ulgę. Jego twarz rozluźnia się na chwilę. Niestety krótką. Zaraz po niej klient marszczy czoło i przemawia niskim, jakby nie swoim głosem:

– Po prostu mam dość życia w kłamstwie...

*

– Przestań! Proszę, nie wygłupiaj się.

Katarzyna miotła się jak zwierzę złapane w sidła. Próbowwała odzyskać kontrolę nad sytuacją. Krzykiem, uśmiechem, prośbą. Nie robiła między nimi żadnych przerw, przez co wszystkie wyrażane przez nią emocje zlewały się w jeden bełkot cuchnący strachem.

– Widzisz na mojej twarzy uśmiech?

– Nie.

– No właśnie.

Pozostało czekanie na ciąg dalszy. Kluczowe dla niego były odpowiedzi na pytania: jak daleko jest w stanie się posunąć, żeby przestał? Co zrobi, co powie, żeby go zadowolić? Na co się zgodzi, żeby tylko poczuł się spełniony i wyszedł?

– Nie patrz tak na mnie. Przerażasz mnie. Nie dociera do ciebie, że to koniec zabawy?

– Dla mnie to nie była zabawa.

– A co?

Nie odpowiadał. Wrzucił za to do blendera resztki tortu węgierskiego i *pappardelli*.

Dolał odrobinę wody, wcisnął pokrywkę i uruchomił sprzęt. Silnik błyskawicznie wszedł na wysokie obroty, wydając z siebie złowieszczy warkot.

– Co robisz? Przestań! Słyszysz? Przestań! Idź już! Chcę żebyś sobie poszedł! To moje mieszkanie! Wynocha!

Nie reagował na jej krzyki. Działał systematycznie i zdecydowanie. Zaplanował sobie to wszystko szczegółowo. Rozpisał na kartce, nauczył się tego na pamięć, a teraz jedynie realizował. Punkt po punkcie.

Sięgnął do torby, wyjął zgłębnik, strzykawkę i rękawiczki.

– Co robisz? Co to jest? Pracujesz w szpitalu? Na Boga, co ci się stało? Odezwij się do mnie w końcu. Przepraszam, jeśli zepsułam ci zabawę. Jeśli skończyłam za szybko...

Jeśli będziesz chciał, to następnym razem pobawimy się w szpital, postaram się być bardziej głodna.

– Mówiłaś, że lubisz się obżerać. Że tuczenie siebie sprawia ci mnóstwo przyjemności...

– Tak, tak, wszystko się zgadza!

Podszedł do stołu i przez chwilę przyglądał się, jak zdenerwowana kobieta próbuje wstać. Próba uniesienia się z krzesła skończyła się jednak niepowodzeniem.

Była zbyt objedzona i gruba, żeby działać szybko.

To on miał przewagę. Działał według planu i kontrolował sytuację. Był szybszy.

Doskoczył więc do niej i docisnął jej obłeśne ciało do krzesła.

– Nie skończyłaś jeszcze jeść – wycedził wściekle przez zęby.

Chciał, żeby w końcu zrozumiała, że on wie, co robi. I że skończy dopiero wtedy, gdy dotrze do ostatniego punktu swojego planu.

II

Środa

Posterunkowy Leon Lewicki otrzymał rozkaz pojawienia się w szpitalu w celu spisania zeznań Ilony Drzewieckiej i w sumie nie miał nic przeciwko temu. Wolał to niż siedzenie na komisariacie. I tak większość przyjmowanych przez niego zawiadomień o popełnieniu przestępstw dotyczyło zdarzeń, których sprawcy nigdy nie zostaną zatrzymani.

„Papier jest cierpliwy, wszystko przyjmie” – tak powtarzała mu matka, dziennikarka i wielbicielka wszelkiego rodzaju trunków. Pisał więc od dziecka. Oczywiście jego teksty nigdy nie zadowalały matki, ale cowieczorny rytuał rozpoczynający się od napisania słów „drogi pamiętniku” pomagał mu przetrwać w trudnych chwilach. Wygadanie się – a raczej wypisanie – sprawiało, że kaliber problemów stopniowo się zmniejszał, aż w końcu stawał się na tyle mały, że Leon mógł ich nie zauważać. Zrezygnował z prowadzenia pamiętnika, kiedy został policjantem. Nigdy nie odpowiedział sobie dlaczego. Być może był już na to zbyt dorosły? A może spisywanie żali zajęłoby mu większość każdego dnia? Może nie chciał już ich identyfikować i neutralizować, bo było ich zbyt dużo? Wolał udawać, że ich nie zauważa. Że tak właśnie wygląda dorosłe życie.

Żale zatrzymywał dla siebie, ale sam stał się chodzącym pamiętnikiem. Wysłuchiwał i spisywał utyskiwania okradzionych staruszek, pobitych nastolatków, oszukanych kobiet, oburzonych kierowców odholowanych pojazdów i innych osób ślepo wierzących w to, że policja im pomoże.

Chociaż nie. Nie wszyscy w to wierzyli. Stałym bywalcom komisariatu wystarczało to, że ich wysłuchał. Że poświęcił im czas i przeznaczył trochę papieru na uwiecznienie ich wersji wydarzeń.

– Pani Ilona Drzewiecka? – upewnił się.

Pielęgniarka, którą poprosił o pomoc, wskazała mu salę numer osiem oraz dodała, że

Drzewiecka to „hrabina” leżąca pod oknem.

– Tak.

– Podobno chciała pani zawiadomić nas o popełnieniu przestępstwa.

– Tak, jestem jego ofiarą.

Leon wyjął notes i długopis, ale zanim zaczął notować, przyjrzał się kobiecie. Miała długie czarne włosy, piwne oczy i pełne pretensji spojrzenie. Ubrana była w satynową piżamę i na tle szpitalnych sprzętów prezentowała się zaskakująco... elegancko. Nie wyglądała na ofiarę, ale lata pracy w policji oduczyły Leona osądzania ludzi po wyglądzie.

– Co pani przez to rozumie?

– Do szpitala trafiłam w wyniku wypadku. Pamiętam, że tamtego feralnego dnia wracałam ze swojego salonu kosmetycznego do domu. Zanim doszłam do samochodu, ktoś mnie zaczepił.

– W jaki sposób? Zagadnął?

– Nie, złapał za ramię od tyłu. Odwróciłam się, ale nie widziałam twarzy napastnika, bo ten ktoś miał ją ukrytą pod maską. Zanim zdążyłam spytać, o co chodzi, dostałam kilka ciosów.

– W jaką część ciała?

Kobieta przewróciła oczami, jakby właśnie oszacowała iloraz jego inteligencji i stwierdziła, że wynik mieści się w kategorii „upośledzenie umysłowe”. Nic sobie jednak z tego nie robił. Był policjantem i musiał pytać nawet o najbardziej oczywiste rzeczy.

– W głowę, a potem w brzuch – odpowiedziała kobieta. – Spis moich obrażeń znajdzie pan w dokumentacji medycznej... To było kilka miesięcy temu. Pamiętam jedynie, że w pewnym momencie napastnik przestał mnie bić. Nie wiem dlaczego. Może kogoś usłyszał albo zobaczył? Byłam przytomna, ale obolała. Wstałam z chodnika i jakoś dotarłam do samochodu.

– Gdzie znajdował się samochód?

– Parkuję zawsze w małej uliczce, tuż obok salonu. To znaczy za rogiem. Wyszłam z „Paris” i nawet widziałam już swój samochód, wtedy właśnie nastąpił atak.

– Napastnik uciekł? W którą stronę? Coś mówił? Ktoś mógł go widzieć?

– Nie pamiętam.

– Byli jacyś świadkowie?

– Nie wiem. Tamtego dnia siedziałam dłużej w salonie. Wyszłam długo po zamknięciu. Było już ciemno, a na ulicy ani żywej duszy.

– Dobrze. Wsiadła pani do samochodu?

– Tak, ale nie zdążyłam zamknąć drzwi. Ta sama osoba wsiadła do środka i znowu zaczęła mnie bić. Tym razem czymś ciężkim.

– Jakimś narzędziem?

– Proszę pana, gdybym wiedziała, czym mnie bił, powiedziałabym to! Skoro mówię, że czymś ciężkim, to znaczy, że czułam, że to nie pięści. Bolało dużo bardziej. Pewnie wtedy uszkodzono mi zębra.

Sposób artykulacji słów i pretensja w głosie sprawiły, że Leon zrozumiał, dlaczego

pielęgniarka nazwała Drzewiecką „hrabiną”. Pacjentka zachowywała się raczej jak pełna pretensji szlachcianka, a nie ofiara pobicia.

– Zapamiętała pani jeszcze jakieś szczegóły zdarzenia?

– Nie. W samochodzie straciłam przytomność. Obudziłam się tutaj, w szpitalu.

– Kiedy doszło do zdarzenia?

– W sierpniu, nie pamiętam daty, proszę spytać lekarza lub pielęgniarek, od kiedy tu jestem.

– Czyli około czterech miesięcy temu, dość dawno.

– Mam nadzieję, że nie zbyt późno, żeby znaleźć napastnika?

Tym razem ton głosu Drzewieckiej zawierał w sobie nie tyle pretensję, co obietnicę, że jeśli okaże się, że winnego nie da pociągnąć się do odpowiedzialności, to ona odpowiedzialnością obarczy Leona. Nie za pobicie, lecz za zaniedbania, nieregulaminowe zachowanie lub cokolwiek innego. Liczba winnych według Drzewieckiej powinna się zgadzać.

– To się okaże. Rozumiem, że wie pani, kto to zrobił?

– Nie wiem. To znaczy nie mam stuprocentowej pewności, nie mam dowodów, ale to wy jesteście od tego. Tylko jedna osoba chciałyby się mnie pozbyć.

– Chętnie zanotuję jej imię i nazwisko.

– Aleksandra Wilk. Kobieta, która zajmuje moje mieszkanie. Dwa dni przed zdarzeniem byłam u niej i kazałam jej się wyprowadzić. Zdenerwowała się wtedy...

*

– Podkomisarz Urszula Zimińska, melduję się.

– Dzień dobry, komendant Rajmund Kuczma. Zaaklimatyzowała się pani już w Poznaniu?

Ula postanowiła zostawić pytanie przełożonego bez odpowiedzi. Nie było sensu odpowiadać pytaniem na pytanie. Kiedy miała się zaaklimatyzować, jeśli na zamknięcie swojego łódzkiego życia, spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i przeniesienie się do Poznania miała mniej niż dwadzieścia cztery godziny?

– Dotarłam do Poznania dopiero trzy godziny temu.

– Rozumiem, czyli przeprowadzka na ostatnią chwilę. W mieszkaniu służbowym wszystko jest tak jak należy?

– Oczywiście. – Wykrzywiła twarz w grzecznościowym uśmiechu.

Mieszkanie służbowe okazało się mikroskopijną kawalerką, zaprojektowaną w stylu tokijskim. Na dwudziestu metrach kwadratowych znajdowała się kuchnia, łazienka, sypialnia, salon i miejsce do pracy, a raczej ich tokijskie odpowiedniki. W łazience mogła jednocześnie korzystać z toalety i myć zęby nad zlewem, w przedpokoju zdejmować buty i przygotowywać obiad, a w sypialni leżeć na łóżku i dotykać laptop stojący na biurku. Jedynym plusem mieszkania była jego lokalizacja. Znajdowało się na ulicy Szylinga, niemalże naprzeciwko komendy.

– Gdyby coś było nie tak, proszę dać mi znać. Zależy mi na tym, żeby miała pani komfort pracy, dlatego oficjalnie informuję, że ma pani wsparcie moje i całego zespołu. A teraz, skoro uprzejmości mamy za sobą, przejdźmy do konkretów. Usiądźmy. Komisarz Kuczma zajął miejsce za biurkiem, poprawił koszulę i przystąpił do przekazywania niezbędnych informacji. Urszula przysiadła na krześle z boku. Starła się nie uprzedzać do nowego przełożonego, ale w gabinecie Kuczmy czuła się niemal jak u Baraniaka.

– Sprowadziliśmy panią, żeby zajęła się pani utworzeniem komórki do badania zabójstw z archiwum. Cały Poznań czeka na policyjne Archiwum X z prawdziwego zdarzenia.

– Pozwolę sobie zaoponować. Ta nazwa kojarzy się raczej z agentem Mulderem i agentką Scully i sprawami niemożliwymi do wyjaśnienia na drodze konwencjonalnego rozumowania. Podejrzewam, że w Poznaniu, mimo że leży dość blisko Wylatowa, zabójstw nie dokonują kosmici? – Urszula zawiesiła głos, bacznie obserwując przełożonego. Skrzywił się, jakby właśnie przypomniał sobie, że właśnie tam znajdowały się słynne kręgi w zbożu, uchodzące za ślad lądowania UFO. –

Przedmiotem zainteresowania komórki, którą mam zbudować, będą dawne zabójstwa, których dokonali ludzie, prawda? Zatem proponuję unikać sformułowania: „Archiwum X”. Jeśli już koniecznie chce pan używać jakiejś nazwy, lepsze będzie: „Archiwum Z”. „Z” jak zabójstwo.

– Archiwum Z? Podoba mi się. Mediom też się spodoba.

– Mediom?

– Tak. To punkt numer dwa na pani liście zadań. Na pewno widziała pani, jaką nagonkę rozpętano w telewizji. Śpiewka, że Poznań nie wie, jak zabrać się za sprawy archiwalne, stała się już nie do zniesienia. I dla mnie, i dla moich przełożonych.

– Poznań nie wie? – powtórzyła.

Nie miała jeszcze czasu, żeby sprawdzić w internecie opinie o poznańskiej policji. Wiedziała tylko, że praca z mediami patrzącymi na ręce jest wyjątkowo trudna dla każdego kryminalnego.

To już nie pole minowe, a jedno wielkie bagno. Stąpanie po nim wiąże się z tym, że każdy kolejny krok będzie powodował zapadanie się coraz głębiej pod powierzchnię.

– Czy gdybyśmy wiedzieli, to gościłbym panią w swoim gabinecie? I marnował czas na wprowadzenie pani w sprawy? Mogę jedynie powiedzieć, że próbowaliśmy kilku metod, ale efekty były marne. Nie mamy czasu na poruszanie się po omacku, bo nagonka powoli zmienia się w głęboki medialny kryzys, z którego musimy jak najszybciej wyjść. Pani, mam nadzieję, będzie naszym wsparciem.

– Podejrzewam, że lepiej w tej roli sprawdziłby się specjalista od piaru. Nigdy nie miałam medialnych umiejętności.

Urszula unikała kamer jak ognia. Nie chciała pojawiać się na szklanym ekranie, w mieszkaniach i domach Polaków. Miała ziemistą cerę, krótko ścięte włosy, nie malowała się, nie nakładała na twarz maseczek ani nie chodziła do kosmetyczek. Różniła się od innych kobiet. Nie była nikim, kogo warto byłoby oglądać.

Skupiała się na pracy. Ciągle myślała nad jakimiś sprawami. Przygotowywała profile psychologiczne. Analizowała akta. Typowała sprawców. Dawno straciła oznaki

kobiecości i wcale jej to nie przeszkadzało.

– Dziennikarze wyciągnęli na światło dzienne sprawę sprzed blisko trzydziestu lat i wytykają błędy policji. A my na gwałt potrzebujemy sukcesu, czyli kogoś, kto rozwiąże sprawę. I tu właśnie zaczyna się pani rola. Akta czekają już na biurku. Liczę, że zajmie się pani tym niezwłocznie.

– I że niezwłocznie pojawi się przełom w sprawie? – zażartowała ponuro.

Twarz Kuczmy rozpromieniła się, a Urszula zyskała pewność, że Baraniak wiedział, co robi. Pewnie liczył na to, że złamie ją na tyle, by przestała stanowić dla niego zagrożenie.

– Widzę, że rozumiemy się bez słów. To bardzo dobrze wróży naszej współpracy!

– Nie byłabym taka pewna. Spraw z archiwum nie rozwiązuje się pod publiczność.

Musiała zademonstrować swój sprzeciw. Nie była pierwszą lepszą policjantką, a profilerką, która uczestniczyła w rozwiązaniu wielu spraw z archiwum. Wiedziała, że czas, który upłynął od momentu zdarzenia do chwili ponownego wczytania się w sprawę, powodował, że praca nad nimi była nie tylko żmudna i trudna, ale często kończyła się fiaskiem.

– Niech się pani nie martwi publicznością.

– Nie jestem cudotwórcą. Nie gwarantuję, że...

– Stop! Wydałem pani rozkaz. Komendant powiedział, że potrzebujemy świeżego spojrzenia. Osoby spoza układów towarzyskich. Skutecznej i zdeterminowanej. Mamy więc panią. Skończmy zatem bezproduktywne rozmowy i niech każde z nas zajmie się swoją pracą.

W gabinecie powiadało chłodem. Urszula spojrzała na zegarek. W ciągu dziesięciu minut oboje zużyli wszystkie uprzejme uśmiechy i pokłady łagodności. Każdemu pozostała jedynie obojętna twarz służbisty.

– Zanim zajmę się aktami, proszę o podsumowanie: jakie są oczekiwania w stosunku do mnie?

– Po pierwsze zrewidowanie sprawy, która jest teraz na świeczniku. Po drugie uruchomienie komórki do spraw archiwalnych, w czym oczywiście zawiera się nie tylko rekrutacja odpowiednich osób, ale także ich przeszkolenie. Po trzecie pół roku to wystarczająco dużo czasu, żeby rozwiązać jeszcze kilka innych spraw z archiwum. Tak jak mówiłem, będzie miała pani pełne ręce roboty. Nie traćmy więc czasu.

*

Gabinet. Dom. Gabinet. Dom.

Noc. Dzień. Noc. Dzień. Noc.

Życie przecieka mi przez palce. Realizuję obowiązki, zapewniam byt rodzinie, zarabiam i planuję, że kiedyś zwolnię. Albo zatrzymam się, chociaż na chwilę.

Dzień. Miesiąc. Rok. Dwa... Czas mija niezmiernie szybko. Przybywa mi zmarszczek

i pieniędzy na koncie. Tych drugich nie gromadzę z samej chęci posiadania.

Muszę być gotowa, jeśli nagle się okaże, że powraca problem mieszkania. Ilona na razie jest w szpitalu, ale kiedyś z niego wyjdzie i znowu zażąda, żebyśmy się wyprowadzili.

– Mamo, nie mam czystych skarpetek.

Kuba stoi w progu swojego pokoju i patrzy na mnie bezradnie, jakbyśmy mieli całą wieczność na wyjście z domu.

– Jak to nie masz?

– No nie mam.

– Kuba, spóźnimy się! Przyspiesz!

Za mniej niż pół godziny rozpoczynają się lekcje w szkole Kuby, a mój klient powinien pojawić się w gabinecie.

– Śpieszę się – mówi, nadal nie ruszając się z miejsca. – Mam iść bez skarpetek?

– W grudniu? Bez skarpetek?

Jak tornado wpadam do jego pokoju i biegnę do komody, omijając leżące na podłodze spodnie od pizamy, samochody i podręczniki.

– Kuba, czemu tu jest taki bałagan?! Nie dziwię się, że nie możesz tu niczego znaleźć!

Kiedy ostatnio sprzątałeś?

– W sobotę. Mamo, skarpetki, nie skupiaj się na bałaganie, bo się spóźnimy.

Celna uwaga trafia mnie prosto w serce. Kuba ma spojrzenie swojego ojca i mój bystry umysł. Udusiłabym go, gdybym nie kochała.

– Nie ma w komodzie.

– Mówiłem.

– Ale za to mnóstwo leży na podłodze! Za łóżkiem, za biurkiem. Mówiłam ci przecież, że brudne trzeba wrzucać do pralki. Gdybyś je wrzucił, wyprałabym je i miałbyś czyste.

– Mamo!

Dyscyplinuje mnie dziewięcioletni chłopiec. Czasami myślę, że bez niego bym sobie nie poradziła.

– Trudno. Włóż skarpetki z wczoraj, może dzięki temu zapamiętasz, że brudy odkłada się w jedno konkretne miejsce, a nie tam, gdzie się stoi.

Ograniczam kazanie do minimum, chociaż nie jest to łatwe. Buzuje we mnie złość. Na te przekłete skarpetki, na Kubę, na to, że muszę mu wszystko powtarzać milion razy.

I na to, że jesteśmy sami.

Dobrze, że zainteresowanie pismaków po kolejnej, już prawdziwej, śmierci Gabriela opadło. W przeciwnym razie musiałabym czytać nagłówki „Wdowa Aleksandra Wilk nie radzi sobie z życiem rodzinnym” czy „Ukochany syn Aleksandry Wilk drugi dzień z rzędu chodzi w tych samych skarpetkach”.

– Lecimy? – Kuba znacznie przyspieszył, bo ma na sobie nie tylko skarpetki, ale i buty.

– Lecimy. Jak zwykle. – Staram się uśmiechnąć. Niech przynajmniej na koniec uświadczy łagodnej twarzy matki. – Oj, Kubuś, Kubuś, czy my kiedyś będziemy wychodzić z domu bez pośpiechu?

– Nie, mamo. Bo jesteśmy Wilkami i wszystko robimy na ostatnią chwilę.

*

Licealistka Anna Sukiennik nie mogła przestać myśleć. Miała kupić zgrzewkę mleka pełnotłustego. „3,2%” – tak miała zapisane na kartce. Niestety na sklepowych półkach znalazła jedynie kartony z napisem „1,5%”.

Wzięła więc te z niższą zawartością tłuszczu oraz inne produkty z listy, odstawiła swoje przy kasie i opuściła sklep, ale im bardziej oddalała się od Biedronki, tym większe miała wątpliwości.

Nie przepadała za mlekiem, ale jeśli już miałyby je wypić, to wolałyby te z najmniejszą zawartością tłuszczu. Zakupy z listy nie miały jednak służyć do wypełnienia domowej spiżarni, bo o to dbała jej mama, ale dla wypełnienia lodówki i szafek w mieszkaniu Katarzyny Hałki.

Dziewczyny poznały się podczas warsztatów makijażu w osiedlowym klubie. Siedziały wtedy obok siebie. Zaczęły rozmawiać o kosmetykach, a skończyły na kulturoznawstwie. Anna bardzo chciała je studiować, a Katarzyna była już na trzecim roku.

Zaznajomiły się na tyle, że Anna stała się częstym gościem Katarzyny. Odwiedzała ją regularnie i pożyczała kolejne książki. Czasem rozmawiały o życiu, czasem o problemach. Któregoś dnia Katarzyna przyznała się, że z jej tuszą trudno jest robić duże zakupy i dźwigać ciężkie siatki do domu.

– No nie! – zdenerwowała się Anna.

Motyw muzyczny z najpiękniejszego filmu o miłości rozbrzmiewał w kieszeni jej spodni, a ona nie miała wolnej ręki, żeby sięgnąć po telefon. Zatrzymała się i rozejrzała w poszukiwaniu ściany, o którą będzie mogła oprzeć siatki.

– Halo?

– Już myślałam, że nie odbierzesz.

– Żartujesz? Chciałam trochę posłuchać muzyczki ze „Zmierzchu”.

– Bella i Edward? Anka, nawet mi nie przypominaj tej idealnej pary, bo się popłaczę. Pokłóciłam się z Radkiem. Tym razem to naprawdę koniec. Mogę wpaść do ciebie?

– Pewnie że możesz, ale nie teraz. Nie ma mnie w domu.

– A gdzie jesteś? Ryczeć mi się chce.

– Idę z zakupami do klientki.

– A, no tak, dziś środa. Idziesz do grubej Kachy? Dobrze by jej zrobiło, gdyby sama wyszła po zakupy.

Anna nie zamierzała z tym dyskutować. Katarzyna była inna niż reszta znanych Annie ludzi. Chyba nie miała wielu znajomych. Podobnie jak Edward Cullen z filmu. On też był inny. Był wampirem.

Anna nie potępiała innych. Też chciałyby być inna, ale brakowało jej odwagi. Kiedy umówiła się z Katarzyną, że będzie jej robić zakupy w zamian za niewielkie kwoty, postanowiła, że zbiera pieniądze na tatuaż. To on pokaże ludziom, że jest inna.

– Załatwię to szybko. Wpadaj, najwyżej chwilę poczekasz. Matka jest w domu, otworzy

ci.

– To mnie zachęciłaś! – Przyjaciółka się roześmiała. – Wstrzymam się do czasu, aż skończysz, bo czekanie u ciebie... wybaczone, nie należy do najbardziej komfortowych.

Twoja matka znowu będzie wypytywała o szkołę, chłopaków i takie tam.

– No dobra. Uwinę się jak najszybciej. Spotkamy się pod klatką, dobra?

– Tylko szybko, proszę! Już mam łzy w oczach.

Anna schowała telefon do kieszeni. Złapała siatki i ruszyła przed siebie. Do pokonania miała krótką uliczkę i schody prowadzące na trzecie piętro.

Katarzyna mieszkała w niskim bloku i Anna podejrzewała, że sama czynność wdrapywania się po schodach kosztowała ją sporo. Jej samej wnoszenie ciężkich toreb z zakupami, które zapewniłyby przeżycie czteroosobowej rodziny, sprawiało odrobinę trudności, mimo że była szczupła, miała szesnaście lat i piątki z wuefu.

Kiedy dotarła przed drzwi, położyła część reklamówek na ziemi i zapukała.

Cisza.

Po chwili powtórzyła pukanie. Następnie nacisnęła dzwonek.

Katarzyna, wbrew oczekiwaniom, nie pojawiała się w drzwiach. Anna zerknęła na zegarek, była dziewięta trzydzieści. Katarzyna powinna być u siebie.

Sięgnęła do torebki. Klucze do mieszkania leżały na samym dnie. Wrzuciła je tam dawno temu i ani razu z nich nie korzystała. Po chwili nacisnęła klamkę i weszła do środka.

– Kasiu, to ja! Przyniosłam zakupy! – zawołała głośno na wypadek, gdyby koleżanka spała lub zabawiła się w łóżku z jakimś facetem. Dla ostrożności uznała, że nie będzie zaglądać do sypialni. Sięgnęła po zakupy i weszła do salonu.

Jedno spojrzenie w prawo na ikeowski regał oddzielający część wypoczynkową od jadalni i aneksu kuchennego sprawiło, że Anna odetchnęła z ulgą.

– Kaśka! Wołam cię i wołam! Halo, słyszysz mnie?

Koleżanka siedziała przy stole, z głową opartą o blat. Obok stał kieliszek z resztką wina i butelka.

– Przyniosłam zakupy. Nie było mleka tłustego, kupiłam półtłuste, mam nadzieję, że mnie nie zabijesz z tego powodu...

Zgrzewka mleka trafiła do szafki, jajka do lodówki. Katarzyna wciąż milczała.

– To się zaprawiłaś, dziewczyno! – Anna uznała, że koleżanka wypija zbyt dużo i zasnęła przy stole. – Kaśka, obudź się, leć pod prysznic i na zajęcia. Mówiłaś, że w środę nie możesz opuszczać wykładów z kultury konsumpcji, bo baba ma świetną pamięć do twarzy. Kaśka!

Ponieważ krzyk nie przynosił oczekiwanych rezultatów Anna zmieniła strategię.

Podeszła do koleżanki i próbowała unieść jej głowę. Przez chwilę siłowała się z bezwładnym ciałem i dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że ciało Kaśki jest nienaturalnie sztywne i zimne.

Cofnęła się.

Odgarnęła włosy zasłaniające wcześniej twarz i zauważyła, że policzek koleżanki miał kolor zbliżony do odcienia skóry wampira Edwarda, bohatera „Zmierzchu”.

Ostrożnie przyłożyła rękę do grubej szyi, próbując znaleźć puls. Przyciskała skórę

w kilku miejscach, ale w żadnym nie czuła charakterystycznego ruchu tętnic. Drżącymi rękoma wyjęła komórkę z kieszeni spodni i wybrała numer.

– No cześć. Nie... Nie czekaj na mnie. Kaśka chyba nie żyje.

*

Urszula przywitała się z funkcjonariuszami siedzącymi w pokoju i zajęła miejsce za biurkiem. Na szczęście nie było mikroskopijne, mogła więc okopać się za aktami, tak jak lubiła.

– Skąd cię przenieśli? – spytał mężczyzna siedzący przy biurku obok.

– Z Łodzi – odpowiedziała uprzejmie, po czym sięgnęła po stare akta, o których wspominał przełożony.

Nie chciała wdawać się w rozmowy ani tym bardziej opowiadać o sobie. Nie teraz. Najpierw musiała poczuć się bezpieczniej w nowym miejscu, obejrzeć, jak działają w nim tutejsi funkcjonariusze i rozgryźć łączące ich zależności.

W dniu 30.05.1987 roku około godziny dwudziestej rodzice Marysi W. zaniepokoiili się tym, że ich córka nie wróciła jeszcze z kościoła. Trwał Biały Tydzień.

Pierwsze czytanie akt było raczej pobieżne. Spoglądała na wybrane akapity, po to, by nabrać wstępnego wyobrażenia o sprawie.

Ojciec Jerzy W. pojechał rowerem do oddalonego o sześć kilometrów kościoła w Skórzewie, by sprawdzić, czy msza się nie przedłużyła. Kościół był już pusty. Nie znalazł córki ani na przystanku autobusowym, ani w jego okolicach, ani po drodze. Kiedy wrócił do domu, dowiedział się od koleżanki córki, że ostatni raz widziała Marysię W. na przystanku autobusowym na ulicy Żłotnickiej. To tam dzieci z osiedla Bajkowego dojeżdżające na Biały Tydzień wysiadły z autobusu. Jerzy W. pojechał na najbliższy posterunek milicji zgłosić zaginięcie córki.

– I jak? Myślisz, że da się to ugryźć?

– Możesz przypomnieć mi swoje imię?

– Starszy sierżant Tomasz Chmielewski.

– Mogę po prostu Tomasz?

– Pewnie.

– Tomasz. Jeśli coś mogę ugryźć, to tylko ciebie. Pokąsać. Dopiero do tego usiadłam, a ty już mnie prosisz o osady.

– Mówili, że jesteś super...

– A nie mówili przypadkiem, że nie lubię tracić czasu na bezsensowne rozmowy?

Chmielewski burknął coś pod nosem, a Ula mogła wrócić do lektury akt.

Poszukiwania rozpoczęły się około godziny dwudziestej trzeciej, a zakończyły o drugiej trzydzieści w nocy. Dziewczynki nie odnaleziono. Zarządzono przerwę do piątej rano, potem ponownie przeszukiwano tereny, którymi mogła podążać w drodze z przystanku do domu. Około szóstej trzydzieści na terenie Lasku Marcelińskiego przylegającego do

ulicy Leśnych Skrzatów ujawniono zwłoki Marysi W.

Ciało było ułożone w zagłębieniu, przysypane ziemią i gałęziami akacji. Pierwszą osobą, która zauważyła ciało, był Jerzy W., ojciec dziewczynki. Miejsce ujawnienia zwłok to las komunalny o powierzchni 230 hektarów, w którym znajdują się liczne ścieżki spacerowe, szlaki rowerowe, a także góra saneczkowa i staw. Zwłoki znajdowały się z dala od leśnej uliczki, a także w znacznej odległości (100 metrów) od najbliższej ulicy i około 450 metrów od stawu.

– Masz już wyniki sekcji zwłok – skrzeczący głos Tomasza co chwilę wyrwał Urszulę ze skupienia.

Podnosiła głowę i sprawdzała, co się dzieje. Pokoje kryminalnych wyglądały prawie tak samo w całej Polsce. Ten poznański był trochę większy od przeciętnego, wypełniony metalowymi szafami i wszechobecnym testosteronem.

Jeden z policjantów rozmawiał przez telefon, drugi jadł kanapkę, a trzeci droczył się z Tomaszem. Pochyliła głowę i wróciła do akt. Tym razem jednak nie skupiła się na tekście, ale na czarno-białych zdjęciach.

Ofiara przysypana ziemią.

Głowa zamordowanej tylko częściowo przyprószona.

Lewa ręka i palce stóp wystające z ziemi.

Kawałek białej tkaniny.

Biały pasek.

Najbliższa okolica.

– *Fuck* – wyrwało jej się.

Tomasz zareagował błyskawicznie.

– Co jest?

– Czarno-białe zdjęcia.

– Mogiła, nie?

Kiwnęła głową. Powinna przyzwyczać się do zdjęć spraw z archiwum. Wszystkie były czarno-białe, nieostre i w tak niezadowalającej jakości, że bardziej frustrowały, niż pomagały.

Wróciła do lektury.

Zwłoki Marysi W. ułożone były w wykopanym zagłębieniu o wymiarach: długość sto centymetrów, szerokość czterdzieści centymetrów, głębokość piętnaście centymetrów.

Leżały na wznak, zasypane ziemią, która tworzyła niewielki pagórek. Kopczyk przykryty był gałęziami akacji. Głowa ofiary była przekrzywiona na prawą stronę, powieki zamknięte, usta półotwarte. Lewa ręka dziewczynki nieco odwiedziona od ciała, powyżej nadgarstka widoczne było złamanie. Prawa ręka odchylona do boku i tyłu, a dłoń opierała się na prawym biodrze. Nogi były wyprostowane, stopy lekko nachodziły na siebie (prawa na lewą).

Spojrzała ponownie na pierwsze zdjęcie.

Pnie drzew, kopczyk ukrywający ciało. Na nim kilka gałęzi. Wystająca z boku dziecięca dłoń. I ta twarz. Biała i obojętna, tylko z kilkoma ziarenkami ziemi.

Ten kontrast pomiędzy ukrytym ciałem i odkrytą twarzą budził w Urszuli emocje.

Wiedziała, że to, co zastaje się na miejscu zabójstwa, jest efektem dynamicznej

wymiany energii pomiędzy zabójcą a ofiarą.

Ukrycie zwłok w taki sposób mówiło coś albo o zabójcy, o jego stosunku do ofiary lub o łączącej ich więzi. Zakopanie ciała, przy jednoczesnym zachowaniu odsłoniętej twarzy dziewczynki, wymagało od zabójcy precyzji i uwagi.

– *Fuck!* – Jęknęła znowu. – Tomasz?

– Co jest?

– Daleko jest ten Lasek Marceliński? – Chciała poczuć przestrzeń wszystkimi zmysłami, zorientować się w odległościach od drogi, w otoczeniu i we wszystkim, co mogło mieć wpływ na zachowanie zabójcy.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że w osiemdziesiątym siódmym roku otoczenie mogło wyglądać trochę inaczej, ale chciała porównać zdjęcia z rzeczywistością.

– Kawalek. Mogę cię tam zawieźć, jeśli chcesz.

– Kawalek, czyli ile? Pięć minut? Dziesięć?

– A weźmiesz mnie do swojego zespołu?

– Pomyślę.

– To pomyśl. Tymczasem zbieraj się. Jedziesz ze mną. Mamy trupa, musimy to sprawdzić. Na Bukowskiej, stamtąd do Lasku jest jakieś dziesięć minut piechotą.

*

– Cześć, ciociu.

Głos Weroniki dodał Ilonie skrzydeł. Bardzo długo zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do bratanicy. Domyślała się, że takim zachowaniem może zdenerwować jej matkę. Leżała jednak w szpitalu już od tak dawna, że brak obecności bliskich jej sercu ludzi zaczął doskwierać jej tak mocno, że chyba powoli wpadała w depresję.

– Witaj, moja ulubiona wilczyco!

Pacjentka siedząca na łóżku obok – zamiast zająć się krzyżówkami, które rozwiązywała od rana do wieczora – odłożyła gruby kajecik i spojrzała na Ilonę zdziwiona.

Ilona wstała z łóżka i wyszła z sali w poszukiwaniu odosobnienia. Na korytarzu nie było lepiej. Wszędzie kręcili się ludzie w zużytych pidżamach i wypłowiałych szlafrokach.

Nie pasowała tu. Jej pidżama kosztowała ponad dwieście złotych, a szlafrok był z limitowanej serii.

Wpatrując się w zielono-mdlą podłogę, dotarła do toalety.

– Już jestem, przepraszam cię, Weroniczko. – Zamknęła się w kabinie i odetchnęła z ulgą, że w końcu będzie mogła porozmawiać swobodnie przez telefon.

Bez podsłuchiwania i dziwnych spojrzeń pacjentów. Nie miała przecież z czego się tłumaczyć. Tak, ona, Ilona Drzewiecka też miała rodzinę i ludzi, których kochała, chociaż wszyscy w szpitalu traktowali ją jak wredną żonę.

– Dawno nie dzwoniłaś, ciociu.

– Dawno. Nie miałam możliwości. Tyle spraw... – zagalopowała się. Nie chciała okłamywać Weroniki. W ogóle nie chciała już kłamać.

Po przebudzeniu w szpitalu uznała, że dostała od Boga drugą szansę. Pomyślała, że najbardziej racjonalne byłoby wykorzystanie jej na naprawę błędów z poprzedniego życia.

– Ach, szkoda gadać. Co u ciebie, Weroniczko?

– Wszystko dobrze. Chociaż dużo się dzieje. Oj, dużo. Masz czas? Nie jesteś w salonie albo gdzieś w drodze?

Ilona uśmiechnęła się słabo. Druga szansa najwidoczniej była jej bardzo potrzebna, skoro córka jej zmarłego brata sprawia wrażenie zdziwionej telefonem.

– Oczywiście, że mam. Opowiadaj!

– Bo ja mieszkam w Łodzi, wiesz?

– Jak to w Łodzi? Wyprowadziliście się z Poznania?

– Nie. Mama i Kuba zostali, tylko ja.

– Jak to zostali? Weronika, co się stało? Mama się na to zgodziła czy uciekłaś z domu? Odgłosy z kabiny obok poinformowały Ilonę, że przestała być sama. Ktoś najpierw trzasnął drzwiami, a później przez chwilę mocował się z zasuwą.

– Pod koniec gimnazjum wymyśliłyśmy z Beatą, że idziemy razem do liceum. Ale nie takiego zwykłego, tylko sportowego. Wyszło nam, że najlepsze będzie to w Łodzi. Ciociu, bardzo wysoki poziom nauki, nie bez powodu nazywają ich szkołą mistrzostwa. Najlepsi trenerzy, masażyści, boiska... Wszystko, co jest potrzebne do tego, żeby wygrywać! Normalnie kiedyś zobaczysz mnie na mistrzostwach Polski!

Weronika radośnie opowiadała o tym, jak obie z Beatą zafundowały swoim matkom huśtawkę emocjonalną, dozując im szczegóły dotyczące wymarzonej przyszłości. Jak powoli krok po kroku przyzwyczajały je do myśli o liceum sportowym, a dopiero wtedy, kiedy rodzicielki się z tym oswoiły i wyraziły zgodę, dziewczyny dodały, że interesuje je wyłącznie najlepsza szkoła, znajdująca się w Łodzi.

– Mama głośno protestowała, że niby daleko, że za młoda jestem, że nie mogę być sama. Na szczęście mam swoje sposoby, żeby przekonać ją do jedynej słusznej racji.

– Twojej racji?

– Aha!

– Weronika, ale dlaczego Łódź?

– Ciociu, tu jest bosko. Świetne zajęcia, nauka jakoś mi idzie. Mieszkamy z Beatą w internacie. Autobusem wożą nas na treningi. Jedzenie jest dobre. I mam spokój. Męczyło mnie to wszystko. No wiesz...

Ilona najchętniej opuściłaby kryjówkę, bo z kabiny obok przedostał się gryzący dym papierosowy, ale nie chciała przerywać rozmowy z rozemocjonowaną siostrzenicą. Pamiętała ze swojej młodości, że najbardziej wkurzały ją sytuacje, w których w najciekawszym momencie snutej przez nią opowieści matka mówiła: „Wiesz co, opowiesz mi o tym później, teraz muszę...”, po czym wymieniała jedną z czynności typu: „wyjść do pracy”, „umyć głowę”, „odkurzyć w pokoju”.

– Co cię męczyło? Mama? – spytała, starając się powstrzymać złość.

Palenie papierosów w toalecie było zabronione. Nie zamierzała śmierdzieć, bo ktoś musiał zaspokoić swój nałóg. Wyszła więc z ukrycia, otworzyła szeroko okno obok zlewu i odkasznęła tak głośno, by osoba łamiąca regulamin ją usłyszała.

– Nie, nie tylko ona. Wszystko. Mieszkanie, w którym wszyscy byliśmy szczęśliwi. Jakoś nie mogłam o tym pamiętać, patrzyłam na ściany, kanapę, na łóżko i wannę. I ciągle myślałam o tym, że nie tak dawno mieszkał z nami ojciec. Że krzyczał, ale też przytulał. Chrapał i odkurzał co sobotę. A teraz go nie ma, bo dał się zabić. Przepraszam, ciociu, że tak mówię, ale to nie było fair. Miał nas. Mnie, Kubę i mamę, a wplątał się w te interesy... Wyjechałam z Poznania i od razu mi lepiej, wiesz? Mam już szesnaście lat, jestem samodzielna i w końcu zostawiłam złość na ojca za sobą. Tak mi się przynajmniej wydaje. To chyba przekonało mamę.

– Najważniejsze, że jesteś szczęśliwa.

– Jestem. Musisz tu kiedyś przyjechać i to zobaczyć. Tak właśnie zamierzała zrobić. Przyjechać i zostać. Na zawsze.

*

– Wszystko w porządku? Możemy porozmawiać czy może wolałabyś zadzwonić po mamę?

Anna Sukiennik pokręciła głową. Matka była ostatnią osobą, która powinna pojawić się w tym miejscu.

Sprawy potoczyły się błyskawicznie – od telefonu na pogotowie do pojawienia się policjantów nie minęło więcej niż dwadzieścia minut. Anna miała czas, żeby przyjrzeć się wszystkiemu dookoła.

Po raz pierwszy była w jednym pomieszczeniu z trupem. Nie czuła się jednak źle. Wręcz przeciwnie, zastanawiała się, jak do tego doszło i jak by to było, gdyby w odpowiednim momencie pojawił się Edward i upił z Katarzyny trochę krwi. Czy stałaby się wampirem? I czy żyłaby tak samo jak do tej pory?

– Nie, wszystko w porządku. Możemy rozmawiać.

– Ile masz lat?

– Szesnaście.

Policjant kręcił przez chwilę głową, jakby był niezadowolony. Miał bladą twarz, która w zestawieniu z czarną kurtką wyglądała jak twarz wampira.

– Znałaś ją?

– Tak. To Katarzyna Hałka. Kolegowałyśmy się.

– Dobrze, opowiedz jak było. Jak znalazłaś się w mieszkaniu. Wpuściła cię?

– Raz w tygodniu robię jej zakupy i przynoszę je do mieszkania. Mam listę, dostaję pieniądze. Pomagam jej w ten sposób. Tym razem wszystko było jak zwykle. Przytargałam torby na górę, zapukałam do drzwi. Weszłam...

– Chwileczkę, weszłaś? Jak?

– Normalnie.

– Drzwi były otwarte?

– Nie. Miałam ze sobą klucze. W torebce. Bo w środy Kasia chodziła na zajęcia na dziesiątą, a ja do szkoły na jedenastą czterdzieści pięć. Czasem spałam dłużej i zakupy

przynosiłam jej przed szkołą, koło jedenastej. Dała mi więc klucze, żebym nie musiała się z nią umawiać. Bo na początku to było problemem. O jedenastej ona była na uczelni, wracała wieczorem, a ja wieczorem musiałam się uczyć, albo wyjechać z rodzicami, albo... no, różne sytuacje były. Dała mi klucze i powiedziała, że mogę z nich korzystać, jeśli nie ma jej w domu.

– Rozumiem. Czyli miałaś klucze i ich użyłaś? I jesteś pewna, że zamek był zamknięty?

– Tak. Musiałam przekręcić klucz dwa razy. Nawet trochę się zestresowałam, bo Kaśka wspominała, że mam zamykać na raz, bo przy drugim obrocie coś się w zamku haczy. Pomyślałam więc, że się zapomniała i zamknęła na dwa, przez co nie uda mi się wejść. Nie wiedziałabym, co zrobić z zakupami. Do domu nie mogłam ich zanieść, bo mama nie wie, że dorabiam sobie u Kasi.

– Płaciła ci za robienie zakupów?

– Yyyy... – Anna się zacięła. Nie powinna była wspominać policji o swoim źródle dochodów. Było na to jednak za późno. Jedyne, co mogła zrobić, to umniejszyć jego znaczenie. – Odwdzięczała się, po prostu. Nie płaciła. To nie była praca. Czasem włożyła mi do kieszeni dziesięć złotych.

– Rozumiem.

– Proszę o tym nie mówić mojej mamie. Ona nie zrozumie. Poza tym staram się zarobić na tatuaż, a ona...

– Dobrze, wróćmy do tematu. Katarzyna Hałka mieszkała sama?

Policjant wpatrywał się w Annę z uwagą, ale jej trudno było skupić się tylko na nim.

Siedziała na kanapie w salonie, ale widziała kręcących się w kuchni mężczyzn ubranych w białe kombinezony.

Między aneksem kuchennym a częścią wypoczynkową stała policjantka. Opierała się o regał i przyglądała się Annie z zainteresowaniem. Miała niemodną i raczej męską fryzurę. Była inna niż wszyscy. Tak bardzo inna, że wręcz odpychająca. Do Anny dotarło, że nigdy nie chciałyby być taka. Że jeśli już będzie miała okazję zademonstrować swoją inność, to na pewno zachowa w sobie kobiecość.

– Hej, skup się. – Skrzeczący głos policjanta kazał jej oderwać wzrok od policjantki. – Czy denatka mieszkała sama?

– Tak.

– Spotykała się z kimś? Miała faceta, dziewczynę, przyjaciół?

– Nie wiem jak z przyjaciółmi, bo ja wpadałam do niej zwykle po książki, a nie na studenckie imprezki, niestety... Ale z tego, co wiem, to nie miała chłopaka.

– Jak to?

– Widzi pan przecież, jak wyglądała... Chłopaki nie lubią grubych. A ona już nawet gruba nie była. Objadała się, a to najlepiej świadczy o tym, że z nikim się nie spotykała. Kiedyś jeszcze opowiadała mi, że wyleczy się z otyłości. Że zostawi sobie trochę tłuszczu, ale poprawi sprawność. Obiecywała, że zadba o siebie. Tłumaczyłam jej, że powinna się lepiej ubierać, ale ona mówiła, że nie ma fajnych ciuchów w jej rozmiarze. Czasem była bardzo smutna. Ale czasem wesoła. Raz tylko widziałam u niej faceta.

– Jak wyglądał?

*

„Czy facetów podniecają rajstopy?”

Krystian przemieszczał się pomiędzy kolejnymi wpisami na forum i czytał na głos niektóre pytania.

Obejrzał już kilka erotycznych zdjęć, sprawdził parę wątków na forum i nadal nie mógł znaleźć niczego, co zatrzymałoby go na dłużej. Zdjęciom brakowało „tego czegoś”, same rozmowy na forum zaś – nawet te dotyczące ciekawych tematów – prowadzone były raczej na poziomie dwudziestolatków. To go nie satysfakcjonowało.

Wolał czytać o tym, jak rajstopy, stringi czy inne części kobiecej garderoby działają na członków forum, niż śledzić dyskusję o różnicach między stringami a figami oraz spódnicami i sukienkami.

Krystian miał na karku czterdziestkę, ale chciał od czasu do czasu poczuć się jak nastolatek. Marzył, że pożądanie zawładnie jego ciałem, że na chwilę straci kontrolę nad wszystkim i zapragnie jakiejś kobiety tak bardzo, że wszystko inne przestanie się liczyć. Czas. Miejsce. Otoczenie.

Tęsknił za zmysłowym doznaniem zbliżonym intensywnością do tych, które pamiętał z czasów liceum. Kiedy to obmacywanie i całowanie się z dziewczyną na klatce schodowej, przy ciągle gasnącym świetle i świadomości, że w każdej chwili ktoś może ich zauważyć, doprowadzało go do ekstazy. Rozkoszna chęć sprawdzania, jak daleko można się posunąć w pieszczotach i ta słodka niewiadoma sprawiały, że pieszczoty na klatce wspominał o wiele milej niż swój ostatni seks.

Od jakiegoś czasu niby był z kobietą, ale nie czuł się z nią związany. Spotykali się, ale nie czuli do siebie nic więcej. Nigdy nie pojawiła się namiętność. Po prostu się przyjaźnili, a ona niekiedy pozwalała, żeby się do niej zbliżył.

Przynosiło mu to ulgę, ale zaraz po niej pojawiało się niezadowolenie i upokorzenie. Nie chciał zebrać o miłość.

Przemieszczał się po forum, przeglądając kolejne tytuły i zdjęcia. W prawym górnym rogu każdej strony wyskakiwały reklamy. Zaczął się zastanawiać, czy na forum bywają prawdziwe kobiety, bo reklamy temu przeczyły. Wszystkie skierowane były do mężczyzn. Klikając w pierwszą z nich mógł zrealizować marzenie o powiększeniu penisa, a w drugą – kupić sobie zabawkę. Sztuczną cipkę, sztuczny odbył lub sztuczne usta.

Miał jednak już dość sztuczności.

„Mnie podniecają rajstopy, ale nie tyle na nogach mojej pani, ale raczej kiedy je zdejmie. Lubię używane” – odczytał kolejny wpis i przypomniał sobie, że któryś z kolegów podczas ostatniego wypadu na piwo opowiadał o tym, że na portalu, na którym można kupić wszystko, jest bardzo dużo ogłoszeń dotyczących używanej bielizny.

Wpisał więc w wyszukiwarkę adres strony, a następnie „rajstopy używane”. Kliknął

w ikonkę „Szukaj” i po chwili jego oczom ukazało się piętnaście ogłoszeń.

Wszedł w pierwsze z nich.

„Oferuję swoje używane rajstopki, czarne, rozmiar trójka. Noszone przez cztery dni, więc sam sobie wyobraź ten zapach, który możesz mieć u siebie już niedługo.

Gwarantuję zadowolenie”.

Roześmiał się. Ktoś znalazł sobie ciekawy sposób na biznes. Też mógłby sprzedawać swoje skarpety noszone dwa dni. Nie musiałyby ich prać, a dzięki sprzedaży używanych miałyby pieniądze na nowe.

„Oferuję specjalnie dla ciebie moją noszoną bieliznę, majteczki, skarpetki, rajstopki – odczytał jeszcze dopisek znajdujący się pod ogłoszeniem. – Mogę je dla ciebie nosić, pocić się w nich, spać i nie tylko. Napisz mi, czego pragniesz, jakie masz fantazje, a ja zobaczę, co się da zrobić. Uczciwie, konkretnie, anonimowo”.

Zaintrygowały go trzy wyrażenia: „i nie tylko”, „anonimowo” oraz „majteczki”.

Pomyślał, że może powinien napisać do tej sprzedającej i zamiast czekać na cudowne przebudzenie Aleksandry Wilk, skupić się na realizacji swoich fantazji.

*

– Gdzie pani była dwudziestego drugiego sierpnia wieczorem, między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią?

Oszalał. Stojący przede mną policjant oszalał. Przychodzi bez uprzedzenia. Puka do drzwi mojego gabinetu, a następnie po wydukaniu trzech słów mających na celu – oczywiście tylko w jego mniemaniu – przedstawienie się, wpycha się do środka i zadaje pytanie o odległą przeszłość.

– Słucham?

– Pytam, gdzie pani była drugiego sier...

– Pyta pan o dwie godziny sprzed czterech miesięcy! – przerywam mu.

– Niecałych czterech.

Drwiąca mina i ręce w kieszeniach mają przekonać mnie, że ma rację? O nie. Nie poddam się tak łatwo. Zaraz wyjmę kalendarz i każę mu policzyć dni.

– Chce się pan licytować, ilu dni brakuje do pełnych miesięcy?

– Interesują mnie jedynie, jak pani słusznie zauważyła, dwie godziny z pani życia.

Dokładnie z dwudziestego drugiego sierpnia.

– Nie pamiętam. – Nawet nie chce mi się udawać, że nie doprowadza mnie do furii. – W sierpniu byłam w Łodzi.

Do cholery, przecież nie mam obowiązku tłumaczyć mu się z tego, gdzie byłam. Poza tym za chwilę będę miała klienta. Nie chcę, żeby był świadkiem tej upokarzającej rozmowy.

– Proszę sobie przypomnieć.

– Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że moim obowiązkiem obywatelskim jest pamiętanie harmonogramu każdego dnia do pięciu lat wstecz? I że policja ma prawo

przepytawać mnie ze znajomości tego harmonogramu na wyrywki?

– Dwudziestego sierpnia była pani na miejscu, to znaczy w swoim mieszkaniu, przy ulicy Swobody...

– Dużo pan o mnie wie – przerywam mu ponownie.

Przerzucamy się złośliwościami. Jemu się wydaje, że ma mnie w garści, ja nie wiem, o co mu chodzi.

Przypomina mi to małżeńską scenę, w której mąż dopytuje, co nowego kupiła sobie jego żona i ile to naprawdę kosztowało, a ona manewruje między blefem a prawdą.

I zastanawia się, czy jego podejrzliwe spojrzenie to tylko gra, czy może przez pomyłkę użyła ich wspólnej karty płatniczej, a do męża właśnie przyszedł wyciąg z konta.

– Wystarczająco dużo, żeby mogła pani sobie darować kłamstwa. Powtórzyć pytanie?

– Nie jestem głucha. O tej porze zwykle jestem w domu. Z dziećmi.

– Mogą to potwierdzić?

– Dziewięcioletni Kuba chodzi spać koło dwudziestej pierwszej. Nie pamiętam, czy córka była wtedy w domu, czy spała u koleżanki.

– Czyli nie ma pani alibi?

– Alibi na? – Patrzę na niego wyczekująco.

– Na czas brutalnego pobicia Ilony Drzewieckiej.

– Słucham?!

Przesadził. Trzy głębokie wdechy. Jeszcze dwa. Cholera, kiedyś to działało. Muszę się uspokoić. Natychmiast.

– Wie pani przecież, że Ilona Drzewiecka przebywa w szpitalu.

– Wiem.

Muszę zapanować nad oddechem, w przeciwnym razie policjant wyrecytuje formułkę znaną mi z filmów sensacyjnych. Jak to szło? Cokolwiek powiesz, jakkolwiek będziesz oddychać, wszystko to zostanie wykorzystane przeciwko tobie w sądzie?

– Trafiła tam już w sierpniu, dokładnie dwudziestego drugiego dnia tego miesiąca, i przebywa tam do dnia dzisiejszego.

– Wiem, że jest w szpitalu, w szczegóły nie wnikałam.

– Może nie musiała pani wnikać, bo dobrze je pani знаła?

– Jest pan bezczelny! Szczegóły czego? Pobicia? Dlaczego miałabym ją pobić? Przecież to moja szwagierka.

– Wie pani, gdzie znajduje się salon kosmetyczny Paris, będący własnością Ilony Drzewieckiej?

– Wiem.

– I przypadkiem przechodziła pani obok wieczorem dnia dwudziestego drugiego sierpnia?

– Pan chyba żartuje!

– Ja? Do kogo należy mieszkanie, w którym pani mieszka?

– Do Ilony. Przedtem było własnością rodziców Ilony i Gabriela, mojego męża. Rodzice zapisali mieszkanie Gabrielowi, a on Ilonie.

– W sobotę dowiedziała się pani, że ma opuścić mieszkanie, a dwa dni później właścicielka mieszkania wylądowała w szpitalu z obrażeniami całego ciała. Będzie mi

pani wmawiała, że to przypadek?

*

– Dziękuję bardzo, do zobaczenia za tydzień.

– Dziękujemy i zapraszamy.

Uśmiech na twarzy klientki opuszczającej salon kosmetyczny sprawił, że Dagmara Witczak mogła odetchnąć. Poranne zamieszanie zostało opanowane, klientka odpowiednio dopieszczona, a kolejna miała przyjść dopiero za piętnaście minut.

Agnieszka Polacka, kosmetyczka, która z samego rana podniosła wszystkim ciśnienie, stała przed lustrem i malowała sobie usta czerwoną szminką.

Dagmara byłaby niesprawiedliwa, gdyby powiedziała, że przyjęta niedawno do pracy Agnieszka była nieatrakcyjna. Miała czarne, krótko ścięte włosy, duże oczy i obłądną figurę. Wyglądała jak milion dolarów, ubrana w zwykłe czarne dżinsy i koszulkę.

Wiedziała jednak, że właścicielka nigdy nie przyjąłaby do pracy takiej dziewczyny.

Zawsze powtarzała, że klientki muszą się czuć komfortowo. Że personel ma być schludny, czysty i modny, ale nierzucający się w oczy. Dlatego wymyśliła, że firmowym strojem będą czarne spodnie i czarna koszulka. Dodatkiem mającym podkreślić związek salonu Paris z Paryżem miały być pomalowane usta. „Francuzki często malują jedynie usta. One nadają kobiecości i modnego sznytu” – powtarzała.

– Dzień dobry. – W drzwiach pojawił się Paweł Drzewiecki.

– Dobry.

Mąż właścicielki wszedł do środka. Posłał długie spojrzenie Agnieszce, po czym skierował się na zaplecze. Zostawił tam kurtkę i wrócił uśmiechnięty.

– Co tu taki grobowy nastrój?

Agnieszka wruszyła ramionami i wydeła pomalowane usta.

– Wszystko jest już pod kontrolą – odpowiedziała Dagmara.

– Zawsze można na panią liczyć, pani Dagmaro. A co trzeba było kontrolować?

– Poranną sytuację. Agnieszka nie zawiadomiła mnie, że raczy spóźnić się do pracy ponad pół godziny. Byłam więc sama z dwiema klientkami. Jednej robiłam masaż, a druga niezadowolona siedziała w poczekalni. Bardzo niezadowolona. Podkreślała, że umawiała się na paznokcie tydzień temu i nikt jej nie uprzedzał, że będzie musiała czekać jak w podrzędnym salonie.

– Ach, no tak, pani Agnieszka dzwoniła – odchrząknął – do mnie. Zapomniałem pani przekazać. Co ta klientka taka nerwowa? Przecież ta operacja z paznokciami trochę trwa. I tak planowała siedzenie w salonie. Kilka minut robi wielką różnicę?

– Pół godziny? Robi, proszę mi wierzyć.

Do salonu weszła kolejna klientka, więc musieli skończyć rozmowę. Paweł nie miał szansy stanąć w obronie Agnieszki, ale Dagmara się nie łudziła – nie była ślepa i widziała te wszystkie ukradkowe spojrzenia.

– Dzień dobry. – Agnieszka podeszła do kobiety, wskazała miejsce, w którym mogła

zostawić płaszcz i powiodła ją do gabinetu.

Drzewiecki odprowadził kobiety wzrokiem, a Dagmara nie przestawała mu się przyglądać. Dopiero kiedy drzwi się zamknęły, mężczyzna spojrzął na nią rozanielonym wzrokiem.

– O co chodzi, pani Dagmaro? Mam coś na twarzy? Patrzy się pani na mnie jak...

– Nie, nic. Chociaż nie. Jednak coś. Słyszał pan, że najprawdopodobniej na dniach wypuszczą Ilonę ze szpitala? Dzwoniła do mnie wczoraj.

– Tak? Do mnie pewnie też dzwoniła, ale padła mi komórka, dopiero przed chwilą ją reanimowałem, nie zdążyłem jeszcze odsłuchać wszystkich wiadomości.

Dagmara wysłuchiwała opowieści zawierającej szczegóły śmierci komórki, chociaż jej to nie interesowało. Wydawało jej się, że po „tak?” mina Drzewieckiego była identyczna jak mina wściekłej klientki, której nieobecna manikiurzystka popsowała plany. Mogła się jednak mylić.

Cóż, była uprzedzona.

*

– W końcu odebrałaś! Ostatnio ciągle próbuję się do ciebie dodzwonić!

– Tak, ja...

– Urszula, nieważne. Rozumiem, masz pracę i swoje życie, nie powinnam ci się naprzykrzać, ale cholera jasna, chyba znowu mam problemy!

Szkolny korytarz był pusty. Aleksandra siedziała na parapecie i uważnie obserwowała, czy nikt nie pojawia się w zasięgu wzroku. Jak zwykle przyjechała do szkoły za szybko, do zakończenia lekcji brakowało dwudziestu minut. Postanowiła wykorzystać ten czas na rozmowę z jedyną zaprzyjaźnioną osobą pracującą w policji. Chciała się dowiedzieć, na czym stoi.

– Oła, co ty mówisz?

– Nie no, wiem, wiem, może panikuję, może powinnam się uspokoić, ale... Był u mnie dziś policjant. Wypytywał o Ilonę, no wiesz, tę sukę, która chciała, żebyśmy się wyprowadzili z mieszkania. A właściwie nie tyle o nią, ile o moje stosunki z nią.

I najgorsze jest to, że pytał mnie o alibi na czas pobicia.

– Co powiedziałaś?

– Że nie pamiętam. Że zwykle w tym czasie jestem w domu.

– Masz jakichś świadków?

– No właśnie nie! Urszula, co mam zrobić? I w ogóle co to miało być? Przyszedł jakiś posterunkowy czy ktoś do mnie do gabinetu i wypytywał. Czy to było przesłuchanie? Bo nie wiem, czy rozmawiał ze mną jak z podejrzaną, czy to było rutynowe sprawdzenie!

– Spokojnie. Możesz być podejrzana?

Aleksandra chciała odpowiedzieć od razu, ale zauważyła, że po korytarzu kręci się jakiś mężczyzna. Obserwowała go przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy powinna

przełożyć rozmowę z Urszulą na później. Kiedy zauważyła, że mężczyzna chodzi w kółko, ale ze spojrzeniem zatopionym w komórcę i że uśmiecha się do siebie, uznała, że jest całkowicie zatopiony w wirtualnej rzeczywistości i ma lepsze zajęcia niż podsłuchiwanie jej rozmowy.

– Miałam motyw, żeby się jej pozbyć. Albo przynajmniej żeby ją uciszyć na jakiś czas. Gdyby nie to pobicie, od czterech miesięcy mieszkalibyśmy w jakiejś wynajmowanej norze. I to jest według tego policjanta podejrzane.

– Uspokój się. Minęły cztery miesiące. To utrudnia ustalenie tego, co się naprawdę stało. Muszą sprawdzić różne hipotezy śledcze.

– Uła, ale co będzie, jeśli mnie oskarżą?

– Zrobiłaś to?

– Uła, Ilona zrobi wszystko, żeby się mnie pozbyć! Chciała odebrać mi dzieci. Sprawy zatrzymały się tylko dzięki temu, że leżała nieprzytomna w szpitalu. A jeśli pomyślała, że mnie udupi? Co mi grozi? Konkretnie?

– Wiesz co? Napij się czegoś. Albo pobiegaj. Albo weź coś na uspokojenie. Gdyby mieli na ciebie coś, na czym pociągną akt oskarżenia, to zamiast rozmowy w gabinecie dostałabyś wezwanie do stawienia się na przesłuchaniu. To na pewno nie jest nic poważnego.

– Tak. Tak. Masz rację. Ale wiesz – Aleksandra poczuła, że musi się wytłumaczyć – lubię być poinformowana. Co mi grozi?

– A jakie ma obrażenia? Bo to uszczerbek na zdrowiu, więc wyrok liczy się od obrażeń. Ciężki uszczerbek daje od roku do dziesięciu lat, a pozostałe uszkodzenia od trzech miesięcy do pięciu lat. Jeśli sędzia będzie miał dobry humor, to nawet możesz dostać zawiasy.

*

– Ooo, a to kto? Nowy narybek?

Patolog Edward Cebulski skupił całą uwagę na kobiecie idącej za policjantem z kryminalnego. Nie widział jej nigdy wcześniej.

Miała proporcjonalne ciało i wyraz twarzy zdradzający, że z niejednego patologicznego pieca jadła już chleb. Jeśli musiałby o niej coś powiedzieć, to to, że pewnie od dłuższego czasu musiała wnikliwie studiować różne przypadki cierpienia.

– Raczej objawienie pańskie – szepnął konspiracyjnie Chmielewski, a kiedy kobieta znalazła się obok, dodał: – Poznaj, proszę, naszą nową koleżankę; kobietę, która ma zapewnić zmartwychwstanie poznańskiej policji.

– Podkomisarz Urszula Zimińska.

– Miło mi. Cebulski, Edward Cebulski. – Chyba zagalopował się z uprzejmością, bo uścisk dłoni, którym go obdarzyła, nie należał do delikatnych. Cofnął rękę i zwrócił się do Chmielewskiego: – Zmartwychwstanie? Czyżby policja wyzionęła ducha? Dziwne, bo zgodnie z procedurami powinniście trafić na mój stół!

– Na twój niestety nie, chociaż wierz mi, że wolelibyśmy sekcję po znajomości. – Chmielewski wybuchnął śmiechem. – Trafiliśmy na sekcję pokazową, transmitowaną we wszystkich mediach. Pieprzony dziennikarzyna pokroił nas i wyciągnął wszystkie organy.

– Współczuję. Rozumiem, że to pani ma teraz tak namieszać, żeby się okazało, że to wcale nie wasze organy?

– Podobno. – Wzruszyła ramionami.

Nie wyglądała na przejętą swoją misją. Właściwie nie wyglądała na kogoś, kto mógłby się czymkolwiek przejmować. Sprawiała wrażenie nieludzko opanowanej.

Jednak Cebulski był specjalistą od ludzkich ciał – na dodatek zimnych – nie od emocji. A Urszula Zimińska nie tylko była zimna, ale w jego ocenie nadawałaby się do pracy w jego zespole.

– Trochę o pani słyszałem. Pani podkomisarz jest z Łodzi, prawda?

– Zgadza się. Od kogo?

Patolog się roześmiał. To było celne pytanie. Wystarczyłoby podanie jednego nazwiska i już wiedziałaby, że to nie były miłe rzeczy.

– Zaraz, zaraz, jak wy to mówicie? Nie mogę ujawniać źródeł?

– To nie my, tylko dziennikarze – wtrącił Chmielewski. – Dobra, Edward, skoro już się zaznajomiłeś z Urszulą, przejdźmy do roboty. Kiedy będą wyniki ciała, które ci dziś podaliśmy?

– Jutro robimy sekcję.

– A biochemia?

– To trochę potrwa.

– Postaraj się, dobra? Denatka ma na ciele ślady dwóch wkłuć. Nie przyjmowała żadnych zastrzyków. Muszę wiedzieć, co sobie wstrzyknęła.

– Albo co jej podano. Ślady wkłuć są na tylnej części ramion – dodała Urszula.

Tomasz spojrział na nią w taki sposób, jakby chciał jej przypomnieć, że nie ma prawa odzywać się niepytana. Zwłaszcza podczas rozmów dotyczących prowadzonych przez niego spraw. Po pierwsze była nowa, po drugie miała cyci, po trzecie – długi staż pracy w policji, co oznaczało, że powinna znać swoje miejsce w szeregu.

– Nie wyklucza to faktu, że mogła sięgnąć tam sama. Wiesz, Urszula, nie zawsze trzeba uwzględniać możliwość udziału osób trzecich...

– Drodzy państwo! – Cebulski nie zamierzał wysłuchiwać damsko-męskiej walki o dominację. – Wybaczenie! Nie przyglądałem się jeszcze denatce, więc nie rozstrzygnę waszego sporu. Mogę jedynie powtórzyć, że na biochemię trzeba poczekać.

– Konkrety! Ile?

– Pani Urszulo, to nie piekarnia. Ani OIOM. Tu pacjentowi się nie spieszy.

– A policji tym bardziej... – dokończył Tomasz.

Propozycja ponownej wizyty w mieszkaniu denatki wyszła od Urszuli. Chmielewski opierał się przez chwilę, ale kiedy dała mu do zrozumienia, że chce sprawdzić jego umiejętności analityczne, odpuścił.

– Kibicuję ci, nawet nie wiesz, jak bardzo. Może tego nie widać, ale myślę, że jesteś odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu. Jeśli tobie się to nie uda, to...

– Skąd takie wnioski? – przerwała gwałtownie.

– No proszę cię, to oczywiste. Góra chce poznańskiego Archiwum X i będzie je miała. Działają pod publiczkę. Zrobią wszystko, żeby poprawić swój wizerunek i odbudować zaufanie społeczeństwa. Wszyscy powtarzają, że daliśmy dupy, bo w osiemdziesiątym siódmym nie sporządziliśmy nawet portretu psychologicznego sprawcy. Kurde, kto to wtedy robił? Kto słyszał o profilerach, co? Do jakiego procenta spraw przygotowywało się takie portrety? I czy to cokolwiek by zmieniło? Ktoś znalazł coś, czego może się ucześcić i robi aferę. To tak, jakby żona chciała ze mnie zrobić potwora i załatwić sobie rozwód z orzeczeniem o mojej winie, bo w osiemdziesiątym siódmym nie załadowałem naczyń do zmywarki, a przecież teraz robię to codziennie.

– Zet.

– Słucham?

– Archiwum Z. Z jak zabójstwo.

– Widzisz? Masz w dupie media i całą sytuację. Dla ciebie ważne są konkrety. I jesteś z zewnątrz. Tylko ty gwarantujesz, że przynajmniej postarasz się stworzyć komórkę, która przetrwa, a nie zgaśnie zaraz po tym, jak kamery zostaną wyłączone.

– Szkoda twojego czasu na wchodzenie mi w tyłek. Jeśli się nadajesz, to wezmę cię do zespołu. Jeśli nie... to nie.

– Jasne. Nie mówię tego, żeby sprawić ci przyjemność. Tak myślę i tyle. Koniec tematu. Dotarli do drzwi, za którymi rano została odnaleziona Katarzyna Hałka. Urszula odetchnęła z ulgą.

Mieszkanie ofiary znajdowało się w odległości jakichś pięciu minut jazdy samochodem od komendy, a Lasek Marceliński, w którym w osiemdziesiątym siódmym odnaleziono ciało dziewczynki, kolejne pięć minut dalej. Wizja powrotu do komendy bezpośrednio z Lasku Marcelińskiego zakładała przynajmniej dziesięciominutową jazdę, co byłoby dla Urszuli nie do zniesienia. Dlatego uparła się, że muszą wrócić do mieszkania denatki.

– Chociaż nie, dodam jeszcze, że wkurza mnie ta cała polityka w policji. Chce się teraz pokazać opinii publicznej, że Archiwum X... czy tam Z, od dawna było w planach.

Gówno prawda. Funkcjonowało coś takiego przez pół roku, jakieś dwa lata temu.

Chłopaki siedzieli nad starymi sprawami i nie mogli ich ugryźć. Oddelegowano ich do innych wydziałów, bo mieli zerową skuteczność. Pamiętam, że komendant zarzekał się wtedy, że nigdy więcej takiego srania w banię...

– Tomasz, skup się na teraźniejszości. Co widzisz?

Zamknęli za sobą drzwi i weszli do dalej.

– Chłopaki skończyli robotę.

Urszula się uśmiechnęła. Rzeczywiście, byli sami. Technicy skończyli zabezpieczanie

śladów i opuścili miejsce zdarzenia.

– Nie o to pytałam.

– Nie? Mieszkanie dwupokojowe. Sypialnia z dużym łóżkiem, ale to duża kobieta była, więc łóżko też duże.

– Myślisz, że była sama?

– Mieszkała sama. W szafach ciuchy w rozmiarze wiele iks, jedna szczoteczka do zębów. W szafce nocnej brak prezerwatyw. Dużo książek. Nie prowadziła zbyt rozrywkowego trybu życia.

– Zakupy, które przyniosła jej ta licealistka, były bardzo duże.

– Duże ciało musi dużo pochłaniać.

Zatrzymali się przy regale z książkami, oddzielającym część wypoczynkową od jadalni i kuchni. Po prawej stronie stała skórzana sofa przykryta wełnianym kocem.

Naprzeciwko niej znajdowała się drewniana szafka i telewizor. Obok sofy na miękkiej pufie leżały słuchawki i kamera internetowa.

– Która część mieszkania wydaje ci się najbardziej zadbana? – spytała Urszula.

– Wszystko wygląda na przebrzmiałe trendy. Urządzała je dobre kilka lat temu. Ciepłe beże, pomarańczowe panele, kuchnia z frontami w odcieniu pomarańczowym.

Schludnie.

– Nie jest modne, ale zadbane, zgadza się. Ale zauważ... – Podeszła do stołu. – Ściana znajdująca się za mną jest biała. Wisi na niej kilka typograficznych obrazków z napisami motywującymi. Stół jest biały, podobnie jak krzesła. To oaza nowoczesności w całym tym mieszkaniu.

– No i?

Urszula wzruszyła ramionami. Kącik jadalniany nie bardzo pasował do reszty mieszkania, ale przecież nie musiał. Ludzie zwykle żyli w bardzo różnych wnętrzach. Mało kogo było stać na podążanie za modą i gruntowny remont co kilka lat. Większość wprowadzała jedynie drobne nowe elementy: obrazki, świeczki, firany. Być może u denatki był to stół.

– Myślisz, że co się tu stało?

– Jadła i jadła... aż się przejadła.

– A wkłucia?

– Nie wiem. Może była cukrzykiem i podawała sobie jakieś leki?

– Nigdzie nie ma strzykawek. – Urszula zajrzała do szafki pod zlewem. – W koszu też nie.

Wróciła do stołu. Był elegancko przygotowany. Białe materiałowe serwetki ułożone w stożki, świeczki, kieliszki.

– Tak nie wygląda stół, przy którym siadasz do kolacji. Nie w domu.

– Wszykowany jak na imprezę.

– No właśnie. Na imprezę. Ale znaleźliśmy nakrycie tylko dla jednej osoby.

– Nie ma śladów bytności osoby trzeciej. Zlew jest pusty. Garnki są czyste. Sąsiedzi nie słyszeli odgłosów imprezy. Jeden talerz... no i drzwi. Zamknięte na klucz.

– Pamiętasz, jak była ubrana?

– Normalnie.

– Normalnie... Czyli jak? Domowo czy raczej wyjściowo?

– Nie była w dresie, jeśli o to pytasz.

– No właśnie. Miała białą górę i jakąś ciemną spódnicę. I szpilki...

Urszula przypominała sobie widok, który zwrócił jej uwagę, kiedy po raz pierwszy zobaczyła ciało denatki.

Tłuste stopy wepchnięte na siłę w tanie zamszowe buty z bardzo wysokim i cienkim obcasem. Niewiele kobiet potrafi poruszać się zgrabnie na kilkunastocentymetrowych szpilkach, a osoba o posturze Katarzyny Hałki nie miałaby na to żadnych szans.

– Może masz rację. Może to zwykły wypadek albo samobójstwo. Ale niepokoi mnie ta teatralność. Nakrycie stołu, jej ubiór... Ładnie to wszystko wyglądało, prawda? Tak estetycznie. Nawet jak jej ciało leżało oparte twarzą o stół.

– Czy ja wiem, czy ładnie? – Tomasz się skrzywił. – Nie zauważyłem tam nic estetycznego. Wręcz przeciwnie. Ta rurka w nosie była ohydna.

– I nie bardzo pasowała do całej reszty. Faktycznie. Zgłębnik to się nazywa. Nosowo-żołądkowy, o ile się nie mylę. Wkładasz to przez nos i nie musisz jeść. Umarła nad talerzem z deserem, a wokół siebie miała jeszcze kilka pustych i brudnych talerzy. No dobra, zapomnij o ciele denatki i tej rurce. – Urszula cofnęła się do przedpokoju, by uchwycić więcej szczegółów. – Wyobraź sobie, że zamiast niego masz blondynkę w rozmiarze trzydzieści sześć, w krótkiej spodniczce i wysokich obcasach. Siedzi przy tym stole z głową opartą o deser. W tle biała ściana, plakaty, stół taki piękny. Cudne zdjęcie z tego by wyszło.

*

– Widzimy się za tydzień.

– Tak jest. Bardzo dziękuję za sesję.

Klient wychodzi. Otwieram okno. Mroźne powietrze schładza atmosferę i oczyszcza umysł.

Mam dziesięć minut na reset. Mało i dużo. Gdybym musiałabym martwić się tylko o swój umysł, usiadłabym wygodnie w fotelu i zamknęła oczy. Niestety mam jeszcze ciało, które domaga się zaspokojenia podstawowych potrzeb. Najpierw toaleta, potem kanapka.

Biznes terapeutyczny kręci się ostatnio tak dobrze, że nie mam motywacji, żeby wrócić do pracy na pół etatu w szpitalu. Poza tym... nie stać mnie na to. Nie teraz.

W prywatnym gabinecie za godzinę pracy zarabiam dużo więcej niż w szpitalu, a pieniądze są mi teraz bardzo potrzebne.

Powinam przyjmować nawet w nocy. Ograniczyć sen i inne aktywności. Jeśli Ilona rzeczywiście doszła do siebie, to oznacza powrót problemów. Mogę się założyć, że przylezie do mnie prosto ze szpitala, żeby przypomnieć o wyprowadzce.

Muszę być na to gotowa. Muszę mieć pieniądze na wynajem czegoś odpowiedniego.

O kupnie nawet nie marzę. Kto da mi kredyt? Samotnej matce z niepewnymi źródłami

zarobkowania?

Wracam biegiem do gabinetu, bo telefon, który zostawiłam na biurku, dzwoni już zbyt długo. Komuś naprawdę zależy, żeby ze mną porozmawiać. Może to klient chce odwołać spotkanie?

Nie byłoby to takie złe. Jestem zmęczona. Osiem niemalże godzinnych sesji dziennie wyczerpuje mnie do tego stopnia, że kiedy wracam do domu, nie mam już ochoty na nic. Zwłaszcza na skupienie, cierpliwość i rozmowy.

Załatwiam więc szybko kontrolne przepytanie Weroniki, czy w szkole wszystko OK, czy nie chce wracać, czy jest zadowolona. Potem siadam w pokoju Kuby i widzę, że on coś mówi, opowiada i gestykułuje, ale ja tylko przytakuję.

Skupianie się na jego słowach jest dla mnie niewykonalne. Mam dość skupiania. Dość myślenia. Dość nieswoich problemów.

O swoich nie mam czasu myśleć.

Z Krystianem widziałam się... No właśnie, kiedy? Nawet tego nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

– Halo, dzień dobry. Aleksandra Wilk, dzwoniła pani do mnie?

– Tak, dzień dobry. Dostałam pani numer od koleżanki, która do pani przychodzi.

Chciałabym, żeby pomogła pani także mnie.

– Rozumiem.

– Czy możemy się spotkać jutro? Najlepiej o ósmej?

– A może być piętnaście po ósmej?

Nie mogę odpuścić nowej klientki, muszę się jakoś do niej dopasować. Tyle że jutro za pięć ósma będę podrzucać Kubę do szkoły. Nie wyrobię się.

– Niestety nie, bo o dziewiątej muszę być już na spotkaniu w urzędzie.

– Dobrze – kapituluję – niech będzie ósma.

*

– Idziemy?

Starszy sierżant Tomasz Chmielewski był już gotowy do wyjścia. Stał w przedpokoju i znudzony obserwował poczynania Urszuli.

Ta kręciła się po mieszkaniu. Siadała na sofie, na krześle przy stole, stawała przy zlewie. Zaglądała pod łóżko w sypialni.

– Jeszcze chwila.

– Szukasz czegoś?

– Tylko się rozglądam. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile masz materiału do analizy. Świeże miejsce zdarzenia do pełnej dyspozycji. Lasek Marcełiński po latach nie jest nawet w stanie oddać klimatu tamtej zbrodni, a tu...

– Tu nawet nie wiesz, czy zbrodnia w ogóle miała miejsce – zaprotestował.

– Jeśli chcesz się znaleźć w zespole, powinieneś być bardziej dociekliwy. Skoro denatka normalnie jadła, dlaczego miała wepchnięty zgłębnik? Przecież używa się go wtedy, gdy

nie można jeść.

– Nie wiem. Mogę się nad tym zastanowić w odpowiedniej chwili. Na razie jest na to za wcześnie.

– Znalaziono jakiś komputer, laptop, tablet?

– Nie. Jedyne komórkę, a co?

– Widziałeś, na sofie leży kamera internetowa. Denatka z niej korzystała. Musiała ją do czegoś podłączać.

Urszula przejrzała jeszcze raz szafki i regały w salonie i już zmierzała do przedpokoju, ale nagle się zatrzymała i spojrzała na szafki w kuchni.

– Jeśli kochasz jeść, to z jakiego pomieszczenia w swoim domu korzystasz najczęściej?

– Z kibla – zażartował. Nie miał ochoty roztrząsać kolejnych hipotez śledczych. Cały czas liczył na to, że zgon okaże się samobójstwem. Mieszkanie nie nosiło śladów walki czy bytności złodzieja, a sąsiedzi nie słyszeli kłótni ani krzyków.

– Z kuchni, Tomasz. Z kuchni.

Urszula przeszukała szafki, a po chwili wyjęła schowany za puszkami kukurydzy laptop.

– Jesteś boska. Teraz możemy już iść. Oddamy sprzęt do analizy i zakończymy dzisiejszy długi dzień.

– Poczekaj.

Wydał z siebie krótki pomruk niezadowolenia i przewrócił oczami. Naprawdę chciał już wyjść z mieszkania. „Poczekaj” powtarzane przez nią przy każdej próbie zbliżenia się do wyjścia sprawiało, że rosła w nim frustracja.

Przypominały mu się czasy liceum, kiedy to z pierwszą dziewczyną próbował przechodzić do „kolejnej bazy”. Przesuwał dłoń w stronę majtek, starał się być delikatny, opanowany i uprzejmy. I kiedy już miał wrażenie, że tym razem się uda, że właśnie dotknął opuszkami palców brzegu bielizny... Kiedy szczęśliwy uśmiechał się na myśl, że już za kilka sekund wsunie rękę w najbardziej niedostępne rejony, zawsze słyszał to samo. Poczekaj. Nie teraz. Nie tutaj. Poczekaj.

Czekał. Pierwszy, drugi, trzeci raz, licząc, że po czekaniu nastąpi spełnienie. Po szóstym razie doznał olśnienia, że kobiece „poczekaj” nie oznacza chwilowego zwolnienia. To raczej „Nie” ubrane w wyjściowe ciuchy, podmalowane i poperfumowane. „Nie”, które ma nie sprawić przykrości. „Nie”, które ochroni kobietę przed odejściem mężczyzny.

– Czekam. Masz jeszcze pięć minut, potem wychodzę.

– Możesz wyjść już teraz – odpowiedziała lodowato. Położyła laptop na stole i uruchomiła go.

– Urszula, szkoda czasu.

– Może twojego. Mojego nie. Jeśli masz możliwość przyjrzenia się z bliska denatce, poznania tego, co ją interesowało, to trzeba to zrobić. Jeśli ją zamordował...

Odpieprzyła się dla jakiegoś faceta. Był dla niej ważny. Nawet w szpilki się wcisnęła!

Może ma jego zdjęcie w laptopie, albo maile, albo...

Komputer nie był zabezpieczony hasłem. System uruchomił się szybko, a tapeta przedstawiała apetyczny czekoladowy tort. Urszula kliknęła ikonę przeglądarki internetowej.

– Zobacz. To ona.

Tomasz podszedł do stołu. Zdjęcie leżącej i uśmiechniętej denatki przykuwało wzrok. Pod nim znajdowało się menu.

– Główna, o mnie, blog, kontakt, zdjęcia – odczytała Urszula. – Denatka prowadziła stronę. Musisz się jej przyjrzeć. Może znajdziesz coś ciekawego?

– Zrobię to, jeśli będzie trzeba. Teraz nie będę tracił czasu na poszukiwanie mordercy, którego nie ma.

– Słuchaj. – Urszula usiadła przy stole. – „Nie wiem, czy to ma sens. Gonienie za wiedzą. Za ocenami. Za pracą. Za mężczyznami. Mam swoją wagę i trudno mi się biega”.

– Co to?

– Ostatni wpis z jej bloga. Nie była chyba zbyt szczęśliwa.

– Czyli jednak samobójstwo. O dziewiętnastej idę z chłopakami z firmy na piwo. Dołączysz?

*

– Mamo?

Głos Kuby wyrywa mnie z zamyślenia.

– Słucham?

– Piotrek chce cię o coś zapytać.

Chłopcy stoją w drzwiach mojej sypialni. Uśmiechają się w taki sposób, że wiem, że wpadli na jakiś cudowny pomysł, który chcą zrealizować. Właśnie teraz. I że to ode mnie zależy, czy to zrobią.

Podzielili się rolami. Kuba zrobił wstęp, a Piotrek ociąga się z zadaniem pytania. W ten sposób chcą zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu. Myślą, że koledze syna będzie mi trudniej odmówić.

– Słucham.

– Proszę pani? Czy musimy myć dzisiaj zęby?

Obaj patrzą na mnie błagalnie. Najchętniej roześmiałabym się, ale to byłoby niewychowawcze. Uciekam wzrokiem.

Na łóżku, na którym siedzę po turecku, leżą kartony. To archiwum mojej terapeutycznej pracy. Karty klientów. Historie ludzi, którym – mam nadzieję – udało mi się pomóc.

Wspomnienia z terapii i moje mniej lub bardziej osobiste zapiski czynione na marginesie, zawsze zielonym długopisem.

Nie pamiętam, kiedy przywiozłam je do domu. W czerwcu? W lipcu? Zaraz po włamaniu. To, co zastaliśmy w gabinecie Roberta zajmującego drugi pokój, przeraziło mnie. Nie chciałam, żeby ktoś grzebał w aktach moich klientów, żeby wyrzucał je na ziemię, deptał i czytał o ich problemach.

Robert kupił po włamaniu szafę pancerną, a ja zabrałam archiwum do domu. Uznałam, że tu będzie bezpieczne. Robert śmiał się wtedy, że moim aktom nic nie grozi, bo ja spotykam się jedynie z ludźmi zagubionymi, a to on, psychiatra, narażony jest na

kontakt z klientami naprawdę chorymi.

– Mamo, proszę! Umyjemy jutro przed szkołą. Proszę!

– A dlaczego nie możecie zrobić tego teraz?

– Bo... jesteśmy zajęci.

Zajęci i rozbawieni. To widać. Są młodzi, potrafią cieszyć się jeszcze z drobnych chwil.

– Czym panowie są zajęci, jeśli można spytać?

– Gramy w Minecraftera.

– Ach, jakżeby inaczej. Lekcje odrobione?

Miny im rzedną. Mnie chyba też. Skąd mi się biorą takie pytania i to w takich chwilach?

Jakbym słyszała własną matkę. Drętą kobietę, która za wszelką cenę chciała zawsze popsuć mi zabawę. Lekcje – ważna rzecz, ale zdaję sobie sprawę z tego, że pytam o nie tylko dlatego, żeby wymigać się od odpowiedzi na niewygodne pytanie.

– No dobra. – Udaję, że jeszcze się waham. – Myślę, że wyjątkowo dziś możecie to sobie odpuścić, ale wiecie, że powinno się myć zęby przynajmniej dwa razy dziennie?

– Jest, jest, jest!

Chłopcy wybiegają z radosnymi okrzykami. Cieszę się z nimi. Jedno mycie zębów, a tyle radości. Po letnim obozie Kuba i Piotrek stali się nierozłączni. Do tego stopnia, że część nocy spędzają razem u nas, a część u rodziców Piotra.

Porządkowanie archiwum mnie uspokaja. Daje złudne wrażenie, że jeśli uda mi się ułożyć wszystkie karty w porządku alfabetycznym i z podziałem na lata, to również uda mi się zapanować nad swoim życiem.

Sprawa z Iloną nie daje mi spokoju. To dlatego znowu zajmuję się kartonami.

Moje zielone notatki zapiski zawsze przykuwały wzrok. Niebieskim długopisem notowałam to, czego się dowiedziałam od klienta, a na zielono dopisywałam własne przemyślenia.

„Oszukuje siebie. Wrócić do tematu. Zapytać o pracę”.

Co tu nagryzmoliłam?

„Zasada trzech punktów podparcia”.

Pamiętam! Pamiętam tego klienta. Miał duże oczy i bardzo szeroki uśmiech. Wspomnił o trzech punktach podparcia, kiedy rozmawialiśmy o ludziach. Nie był sportowcem, nie miał nic wspólnego ze wspinaczką. Przyszedł do mnie z prośbą o pomoc. Miał problem z nawiązywaniem relacji z otoczeniem.

Szybko ustaliliśmy, że w nawiązywaniu relacji jest bardzo dobry. Nie wie jednak, co robić z relacją już nawiązaną. Bliskość drugiego człowieka wprawiała go w dyskomfort. Próbowałam znaleźć przyczynę. Odpowiedział mi wtedy, że nie ufa ludziom.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo wiem, że mogą mnie oszukać.

– Dlaczego? Jaki miałby cel, żeby cię oszukiwać?

– Nie pamiętam części swojego życia. Teoretycznie każda osoba, którą znałem, może próbować wmówić mi, że coś zrobiłem, że brałem w czymś udział albo że ją lubiłem. Może mnie oszukać, żeby osiągnąć swój cel, albo tak po prostu, by zdobyć przewagę. Zdominować mnie.

– Jak się wtedy zachowujesz?

– Nie daję po sobie poznać, że czegoś nie wiem. I stosuję zawsze zasadę trzech punktów podparcia. To pojęcie ze wspinaczki. Ciało musi mieć zawsze kontakt z trzema punktami podłoża. Zawsze. Z trzema. Sprawdzam każdą informację. Przyjmuję ją jako pewnik dopiero, gdy potwierdzę ją w trzech miejscach. Dopiero wtedy czuję się pewnie, stabilnie.

*

Urszula wykręciła się z propozycji spędzenia wieczoru w towarzystwie podpitych policjantów. Jej służbowe mieszkanie nie było zbyt przytulne, ale wolała spędzić ten czas w samotności.

Lasek Marceliński, który widziała dziś na żywo, był zadrzewioną przestrzenią sąsiadującą z terenami wykorzystywanymi pod osiedla domków jednorodzinnych. Od osiemdziesiątego siódmego zniknęły baraki opisane w aktach sprawy, a osiedle Bajkowe rozrosło się do tego stopnia, że wzbogaciło się nawet o własny kościół.

Gdyby dziś Marysia wybrała się do kościoła, nie musiałyby jechać autobusem do parafii w Skórzewie, ale pomaszerowałyby pieszo wraz z dużą gromadą dzieci.

Po prawej stronie brzucha na wysokości wzgórka łonowego znajdowały się podłużne, cienkie zadrapania oraz otarcia naskórka biegnące ukośnie i pionowo. Na bocznej powierzchni prawego uda widoczne otarcie naskórka, w okolicach brody i obu policzków podbiegnięcia krwawe, poniżej krawędzi żuchwy po prawej stronie drobne, powierzchowne, łukowate otarcia naskórka. Po odwróceniu zwłok na brzuch i rozchyleniu ud widoczne rozerwane krocze. Pośladki dziewczynki zabrudzone krwią.

Urszula odłożyła akta, które przyniosła z firmy i zerknęła raz jeszcze na czarno-białe zdjęcia.

Miejsce znalezienia zwłok. Rozerwane krocze dziewięcioletniej dziewczynki. Otarcia naskórka. Podbiegnięcia krwawe.

W odcieniach szarości wszystko wyglądało nie tyle mniej atrakcyjnie, ile przynajmniej mniej emocjonalnie. Oko przyzwyczajone do zdjęć wykonywanych w wysokiej rozdzielczości domagało się większej liczby szczegółów, ale przy zdjęciach zmasakrowanego krocza dziewczynki zamykało się samo.

Urszula zrobiła selekcję zdjęć. Na niewielkim biurku zostawiła tylko dwa. Pierwsze, przedstawiające ukryte zwłoki i drugie, ukazujące rozerwane krocze.

Zupełnie do siebie nie pasowały. Obrażenia narządów płciowych sugerowały, że mogły powstać w wyniku brutalnego gwałtu lub wprowadzania narzędzia o podłużnym kształcie. Urszula zerknęła do dokumentów. Patolog nie wykluczał drugiej opcji, z zaznaczeniem, że minimalna długość narzędzia wynosiła przynajmniej dziesięć centymetrów.

Prowizoryczne ukrycie ciała przypominało grób. To był ślad psychologiczny. Zmiana w rzeczywistości, która była efektem aktywności sprawcy. Mógł porzucić ciało w lesie,

wrzucić je do stawu, nawet zakopać. Zamiast tego usypał kopiec, jednocześnie dbając o to, by twarz dziewczynki się nie zabrudziła. By nie przykryła jej ziemia.

Urszula od tego chciała zacząć przygotowanie profilu psychologicznego sprawcy.

Wróciła lektury do dokumentów.

Ciało ułożone było w zagłębieniu, przysypane ziemią i przykryte gałęziami akacji.

– Zagłębienie, ziemia, kwiaty. Przecież on ją symbolicznie pochował. – Wniosek wydał jej się na tyle istotny, że zanotowała go na osobnej kartce. – Skąd te kwiaty? Akacje?

Wpisała hasło do wyszukiwarki internetowej, żeby zobaczyć, jak wyglądają krzewy akacji i doczytała, że to rodzaj drzew i krzewów występujących w strefie tropikalnej i subtropikalnej, głównie w międzyzwrotnikowej Afryce, a szczególnie w Etiopii, Somalii, Kongo, RPA,

– Przyniósł ze sobą? – Zastanowiło ją, skąd kwiaty z egzotycznego drzewa w Lasku Marcelińskim. – Jeśli tak, to znaczy, że zaplanował morderstwo. Wiedział kogo i gdzie zabije. Obserwował swoją ofiarę, nie działał spontanicznie.

Bez zastanowienia wybrała numer jedyne go odrobinę lepiej znanego jej poznańskiego policjanta.

– Halo?

– Cześć, Tomasz, Urszula z tej strony.

– Cześć, zastanowiłaś się i jednak wpadasz do nas? Zapraszamy. Chłopaki, nowa chce przyjść! – krzyknął w tle.

– Nie chce. Słuchaj, byłeś dziś ze mną w tym lesie.

– Lasku, no?

– Czy widziałeś tam gdzieś drzewa z kwiatami?

– W lesie? Z kwiatami? Piłaś już coś? Nie rób tego w samotności...

– Tak, drzewo z kwiatem, takim drobnym białym. – Zignorowała zaczepkę.

– W grudniu kwiatów nie uświadczysz, ale mam tu przy stole kilku chętnych. Mogą ci przynieść. Co chcesz? Róże? Tulipany? Że co? Cicho bądź, Grzechu, goździki to przypał.

– Rozumiem, że w grudniu nie ma kwiatów, ale w maju? Dziewczynka zamordowana została w maju. Potrzebuję akacji.

– Aaa! Akacje to tam rosną przy drodze, zaraz obok Lasku Marcelińskiego. Wiem, bo mamy tam znajomych...

Urszula się rozłączyła, nie czekając na ciąg dalszy. Musiała to sprawdzić. Przecież roślina z klimatu subtropikalnego nie poradziłaby sobie w polskim klimacie.

Nie więcej niż pięć minut zajęło jej ustalenie, że kwiaty akacji są małe, zebrane w główki lub kłosa i mają pręciki o barwie kremowej, żółtej lub pomarańczowej i nijak mają się do kwiatów widocznych na zdjęciu z miejsca odnalezienia zwłok.

Wpisała w wyszukiwarkę hasło: „akacja polska”, żeby sprawdzić, czy może gdzieś w Polsce występuje ta egzotyczna roślina i od razu trafiła na roślinę o nazwie „robinia akacyjowa”.

– Zwana też fałszywą akacją – doczytała.

Sprawdziła, jak wyglądają jej kwiaty. Te z ekranu komputera były takie same, jak te ze zdjęć.

*

To miał być jego pierwszy raz. Pierwszy pod kilkoma względami.

Na samą myśl o tym, co się wydarzy, ciało Marcina ogarniało delikatne drżenie.

Uwielbiał takie doznania. Muskanie, łaskotanie, drżenie – wszystko tak słabe, że trzeba się mocno skupić, by coś poczuć.

– To co? Zaczynamy?

– Zaczynamy – potwierdził pewnym głosem.

Potrafił panować nad sobą i stwarzać pozory. Tak naprawdę nie wiedział, czy jest gotowy na ten cholernie ekstatyczny pierwszy raz.

Chciał, ale się bał. Nie mógł doczekać się nowych doznań, ale jednocześnie wstydził się swoich reakcji. Nigdy wcześniej nie robił tego w obecności drugiego człowieka. Zawsze był sam, twarzą w twarz ze swoją seksualnością.

Wiedział, że jeśli mu się spodoba, jeśli będzie tak jak myśli, że będzie, to po pierwszym razie nastąpią kolejne. A po nich znowu pojawi się głód wrażeń popychający go w stronę kolejnej granicy.

Nie chciał dziś myśleć o tym, czy ją przekroczy. Chciał to poczuć.

– To chyba wiesz, co robić?

Nie wiedział. Chociaż nie – teoretycznie wiedział, ale czuł się rozbity. Zamknął oczy i postanowił zapomnieć o tym, że nie jest sam. Wziął kilka głębokich oddechów i przekroczył próg łazienki.

Podszedł do wanny. Odkręcił kurek z ciepłą wodą i zaczął się rozbierać.

– Ile mam nalać? – spytał, wbijając wzrok w niespokojną taflę.

– Tyle, żeby wystawał ci ponad poziom wody.

Odnalazł w tonie odpowiedzi wystarczająco dużo spokoju, żeby uznać, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Zdjął bokserki i wszedł do wanny. Skrzyżował nogi w kostkach i oparł kolana o przeciwległe ściany wanny. Ciepła woda sięgała mu do połowy bioder.

– Pamiętasz, że musi wystawać?

Pamiętał.

Musiał go postawić. Na baczność. Teraz.

Ta myśl mu nie pomagała. Nie miał problemów z erekcją, ale w takich sytuacjach przypominała mu się mina jego byłej żony, kiedy po pięciu latach małżeństwa i kilku minutach całowania się wkładała rękę w jego spodnie i patrzyła na niego z wyrzutem. Potrzebował silniejszych bodźców, żeby się podniecić. I wtedy, i teraz.

Poczuł ciepło na brzuchu. Spojrzał w dół. Woda zaczęła zalewać pępek.

– Mam dla ciebie niesamowite okazy. *Camponotus herculeanus*. Gmachówka cieśla.

Jedna z największych mrówek w Europie. Występuje w całej Polsce, najczęściej na południu. Żywi się spadzią mszyc, sokiem z drzew i drobnymi bezkręgowcami,

upolowanymi przez kastę żołnierzy. Sprowadziłem je specjalnie dla ciebie. Głos kontynuował opowieść, a on poruszał rytmicznie ręką. Był już prawie gotowy.

*

– Bardzo duża, czarna z czerwonymi odnóżami. Poczujesz różnicę. Gwarantuję! To nie są byle jakie, pospolite mrówki, ale robotnice, które osiągają rozmiar nawet dwunastu milimetrów. Nie muszę mówić, że jak ugryzą, to...

Stał z boku i obserwował Marcina. Mężczyzna leżał w wannie. Właśnie syknął z podniecenia i zabrał rękę ze swojego penisa. Jego główka wystawała nad poziom wody.

– No to teraz będzie zabawa!

– Dawaj, dawaj, nie mogę się już doczekać. On – Marcin wskazał swoje przyrodzenie – już jest gotowy.

Podszedł do wanny, odkręcił słoik z mrówkami i delikatnie przełożył je na żołądek. Kilka okazów od razu z niej spadło. Przez chwilę obserwował jak nerwowo poruszają kończynami, próbując nie utonąć.

Pozostałe zaczęły rozpoznawać nowy teren. Ustaliły już, że wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte.

Zdażył pomyśleć, że gdyby ludzie, podobnie jak mrówki, uczyli się na błędach innych, to daleko by zaszli, kiedy leżący w wannie Marcin zaczął jęczeć. Zamarł w bezruchu, jakby bał się, że zmiana pozycji o milimetr sprawi, że rozkosz się skończy. Co chwilę na zmianę syczał i pokrzykiwał:

– Auć! Kurwa. Ja pierdolę. Aaa!

W gruncie rzeczy nic takiego się nie działo. Spanikowane mrówki biegały po najbardziej ukrwionym i wrażliwym na dotyk fragmencie męskiego ciała, drażniąc je odnóżami i kęsając co chwilę. Marcin wydawał się tak bardzo zadowolony, jakby miał w tej wannie co najmniej trzy króliczki Playboya, skupione na tym, żeby zrobić mu dobrze.

– Przyjemnie?

– Mało powiedziane. Nigdy wcześniej nie czułem tego tak mocno. Jak gryzą! Aaaa! Zupełnie nowa jakość.

– O to nam przecież chodziło.

Powiedział „nam”, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to, co za chwilę nastąpi, nie spodoba się Marcinowi.

Wyjął z kieszeni, strzykawkę, podszedł do Marcina z boku i wkłuł się w jego ramię.

III

Czwartek

Przemek Garczyński wstał wcześniej rano i zasadził się w okolicach komendy tylko po to, żeby nie przegapić momentu, gdy Tomasz Chmielewski będzie szedł do pracy. Znalezienie odpowiedniego miejsca obserwacji zajęło mu trochę czasu. Długi ceglany gmach z niebieskim napisem: „Policja” zajmował lwią część ulicy Szylinga. Nie wiedział, z której strony nadejdzie Chmielewski, dlatego musiał usadowić się mniej więcej naprzeciw drzwi wejściowych, i to w taki sposób, żeby nie budzić podejrzeń. Przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się blok mieszkalny. Podszedł do drzwi prowadzących na klatkę schodową, oparł się o elewację budynku i zapalił. Wielokrotnie w swoim życiu udawał, że czeka i chyba był w tym dobry. Tak mu się przynajmniej wydawało.

W jego odczuciu niebieskie litery gryzły się nie tylko z żółto-pomarańczową elewacją, ale również z jej klimatem. Litery były nowoczesne, a budynek powstał w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku. Pełnił po kolei rolę koszar dla pułku grenadierów, powstańców wielkopolskich, wojsk niemieckich i pułku korpusu bezpieczeństwa. Wiedział o tym, bo kręcił materiał w dwa tysiące dziesiątym roku, kiedy budynek został wyremontowany i oficjalnie oddany do użytkowania jako siedziba policji. Czekanie dłużyło się w nieskończoność, co podwyższało ryzyko całej tej akcji. Przemek najchętniej zapolowałby na policjanta z dala od tak dużego skupiska mundurowych, ale nie udało mu się jeszcze ustalić, gdzie mieszka gliniarz. Dlatego zerkał to na zegarek, to w stronę klatki schodowej budynku, o który się opierał, żeby wyglądać jak mieszkaniec bloku czekający na żonę, godzinami szykującą się do wyjścia, to na ulicę Szylinga, żeby nie przegapić Chmielewskiego.

Od mężczyzn wchodzących i wychodzących z budynku komendy biła jakaś chorobliwa pewność siebie. Jakby wszyscy myśleli, że są ponad prawem. Że wszystko im wolno. Że reszta społeczeństwa to karaluchy, które należy zdeptać.

- Nareszcie! – wyrwało mu się, kiedy zauważył charakterystyczną postać. Chmielewski wyszedł właśnie zza rogu i zmierzał w stronę ceglanego budynku. Przemek przebiegł przez ulicę i podbiegł do policjanta, chcąc zatrzymać go w jak największej odległości od drzwi wejściowych.
- Witam starszego sierżanta!
- Gliniarz zatrzymał się, zmierzył Przemka groźnym wzrokiem, a następnie splunął przed siebie.
- Zejdź mi z drogi.
- Nie no, ja tu się staram zachować przynajmniej pozory uprzejmości, a pan tak mnie wita?
- Jest wcześniej, spieszę się. Nie mam czasu na głupoty.
- W takim razie szybka seria pytań. Kobieta z Bukowskiej, mężczyzna z 23 Lutego... Myślicie, że to samobójstwa?
- Słucham?
- Zbliżają się święta. Jakie są policyjne statystyki samobójstw? Założę się, że w grudniu idą w górę.
- Nie jestem twoim kumplem, żebyś się ze mną zakładał.
- Ale jesteś policjantem, który jest mi coś winien. Dlatego prosiłbym cię, żebyś zmienił swój ton i stosunek do mnie.
- Wiesz co, Przemek? Pierdolnij się w łeb. Albo może po prostu zajmij się czymś innym. Ludzie czasem odbierają sobie życie. Bo tak. Widzą ku temu jakiś niezmiernie ważny dowód. Tak też było z twoją siostrą. Nie szukaj więc winnych, dziwnych prawidłowości czy Bóg wie czego. Pogódź się, że chciała umrzeć. Może nawaliłeś ty, może ona, może wszyscy inni, ale decyzję o śmierci podjęła sama.

*

Poranny pośpiech był już tradycją w domu Wilków. Obecność przyjaciela Kuby sprawiała, że Aleksandra starała się hamować w głośnym wyrażaniu zniecierpliwienia. Nie zawsze jej się to udawało.

Chłopcy zajmowali łazienkę od ponad piętnastu minut i zamiast odgłosów lecącej wody do uszu Aleksandry dochodził ich śmiech. Na początku nastrajał ją optymistycznie. Też kiedyś była dzieckiem i cieszyła się z możliwości spędzenia nocy z koleżanką. Jednak im mniej czasu zostawało do wyjścia, tym bardziej przypominała sobie, że jest dorosła i nie ma nic śmiesznego w myciu zębów.

– Kuba! Bo nie zdążycie zjeść śniadania!

– Zaaraaz!

Nie zamierzała więcej ich poganiać. Złapała kanapkę i poszła do pokoju. Postanowiła umilić sobie oczekiwanie i włączyła telewizor.

Kobieta prowadząca program śniadaniowy zaprosiła właśnie widzów na materiał

filmowy. Na ekranie pojawiło się najpierw piękne, bezchmurne niebo, a zaraz potem przeszkłone wieżowce. Aleksandra natychmiast je poznała. Andersia Tower i Poznań Financial Center.

– Grudzień to czas samobójców. Zbliżające się święta Bożego Narodzenia to trudny czas dla wszystkich samotnych albo uwikłanych w trudne sytuacje osobiste.

Nie przepadała za telewizją śniadaniową, ale nie zmieniła kanału z dwóch powodów. Po pierwsze materiał pokazywał jej miasto, a po drugie dotyczył problemu, z którym Aleksandra walczyła w czterech ścianach swojego gabinetu. Ciekawa też była formy, w której podane zostaną informacje. Kiedyś w mediach funkcjonowała niepisana zasada, by nie mówić o samobójstwach. Chciano uniknąć efektu Wertera. Od niedawna z przerażeniem obserwowała medialną pogoń za tragedią, sensacją i krwawymi scenami z życia.

– To czas, kiedy wydaje się, że wszyscy dookoła cieszą się i czekają w rodzinnym gronie na narodziny Dzieciątka. Wszechobecny imperatyw radości sprawia, że niektórzy decydują się na ostateczny krok. Także w Poznaniu przybywa samobójców. Policja nie chce udostępnić danych z ostatnich tygodni, ale udało nam się ustalić, że każdego dnia ginie przynajmniej jeden poznanianin. We wtorek życie odebrała sobie pozornie pogodna studentka Katarzyna H. Wydawało się, że ma wszystko. Mieszkanie, dobre studia, przyjaciel.

– Mamo! Nie mamy już jogurtów?

– Mamy! – odrzyknęła. – Wyjęłam je z lodówki i postawiłam na blacie, rozejrzyj się. Zawahała się, czy nie wrócić do kuchni i nie wręczyć chłopcom przygotowanych dla nich śniadaniówek i jogurtów, ale zatrzymał ją obraz. Czerwona elewacja kamienicy, dwa okna i przejazd pod kamienicą zakończony metalową bramą. Znała to miejsce.

– Wczoraj życia pozbawił się kolejny mieszkaniec miasta, przedsiębiorca Marcin K. Do świąt zostało jeszcze siedemnaście dni. Rozejrzyjmy się uważnie dookoła. Może gdzieś obok nas jest ktoś samotny, kto nie radzi sobie z życiem?

*

Jestem okropną matką.

Zawsze tak o sobie myślę, kiedy odjeżdżam spod szkoły wolna niczym ptak. Kuba maszeruje na lekcje, a ja pogląsniam radio, wciskam gaz i czuję się tak cudownie lekka. Zostawiam Aleksandrę-matkę pod szkołą, a sama jadę dalej. Bez dziecka. Bez konieczności wiszenia nad nim jak więzienny nadzorca. Bez krzyków, pośpieszania, pouczania.

– Halo?

Odbieram telefon, nawet nie wiedząc, kto dzwoni i czy mam ochotę z nim rozmawiać.

– Cześć, Olu, tu Krystian.

– Cześć, miło cię słyszeć.

Zerkam na zegarek. Jest dziesięć po ósmej. Krystian przestrzega zasad, o których kiedyś mu wspominałam. Żadnych telefonów przed ósmą, żadnych telefonów po ósmej trzydzieści.

– Nie przeszkadzam?

– Nie, jestem jeszcze w samochodzie.

– To dobrze. A ja dotarłem do pracy. Jestem dziś pierwszy. Włączyłem komputery i idę właśnie do kawopaju.

Opowiada o swoim poranku. Brzmi radośnie. Uśmiecham się pod nosem, jednocześnie w myślach psioząc na kretyna, który postanowił w centrum miasta zmniejszyć liczbę pasów, żeby wygospodarować przestrzeń dla rowerów.

Jakby spodziewał się, że nagle tłumy poznaniaków wsiądą na swoje jednoślady i będą codziennie pedałowac do centrum. Oczywiście dla zdrowia – przecież pocenie się i wdychanie spalin z jadących obok samochodów bardzo dobrze wpływa na organizm.

– Dzwonię właściwie tylko po to, żeby życzyć ci miłego dnia i upewnić się, że nasze dzisiejsze spotkanie jest aktualne.

Spotkanie? Dzisiaj? Z Krystianem? Po przyjeździe do pracy muszę sprawdzić, czy wpisałam je do kalendarza.

Czy mam zaparkować pod Placem Wolności, czy może liczyć na łut szczęścia, jakim byłoby znalezienie miejsca na 23 Lutego?

– Tak, tak, aktualne – uspokajam go.

– To dobrze, bo stęskniłem się za tobą. Dawno się nie widzieliśmy. Tak sobie nawet myślałem, że może gdzieś byśmy wyszli? Halo? Ola? Jesteś tam? Ola?

– Jestem, ale muszę kończyć. – Nie czekam na jego odpowiedź i wyłączam komórkę. Dotarłam do celu. Widzę już czerwonawą elewację kamienicy, metalową bramę i domofon, do którego znam kod.

*

Danka Przybyszewska stała na klombie – miejscu spotkań towarzyskich – i obserwowała wzmożony ruch na podwórku. To miejsce ożywało zwykle wieczorami. Gromadzili się tu wszyscy. Uciekali chociaż na kilka chwil z mieszkań, od żon, dzieci, ojców i matek, od grających zbyt głośno telewizorów i szczekania groźnych psów. Na klombie każdy gadał z każdym, nie bacząc na wykształcenie czy stan cywilny. Każdy pił przyniesione przez siebie piwo. I każdy był sobie równy.

Dziś z samego rana klomb był pusty, ale za to na podwórzu pojawili się policjanci, a zaraz za nimi inni. Lokatorzy, sprzedawcy z placu Wielkopolskiego i przechodnie. Ci ostatni gromadzili się przed wejściami do kamienicy i próbowali zaglądać do środka przez zamknięte metalowe bramy.

– Dzień dobry – kobiecy głos sprawił, że spojrzała w górę.

W oknie na pierwszym piętrze stała Urbańska. Wdowa po „zasłużonym” dla partii

mężu.

– Dobry! – odkrzyknęła.

Przekrój mieszkańców kamienicy był idealnie dopasowany do dziwnego numeru porządkowego, który nosiła. Dwadzieścia dziewięć łamane na trzydzieści trzy. Mieszkańcy też byli połamani. Większość przez choroby i starość. Reszta przez życie. W klatce A mieszkali kiedyś sami inteligenci. Rodzina matematyka, fizyka i kilku wybitnych naukowców. Jedyne, co Przybyszewska mogła o tym powiedzieć, to to, że według jej obserwacji inteligencja występuje najwyżej w co drugim pokoleniu. Klatka B zajmowana była przez rodziny zasłużonych. Partyjnych zasłużonych. Mieszkania przydzielano w pięćdziesiątym szóstym. Nie przypadkiem właśnie w tej klatce znajdowały się mieszkania o największych metrażach.

Klatka C mieściła w sobie całą resztę przekroju społecznego. Byłą radną, policjanta, kobietę kolekcjonującą w mieszkaniu śmieci, uzdolnionego artystę i taką jedną, kobietę widmo, która na co dzień mieszkała za granicą, ale jak już się pojawiała, to było ją słychać w każdym zakątku podwórka.

– Przepraszam bardzo. – Kobieta, którą Danka zauważyła kilka minut wcześniej przy bramie, stała teraz przed nią i uśmiechała nieśmiało.

– No?

– Przepraszam, nie przeszkadzam?

Nie kojarzyła ani twarzy, ani rudej czupryny.

– Kim pani jest?

– Nazywam się Ola. Ola Wilk. Czemu tu tyle policji?

Danka spojrzała podejrzliwie na kobietę.

– Pani tu mieszka? – spytała.

– Nie. Bywam tu tylko od czasu do czasu. Nie widziałam tu nigdy policji.

– Nie no, aż tak bajkowo to tu nie jest. Ostatnio byli tu w sprawie nielegalnych magazynów. Kiedyś weszli w temacie nielegalnej benzyny...

– A dzisiaj?

– Podobno nie żyje sąsiad z drugiego piętra.

– Ten z klatki C? Marcin?

– Marcin Karbowski – Danka podała nazwisko sąsiada i ugryzła się w język. – Pani czemu tak wypytuje?! – zaatakowała.

Niebieskie oczy kobiety wydały jej się nagle przykryte mgłą, a na twarzy odmalowało się rozczarowanie.

– Czyli to on... Cholera! Wiadomo, co się stało? W telewizji mówili o samobójstwie, ale przecież nie miał powodu, żeby się zabić.

– A kto go tam wie? Nie przychodził do nas na klomb. Nie gadał, co go gryzie. Ale aktywnie uczestniczył w konflikcie z tą chińską tandetną restauracyjką, która o pierwszej w nocy pozbywa się śmieci. Robią przy tym taki hałas, że spać nie idzie! I jeszcze konflikt ze śpiewakami. Może miał tego wszystkiego już dość? Żyjemy tu niby w centrum pięknego miasta, a takie szopki! W dzień dusimy się od chińskiego smrodu, przepychamy się przez podwórze zawałone samochodami urzędników, którzy dorobili sobie nielegalnie piloty do bramy. Wiezorami i nocami słuchamy prób orkiestry

kameralnej, odgłosów seksu i wywożonych śmieci. Zupełnie jakbyśmy żyli na marginesie. Nikt nie chce nam pomóc, żeby to wszystko uporządkować. Marcin był zaangażowany, po jego śmierci pewnie to, co zdążył zrobić, diabli wezmą!

*

Lekarz stwierdził zgon, ciało zostało zabezpieczone, protokół miejsca ujawnienia zwłok spisany, a osoba, która znalazła ciało – przesłuchana.

Tomasz Chmielewski stał w łazience i przyglądał się nagiemu ciału leżącemu w wannie. Marcin Karbowski był dość dobrze zbudowany. Nie przepakowany, ale umięśniony. Miał trochę tłuszczu na brzuchu, ale i tak dużo mniej niż Chmielewski, chociaż byli w podobnym wieku.

– W tej kamienicy są mrówki? – spytał, gdy zauważył, że w wannie znajduje się więcej trupów. Na szczęście te, których wcześniej nie widział, były małe, czerwonawoczarne i nie miał obowiązku podejmować wobec nich żadnych czynności.

– Nie wiem. – Technik wzruszył ramionami. – U mnie w bloku są, tyle że takie całe czerwone. Ale wiesz, ja mieszkam na osiedlu, a tutaj panują specyficzne warunki.

– Co masz na myśli?

– Nie mów, że po wejściu na podwórze nie poczułeś smrodu?

– Masz na myśli ten słodkawy zapach orientalnych śmieci? Trudno nie poczuć.

– Widziałem śmietniki i jestem przekonany, że na bank rezydują tu szczury, więc mrówki... wcale mnie nie dziwią.

– Ale przyszły tu się utopić? Tylko tyle? Nie widać żadnej ścieżki, mrówki zwykle chodzą jedna za drugą, tworzą takie mrówcze szosy. Oprócz tych w wannie powinny być jeszcze inne, na ścianie, podłodze, gdziekolwiek...

– Może to były oswojone mrówki? Ich właściciel stwierdził, że się utopił, to one też.

– Przecież on się nie utopił.

Głowa denata wystawała ponad poziom wody. Wanna należała do tych mniejszych, a wody było za mało, by w ogóle myśleć o zanurzeniu głowy.

– O co chodzi ci z tymi mrówkami?

Chmielewski prychnął zniecierpliwiony i wyszedł z łazienki.

Denat miał niezłą miejscówkę. Z okien dużego pokoju był widok na komisariat przy Alejach Marcinkowskiego oraz fragment aresztu śledczego położonego przy Młyńskiej.

– Kończymy?

Zaprzeczył. Potrzebował jeszcze chwili, żeby się rozejrzeć po mieszkaniu. Nowa policjantka miała się zjawić na miejscu odnalezienia zwłok, ale jakoś jej nie było.

Chmielewski pomyślał, że pewnie zabłądziła, ale jest na tyle upierdliwa, że kiedy spotkają się na komendzie, będzie zadawała mu te swoje beznadziejne pytania.

O klimat miejsca. Co mieszkanie mówi o jego właścicielu. Co facet trzymał w szafce w łazience, a co w lodówce.

Nie zamierzał zaglądać do lodówki, ale dla spokoju sumienia poprawił lateksowe rękawiczki i sięgnął do pierwszej lepszej szafki.

Akurat stał w przedpokoju, więc najpierw pooglądał sobie buty, a później wysunął szufladę. Wśród rachunków i kolorowych ulotek zauważył plik wizytówek. Zaczął je przeglądać.

Informatyk. Trener personalny. Prawnik. Agencja reklamowa. Psycholog.

– Aleksandra Wilk, psycholog, gabinet prywatny? – Chmielewski odczytał na głos nazwisko zapisane przy kolorowym logo przedstawiającym wyjącego wilka.

*

– Jestem zmęczona. Poszukiwanie miłości to syzyfowa praca. Wokół mnie jest mnóstwo mężczyzn. Wydają się zainteresowani bliższą znajomością. Próbuję więc. Z jednym, drugim, trzecim. Kawa, rozmowa, kino, spacer, niezobowiązujące spotkania na mieście. I nic.

Moja klientka naprawdę wygląda na zmęczoną. W jej opowieści brakuje emocji. Są tylko suche fakty i przemyślenia. Wszystko, co ewidentnie kłóci się z miłością.

Miłość to uniesienie, pojawiający się nie wiadomo skąd impuls, który każe ci zrobić coś, czego normalnie byś nie zrobiła. Miłość to niezdrowe bicie serca, ból brzucha, to poczucie słabości przechodzącej nagle w niesamowitą euforię. To stan emocjonalnej schizofrenii, rozszczępienia umysłu i serca zakończony objaniem się o przeciwległe ściany z napisami „Nasze szczęście” i „Moje bezpieczeństwo”.

– Rozmawialiśmy podczas terapii w zeszłym roku, że być może nie powinnam się spinać. Że nie mogę od razu układać sobie w myślach życia z nowo poznanym mężczyzną. Stosuję się do tych zaleceń. Pani Olu, staram się, jak Boga kocham! – Kładzie dłoń na sercu.

– Jeśli spotyka pani nowego mężczyznę i idziecie na kawę, to jakie myśli pani towarzyszą? – pytam i przyglądam się tej młodej kobiecie. Jest ładna. Ma ciekawe oczy, zadbane włosy, dobre proporcje twarzy i ciepły uśmiech. Gdyby tylko odrobinę bardziej zarysować jej usta szminką, to jej zdjęcie mogłoby trafić na okładkę kolorowego pisma. Spodobałaby się wszystkim, i mężczyznom, i kobietom.

– Staram się podchodzić do każdego jak do otrzymanego prezentu. Najpierw muszę go rozpakować. Nie wiem, co jest w środku. Nie nastawiam się więc na nic, żeby się nie rozczarować. Korzystam ze wspólnego czasu. Poznają go. Powoli. Nie przyspieszam. Daję z siebie otwartość i ciepło, ale nastawiam się też na odbiór.

– I jaki to przynosi efekt?

– Dochodzę do wniosku, że nigdy nie znajdę tego, z którym mogłabym być szczęśliwa.

– Dlaczego?

Jako psycholog zadaję czasem beznadziejne pytania. Wiem, że muszę je zadać, że klient powinien spróbować się z nimi zmierzyć, ale sama, jako człowiek, nie znajduję na nie odpowiedzi. Szewc bez butów chodzi, a psycholog jest tylko człowiekiem. Żyje

i reaguje spontanicznie, przez co popełnia błędy, albo próbuje przedobrzyć.

Czy błędem było pojawienie się na 23 Lutego? Nie wiem.

To był impuls. Kiedy usłyszałam w telewizji o Marcinie, musiałam się upewnić.

Pojechałam pod jego dom i... i uciekłam, kiedy zobaczyłam umundurowanych policjantów. Nie chciałam być zauważona. Nie chciałam odpowiadać na pytania.

Zresztą co miałabym powiedzieć? Dobrze, że uciekłam.

– Mężczyźni, z którymi się spotykam, są zwykle skupieni na sobie. Onanizują się opowieściami o sobie. O tym, co robią, jacy są w tym dobrzy. Jacy silni. Twardzi. Męscy.

– Przeszkadza ci to?

– Nie szukam pana i władcy, tylko faceta, który będzie mnie kochał. Tak prawdziwie, po partnersku. Odpychają mnie mężczyźni, dla których kobieta jest kolejnym trofeum.

Musi być ładna, bo przecież trzeba zaimponować kumplom. No i na tyle tolerancyjna, żeby już na dzień dobry rozumiała, że nigdy nie zajmie takiej pozycji jak oni. Że to kumple stanowią sens jego życia. Że to z nimi będzie rozmawiał na pewne tematy, bo ona z pewnością ich nie ogarnie. Nawet nie powinna się starać.

– Nie wszyscy mężczyźni tacy są. Czym się kierujesz przy wyborze? Może zawsze trafiasz na takich samych?

– Coś w tym jest. Lubię dobrze zbudowanych. Sprawiających wrażenie twardych. Przy bliższym poznaniu jednak okazuje się, że to poza. Że twardzi są przy kumplach. A tak normalnie są zwyczajnie nieszczerzy. Ze sobą, ze mną i ze światem. Niby szarmanccy, otwierają przede mną drzwi, płacą za kolację. Ale potem okazuje się...

– Że nie są wrażliwi? Niewystarczająco emocjonalni?

Marcin Karbowski był wrażliwy. Uważny na drugiego człowieka. Był...

Czy mi się wydaje, czy wszyscy zajebiści faceci pojawiający się w moim życiu umierają przedwcześnie?

*

– Przepraszam za spóźnienie.

– Kurde, kobieto, z Łodzi jechałaś?

Tomasz wyglądał na zniecierpliwionego. Miał do tego prawo. Urszula powinna pojawić się na miejscu ujawnienia zwłok dobrą godzinę temu.

– Dzięki, że na mnie poczekałaś. – Najwyraźniej nie zamierzała się tłumaczyć. – I co mamy?

– Nic. Wszyscy już poszli, a ja, jak taki dupek, siedziałem na kanapie i czekałem.

– Nie wyglądasz na dupka. Poza tym, przynajmniej miałaś czas, żeby przyjrzeć się temu miejscu.

– Od przyglądania się jesteś ty. Ja tylko patrzę.

– I co zobaczyłaś? – Urszula ruszyła przed siebie.

Ciasny przedpokój prowadził do pokoju z aneksem kuchennym. Trudno było znaleźć

w tym pomieszczeniu chociaż jedną niepraktyczną rzecz. Żadnych świeczek, obrazów, figurek czy dziwnych lampek. Zamiast tego kanapa, szafka z telewizorem, fotel, regał z książkami, kwadratowy stolik z dwoma krzesłami i kilka szafek kuchennych.

– Zwłoki w wannie. Ciało było rodzaju męskiego, o czym świadczyły płaskie piersi, umięśnienie rąk oraz przyrodzenie dość przeciętnych rozmiarów. – Chmielewski najwyraźniej nieźle się bawił. – Potem widziałem dowód osobisty znaleziony przez chłopaków w portfelu. Na podstawie zbieżności wyglądu denata i zdjęcia w dowodzie wywnioskowałem, że denat za życia podawał się za Marcina Karbowskiego. Miał czterdzieści trzy lata, pustawą lodówkę i kilka brudnych skarpetek wokół łóżka.

– Mieszkał sam – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak, nie miał mu kto wisieć nad głową i przypominać, że skarpetki same nie zawędrują do pralki.

Urszula miała raczej na myśli sposób zaaranżowania przestrzeni życiowej, brak kobiecej ręki, solidny zapas piwa w lodówce i mały stół, na którym leżały resztki płatków kukurydzianych.

– Utopił się?

– Nie, po prostu nie poradził sobie z falą radosnych i rodzinnych świąt Bożego Narodzenia. To kolejny samotny człowiek, któremu pękło serce.

– *Fuck*, Tomasz! Jesteś głupi czy tylko na takiego pozujesz? Bo jeśli to drugie... Jeśli chcesz pokazać, że jesteś macho, żeby mnie przelecieć, to sobie daruj. Chcesz znaleźć się w zespole, który montuję? Zaczynij traktować mnie jak partnera, nie jak pizdę do zaliczenia. Pytam o konkrety! Nie interesuje mnie ani twoje poczucie humoru, ani prywatne sądy!

Urszula zamilkła, a policjant przez chwilę stał oniemiały, aż w końcu odezwał się lodowatym głosem:

– Konkrety są takie, że nie wiadomo, jak umarł. Gdy brat go znalazł, denat siedział w wannie.

– Jak siedział?

– Normalnie. Nago. W wodzie.

– Zimnej?

– Jak dotarliśmy, to była zimna.

– Co powiedział brat? – Przeszła do łazienki.

Pomieszczenie było podłużne i jasne. Wanna stała na jego końcu. W poprzek. Fugi były wyraźnie ciemniejsze od kafelków, przez co sprawiały przytłaczające wrażenie linii, które jeszcze wydłużają to zbyt długie pomieszczenie.

– Że Marcin był zdrow jak ryba, więc nie mógł tak po prostu umrzeć. I że wierzył w Boga, więc nie odebrałby sobie życia.

– Technicy coś znaleźli?

– Nie. Czekamy na sekcję.

– Był zamknięty od wewnątrz?

– Właśnie nie. Drzwi wejściowe do mieszkania nie były przekluczone, a podobno denat bardzo uważał na to, żeby nie ułatwiać sprawy złodziejom. Jego brat opowiadał, że bał się tego, że ktoś wejdzie do niego „na klamkę”.

Urszula miała w pamięci kilka spraw dotyczących popularnej w ostatnim czasie wśród przestępców metody wejść „Na klamkę”. W przeważającej większości były to zwykłe kradzieże. Złodziej chodził od drzwi do drzwi, sprawdzając, które nie są zamknięte. Jeśli po naciśnięciu klamki drzwi się otwierały, wchodził do środka i zabierał wszystko, co było pod ręką. Torebki, portfele, kluczyki do samochodów.

– Zginęło coś?

– Nie.

Obejrzała dokładnie pustą wannę, leżące przy niej ubrania i klapki i usiadła na zamkniętym sedesie.

– Możemy już iść? – Chmielewski stanął nad nią. – Wiesz, ja wszystko rozumiem, może w Łodzi tak pracowałaś, ale tu, w Poznaniu, mamy tyle spraw, że nie wiemy, w co włożyć ręce. Nie możemy spędzać na jednym miejscu... – Zerknął na zegarek. – Ponad dwóch godzin.

– Daruj sobie złośliwości. Dopiero co przyszłam. Nie uważasz, że coś tu jest nie tak? Nie potrafiła jeszcze określić co, ale odczuwała dysonans pomiędzy zdobytą przed chwilą wiedzą, a tym, na co patrzyła.

– Czekaj, to jest łazienka. Widzę wannę, umywalkę z szafką, sedes. Wyposażenie łazienkowe w pomieszczeniu zwanym łazienką. Nie – zaśmiał się – wszystko mi tu pasuje.

– A ja czuję dokładnie to samo, co w mieszkaniu tej grubaski. Spójrz na wannę. Nie widzisz tego, że to tak jakoś pięknie wygląda?

– Ale, kurwa, co? – Chmielewski tracił cierpliwość.

– No właśnie wszystko. Co prawda teraz brakuje zwłok, ale gdy wyobrażam sobie część mężczyzny wystającego z wanny... Piękny kadr z tego by był. Idealny, bym powiedziała. Zbyt idealny. Teatralny...

Dokładnie w chwili w której wypowiedziała ostatnie słowo uzmysłowiała sobie, co tak ją drażni. Co uruchamia sygnał alarmowy i skłania do jeszcze większej uważności.

– *Fuck!*

– Lepiej brzmiałoby „Eureka!”. Archimedes też wykrzyczał to w łazience.

– Wpadł na odkrycie podczas kąpieli, a później wybiegł na ulicę z okrzykiem „Heureka!” – poprawiła go automatycznie, ale po chwili wróciła do ostatniej myśli: – Tomasz, skup się. Denat był bałaganiarzem... Skarpetki, resztki jedzenia, błoto w przedpokoju. A tu? Zobacz, nie dość, że podłoga jest idealnie czysta, jakby ktoś przed chwilą ją umył, to jeszcze te jego ciuchy. Klapki stoją równo, bluza, spodnie i inne rzeczy są złożone w kostkę. Jak wchodzisz do wanny i się rozbierasz, to rzeczy lądują na ziemi?

– Wiadomo.

– No widzisz, a on je poskładał.

– Może chciał się zabić, wiedział, że ktoś go znajdzie i dlatego zadbał o porządek?

– W łazience, bo w przedpokoju i kuchni już nie. Nie brzmi to logicznie. A może jednak mamy tu udział osób trzecich, co? Ktoś tu był, zabił faceta, a później wszystko pięknie wysprzątał, łącznie z myciem podłogi.

– Masz na myśli jakąś psycholkę? Ukraińską sprzątaczkę, której nawet jak śpi, to śni się

sprzątanie?

– Raczej faceta. – Wskazała ręką na okrągły ślad znajdujący się blisko sedesu. – Tak podłogę myją tylko faceci. Nie podnoszą niczego, co leży na ziemi, tylko omywają dookoła.

– Ale tu przecież nic nie stoi.

– No właśnie! Sprawca zabrał to czy... – Wstała z sedesu i rozejrzała się. Z drugiej jego strony, jakieś sześćdziesiąt centymetrów dalej, znajdował się stojak z papierem toaletowym i szczotką klozetową. Spojrzała na jego podstawę. Była okrągła.

– Dziwne miejsce na papier, co nie? Mocno musiałbyś się nagimnastykować, żeby do niego dosięgnąć.

Podeszła do stojaka. Chciała go przesunąć bliżej sedesu, ale już przy delikatnym dotknięciu stojak zachwiał się, a następnie z hukiem upadł na podłogę.

Papier toaletowy zsunął się z pręta i poturlał w stronę Chmielewskiego, a szczotka do mycia toalet wysunęła się z pojemnika, ukazując policjantom swoje sztywne włosie w kolorze... no cóż, gównianym.

Urszula odwróciła głowę, żeby na nią nie patrzeć i opanować odruch wymiotny. Dokładnie wtedy zauważyła, że pod stojakiem coś leży.

*

– Dziwne miejsce na przechowywanie biżuterii. – Urszula odezwała się pierwsza. Chwyliła leżący na podłodze łańcuszek.

Tomasz sięgnął do kieszeni po rękawiczki i dopiero kiedy je włożył, wyjął koleżance znalezisko z dłoni.

Kulkowy łańcuszek wyglądał na nienoszony. Błyszczał nowością, podobnie jak nawleczona na niego blaszka. Nie zawierała żadnych napisów, jedynie coś wyglądającego jak rysa.

– To nie biżuteria, tylko nieśmiertelnik. Albo raczej podróbka nieśmiertelnika. Bo to nie jest taki żołnierski, prawdziwy. Żołnierze noszą z dwoma blaszkami i z wybitymi danymi, mającymi pomóc w ich identyfikacji po śmierci.

Urszula wybiegła z łazienki. Tomasz podążył za nią niechętnie. Odgłos wysuwanych szuflad doprowadził go do sypialni denata.

– Czego szukasz?

Usiadł na łóżku i obserwował miotającą się koleżankę. Była tak zajęta, że mógł jej się bezkarnie przyglądać.

Od lat obserwował tę samą prawidłowość. Kobiety pojawiające się w policyjnych szeregach nie miały łatwo. Dla kolegów policjantów były tylko pizdeczkami, na które trzeba uważać podczas ostrzejszych akcji. Zbyt filigranowe, zbyt atrakcyjne, zbyt pyskate, zbyt wyzywające. Im dłużej jednak tkwiły w policyjnej strukturze, tym częściej zrzucały swoją atrakcyjną powierzchowność i starały się upodobnić do kolegów.

Urszula miała krótkie włosy, niedbały męski styl ubierania i cwaniacką pewność siebie.

Zachowywała się jak facet.

Uznał więc, że jeśli chce dostać się do zespołu badającego sprawy archiwalne, musi traktować ją jak pełnowartościowego partnera, okiełznać swoją chęć do zgrywy i skupić się na tym, co dla niej ważne – zaangażowaniu i dbałości o szczegóły.

– Czego szukasz? – powtórzył.

– Biżuterii. Zobacz, znalazłam jedynie ten zegarek.

Sięgnął po tarczę na pasku mającym imitować skórzany. Tarcza była kiepskiej jakości, a materiał wokół dziurek popękany.

– *No name*. Pewnie z netu albo z targu. Nie zapłacił za niego więcej niż pięćdziesiąt złotych.

– No właśnie, a to znaczy, że nie przywiązywał wagi do biżuterii, a zegarek traktował użytkowo. Po co mu więc nieśmiertelnik?

– Nie wiem. Dostał w prezencie?

– I schował pod szczotkę od kibla? Mało prawdopodobne.

– Z moich kilkunastu lat pracy wynika, że ludzie są dziwniejsi, niż jesteśmy w stanie sobie to wyobrazić.

*

Widok mężczyzny na progu gabinetu wywołał u Aleksandry konsternację. Właśnie skończyła sesję z klientem, a za dziesięć minut miała rozpocząć kolejną, tym razem z kobietą.

Nie widziała tego człowieka nigdy wcześniej. Pomyślała, że być może jest nieśmiałym typem, który wstydzi się zapytać o terapię przez telefon i dlatego pofatygował się osobiście, bez uprzedzenia.

– Dzień dobry. Aleksandra Wilk. Psycholog. Pan do mnie? – spytała łagodnie.

– Tak.

– Proszę przejść korytarzem do końca i wejść w drugie drzwi po lewej. Zaraz do pana dołączę.

Mężczyzna bez słowa skierował się we wskazanym kierunku, a Aleksandra pobiegła szybko do toalety i wróciła do gabinetu.

Kiedy do niego weszła, zdziwiła się, widząc, że mężczyzna spaceruje po pokoju.

Spodziewała się raczej, że usiądzie przy okrągłym stole znajdującym się niemalże na wprost wejścia i będzie czekał, próbując poradzić sobie ze swoim dyskomfortem.

– Co pana do mnie sprowadza?

– Tomasz Chmielewski, Komenda Miejska Policji.

Zmylił ją. Nie miał na sobie munduru. Dopiero teraz mignął jej przed oczami odznaką.

Było już za późno. Policjant stał w jej idealnie urządzonej gabinecie. Na tle jasnobłękitnych ścian, pomiędzy kątem zwierzeń a okrągłym stołem służącym do bardziej oficjalnych spotkań.

Stał i wpatrywał się w nią, a ona nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna triumfuje, bo okazał się wilkiem w owczej skórze.

– Już wczoraj pytaliście o moją szwagierkę. Nic jej nie zrobiłam! Odczepcie się ode mnie! Teraz co? Będziecie nachodzić mnie codziennie? To jest nękanie!

– Nie wiem, o co chodzi z pani szwagierką, bo nie prowadzę spraw z całego Poznania. Sprowadza mnie do pani coś zupełnie innego.

– A mianowicie? – spytała podejrzliwie.

Nie ufała policji jako instytucji, a przez to wszystkim policjantom, którzy byli dla niej albo chłopcami na posyłki rzeczonyj instytucji, albo cwaniakami wykorzystującymi swoją pozycję. Wiedziała, że i jedni, i drudzy stosują kłamstwo i manipulację w celu osiągnięcia zaplanowanych przez siebie efektów.

– Czy to pani?

Policjant podał jej znajomy kartonik. Spojrzała od niechcienia na wizytówkę.

Rozpoznała logo gabinetu oraz wypukłe litery składające się na jej imię i nazwisko. Taki trójwymiarowy wydruk kosztował znacznie więcej niż standardowa wizytówka, ale chciała ofiarować klientom coś więcej. Obietnicę lepszej jakości. Zmiany, która będzie namacalna.

– Nie wiem – zawahała się, ale kiedy zobaczyła, że policjant podchodzi do biurka, na którym leżą jej wizytówki, dodała: – Bardzo podobna do tych, których używam.

– Powiedziałbym, że taka sama. Czy znała pani Marcina Karbowskiego?

*

Chmielewski postanowił wykorzystać wolną chwilę. Wyjął telefon i wybrał numer patologa.

– Czołem pracy, obejrzałeś już moją grubaskę?

Wszedł do budynku komendy. Minął recepcję i ludzi oczekujących na swoją kolej.

Lubił te chwile, kiedy po odebraniu telefonu od recepcjonistki informującej, że obywatel taki a taki właśnie się stawił na przesłuchanie, wychodził ze swojej służbowej jaskini, prostował plecy, pozbywał się uśmiechu i otwierał drzwi oddzielające policjantów od poczekalni. Wszyscy siedzący na krzesłach spoglądali na niego z nadzieją, że przyszedł właśnie po nich. Niektórzy już w tym momencie przyglądali mu się zadziornie, rozpoczynając walkę o dominację. Inni nie potrafili ukryć zdenerwowania. Wbijali wzrok to w policjanta, to w podłogę. Jak dzieci przyprowadzone do gabinetu dyrektora.

– Czołem. Rozczarowujesz mnie. – Cebulski był w dobrym humorze.

– Bo?

– Bo zwykle takie pierdoły zlecasz współpracownikom, a nie ukrywam, że byłbym usatysfakcjonowany, gdyby zadzwonił do mnie ten twój nowy narybek. Wydaje się, że to fajna babka.

Chmielewski wypił z patologiem niejedno piwo i o niejednym kobiecym ciele

dyskutował, ale właśnie przemierzał długi korytarz i nie mógł sobie pozwolić na wypowiedanie się na takie tematy.

– Co z Katarzyną Hałką? – spytał obcesowo, chcąc dać do zrozumienia rozmówcy, że to zły moment na pogaduchy.

– Załatwiona. Przesłałem ci wersję roboczą opinii mailem.

– Dopiero wszedłem do firmy, zaraz sprawdzę skrzynkę. Możesz powiedzieć mi tak z grubsza?

– Nie po to piszę elaborat, żeby potem referować go w pół minuty.

– Wiem, wiem, ale dla mnie chyba możesz zrobić wyjątek, co?

– Tomasz Wyjątek Chmielewski. Tak powinienes się nazywać. Wszystko robię dla ciebie w drodze wyjątku.

– I pewnie dlatego cię wielbię i jestem dozgonnie wdzięczny. I oczywiście postawię ci piwo.

– Dozgonnie. To słowo pięknie pasuje do mojej branży.

– Do mojej też. To co? Samobój?

– Jej organy wewnętrzne były w fatalnym stanie. Jeśli szukasz zabójcy, to wpisz sobie w rubrykę „Otyłość”. Serce nie wytrzymało. Zatrzymało w fazie rozkurczu. W żołądku masa jedzenia, więc nie umarła z głodu. Tak, wiem spytasz o tabletki. Nie znaleźliśmy ich w żołądku, nie można więc potwierdzić, że chciała się zabić. Na ciele nie znalazłem niczego odbiegającego od normy. Jedynie dwa ślady po wkłuciach. Domięśniowym i dożylnym. Oba na prawej ręce. Domięśniowe w takim miejscu, do którego denatka miała utrudniony dostęp. Dożylnie to standard, jak przy pobraniu krwi.

– Przyjmowała jakieś leki?

– Na biochemię jeszcze poczekamy, ale nie ma śladów po innych iniekcjach.

– Mogła sobie sama podać coś, co spowodowało zgon?

– Tomasz, to ty jesteś tu od wnioskowania. Ja jedynie spisuję to, co widzę. Dwa ślady wkłuć. Może biochemia pokaże, co zostało wprowadzone do organizmu. Masz pytania? Przeczytaj wstępną opinię.

*

– Ulka, ja już nie mogę.

Nagle wyznanie wyrwało Urszulę z zamyślenia. Siedziała nad aktami sprawy zabójstwa dziewięciolatki i poszukiwała punktów zaczepienia.

Świadomość, że w przypadku zabójstw czas, który upływa jest prawdą, która ucieka przed śledczymi, była dla niej dołująca. Ponad dwadzieścia dziewięć lat widoczne było nie tylko w jakości zdjęć z miejsca zdarzenia czy wyglądu poszczególnych elementów. Przez niemalże trzy dekady lat w głowach ludzi, którzy mogli wtedy dysponować odpowiednią wiedzą, odkładały się obrazy, wspomnienia i przemyślenia.

Przed Urszulą był etap, którego nie lubiła najbardziej – rozmowy z ówczesnymi świadkami i podejrzanymi. Oczywiście istniała możliwość, że ktoś z nich zdradzi coś,

o czym nigdy wcześniej nie mówił. Bo się bał, bo nie pomyślał, bo obawiał konsekwencji. O wiele bardziej prawdopodobne było jednak to, że w głowach tych wszystkich ludzi panuje takie gratowisko, w którym nie będą potrafili nawet odszukać informacji, co wczoraj jedli na obiad.

– Nie mogę! Wymiękam! Pasuję! Mam dość! – powtórzyła rozemocjonowana Aleksandra.

– Spokojnie. Co się stało?

– Przepraszam, że znowu dzwonię, ale nie potrafię się sama opanować. Musiałam znowu rozmawiać z gliniarzami, a tylko ty wiesz, że mam powód, żeby ich nienawidzić.

– Mówiłam ci przecież, że masz się nie denerwować, wszystko jest z grubsza ogarnięte. Jesteś bezpieczna. Pamiętaj, że nie wszyscy policjanci są tak samo beznadziejni...

– Nie! – przerwała jej Aleksandra. – Tu nie chodzi o sprawę Ilony. Boże, znowu gromadzą się nade mną czarne chmury. Dziś znowu był u mnie pies. Bez munduru. Wpuściłam go, bo mnie zaskoczył. Wypytywał o pewnego faceta.

– Jakiegoś znajomego twojej szwagierki?

– Nie, mówię ci przecież, że to nie o Ilonę chodzi. O Marcina Karbowskiego. Podobno Marcin nie żyje, a w jego mieszkaniu znaleziono moją wizytówkę i tak trafili do mnie. I wcale nie uważają, że to było samobójstwo. Albo nie! Jak on to powiedział? Że nie...

– Nie wykluczają udziału osób trzecich. Olu, proszę cię, uspokój się i opowiedz wszystko po kolei.

Zdawała sobie sprawę, że właściwie to ona powinna po kolei opowiedzieć o rozkazie przeniesienia się do Poznania, o mikroskopijnej kawalerce i nowym miejscu pracy. Mogłaby zaproponować wspólną kawę, kolację lub obiad. Mieszkały przecież w tym samym mieście. Aleksandra wydawała się jednak tak przejęta swoimi sprawami, że Ula nie chciała zawracać jej głowy.

– Przyszedł policjant w sprawie śmierci Marcina.

– Jak wyglądał?

– No dobrze, powiem ci, że było na czym wzrok zawiesić. Facet w typie tych, co musisz spojrzeć na nich dwa razy, żeby się zainteresować. Coś w sobie miał. Intrygujące spojrzenie...

– Policjant z intrygującym spojrzeniem?

– Ty o policjanta pytasz?

– No! A ty o kim opowiadasz?

– Policjant był normalny. Wredne spojrzenie, ciemne włosy, okrągła twarz. Brudne buty.

Ula też zauważyła brudne buty, kiedy rozmawiała z Chmielewskim w mieszkaniu denata. Nie знаła nazwiska mężczyzny znalezionej w wannie, ale teraz skojarzyła, że partner wspomniał jej o tym, że znalazł wizytówkę psychologa i że sprawdzi, czy denat nie walczył przypadkiem z depresją.

– O co pytał?

– O wszystko. Czy go znałam. O czym rozmawialiśmy. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz. Czy miał depresję. Czy mógł się zabić.

– I?

– I nic mu nie powiedziałam, zasłaniając się tajemnicą zawodową. Milczałam koncertowo. Nie będę gadać z psami.

– Ale facet był twoim klientem?

– Klientem też. I na pewno nie chciał się zabić.

Ostatnia wypowiedź sparaliżowała Urszulę. Poczwała, że dotarła właśnie do granicy pomiędzy życiem prywatnym i zawodowym. Powinna się rozłączyć, wyłączyć komórkę i pójść pobiegać. Albo kupić sobie butelkę wódki, zresetować pamięć i obudzić się jutro rano.

– Olka? – Nie wybrała jednak żadnej z tych opcji. Wygrała ciekawość. Ciekawość i natura psa. Owszem, była przyjaciółką Olki, ale przede wszystkim była dobrze wyszkolonym gliniarzem, który w mig łapie trop nosem.

– To nie jest rozmowa na telefon. Szkoda, że mieszkasz tak daleko.

– Dlaczego tak kategorycznie zakładasz, że nie mógł się zabić?

– Bo to wiem na pewno.

– A miał wrogów?

– Nie.

– Problemy?

– Jak każdy człowiek.

– Ale on akurat nie żyje.

– A ja żyję i co?

– I coś wiesz. Coś, co powinnaś powiedzieć policji.

– Ale nie powiem.

– Boisz się czegoś?

– Ulka, przestań mnie przesłuchiwać!

– Prosiłaś mnie o radę.

– Nie, jeszcze nie prosiłam. Na razie chciałam się wygadać i powiedzieć, że się mam obawy.

– Jeśli facet nie żyje i twierdzisz, że sam się nie zabił, to znaczy, że ktoś...

– No właśnie.

– Wiesz, kto? Żona, kochanka, kontrahent?

– Na pewno nie ja.

– Na miłość boską, Ola! Czy ty możesz być podejrzana w tej sprawie?

– Nie. Nie! Mam nadzieję – ściszyła głos – że nie. Ale mogłam być ostatnią osobą, która go widziała. No i poszłam tam dzisiaj. To znaczy byłam na podwórku, po którym kręcili się policjanci. Przed domem Marcina. Ula, co mam robić?

– Iść porozmawiać z policjantem albo czekać, aż on przyjdzie do ciebie. Jeśli ktoś was widział razem, to znaczy ciebie i denata, to policja się o tym dowie. Lepiej, żebyś powiedziała im o tym sama.

– Od razu widać, że pracujesz w policji. Dobrze, że w łódzkiej. Dobra, zastanowię się nad tym. – Zamilkła, a kiedy Urszula pomyślała, że to najlepsza chwila na rozłączenie się, Ola odezwała się ponownie. Tym razem zupełnie innym, cichym i nieśmiałym głosem: – Ula, jest jeszcze coś. Widziałam w telewizji materiał o samobójstwach. To tam mówili, że Marcin się zabił. Obok jego wymieniano też Katarzynę H. Czy masz

możliwość sprawdzenia, czy to nie była aby Hałka? Mogłabym pójść do jej mieszkania, ale jeśli ta dziewczyna też nie żyje, a mieszkanie jest pod obserwacją policji... Sama rozumiesz.

– Zobaczę, co się da zrobić. A jeśli to ona?

– To chyba się przebranżowię.

*

Dla kogoś z zewnątrz to tylko papiery. Stare kartki, które leżą, kurzą się i zajmują miejsce. Jednak dla mnie to nie tylko dokumentacja, ale też historie ludzi, z którymi spotkałam się w swoim zawodowym życiu. Zapiski z ciężkich chwil. Notatki z sesji. Adnotacje dotyczące sposobu postępowania. Pamiętki regularnych spotkań i dowody na to, że udało mi się zdobyć ich zaufanie.

Kiedy po studiach rozpoczynałam pracę, zastanawiałam się, czy będę potrafiła rozmawiać z ludźmi o tym, co ich boli. Czy będą w stanie otworzyć się przede mną na tyle, byśmy razem mogli docierać do sedna problemu. Czy zdobędę ich zaufanie i dam to, czego ode mnie oczekują.

Katarzyna Hałka. Dziewczyna o małej głowie i pięknych oczach. Pamiętam wszystkie nasze spotkania. Miała skłonność do popadania w skrajności. Na początku nienawidziła swojej tuszy. Pracowałyśmy nad tym, żeby ją zaakceptowała. Wróciła do mnie po roku przerwy. Była dwa razy grubsza, ale za to uśmiechnięta.

Na początku pracy bałam się swojego braku kompetencji. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, czym jest terapia. Na studiach słyszałam to słowo milion razy i wciąż była mi ona obca. Usiadłam naprzeciwko pierwszego pacjenta w szpitalu i pomyślałam: „Boże, spraw, żeby te pięćdziesiąt minut minęło bardzo szybko”. Teraz, kiedy kończy się czas sesji, żałuję, że pięćdziesiąt minut mija tak szybko. Dokładnie tak samo było z Marcinem Karbowskiem.

Miał swoje problemy. Wysłuchiwałam go, zastanawiając się nad mechanizmami, przyczynami i strategiami terapeutycznymi. Szukałam miejsc, w których powinniśmy się zatrzymać. Marcin miał emocjonalne plamy i uczucia, których nie chciał zauważać. Być może te plamy, a raczej ich zbieżność z moimi plamkami, spowodowała wyjście poza etyczne granice.

– Cześć, to ja, Marcin. Dopiero co wyszłaś, a ja już odczuwam twój brak. To twoja wina. A może zasługa? Nie wiem. Nakłaniałaś mnie, żebym wyłączył mechanizm ochrony przed emocjami. Zrobiłem to. Przedtem potrafiłem jedynie obserwować je z bezpiecznej odległości. I nazywać... radość, strach, żal, ekscytacja. Teraz je odczuwam i... tak, wiem, pamiętam twoje słowa: „Emocje nie zabijają”. Chwilami wydaje mi się, że nie masz racji. Że moje mnie zabijają. Już to robią. Powoli... W każdym razie dziękuję za dziś, Olu. Nie muszę powtarzać, że chcę więcej?

Nagranie na poczcie głosowej nadal brzmi tak samo. Jego niezwykły, aksamitny i ciepły

głos. Słowa wypowiedane nieśpiesznie. Jakby były ważne, zanim zostaną zamienione w dźwięki.

Niejednokrotnie żartowałam – siedząc z Marcinem w gabinecie – że to on powinien być psychologiem, a nie ja. Z takim głosem byłoby mu o wiele łatwiej pracować z klientami. Jego sposób mówienia budził zaufanie i budował idealne warunki, by poczuć się bezpiecznie.

– Powoli...

W głowie wciąż rozbrzmiewa mi to słowo. Wypowiadał je zawsze w taki sam zmysłowy sposób. Słuchałam jak zahipnotyzowana i obserwowałam jego dłonie. Wiedziałam, że w końcu mnie dotknie. Muśnie, niby przypadkiem, żeby podrażnić mnie jeszcze bardziej.

Zamknę wtedy oczy, żeby poradzić sobie z zalewającą mnie falą podniecenia, a potem je otworzę, spojrzę na niego, a on powtórzy:

– Powoli...

Emocje nie zabijają. Czasem tylko mogą nas pchnąć ku śmierci.

*

Na ekranie pojawiały się trzy szare kropki, a następnie znikwały i znowu się pojawiały. Piotr Sternal, z którym od jakiegoś czasu kontaktował się przez komunikator, musiał mieć problem z wyartykułowaniem myśli. Prawdopodobnie zaczynał coś pisać, potem to usuwał, a następnie znowu pisał.

W końcu zamiast kropek pojawiła się wiadomość.

„Bondage_Poznań, jesteś tam?”

Suche pytanie, bez żadnego emotikona.

„Jestem” – odpisał zgodnie z prawdą.

Zanim jednak to zrobił, odczekał chwilę, by wzmocnić zainteresowanie Piotra. Jedną z zasad manipulacji psychologicznej obowiązujących zarówno w biznesie, jak i na polu prywatnym, była zasada niedostępności. Im ktoś jest dla nas trudniejszy do zdobycia, tym bardziej go cenimy. Tym bardziej jest dla nas atrakcyjny i wartościowy, i tym więcej jesteśmy w stanie zrobić, żeby go zdobyć. Już Owidiusz powiedział, że nikt nie pożąda tego, co mogą mieć wszyscy. Kusi to, co zakazane.

To on był tym zakazanym. Tym, który zwlekał. Wahał się. Ale jak już się pojawiał, dawał Piotrowi dokładnie to, czego tamten oczekiwał. A może nawet trochę więcej.

„Przemyślałem to. Chcę tego”.

„Jesteś pewien?”

„Tak”.

„Bardzo chcesz?”

„Bardzo. Nie mogę przestać o tym myśleć”.

Uśmiechnął się. Docierał właśnie do kolejnego etapu znajomości z Piotrem. Cieszyło go

to, bo na niego poświęcił chyba najwięcej czasu. Facet był nieufny, ostrożny i zamknięty. Na szczęście udało się go zanęcić.

„Skoro tak... to zrób to!”

„Ale przecież wiesz, że to nie jest takie proste”

„Znasz jakieś proste przyjemności?”

„Sen. To znaczy wizje senne”

„No właśnie! – Dodał do tego emotikon uśmiechu. – Skoro to jest przyjemne, kiedy fantazjujesz, jakie musi być mega, kiedy tego doznajesz”

„Wiem”

„I co zrobisz z tą wiedzą?”

„Ty też bałeś się za pierwszym razem?”

„Tak. I rozumiem cię. Naprawdę”

„Było warto przezwyciężyć obawy, dyskomfort?...”

„I wszystko inne też. Było zajebiście”

*

Ilona siedziała na szpitalnym łóżku i smarowała cienką kromkę masłem. Leżąca na talerzu wędlina w smaku przypominała raczej papier toaletowy. Raz jej spróbowała, a potem już zawsze omijała.

– Będiesz jadła? – Dziewczyna leżąca na łóżku obok patrzyła łakomie na talerz Ilony.

– Pytasz o tę nibywędlinę?

– No.

– Proszę, zjedz, jeśli masz ochotę.

Dziewczyna zabrała dwa plasterki z prędkością światła, jakby się bała, że Ilona zmieni zdanie.

– Pyszne. A ty nie jesz mięsa? Bo zauważyłam, że zostawiasz... i na śniadaniu, i na kolacji.

– Jem, ale... – Ilona ugryzła się w język. Zatrzymała dla siebie stwierdzenie, że jada jedynie mięso dobrej jakości. Nie chciała robić dziewczynie przykrości.

Przywieziono ją w nocy z siniakami i podbitym okiem. Przez cały dzień nikt jej nie odwiedził. Leżała w szpitalnej pidżamie, wpatrzona w sufit, co jakiś czas popłakując w poduszkę.

– Ale co?

– Jakoś mi niedobrze, wolę zjeść sam chleb z masłem – skłamała Ilona.

Dziewczyna chciała coś jeszcze powiedzieć, ale przeszkodziło jej pukanie do drzwi.

Najpierw się go przestraszyła, a później spojrzała w kierunku wejścia i zamarła.

Ilona zdążyła pomyśleć, że może właśnie sprawca napadu przyszedł prosić o wybaczenie, kiedy usłyszała znajomy głos:

– Ilonka? Kochana, jak ja się cieszę, że wracasz do zdrowia!

Paweł podszedł do niej, położył na szafce siatkę z owocami i przysiadł na skraju łóżka.

– Usłyszałem, że niebawem cię wypiszą. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Nie chciałam robić ci problemu. Pamiętam przecież – ściszyła głos – jak się rozstaliśmy.

Nie chciała, by ktokolwiek słyszał ich rozmowę. A już zwłaszcza ofiara przemocy domowej leżąca obok. Przed chwilą porównywała się do niej, i w każdej kategorii przyznała sobie dużo więcej punktów. Dziewczyna miała jedynie siniaki i nadzieję, że jej mężczyzna się kiedyś opamięta. Ilona była ładniejsza, bardziej zadbana, posiadała drogą pidżamę, nowoczesny smartfon, obrączkę na palcu i pozornie idealnie życie. A do tego wszystkiego dobrze funkcjonujący salon kosmetyczny i umiejętność szybkiego eliminowania przeszkód stojących na jej drodze.

– Wiem, wiem. Potrzebowałem trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Miłość się co prawda skończyła, ale przecież spędziliśmy razem tyle lat. Nie mogę cię teraz zostawić. Nie w takiej sytuacji. Pomogę ci, to oczywiste. Może nie kocham cię tak jak kiedyś, ale przecież na zawsze pozostaniesz w moim sercu.

Paweł wziął ją za rękę, a Ilona po raz pierwszy od przebudzenia się po wypadku poczuła, że nie jest osamotniona. To było miłe.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

– Pamiętasz w ogóle, co się stało?

Nie chciała do tego wracać. Chciała zapomnieć o wypadku i o tym, że przez kilka miesięcy leżała w szpitalu, a on nawet nie zadzwonił. Najchętniej zresetowałyby pamięć. Zostawiła ostatnią kłótnię, a po niej jego twarz pełną troski.

– Mniej więcej – odpowiedziała, ale Paweł wpatrywał się w nią tak intensywnie, że nie mogła uciąć tematu. – To ona... ona chciała mnie zabić.

– Kto?

– Jak to kto? Ta ruda małpa, żona mojego ukochanego brata!

– Aleksandra?

– Ona od lat rujnuje nam życie. Ale, Paweł, ja tego tak nie zostawię. Nie tym razem. Powiedziałam policji, że to mogła być ona!

*

Blog prowadzony przez Hałkę wygląda dość przejrzyście. Wpisy pojawiają się raz w miesiącu. Z dokładnością co do dnia. Podejrzane. Jakby wszystko było z góry zaplanowane.

Rozmawiałam z nią wielokrotnie. Miała mocno emocjonalne podejście do życia. Jeśli cierpiała, to bolało ją nawet oddychanie. Jeśli była szczęśliwa, to wszystko było wspaniałe. Kolejka u lekarza. Zgubiony klucz do skrzynki pocztowej. Oblany egzamin. Nie zauważała niepowodzeń, bo cieszyła się tym co ma. Śpiewała, tańczyła i dzieliła radością z innymi.

Wpisy powinny odzwierciedlać jej charakter. Była szczera, a jeśli pisała blog anonimowo, to przecież nie miała się czego obawiać. Krótkie, pozbawione emocji posty z dziwnymi zdjęciami. Pies. Drzewa. Zachodzące słońce. Kostka brukowa. Wszystkie fotki wyglądają, jakby znalazły się tu przypadkiem. Jakby Kaśka wynalazła je w internecie i wrzuciła na swoją stronę, nawet nie przejmując się, czy pasują do tematyki posta.

Muszę się skupić. Muszę znaleźć jakiś punkt zaczepienia. To nie może być przypadek. Kaśka kwitła od kilku sesji. Musiała kogoś poznać. Kogoś, kto pokolorował jej świat, dał nadzieję na coś więcej niż tylko koleżeńską relację.

– Siłę i motywację do życia dają mi czytelnicy bloga.

To moje notatki z naszych spotkań. Nie wydaje mi się. Wspominała o czytelnikach, a tu nie widać, żeby był jakikolwiek ruch. Zero komentarzy.

– Świadomość posiadania adoratorów sprawia, że zupełnie inaczej patrzę na swoje ciało. Taki jest sens prowadzenia notatek. Gdyby nie one, nie byłabym do końca pewna, czy dobrze mi się wydaje, czy nie pomieszałam historii klientów, czy czegoś nie nadpisałam, nie zinterpretowałam zbyt pobieżnie, ale nie.

Katarzyna zaczęła patrzeć na siebie oczami adoratorów. Tak ich nazywała. Ja raczej pokusiłabym się o stwierdzenie, że byli wypasaczami czy karmicielami. Oni potrzebowali jej, a ona ich. Podobno niektórzy nawet przesyłali jej pieniądze tylko po to, by kupowała jedzenie i jadła na ich oczach.

Kochali patrzeć, jak się opycha, a ona kochała jeść. Uzależniła się od zachwyty i uwagi, którą obdarowywali ją wypasacze.

– Boże!

Mam! Mam! To chyba to. W prawym górnym rogu znajdują się ledwo widoczne litery: „FA”.

„Fat Admiration” – wielbienie tłuszczu. Angielski skrót na parafilię zwaną adipofilią. Klikam. Czekam. Ikona klepsydry pokazuje mi, że jeszcze chwilę i... jest.

– Blog wielbicieli krągłości i seksownego sadełka – odczytuję nagłówek. Wystarczy jeden rzut oka i już wiem, że dotarłam do celu mojej podróży.

To istny raj dla ludzi erotycznie fascynujących się otyłością. Zarówno dla tych, którzy podniecają się własną tkanką tłuszczową, jak i dla tych, którzy sami są szczupli, ale pożądanie budzą u nich grubasy.

Pełno tu zdjęć półnagiej Kaśki. Wiszące cycki, opierające się na oponkach – czy też raczej oponach – tłuszczu, niemalże płynnie przechodzące w ogromne uda.

Nie potrafię zrozumieć, co tych ludzi może w tym kręcić. Nawet nie chcę próbować...

„Jak przytyć?” – tak jest zatytułowany jeden z postów. Klikam i przechodzę dalej. To dla mnie nowość. Zwykle przeglądam artykuły doradzające, jak schudnąć.

Jedz prawie bez przerwy. Stopniowo zwiększaj ilość jedzenia. Jesz oczami, więc spraw, żeby twój posiłek dobrze wyglądał. Imbir wzmacnia łaknienie. Sok z cytryny zwiększa kwasowość w żołądku, a co za tym idzie – także apetyt. Kup sobie syrop dla niejadków. Ruszaj się trochę, bo ruch wzmacnia apetyt. A po ruchu jedz. Dużo. Łącz węglowodany z tłuszczami. Popijaj wszystko mlekiem. Rzuć palenie. Zaczynaj brać tabletki antykoncepcyjne albo przynajmniej tabletki na alergię...

Dawno nie czytałam takich głupot.

W rubryce „O mnie” pisze:

Cześć, mam na imię Kaśka i jestem gainerką. Tyję, bo mnie to jara. Podnieca mnie widok mojego ciała oraz Twoja reakcja na nie. Jeśli chcesz śledzić na bieżąco mój proces tycia, zajrzyj do działu „Mój dziennik”. Znajdziesz tam zdjęcia oraz notatki z ważenia się. Jeśli podczas przeglądania go zapragniesz mnie nakarmić – nie krępuj się. Nie mam nic przeciwko tuczeniu się samej, ale o wiele więcej przyjemności dostarcza mi korzystanie z pomocy encouragera. Chcesz nim zostać? W dziale „Nakarm mnie” znajdziesz szczegóły dotyczące sesji karmienia mnie przez internet.

Zaglądam i tu, i tu. W pierwszej zakładce znajduję liczby, które mnie przerażają, a w drugiej numer konta bankowego. To na nie chętni wypasacze mogą wpłacać pieniądze, które Kaśka przeznaczy na zakup jedzenia, które następnie pożre je na oczach darczyńcy.

Jestem zmęczona i zniesmaczona. Niemalże zapominam, po co tu zajrzałam. Muszę przekopać się przez te wszystkie obleśne komentarze, by sprawdzić, czy nie znajdę tu śladów mężczyzny, o którym opowiadała mi ostatnio Kaśka. Szukam pana „drugiej połówki pomarańczy”, idealnie pasującego nie tylko do jej duszy, ale przede wszystkim do ciała.

*

– Malutkie masz to mieszkanko.

– Chciałabym powiedzieć, że ciasne, ale własne – zaśmiała się Urszula – ale niestety nie własne. Służbowe.

Celowo zaprosiła Chmielewskiego do siebie. Po pierwsze lubiła wgryzać się w nowe sprawy odizolowana od dzwoniących telefonów, wchodzących do pokoju śledczych czy innych bodźców zewnętrznych. Po drugie chciała sprawdzić, czy mężczyzna nadaje się na członka zespołu. Dotychczas obserwowała go tylko na gruncie, na którym czuł się pewnie. Był u siebie i próbował ją zdominować.

– Nie no, szacun. Górze musiało na tobie zależeć, skoro zdecydowali się skusić cię mieszkaniem.

– Mieszkaniem? Jak to szumnie brzmi. Zapoznałeś się z aktami? – Teraz to ona wykorzystywała przewagę.

Chmielewski siedział przy biurku, a ona na łóżku, oparta o ścianę. Oboje mieli przed sobą kopię akt sprawy zabójstwa Marysi W. Urszula wczytywała się w nie od trzech dni, Tomasz od kilku godzin.

– Widać my, jako policja, też w końcu uczymy się funkcjonować we współczesnym świecie mediów, marketingowych ściem i piarowych strategii wyolbrzymiania.

– Właśnie, o co chodzi w tej aferze medialnej?

– O to, żeby dopierdolić policji, a o co innego?

– No wiesz, nie pierwszy i nie ostatni raz ktoś tego próbuje. Jakoś zwykle firma się tym

aż tak nie przejmuję. Tymczasem ściągnęli mnie tutaj w takim pośpiechu i z taką ofiarnością, jakby wasz okręt tonął.

– Ktoś się dopieprzył do tego, że śledczy nie zrobili profilu psychologicznego sprawcy. Nie zrobili, bo prawie trzydzieści lat temu nie było takiej praktyki. Wielkie mi halo.

A teraz rozdmuchuje się aferę, że gdyby ten profil był, to sprawca na pewno zostałby ujęty. Nie lubię takich jazd. Rozumiem, że czasem ktoś da ciała i wtedy należy mu się publiczna chłosta, ale w tej sytuacji... Proszę cię, to szukanie jelenia. Jak w małżeństwie, kiedy ogromne trzęsienie ziemi następuje nie po tym, jak przyznasz się do zdrady, ale po tym, kiedy dwa tygodnie później zapomnisz wynieść śmieci.

Urszula spojrzała na wyświetlacz komórki. Zbliżała się dwudziesta pierwsza. Nie miała czasu na bezproduktywne dyskusje. Nie zamierzała dyskutować o małżeństwie, bo nie wiedziała o nim zbyt dużo i nie interesowało jej, co na ten temat może powiedzieć Chmielewski. Jego stan cywilny i status osobisty nie miał żadnego wpływu na to, czy będzie wybrany. Liczyła się inteligencja, bystrość, nieschematyczne myślenie i jeszcze kilka trudniejszych do określenia cech. W końcu za pół roku miała opuścić Poznań i pozostawić po sobie zespół skutecznych śledczych.

– Tomasz, myślisz, że taki profil mógłby coś zmienić?

– Dlaczego pytasz mnie? Przecież to ty jesteś profilerką i to ty sporządzasz takie opracowania.

– Pytam, bo jeśli chcesz znaleźć się w moim zespole, to muszę poznać twój sposób rozumowania.

– Zrobiłaś już ten profil?

– Czytałaś akta?

– Tak jak prosiłaś.

– I co myślisz?

– Przepytało wszystkich, których powinno się przepytwać. Nie znaleziono niczego podejrzanego. Osiedle Bajkowe w tamtych czasach nie było takim skupiskiem ludzi. Kojarzyli się z widzenia. Wtedy przecież się jeszcze ze sobą rozmawiało, więc teoretycznie jeśli ktoś coś widział, to mógł o tym powiedzieć.

– Myślisz, że morderca był z Bajkowego?

– Wygląda mi to raczej na jakieś gościnne występy. Facet pojawił się raz w tamtym miejscu, pech chciał, że trafił na dziewczynkę. Zaspokoił swoją chuć, a potem zabił ofiarę, żeby go nie rozpoznała.

– Tylko raz? Nikt go nie znał? Nikt nie zapamiętał?

– Może dobrze się kamuflował. Wyglądał zwyczajnie. Tak, żeby nie rzucać się w oczy.

– Czyli myślisz, że policjanci podczas śledztwa nie mieli okazji z nim porozmawiać?

– Gdyby rozmawiali, to raczej by go zgarnęli, co nie? – Rozbawiony Chmielewski spojrział na nią z politowaniem, ale bardzo szybko dodał: – Tak, wiem. Znowu zgrywa.

Przepraszam. To nie z winy samczych intencji, ale specyficznego poczucia humoru.

Możesz na nie przymykać oko, a skupiać się raczej na moich zaletach? Szybko się uczę, jestem bystry i ... i być może trochę wypalony, ale wierzę, że nowe wyzwanie, czyli to twoje Archiwum Z, da mi *powera*.

– Gdyby mieli profil psychologiczny... – Urszula całkowicie zignorowała wyzwanie

kolegi – To pewnie tak. Bo wiedzieliby, na jakie zachowania mają być wyczuleni. Mogliby lepiej zaplanować przesłuchanie i rozegrać je, tak żeby sprawcy było łatwiej się przyznać.

– Takie gdybanie nie ma sensu.

– Podobnie jak badanie sprawy po prawie trzydziestu latach? – nie odpuszczała.

– Zaraz, zaraz, tego nie powiedziałem! Odnalezienie sprawcy ma sens. Tylko jak to zrobić? Jakie są schematy postępowania w takich przypadkach? Jeśli nie przyznał się wtedy, to czemu miałby zrobić to teraz? Jeśli ktoś o tym wiedział coś podejrzanego wtedy, to czemu miałby to pamiętać dzisiaj? Przecież dane w naszej pamięci się nadpisują.

– Podoba mi się twoje sceptyczne podejście...

– Czyli weźmiesz mnie do zespołu?

Zaśmiała się.

– Chciałbyś w nim być, bo...?

– Bo jeśli można zrobić coś, żeby wsadzić kilku gnojków za kratki, to ja to zrobię. Bo satysfakcja płynąca z tego, że zakajdankuje się jednego czy drugiego, zwłaszcza że oni od lat myślą, że uszło im to wszystko płazem, musi być niesamowita. Szybko się uczę, będę najlepszy. Podpowiedz mi tylko, jaki sposób działania jest w takich sytuacjach najbardziej efektywny.

Zabrział prawdziwie i szczerze.

– Zobaczymy... A co powiesz mi o przesłuchiwanym wtedy osobach?

– Jerzy... – Tomasz spojrział w akta. – Ojciec. W chwili śmierci córki po czterdziestce, kierowca w firmie transportowej. Był zaangażowany w poszukiwania córki. Do tego stopnia, że znalazł jej zwłoki. Główny podejrzany. Nie potwierdzono jednak, żeby miał pedofilskie skłonności. Też był moim numerem jeden, ale przesłuchanie nie potwierdziło typowania. Kłótlivy, zادیorny, ale niewinny.

– Matka?

– Teresa trzydziestoosmioletnia gospodyni domowa. Matka dwójki dzieci. Skupiona na domu i dzieciach, to znaczy, skupiona jak na tamte czasy. Dzieci były najedzone, czyste i chodziły do szkoły. W momencie zdarzenia była z sąsiadką. Siostra Marysi odpada, nie sądzę, by mogła to zrobić.

– Pojedynczo nie, ale w grupie?

– I właśnie grupa była moim drugim typem. Dziewczynka wracała z kościoła. Wraz z innymi dziećmi. Nie szła jednak z razem z nimi, tylko raczej za. Jakby była poza grupą. Może chłopcy chcieli zabawić się jej kosztem? Zaciągnęli ją w krzaki, grupa wzmocniła zachowania, jeden zaczął się popisować przed drugim. Z macanek zrobiło się coś więcej. Znaleźli przedmiot, który miał zastąpić członka i zgwałcili ją. Wyrwała się, krzyczała, więc zaciskali jej usta. Umarła, przynajmniej w ich odczuciu, przez przypadek.

– Jest jednak kilka ale...

– Wiem. Rozmawiano z chłopcami i ich wersja była zbieżna.

– A reszta przesłuchiwanym?

– Sąsiadka, która ostatnia widziała żywą Marysię? Bez podejrzeń, podobnie kilka osób

z najbliższej okolic. Córka z pierwszego małżeństwa Jerzego W. nie była na bieżąco, wraz ze swoim mężem bywała na Bajkowym jedynie kilka razy w roku.

– Według ciebie co powinniśmy teraz zrobić?

– No właśnie nie mam pojęcia, jak się do tego zabierzesz. Moim zdaniem zabójca przyszedł z zewnątrz. Jak go odnaleźć po trzydziestu latach?

– Wiesz co, Tomasz? Jeśli chcesz kiedyś ze mną pracować, to musisz zapamiętać jedno: nie możesz popełniać błędu confirmacji. Jeśli na początku założysz, że jakaś wersja jest najbardziej prawdopodobna, to w miarę poznawania kolejnych szczegółów wszystko będziesz dokładać do swojej wersji. Odrzucisz niepasujące elementy, niezależnie od tego, jak będzie prawdziwe. Selektywne zapamiętywanie zdobywanych informacji to największy grzech, bo prowadzi do błędnych interpretacji. Tak być nie może. Najpierw fakty, a potem wnioskowanie.

*

Podniecenie mieszało się ze zdenerwowaniem. Widział, że Piotr starał się opanować, ale kiepsko mu to wychodziło. Paplał bez ładu i składu. W końcu jednak zrobił kilka kroków i położył Piotrowi rękę na ramieniu.

– Spokojnie.

– Wiem, wiem. To nie nerwy. To oczekiwanie na coś wielkiego.

– Jesteś przekonany, że tego chcesz?

– Tak, zabawy kajdankami już dawno przestały mnie bawić.

– Czyli przekraczamy granicę?

– Przekraczamy. Ostatnio dużo czytałem o krępowaniu. Oglądałem zdjęcia. Przecież to nie zboczenie, tylko sztuka.

Piotr nie lubił słowa „Zboczenie”. Nadużywała go Anka, jego żona. Wyrzucała je z siebie za każdym razem, kiedy próbował zainteresować ją tym, co go kręciło. Podczas któregoś weekendu odpuścił. Zamknął się w sobie, a przyjemności i zrozumienia zaczął szukać poza domem. Uważał, że każdy człowiek powinien umieć odpowiedzieć sobie na pytanie, co jest dla niego ważne. Dla Piotra istotne były doświadczenia związane z doznawaniem psychicznego i fizycznego bólu. Potrzebował ich. Coraz bardziej. I coraz trudniej było mu myśleć o czymś innym. Nie chciał skupiać się na tym, że chęć przekraczania kolejnych granic bólu nawet jemu samego wydawała się chwilami zboczona. Zboczenie jest tylko subiektywnym spojrzeniem na nieznane. Tak sobie powtarzał. Starał się utwierdzać w przekonaniu, że jeżeli chcemy w życiu coś osiągnąć, to zawsze odbywa się to kosztem pewnych wyrzeczeń. Kiedyś pojechali z Anką na wakacje do Hiszpanii, ale z tego powodu nie stać ich było już na zmianę samochodu. Widocznie teraz, żeby osiągnąć satysfakcję seksualną, musiał zrezygnować z idei partnerstwa. On się rozwijał, a Anka stała w miejscu. To znaczy leżała na wznak na łóżku, by przyjąć go po misjonarsku i szybko wrócić do oglądania serialu. Kilukrotnie

próbował się wstrzelić między kolejnymi odcinkami, by mogła podarować mu przynajmniej część swojej uwagi. Bezskutecznie. Anka oglądała seriale z największej internetowej wypożyczalni filmów. Kolejne odcinki uruchamiały się zaraz po zakończeniu emocji poprzednich. A po obejrzeniu ostatniego odcinka ostatniej serii serwis „inteligentnie” polecał kolejne tasiemce, które powinny spodobać się widzowi. Anka nie potrafiła się od nich oderwać.

– Na pewno wiesz, co robisz?

Piotr obserwował uśmiechniętego gościa, który najpierw patrzył mu głęboko w oczy, a później wyjął z plecaka liny.

– A ty? – Usłyszał, ale już się nie zastanawiał.

Na widok przedmiotu, którym miał zostać związany, poczuł rosnące pożądanie.

– Nie no, przepraszam, rozmawialiśmy przecież o moich obawach. Miałem sobie z nimi poradzić sam. I poradziłem sobie. Ufam ci. Ty masz doświadczenie w wiązaniu, ja chcę być związany. Pasujemy do siebie.

„Chcieć” to nie był odpowiedni czasownik. Piotr *pragnął* poczuć się skrępowany, upodlony i jednocześnie nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł zobaczyć fotografię upamiętniającą to zmysłowe wydarzenie.

– Masz aparat?

– Mam. Chcesz się rozebrać czy wolisz zostać w ubraniu?

– Nie no, ciuchy na zdjęciu? Co ty! Więzy przepięknie wyglądają na nagim ciele. Tylko pamiętaj. Bez seksu. Nie obraź się, ale nie jesteś w moim typie.

*

– Ała, boli!

– Cicho, przecież tego chciałeś.

– Chyba za mocno wiążesz. Czuję, że krew przestaje napływać mi do rąk.

– Przestań jęczeć. To *ganji garame shibari*. Specyficzne wiązanie, w którym ciasny splot oplata całe ciało – opowiadał, kończąc jednocześnie oplatać jego tułów. – Efekt końcowy przypomina mumifikację ciała za pomocą lin i da ci megadoznania.

Zobaczysz.

Ukucnął. Przystąpił właśnie do zaciągania liny na jego nogach i musiał podtrzymać Piotra, żeby ułatwić mu zachowanie równowagi.

Bezpiecznie pracowało mu się w takim otoczeniu. Z Piotrem spotkał się w jego pracowni zajmującej niewielki parterowy budynek. Pokój, w którym miał skrępować – a później powiesić – Piotra na co dzień służył jako miejsce szlifowania mebli. Piotr kilkakrotnie wspominał, że musiał go wygłuszyć, bo mieszkańcy okolicznych bloków narzekali na wieczorne hałasy dochodzące z pracowni.

Wygłuszenie mogło przydać się również dzisiaj. Nie wiedział, czy Piotr Sternal zachowa twarz opanowanego przystojniaczka do końca, czy zacznie krzyczeć zaraz po tym, kiedy zorientuje, że źle ulokował swoje zaufanie.

– Boli.

– Ma boleć – warknął.

Idea wiązania opierała się na zastosowaniu jednej liny, która stanowiła trzon wiązania. Biegła wzdłuż całego ciała, a tworzące oploty wiązania zmieniały kierunek na tym trzonie. Sprawiało to, że każde kolejne dociągnięcie następnego oplotu zaciska sąsiednie oploty.

Piotr próbował protestować, ale on sobie z tego nic nie robił. Nie po to umawiali się na hasła bezpieczeństwa, żeby teraz miał reagować na każde jęknięcie. *Bondage* było elementem zabaw sadomasochistycznych, a Sternal wielokrotnie mu się zwierzał, że fantazje na temat krępowania, poniżania i bycia stuprocentowo zależnym od drugiej osoby wystrzeliwiają jego podniecenie na orbitę.

– Miej jaja! Skoro powiedziałeś A, to trzeba powiedzieć B.

– Jaja też mnie bolą, jesteś pewien, że wszystko jest tak jak powinno?

Był pewien, że wszystko przebiega według planu. Sternal leżał skrepowany na ziemi i mimo że zaczynał wpadać w panikę, nie mógł nic zrobić.

Podszedł do plecaka z którego pół godziny wcześniej wyjął linę. Sięgnął do niego. Strzykawki były na swoim miejscu.

Szybkie wklucie w odsłonięte pośladki Sternała zaowocowało napadem złości.

– Co to, kurwa, jest?! O tym nie rozmawialiśmy!

– To ci się pomoże zrelaksować.

– Jestem, kurwa, zrelaksowany.

– Pomoże ci bardziej.

– Co mi dałeś?

– Nic, co byś znał.

– Po co? Mówiłem ci, że seks nie wchodzi w grę.

Tak skoncentrował się na seksie, jakby poza nim nie liczyło się nic innego. Miał piękną żonę, którą wielu facetów chętnie by zaliczyło. Ale nie, on skupił się na poszukiwaniu głębi w doznaniach masochistycznych.

– Słuchałem cię i powtarzałem kilkakrotnie, że mnie nie chodzi o seks.

– A o co?

Nie miał ochoty tracić energii na odpowiedź. Za kilkanaście sekund lek powinien zadziałać.

Odwrócił się od Sternała, by nie prowokować go do zadawania kolejnych pytań.

Spojrzał na stojące pod ścianą krzesła. Wyglądały, jakby ktoś znalazł je na śmietniku. Jedno miało nawet złamaną nogę.

– Czerwony, kurwa, czerwony! Coś się ze mną dzieje. Nie wiem, nie mogę się ruszyć, kurwa! – Piotr wpadł w panikę. Nie miał szans na odzyskanie kontroli nad swoim ciałem, więc zaczął krzyczeć.

– Jesteś związany – odpowiedział spokojnie. Dobrze oszacował dawkę. Wszystko szło zgodnie z planem.

– Nie to nie o to chodzi. Myślę o tym, żeby ruszyć głową, ale nie mogę. I jakoś coraz trudniej mi się oddycha. Rozwiąż mnie! Teraz! Pospiesz się!

Hasłami bezpieczeństwa były kolory. Zielony oznaczał, że wszystko jest w porządku,

żółty – ostrożniej, czerwony stop...

– Cza... aaa... my... yyy! – Sternal wkładał wszystkie siły w wyartykułowanie jednego słowa.

Czarny oznaczał, że natychmiast potrzebne są nożyczki. Sięgnął więc do plecaka, ale zamiast nożyczek wyjął drugą strzykawkę. Tym razem musiał się wbić prosto w żyłę.

IV

Piątek

– Halo?

Najpierw odebrał telefon, a dopiero później spojrzął na elektroniczny zegarek, który stał na szafce przy jego łóżku. Pierwsza w nocy.

– Krystian, przepraszam...

Głos Aleksandry sprawił, że błyskawicznie przeszedł z krainy senności do bolesnej rzeczywistości.

– Za co przepraszasz?

– Że dzwonię tak późno. A właściwie wcześniej...

– Gdybyś przysłała, to nie musiałabyś dzwonić.

– Wiem, umawialiśmy się... ale... Przepraszam, Krystian. Bardzo cię przepraszam.

– Za co?

– Za to, że pewnie na mnie czekałeś. Że straciłeś czas.

Miała zjawić się u niego najpóźniej o dwudziestą pierwszą. Ogarnął mieszkanie, nawet wytarł kurze! Potem przygotował kolację. Porwał sałatę, doprawił ją sosem z torebki i odebrał zamówioną pizzę. Na stole położył wcześniej wyprasowany obrus. Męczył się z nim, bo jakoś ciągle nie był idealnie gładki. Męczył się właściwie ze wszystkim, bo chciał, żeby wieczór był idealnie romantyczny. A on nie był Adamem Mickiewiczem czy innym ekspertem od romantyczności. Demonstrowanie jej przysparzało mu dużych trudności.

Pokonał je jednak dla Aleksandry. I czekał. Tak samo jak pizza w piekarniku.

Czekał tak długo, aż minęła północ.

– Nie no, oczywiście. „Pewnie czekałeś”?! Nie mogłaś lepiej tego ująć. Skoro się umówiliśmy, to czekałem, ale przecież nie powinienem. Nie pierwszy raz wystawiłaś mnie do wiatru.

– Przepraszam, Krystian. Miałam dużo pracy, potem musiałam przejrzeć stare akta, a później zasnęłam. Obudziłam się dopiero teraz i od razu do ciebie zadzwoniłam.

– Po co? Żeby mnie też obudzić?

– Żeby powiedzieć, że już nie przyjadę.

– To wielkie dzięki. Cudownie, że o mnie pomyślałaś. Że zawiadomiłaś mnie, że mogę już przestać czekać. Dobrze, że dzwonisz, bo gdyby nie to, siedziałbym przy przystrojonym stole jak pies. I czekał... wczoraj, dziś rano, i w południe, i wieczorem. Z roboty by mnie wywalili, bo siedziałbym i czekał. Na kobietę, która mnie olewa.

– Krystian... – jej głos zaczął się łamać. – Przepraszam. Nie chciałam tego. Przecież umówiłam się z tobą, zależało mi na tym spotkaniu! Tak wyszło. Mam problemy i nie jestem w stanie tego wszystkiego ogarnąć.

Tego mógł się domyślić. Zawsze dzwoniła do niego z problemami. Kiedy był jej potrzebny. Dobrotliwy Krystian, na którego można liczyć. Zawsze. Niezależnie od tego, jak się go traktowało w tak zwanym międzyczasie. Między problemami, trudnymi chwilami i dołującymi myślami.

Miał tego dość. Bardzo długo liczył na to, że swoim przyjacielskim podejściem i pomocną dłonią zdobędzie jej serce. Coraz mocniej i boleśniej docierało do niego, że Aleksandra nie zauważa nie tylko jego serca, ale także twarzy, tyłka i penisa.

– Nigdy nie masz dla mnie czasu! – Po raz pierwszy od dawna postanowił się postawić. Przestać słuchać o jej problemach i powiedzieć głośno o swoich. – Najpierw zasłaniałaś się dziećmi. Teraz, kiedy w tygodniu masz na głowie tylko Kubę, który i tak nocuje u kolegi, tłumaczysz się pracą! Pracą i problemami! Nie ma sprawy, wszystko mogę zrozumieć, jeśli mi o tym powiesz. Ale jeśli milczysz i nie przychodzisz... Mam dość!

*

Gwiazdziste niebo jest tym, czego dziś mi trzeba. Pamiętam, że lata temu, kiedy miałam problemy, wymykałam się z domu nocą i obserwowałam gwiazdy.

Gwiazdy pomagały mi złapać dystans. Dzięki nim przypominałam sobie, że świat jest niezmiennie piękny, a jedyne, co się zmienia, to mój do niego stosunek. Wystarczy się zatrzymać, odciąć od wszystkich bolesnych myśli i spojrzeć w gwiazdy. To przynosi ukojenie. Nagle wszystko inne przystaje istnieć. Jestem tylko ja i gwiazdy.

Tak. Tylko ja i gwiazdy. I cholerne zimno, bo jednak grudzień średnio nadaje się na nocne spacerki.

Maszeruję energicznie, nie zamarznię. Lepsze to niż siedzenie samej w czterech ścianach. Rozmowa z Krystianem wciąż we mnie dudni.

Gdyby Kuba był w domu, przytuliłabym się do niego, ale dzisiaj akurat śpi u kolegi, a ja czuję się nieznośnie samotna.

Krystian... dzwonienie do niego w środku nocy nie było dobrym pomysłem.

Próbowałam rozładować napięcie i teraz wydaje mi się, że zrobiłam to tak nieumiejętnie, jakbym w ogóle nie posiadała wiedzy na temat sposobów postępowania z ludźmi.

Czego ja od niego oczekiwałam? Idiotka. Umówiłam się z nim na wieczór, a potem o tym zapomniałam. Krystian miał prawo się wkurzyć. Powinnam była pójść do niego w środku nocy. Zapukać do drzwi. Przytulić. Wtedy by mi wybaczył... albo przynajmniej spróbował.

Zimno mi.

Zastanawiam się, czy powinnam zawrócić? Powinnam. Ale tego nie zrobię.

Tak właśnie wygląda moje życie wewnątrz. To, które trzymam z dala od swoich klientów. Oto ja, psycholog Aleksandra Wilk. Kobieta, która pomoże ci w każdej sytuacji. Obroni każdą rację, która zbliży cię do osiągnięcia ustalonego wcześniej celu terapii. Ja, matka, kochanka i wdowa. Znienawidzona córka i bratowa.

Ja, która wiem, co człowiek powinien zrobić, gdzie szukać motywacji, jak na nie oddziaływać. Powinnam prowadzić idealne życie z idealnymi relacjami z dziećmi, rodziną i mężczyznami. Powinnam...

Powinnam jak najszybciej wrócić do domu. Dlatego wracam... okrężną drogą. Jakby istniał gdzieś w mojej głowie zakaz zawracania. Zaraz z Bukowskiej skręczę w Grochowską, a potem w kolejną ulicę – pierwszą w prawo. I tak dotrę do domu, bo przecież wszystkie drogi prowadzą do niego.

Pamiętam, jak lata temu w tym parterowym budynku na rogu znajdowała się kwaciarnia. Gabriel zabrał mnie kiedyś na spacer, szliśmy dokładnie tą samą trasą, którą idę teraz. Trzymaliśmy się za ręce, a on mnie nagle puścił.

– Zaczekaj – powiedział i zniknął w kwaciarni.

Wrócił po kilku minutach z długą czerwoną różą i po raz pierwszy wyznał mi miłość. To było urocze i takie prawdziwe, że do dziś czuję się speszona na samą myśl o tym.

Tyle że dziś nie ma już ze mną Gabriela, a zamiast kwaciarni jest renowacja mebli.

Mało romantyczne miejsce. O ile dobrze kojarzę, prowadzi je mój były klient.

Wspominał o swojej pracowni na rogu Bukowskiej.

Jest już dobrze po pierwszej, a ktoś wychodzi z budynku. To on? Może też miał kiepski dzień i musi popatrzeć w gwiazdy?

Nie. To nie jakiś facet naciąga na głowę kaptur i spuszcza głowę. Idzie, wlepiając wzrok w ziemię. Może jego nie relaksuje wpatrywanie się w gwiazdy, a liczenie własnych kroków?

W sumie nawet nie wiem, czy to facet. Jest tak opatulony, że nie widzę ani jednego fragmentu jego ciała.

Mija mnie, ale nie podnosi głowy. Szkoda, bo zagadnęłabym go. Czuję się tak samotna, że nawet zdawkowa wymiana zdań przyniosłaby mi ulgę. Spytałabym, czy pamięta, jak była tu kwaciarnia i czy zna właściciela. Albo czy jest mu zimno. Albo czy wie, która godzina.

Potrzebuję obecności człowieka. Przechodzę obok niego. Ja patrzę w gwiazdy, on w ziemię. Nie mamy szans się zauważyć. Mijamy się tak samo, jak teraz mijają się tysiące ludzi wpatrzonych w ekrany swoich smartfonów.

Może to dobrze, że na mnie nie spojrział. Mógłby zauważyć, że mam oczy spuchnięte od płaczu. Poza tym rozmowy z obcymi w środku nocy to nie najlepszy pomysł.

Podejdę do tej starej kwaciarni i zajrzę przez okno. Ciekawe, jak jest teraz w środku.

Z zewnątrz, nie licząc szyldu, wszystko wygląda tak samo.
Okno jest trochę wyżej, niż myślałam. Muszę stanąć na palcach.
Zamiast kwiatów wszędzie stoją meble. Brzydkie szafy, krzesła i...
– Boże, tam ktoś leży?!

*

Muzyka dochodziła do Urszuli jakby zza ściany. Początkowo przebijały się przez nią jedynie pojedyncze nuty. Kiedy zaczęła łączyć je w sekwencje, a sekwencje w utwór – muzyka zamilkła.

Wróciła jednak po kilku minutach i dopiero wtedy Urszula skojarzyła, że zna ten utwór bardzo dobrze, bo sama ustawiła go jako sygnał przychodzącego połączenia.

Sięgnęła ręką pod poduszkę.

– Halo?

– Tu poczta głosowa, masz nowe wiadomości. Ostatnia wiadomość od numeru...

Damski głos powoli i wyraźnie podawał kolejne cyfry, a Urszula nadal przebywała na granicy snu i jawy.

– Uła! – W końcu usłyszała pełen hysterii głos Aleksandry. – Przepraszam. Wiem, że jest późno, że nie powinnam tak ciągle wydzwaniać. Ale tym razem wpakowałam się w prawdziwe kłopoty. Nie wiem, czy dzwonić na policję, czy uciekać, czy co... Uła? Oddzwon do mnie, proszę! Boże, jaka szkoda, że nie możemy się spotkać, że nie ma cię w Poznaniu.

Spojrzała na zegarek. Minęła druga. Odłożyła komórkę pod poduszkę i przewróciła się na bok. Łóżko było bardzo niewygodne. Materac i poduszka przypominały jej, że jest na zesłaniu. Nie zdążyła nawet znaleźć pozycji, w której mogłaby ponownie zasnąć, kiedy muzyka znowu rozbrzmiała.

– Cholera jasna, jest środek nocy! Mogłabyś poczekać z rewelacjami do rana!

– Nie mogłabym – zaprotestował skrzypiący męski głos.

Urszula rozpoznała go i błyskawicznie usiadła na łóżku.

– Pani podkomisarz wybaczy, że ją obudziłem. – Rozmówca wydawał się rozbawiony. – Z tej strony starszy sierżant Chmielewski.

– Nie musisz się przedstawiać. Rozpoznałabym to skrzypienie nawet w piekle. *Sorry*, odebrałam automatycznie i pomyślałam, że to przyjaciółka.

– Przyjaciółka czy kochanka? Nie, dobra, nie odpowiadaj. Zbyt dużo szczerości w środku nocy może człowieka zabić. Wsiadłem właśnie do samochodu. Dostałem wezwanie do ciekawego trupa. Pomyślałem, że chciałabyś go zobaczyć.

– Ciekawego, to znaczy?

– Nagi facet obwiązany sznurkiem jak baleron. Róg Bukowskiej i Grochowskiej. Czekam na to, co mi powiesz o sprawcy. Pospiesz się. Denat jest jeszcze ciepły.

*

Budynek składał się z dwóch pomieszczeń. Mikroskopijnej toalety i pomieszczenia będącego pracownią. Urszula czekała na swoją kolej, by wejść do środka. Stała w drzwiach i obserwowała wszystko z progu.

– Technicy kończą zabezpieczanie śladów, a przynajmniej tego, co po nich zostało. Mam nadzieję, że ratownicy nie zdeptali wszystkiego. Za chwilę będziemy mogli wejść.

– Widzisz to, co ja?

– Czyli co?

– To samo co ostatnio. I co poprzednio.

– Proszę cię, Urszula. Jest środek nocy. Jeśli chcesz teraz przeprowadzać testy na moją inteligencję lub błyskotliwość, to ja wymiękam.

– Teatralny klimat. Widzisz go? – Omiotła spojrzeniem wewnątrz. – Widzisz? Znowu wszystko jest jakieś takie... idealne. Może nie przepiękne i czyste, ale – złożyła dłonie w ramkę – wyszłyby z tego ciekawe zdjęcia.

Cała podłogę przykrywała cienka warstwa wiórów. Błat roboczy i półka z narzędziami były dosunięte do ściany. Obok nich stała częściowo odnowiona komoda. Denat leżał w mniej więcej jednej trzeciej odległości pomiędzy wejściem a przeciwległą ścianą. Ciało było ściśle owinięte sznurem. Urszula nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła do niego podejść i przyrzuć się z bliska.

– Czy ja wiem? – Chmielewski wzruszył ramionami. – Trudno jednak nie zauważyć denata. Gdybyś była ciekawa. To Piotr Sternal. Miał przy sobie dowód osobisty, prawo jazdy, inne dokumenty i – zawiesił głos – kluczyki od samochodu.

– I czemu robisz taką minę?

– Bo napad rabunkowy możemy wykluczyć. Z papierów wynika, że gdzieś tu stoi Aston Martin z końcówki lat pięćdziesiątych.

– No i?

– Ha! Widzisz, ja nie kumam klimatu teatralnego, a ty kultowych samochodów.

Astonem Martinem jeździł James Bond w „Goldfinger”, „Operacji Piorun”, „Golden Eye”, „Jutro nie umiera nigdy”, „Casino Royal”, „Skyfall” i w „Spectre”.

– James Bond i Piotr Sternal? Ciekawe.

– Możecie wchodzić. – Technik dał im znak, że skończył pracę.

Ruszyli jednocześnie, ale nie zmieścili się razem w drzwiach. Chmielewski cofnął się i przepuścił Urszulę.

Od środka wszystko wyglądało jeszcze bardziej teatralnie. Ułożenie linii na ciele ofiary stanowiło przemyślaną konstrukcję, miejscami wrzynającą się w bardziej mięsiste części ciała Sternala.

– Kto go znalazł?

– Kobieta, chwilowo jeszcze anonimowa. Zadzwoiła na pogotowie, podała adres

i powiedziała, że widziała tu nieprzytomnego człowieka. Pierwsza na miejscu była karetka, ale baby już nie było.

*

Szare kropki pojawiały się na ekranie, znikaly i powracały. Oznaczało to, że jego rozmówca się wahał. Pisał coś, potem to usuwał i znowu pisał.

Remigiusz tego się najbardziej obawiał. Postawił wszystko na jedną kartę. Podjął decyzję sam przed sobą, a teraz, kiedy przystąpił do jej realizacji, zaczęły pojawiać się problemy.

– Spokojnie, spokojnie – mówił sam do siebie. – Nie problemy, tylko jak już, to jeden problem. Poza tym, to na pewno nie to, o czym myślę.

Oczyrna wyobraźnia widział zgorzenie na twarzy rozmówcy. Wykrzywione usta, zmrużone oczy i palce, które to wprowadzają kolejne litery na ekran, to zastygają nad klawiaturą.

Kropki znowu zniknęły, a Remigiusz pomyślał, że jego rozmówca po raz kolejny usunął to co napisał.

– Może uznał, że „Spierdalaj, zbrojeńcu!” jest zbyt mocne i szuka teraz łagodniejszego sformułowania? Nie – rzucił w powietrze, kiedy na ekranie zamiast kropek pojawiły się dwa wyrazy.

„Jesteś pewien?”

Remigiusz odczytał pytanie kilka razy i nie mógł usiedzieć z radości. Najwyraźniej bardzo dobrze wyczuł sytuację. Wykazał się odrobiną inicjatywy, ale nie przestraszył rozmówcy. Wręcz przeciwnie. Dał mu sygnał, że jest gotowy do przejścia na kolejny poziom.

„Jestem” – odpisał, niezbyt szybko, żeby nie wyjść na desperata.

„Nie zmienisz zdania?” – odpowiedź przyszła od razu.

„Nie. Chcę tego”.

„Bardzo?” – na końcu wypowiedzi pojawił się emotikon.

Kiedy zaczęli swoją znajomość, Remigiuszowi wydawało się, że pisanie na komunikatorze mija się z celem. Nie będą w stanie nabrać do siebie zaufania, nie patrząc sobie w oczy. Potem jednak okazało się, że o wiele łatwiej jest mówić o swoich pragnieniach, kiedy w oczach rozmówcy nie odbija się nasz własny strach.

Emotikony pomagały mu nie tylko lekceważyć lęk, ale też pozorować, że jest dużo bardziej wyluzowany, niż był w istocie. Po każdym dwuznacznym pytaniu dodawał buźkę z jednym zamkniętym okiem. A przy każdym trudnym wyznaniu – uśmiech, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

„Bardzo. Nie musisz pytać. Przecież wiesz. Wiesz, że od kilku tygodni nie potrafię myśleć o niczym innym”.

Tym razem nie dodał żadnej buźki. Chciał, żeby to zabrzmiało poważnie. Żeby on

wiedział, że Remigiusz jest gotowy i zrobi wiele, żeby zrealizować ich wspólne marzenie.

„Niby wiem, ale wiem też, że zastanawiałeś się nad moralnością i tym, czy to jest normalne. I że to nie do końca jest fair...”

„Przestań, proszę. Zawsze byłem z tobą szczery, znasz więc moje obawy i marzenia. Ja podjąłem decyzję, ale może ty chcesz się wycofać, co?”

„Nie, Remik, to nie to. Ja jestem zdecydowany, ale chcę jednak mieć pewność, że i ty ją masz”.

„Mam. Gdybyś stał tu przede mną, to wykrzyczałbym ci w twarz <<Pierdolę zasady!!!>>. Pierdolę! Rozumiesz? Chcę tego. Przestańmy o tym gadać. Zróbmy to w końcu, OK?”

*

Po sesji z klientem Aleksandra wsiadła do samochodu. Miała wolną godzinę i jedną rzecz do sprawdzenia. Musiała jak najszybciej opuścić centrum, co nie było takie łatwe jak kiedyś.

Wyłączona sygnalizacja świetlna i czerwone drogi rowerowe zajmujące dawne pasy ruchu samochodowego zrewolucjonizowały serce miasta do tego stopnia, że nawet ona, poznanianka z krwi i kości, czuła się w nim zagubiona. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby drogi rowerowe zajmowały środek pasa ruchu. Jeśli jazda rowerem po Poznaniu miała stać się dzięki temu bezpieczniejsza, to Aleksandra była przekonana, że najwcześniej stanie się tak za kilka lat. Na razie po centrum wszyscy jeździli nerwowo i bardziej na wycucie niż zgodnie z przepisami. Zarówno kierowcy, jak i rowerzyści. Firma Emocje.pl, którą chciała odwiedzić, mieściła się w biurowcu przy Romana Maya. Kiedy sprawdzała adres w internecie, okazało się, że prowadzi się tam mnóstwo różnego rodzaju działalności gospodarczych, począwszy od biura rachunkowego, przez pośrednictwo kredytowe, fundację, recykling, mechanikę samochodową, na hurtowni elektrycznej kończąc. Gdzieś między tym mydłem i powidłem swoje miejsce znalazł Marcin Karbowski, współwłaściciel Emocje.pl. Opowiadał Aleksandrze o tym, czym się zajmuje, ale nigdy nie wspominał nazwy firmy. Znalazła ją w internecie bez najmniejszego problemu. Firma, która oferowała usługę przekazywania emocji na zlecenie, była monopolistą.

– Dzień dobry, nazywam się Aleksandra Wilk. Czy pan Michał?

Biuro Emocje.pl nie miało więcej niż dwadzieścia metrów. Mieściło dwa biurka nie pierwszej młodości i jeden regał. Ewidentnie było odwrotnie proporcjonalnie okazałe do firmowej strony internetowej.

– Michał, zgadza się, ale nie byliśmy umówieni. – Młody chłopak wyglądał na zdziwionego.

– Nie byliśmy. Przejeżdżałam nieopodal, więc pomyślałam, że wpadnę. Cieszę się, że

pana zastałam. – Uścisnęła jego dłoń. – Jestem... znajomą Marcina.

– Marcina?

– Pana wspólnika. Opowiadał mi o waszej firmie, o tym, jak ją zakładaliście, jak wpadliście na pomysł wyrażania emocji za kogoś. O pierwszych zleceniach i reakcjach ludzi.

– Znajomą? Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska...

– Wilk. Aleksandra Wilk. Spotykaliśmy się raczej biznesowo – starała się uściślić. Ale co miała powiedzieć? Że jest psychologiem, a Marcin przychodził do niej regularnie? Że przekroczyli granicę, której przekraczać nie powinni? – Pewnie panu o mnie nie wspominał, ale mnie o panu, owszem... Przejeżdżałam, więc pomyślałam, że wpadnę. Musimy porozmawiać.

Im więcej słów padało z jej ust, tym bardziej mężczyzna się zamykał. Założył rękę na rękę, skrzyżował nogi i zmarszczył czoło.

– Lepiej jeśli pani sobie pójdzie. Marcin... Marcina nie będzie... dziś w pracy... Yyy, to znaczy...

– Nie żyje. Tak, wiem. Dlatego tu jestem. Nie znam ustaleń policji, ale chciałam pana dopytać o wrogów. Przekazując ludziom emocje innych, komunikując o końcu związku, współpracy, miłości czy przekazując pretensje, wasza firma, a Marcin pośrednio, mogła się nabawić niezadowolonych klientów.

– Nasi klienci są zawsze zadowoleni – wyrecytował jak automat.

– Spokojnie. Mówiłam już, że byłam znajomą Marcina. Był ze mną szczery i wiem, że z tym zadowoleniem nie zawsze było tak kolorowo. Że czasem powiedzenie kobiecie przez posłańca, że to koniec, przynosi efekt odwrotny do zamierzonego. Kobieta gryzie nie tylko rękę posłańca, ale i z pianą na ustach rzuca się na tego, kogo nie było stać na to, by porozmawiać z nią w cztery oczy.

– Skoro pani wie, to czemu pani pyta?

– Bo wiem tylko tak ogólnie, ale może panu przyjdzie na myśl ktoś, kto mógłby chcieć zabić Marcina. Jakies nazwiska? Podejrzane maile?

Chłopak przyglądał się Aleksandrze przez dłuższą chwilę. Nie protestowała. Widziała, że jego twarz powoli się rozpromienia. W końcu uśmiechnął się szeroko i wydał z siebie długie:

– Aaaaa, Wilk! Teraz w końcu kojarzę nazwisko i kolor włosów. Marcin wspominał o rudej... koleżance.

Aleksandra już miała się ucieszyć, że dobrze zrobiła, że tu przyjechała i jeszcze raz spytać o nazwiska podejrzanych klientów, ale wtedy Michał zadał pytanie, które sprawiło, że zapragnęła zapaść się pod ziemię:

– Seksiliście się, prawda?

*

Kobieta podjechała bezpośrednio pod pracownię. Zaparkowała volvo na niewielkim placu i wysiadła, trzaskając drzwiami. Tomasz spojrział tęsknym wzrokiem na kanciaste auto, które było przepięknie utrzymanym modelem z lat sześćdziesiątych.

– Gdzie on jest? – krzyknęła, kierując się prosto do wejścia.

– Chwileczkę! – Urszula ją zatrzymała. – Dowód osobisty proszę!

– Pani chyba żartuje! Jestem żoną! Mam prawo tu wejść.

– Komisarz Urszula Zimińska, ja mam prawo panią wylegitymować.

Krótkowłosa blondynka spojrzała lekceważąco najpierw na Urszulę, a później na niego. Tomasz wytrzymał jej wzrok, dając do zrozumienia, że to on jest policjantem i ma w tej chwili władzę nad wszystkim, co się tu dzieje.

– Panie władzo – spuściła z tonu, próbując się delikatnie uśmiechnąć.

– Proszę robić to, co każe koleżanka – burknął.

W ciągu tych trzech metrów, które pokonała od samochodu do wejścia, przyjrzał się jej na tyle dokładnie, by przyczepić jej etykietę podstarzałej hipsterki. Miała na sobie rozpięty czarny płaszcz, spod którego wystawała koszula w kratę, zawiązana niedbale na brzuchu. Do tego granatowe dzinsy, skórzana torba przewieszona przez ramię i niemal łyśa głowa.

– Nazywam się Anna Misztak-Sternal i zawiadomiono mnie, że mam się tu stawić, bo mój mąż nie żyje – wyjaśniła, podając dowód Urszuli.

– Zgadza się. Chcemy z panią porozmawiać. Zapraszamy do środka. – Urszula skinęła na Tomasza. – Uprzedzam jednak, że ciało pani męża zostało już zabrane. Proszę niczego nie dotykać, ale wszystkiemu się dokładnie przyjrzeć. Kiedy była pani w pracowni męża po raz ostatni?

– Piotr lubił pracować w samotności. W ogóle to ja mam swoją pracę, a on swoją. Nie zaglądaliśmy sobie przez ramię. Byłam tu, gdy otworzył pracownię, a później może ze dwa razy.

– A ostatnio?

– Jakiś miesiąc temu? Zobaczyć krzesła, które restaurował nam do jadalni. Nie zawsze trafiał w mój gust, a nie chciałam, żeby przynosił do domu brzydactwa. Bo przynieść było mu zawsze o wiele łatwiej, niż wynieść...

Urszula otworzyła drzwi i wpuściła kobietę przodem. Ta weszła i od razu zatrzymała się przy krzesłach.

– One nigdy tak nie stały. Zawsze były porozpieprzane na wszystkie strony. Piotr nie należał do porządników. Nigdy nie odkładał rzeczy na miejsce.

Tomasz zauważył, że kobieta dużo uwagi poświęciła wadom swojego przed chwilą zabitego męża, nie pytając o to, co powinno ją w tej chwili interesować najbardziej – o przyczynę zgonu. Porządek był dla niej ważny. To zdążył już zaobserwować. Zanim weszła do pracowni, wytarła buty o wycieraczkę, a później zdjęła płaszcz i powiesiła go na haczyku za drzwiami z taką dbałością, jakby przygotowywała instalację muzealną.

– Może skupmy się na krzesłach – zaproponowała Urszula.

– Odrestaurowane stały pod oknem, a reszta byle gdzie. A teraz? Jak w kinie, równiutko, w rzędach. Ale niech pani zwróci uwagę, że one są jeszcze posegregowane według czasu pochodzenia. W pierwszym rzędzie styl Ludwik XIV, czyli barok, w drugim

rzędzie Ludwik XV, to znaczy rokoko, a na końcu klasycyzm, czyli krzesła w stylu Ludwika XVI.

Tomasz próbował znaleźć różnice między meblami, ale nie potrafił. Widział jedynie kilkanaście krzesel, które albo były brzydkie, albo odnowione, ale nadal daleko było im do ideału piękna.

– Czyli ktoś je przestawił? – Uznał, że to bardziej istotne niż fakt, z jakiej epoki pochodzą.

– Na pewno nie Piotr.

– Może zabójca. Proszę się skupić. Czy coś jeszcze znajduje się w innym miejscu niż zwykle?

Pytanie Urszuli sprawiło, że zdał sobie sprawę z tego, że nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Była maksymalnie wycofana i jakby przezroczyista. Podążała za żoną denata, wskazywała jej delikatnie kolejne obszary, którymi mogłaby się zainteresować, jednocześnie niczego nie sugerując ani nie narzucając.

– Stół roboczy! Zawsze stał na środku.

– Na środku... czyli? – Urszula włożyła rękawiczki, złapała stojący pod ścianą mebel i go uniosła.

Zanim postawiła go z powrotem na ziemi, Tomasz usłyszał dźwięk metalu upadającego na płytki podłogowe.

– Czyli tutaj. Mniej więcej w jednej trzeciej długości pokoju.

– Czyli dokładnie w miejscu, w którym leżało ciało pani męża. Dlatego stół musiał zostać odsunięty. Przeszkadzał zabójcy w ułożeniu zwłok.

– Uła? – przywołał koleżankę i dyskretnie pokazał jej to, co przed chwilą upadło na ziemię.

Metalowy kulkowy łańcuszek, na którym znajdował się nieśmiertelnik. Policjantka spojrzała na niego znacząco, błyskawicznie chwyciła łańcuszek i schowała go do foliowej torebki na dowody, którą wyjęła z kieszeni.

Po chwili wróciła do żony denata, podstawiła jej krzesło i poprosiła, by usiadła. Sama zrobiła to samo i powiedziała:

– Pani Anno, mamy do pani kilka pytań. Podejrzewam, że nie będą łatwe. Gdyby z jakiegoś powodu była pani skrępowana obecnością mojego kolegi, proszę powiedzieć.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabym być...

– Ciało pani męża leżało na podłodze. Było nagie i od szyi aż do stóp owinięte sznurem. Nie byle jak owinięte, jeśli wie pani, co mam na myśli.

– Na miłość boską, co pani mówi?! Nagi w pracowni? Myślałam, że go okradli i zabili!

– Podejrzewam, że to, co tu zastaliśmy, było efektem zabawy noszącej nazwę *bondage*... Czy wiedziała pani o skłonnościach męża?

*

Policjant wyszedł, a one zostały same. Anna nie miała pojęcia, czy to pomoże jej w tej rozmowie, ale uznała, że skoro może pozbyć się z pracowni mężczyzny, to musi to zrobić.

– Mam nadzieję, że pani kolega się nie obrazi – przerwała ciszę.

– Nie. – Policjantka uśmiechnęła się łagodnie. – To nasza praca, nie traktujemy tego osobiście.

– Może to i dobrze. Kto go znalazł?

Anna spojrzała na podłogę. Była brudna. Przykryta warstwą pozostałości po szlifowaniu drewna. To dlatego rzadko tu bywała. Nie mogła znieść bałaganu, który Piotr nazywał twórczym nieładem. Zawsze czuła się w pracowni bardziej niż niekomfortowo, a dzisiaj wstyd jej było za to, że w takich warunkach przyjmowała gości.

– Przypadkowa kobieta.

– Na pewno przypadkowa?

– Niech mi pani opowie o skłonnościach męża.

– Skłonnościach... – powtórzyła.

Uczucie wstydu się nasilało. Samo wyobrażenie nagiego Piotra, leżącego na podłodze i spletanego sznurem, wywoływało w niej odruch wymiotny. Nie musiała go takiego oglądać, ale świadomość, że widzieli go inni, rozmawiający z nią teraz ludzie, była okropna.

Wstydziała się i za siebie, i za niego.

– Mąż lubił zabawy w krępowanie?

– Piotr kochał meble. Miał zmysł, który podpowiadał mu, w które zainwestować czas, żeby wydobyć z nich duszę i piękno.

– Praktykowaliście państwo BDSM?

– Co też pani! – zaprotestowała.

Uważne spojrzenie policjantki sprawiło, że pomyślała, że być może odpowiedziała zbyt szybko. Może powinna spytać, co oznaczają te cztery litery? Zrobić coś, dzięki czemu zostanie uznana za normalną kobietę, której życie seksualne nie wybiega poza ogólnie przyjęte normy?

Kiedyś nie wybiegało. Parzyli się jak króliki, nie zwracając uwagi ani na porę dnia, ani na miejsce. Po ślubie skupili się na budowaniu swoich karier, a seks stał się dobrem weekendowym. Chodzili ze znajomymi po knajpkach, pili *prosecco* i pijani wracali do łóżka.

– Ludzie cudownie się różnią, także w kwestiach preferencji seksualnych. Nie ma się czego wstydzic – naciskała łagodnie policjantka.

Anna musiała coś powiedzieć. Ale co? Że jej mąż z nudów zaczął szukać urozmaicenia i dotarł tam, gdzie ona nie chciała iść? Że zbudowane kariery wymagały energii, by je utrzymać; że *prosecco* zamienili na pite w samotności wino?

– Nie ma się też z czego cieszyć, zwłaszcza jeśli różnią się w parach.

– Czyli rozumiem, że preferencje męża...

– Popsuły wszystko? O to chciała pani spytać? Trudno mi zaprzeczyć. Piotr dbał o urozmaicenie naszego łóżkowego życia. Nie pamiętam już, kiedy przyniósł do domu kajdanki. Nie wiedziałam niczego złego w ich wypróbowaniu. Przykuł mnie do łóżka.

Odegrał jakiś teatrzyk. Seks był OK. Ograniczenie ruchów nie wpłynęło w żaden sposób na jego jakość. Szybko zaczął prosić, żebym go skuwała. Pierwszy raz był dziwny. Drugi nudny. Przy trzecim się wkurzyłam. Unieruchomione męskie ręce oznaczają... Wie pani, brak stymulacji erogennych stref kobiety. On był więc cholernie podniecony, a ja mogłam w myślach opracować listę zakupów. Kolejnego razu nie było. Były za to niekończące się rozmowy. O tym, że jemu czegoś brakuje, że chce się czuć ograniczony, poniżony, skrępowany. Że podnieca go moja dominacja. Wie pani, może ja nie mam łatwego charakteru i czasem narzucam swoje zdanie, ale też chcę czuć się czasami jak niedoświadczona dziewczyna.

– Rozumiem.

– Jeśli pani tego nie przeżyła, to nie wiem, czy jest pani w stanie to zrozumieć.

Nie chciała mówić nic więcej. Zawsze była pewna siebie, a fakt, że jej mąż stał się obojętny na jej wdzięki, był jak uderzenie w twarz. Mężczyznom, których znała przed Piotrem, wystarczało jej ciało. Nawet jeśli nie miała ochoty na realizację ich fantazji, była w stanie namówić ich do innych zabaw.

Piotr był uparty. Próbował ją przekonać. Prosił, groził, płakał. Mówił, że to dla niego bardzo ważne. Że nie chce jej zdradzać, bo przecież się kochają, ale chęć bycia związanym kręci go bardziej niż jej cycki.

Zabolało. Wtedy, kiedy usłyszała to po raz pierwszy. Bolało, kiedy próbowała wprowadzać inne urozmaicenia w alkowie. Bolało nawet teraz, bo co miała powiedzieć wpatrującej się w nią policjantce? Że te wszystkie ciuchy i pewność siebie to maska, bo tak naprawdę jest tak nieatrakcyjna seksualnie, że jej mąż wolał krępowanie ciała przez obce osoby?

– Czy on? Czy on mnie zdradził? Współżył z kobietą, która go wiązała?

– Dowiemy się tego po sekcji zwłok. Musi pani jednak wiedzieć, że dla części osób zafascynowanych *bondage* sam akt wiązania lub bycia związywanym może nieść spełnienie. Nie potrzebują pozostałych czynności seksualnych. Czy wie pani, z kim mąż mógł się dzisiaj spotkać?

– Nie. Klientów zapisywał w swoim notesie, tradycyjnym, papierowym. Powinien być albo w pracowni, albo w jego samochodzie. Co do osób, z którymi... no ten... Nie wiedziałam o tym. Kiedy podczas jakiejś kłótni kazałam mu się leczyć, zamknął się. Przestaliśmy spać razem. Dotykać się i... Miał do mnie żal i nawet go nie ukrywał. Odbiło się to na całym naszym życiu. Od ponad roku żyliśmy właściwie już tylko obok siebie.

– Co pani robiła wieczorem i w nocy?

– Pracowałam do późna, wróciłam do domu, zjadłam kolację i poszłam spać. Czy mogę już zabrać stąd samochód męża? Nie chciałabym, żeby Aston Martin stał tu dłużej niż to konieczne. Jest dużo wart, a mieszkańcy okolicznych domów... Zresztą co ja będę pani mówić, sama się na pewno pani już rozejrzała.

Mieszkanie Dagmary Witczak było małe i raczej odpychające. Wąski korytarz, maleńka kuchnia, łazienka z sanitariatami i płytkami z końcówki lat osiemdziesiątych oraz dwa pokoje, z czego jeden z nich użytkowany był w ciągu dnia, a w drugim stały jedynie łóżko i szafa.

– Tu będziesz spała. – Dagmara podeszła do szafy i uchyliła drzwi. – Zobacz, zrobiłam ci trochę miejsca, żebyś mogła się rozpakować. Ilona, wiem, że przyzwyczajona jesteś do innego standardu...

– Przestań! – Ilona podeszła do Dagmary i przytuliła ją. – Zapewniasz mi dach nad głową, będę ci wdzięczna do końca życia.

Dziewczyna pracowała w salonie kosmetycznym od trzech lat. Była młoda i pochodziła z wielkopolskiej wioski. Do Poznania przyjechała w poszukiwaniu bogatego męża i pracy. W salonie kosmetycznym, z pomalowanymi ustami i doklejonymi rzęsami wyglądała znośnie, ale żeby jej figura i twarz nabrały miejskiego wyglądu, kuszącego poznańskich singli, musiałaby zainwestować w siebie dobre kilkadziesiąt tysięcy. Ilona знаła się na rzeczy, uważała przecież, że inwestycje w siebie są najlepszymi inwestycjami. Powiększenie biustu, poprawienie pośladek, kwas hialuronowy w usta, rozprostowanie niewielkich, ale odstrasających samców lwich zmarszczek, akrylowe paznokcie i korekta nosa. To powinny być według niej topowe pozycje na liście *must have* Dagmary.

– Nie, to ja jestem ci wdzięczna, bo gdyby nie praca u ciebie, to nie byłoby mnie stać na wynajem całego mieszkania. Nadal mieszkałabym w jednym pokoju.

– Wynajem... No właśnie, nie myślałaś o tym, żeby jednak coś kupić? Jesteś zatrudniona u mnie na umowę o pracę, bez problemu dostaniesz kredyt.

– Nie, to nie moja wizja życia. Jak znudzi mi się kolor ścian, to nie muszę ich malować, mogę się przeprowadzić. Jak poznam Pana Idealnego, tak samo. A tak rata kredytu hipotecznego będzie zmuszała mnie do wyrzeczeń... Poza tym nie sądzę, żeby mi przyznali. Ostatnio trochę się zmieniło w systemie wynagrodzeń.

– Jak to?

– Paweł podczas twojej nieobecności wprowadził system motywujący, jak to określił. Zmniejszył nam wszystkim podstawy wynagrodzenia i wprowadził nierealne do zdobycia premie.

– Żartujesz? – Ilona zaakcentowała wszystkie sylaby jednocześnie, kładąc ręce na biodrach.

– Niestety nie. Szarogęsi się od pierwszego dnia. Ilona, głupio mi to mówić, bo to jednak twój mąż, pewnie niedługo mu wybaczysz i wrócisz do niego, ale on zamiast pilnować interesów, gzi się z młodą panną, którą zatrudnił.

Ilona opadła na łóżko. Tyle tygodni spędziła w szpitalu z dala od prawdziwego życia, tłoku ulicznego i nie myśląc o swoim ukochanym salonie, że teraz pokonanie dystansu między taksówką a wejściem do wieżowca, w którym mieszkała Dagmara, następnie dojście na sam koniec korytarza i zwiedzanie mieszkania wyczerpało ją fizycznie.

– Przepraszam, możesz dać mi coś zimnego do picia? – spytała, a Dagmara bez słowa

wybiegła z pokoju.

Domyślała się, że dzisiejszy wysiłek fizyczny to dopiero początek nieprzyjemnych doznań, i że najtrudniejszy będzie wysiłek psychiczny. Paweł podczas ostatniej wizyty w szpitalu wydawał się opiekuńczy i normalny, taki jak przed ich sierpniową kłótnią. Wtedy kazał jej się wyprowadzić i była przekonana, że będzie musiała stoczyć z nim wojnę, żeby nie dać się zniszczyć.

Teraz nie była niczego pewna, poza tym, że musi zatrzymać złość w sobie. Musi poczekać, aż nadejdzie najlepszy moment na atak, przywdziać owczą skórę i zredukować do minimum liczbę wrogów.

*

Przemek Garczyński wmieszał się w tłum.

– Co się stało? – spytał kobietę w odpowiednim wieku.

Zawsze dokładnie typował osobę, którą zagadnie, by w krótkim czasie otrzymać jak najwięcej informacji. Po meczu na przykład podchodził do młodych mężczyzn, bo to oni bywali najbardziej rozmowni i w entuzjastyczny sposób opowiadali o tym, co zobaczyli. Na wiecach politycznych – do ludzi energicznie potrząsających przygotowanymi w domu transparentami, a na miejscu domowych tragedii – do wszechwiedzących plotkar.

– Panie, jakieś sado-maso się tu uprawia. Lateksy, maski i biczowanie. Gość się podduszał i tak się poddusił, że aż się powiesił.

– Jaki gość?

– Właściciel tej pracowni! – Wskazała ręką na niski budynek znajdujący się na rogu ulicy i nasunęła wełnianą czapkę na uszy.

Przemek nie podjeżdżał na miejsce zdarzenia z frontu. Wiedział, że nie ma szans na zdjęcia z bliska, bo policjanci nie lubili aparatów innych niż policyjne. Wjechał od tyłu. Znał te rejony, ostatni raz był tu kilka dni temu i wiedział, że wzdłuż bloku usytuowanego bezpośrednio przy Grochowskiej znajduje się uliczka dochodząca niemalże do Bukowskiej.

– A on był stąd? Mieszkał gdzieś tu? – Informacje o ofierze były dla Przemka cenne. Jak na razie zwłoki mężczyzny nie dawały mu za wiele. Musiał zebrać jakieś fakty z jego życia, żeby odpowiednio doprawić nimi wiadomość o jego śmierci.

– Ten przystojniaczek? Nie. On tu nie pasował. Nie wiem, gdzie mieszkał, pewnie w jakiejś rezydencji. Chodził ubrany jak ci w telewizji i jeździł tym cackiem. – Spojrzała z pogardą na stojącego nieopodal srebrnego Astona Martina.

Omiótł wzrokiem podniecające kształty delikatnie przyprószone śniegiem.

– U-hu-hu! Wie pani, ile takie auto kosztuje? Ta renowacja mebli to chyba dobry interes... No chyba że miał jakieś inne źródła dochodów?

– Nie wiem, nie zaglądałam mu do portfela... Ale wie pan, oliwa zawsze sprawiedliwa.

Facet nie był stary, a już go nie ma. Powiesił się, więc już sobie więcej nie pojeździ. Roześmiali się równocześnie. Dzielili ich dwa pokolenia, płeć i zapewne doświadczenia życiowe, ale w tej chwili połączyły ich zawiść i poczucie sprawiedliwości. Pierwotne instynkty, które zwykle ukrywały się pod falbanami inteligencji czy kultury osobistej.

– Pani Jadwigo! Pani Jadwigo!

Na horyzoncie pojawiła się staruszka w berecie. Przemieszczała się od strony budynku, w którym znaleziono zwłoki mężczyzny, w takim tempie, że Przemek niemal był pewien, że za chwilę kobieta przewróci się na ziemię i będzie musiał pomóc jej wstać. Uważał, że ludzie w tym wieku powinni siedzieć na fotelu przed telewizorem, a nie próbować biegać po chodnikach, które nad ranem przyprószył śnieg.

– Pani Jadwigo! – Staruszka dopadła kobiety, z którą rozmawiał i zupełnie nie przyjmując się jego obecnością, zaczęła opowiadać: – Mam, mam! Nowe wieści. On się nie powiesił. Rozmawiałam z Henrykiem, tym z drugiego bloku. Podobno był na spacerze z Bobikiem i podszedł tu sobie, bo zobaczył karetkę. Policji jeszcze nie było, więc nie wiedział, że to sprawy ostateczne. Zajrzał przez okno i zobaczył...

– Co zobaczył?

Pytanie padło z ust rozmówczyni Przemka, ale był jej za to wdzięczny. Chciał zapytać o to samo, ale obawiał się, że jeśli się odezwie, to przepłoszy podekscytowaną staruszkę. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że wiadomości wyciągnięte od gapiów mają niewielką wartość, jednak jego dziennikarski idol zawsze mówił, że tłum wie najlepiej, nawet jeśli nie wie nic. Zbiorowe rozmycie odpowiedzialności sprawiało, że ludzie w kupie chętnie mówili znacznie więcej niż podczas rozmowy w cztery oczy.

– Ciało! Pani Jadwigo, ciało! I nawet był na tyle przytomny, że pstryknął zdjęcie. Przez szybę, więc nie widać zbyt dużo, ale widać! Pokazał mi je! Facet leżał nagusieńki na ziemi, okręcony sznurem jak szynka!

– Ale to, że leżał na ziemi, wcale nie oznacza, że wcześniej nie wisiał – oburzyła się rozmówczyni Przemka. – Niech pan jej nie słucha, ona wierzy Henrykowi na każde słowo, a on jest największym kłamczuchem w naszej okolicy. Ja wiem lepiej, bo ja wszystkich uważnie obserwuję i pytam. Rozmawiałam ostatnio z tym od renowacji mebli. Zajrzałam bo chciałam spytać, czy nie odkupiłby foteli po mojej mamusi. Umarło się starowince, a w piwnicy znalazłam coś, co nie wiem czy wyrzucać, czy sprzedawać. Moda teraz jest taka...

– Rozmawiała pani z nim i co?

– Wydawał się normalny. Uprzejmy był. Szanowna pani to, szanowna pani tamto. Nie powiedziałabym, że był zboczeńcem. Chociaż ten samochód, którym jeździł, podejrzanie rzucał się w oczy. Córka mówiła, że może jest gejem, ale ja słyszałam jak rozmawiał z żoną przez telefon. Kłócił się jak mój stary.

– Długo tu prowadził pracownię? I czy w ogóle to miało coś wspólnego z meblami, czy raczej praktykował tu te swoje... – zamilkł na chwilę, nie wiedząc jakiego słowa powinien użyć, żeby nie urazić starszej kobiety – te swoje zberezeństwa?

– Nigdy nie widziałam nikogo dziwnego, kto by kręcił się w okolicy. Chociaż przyznam się panu, że nie wiem, jak ci zboczeńcy od sado-maso wyglądają. Dobrze kojarzę, że ci sado-maso się wiążą?

– Jak wyglądają?! – wtrąciła się druga staruszka. – Normalnie! Co pani, Greya nie czytała? Mnie córka pożyczyła. Trzy części!

Przemek miał dość. Stopy zaczęły przymarzać mu do chodnika, a rozmowa o seksie z kobietami w wieku jego babci wydawała się niesmaczna. Wolał rzucić okiem na zdjęcie denata. Modlił się w myślach, żeby jego jakoś była na tyle wysoka, by nadawało się do wykorzystania w mediach.

Oczywiście nie wiedział, ile kłamczuch Henryk ma lat, ale w dzisiejszych czasach wszystko mogło się zdarzyć. Jeśli miał dziś szczęście, to starszy pan korzystał ze smartfona z aparatem o odpowiednio dobrych parametrach. Jeśli nie – to miał pewnie starą Nokię, na ekranie której można jedynie domyślać się uwiecznionych kształtów.

– Drogie panie, to ja już pójdę. Podpowiedzcie, proszę, gdzie znajdę tego Henryka?

*

– Boże!

Widok Uli stojącej w drzwiach mojego gabinetu sprawia mi tyle radości, że zwyczajnie rzucam się jej na szyję.

– Jesteś! W Poznaniu! Przyjechałaś! Wejdz, proszę!

– Nie byłam pewna, gdzie cię zastanę, ale pomyślałam sobie, że w środku dnia na pewno pracujesz.

– Tak, tak, pracuję, ale tak się składa, że klient właśnie odwołał spotkanie, bo samochód mu się zepsuł i nie zdążyłby do mnie dojechać, wobec czego mam całą wolną godzinę. Siadamy tu czy chcesz wyjść gdzieś do kawiarni?

– A kawę masz?

Oczywiście, że mam. Przygotowuję i trajkotam jak katarynka. Tak bardzo się cieszę, że widzę Urszulę. Wiem, że pomoże mi w moich kłopotach, jeśli tylko zdecyduję się jej o wszystkim powiedzieć.

W końcu z kuchni przechodzimy do mojego gabinetu.

– Wiedziałaś, że mogę na ciebie liczyć. Zebrałaś się z Łodzi i przyjechałaś w mgnieniu oka. Dziękuję. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Co u ciebie? – pytam automatycznie.

– Oki – odpowiada, ale ma dość dziwną minę.

– Nad czym teraz pracujesz?

– Nad sprawą zamordowanej dziewczynki. Sprawca seksualny... Bagienko.

– Właśnie, skoro o sprawcy seksualnym, albo raczej seksie...

– *Fuck*, Olka, nie stopniuj napięcia, tylko opowiadaj! Dzwonisz w środku nocy i nagrywasz się, że masz problemy, a jak zjawiam się u ciebie, to pytasz o moją pracę!

Opowiadać! Żeby to było takie łatwe! Usiąść i powiedzieć, co leży człowiekowi na wątrobie. Znajdujemy się w miejscu do tego stworzonym. Naprzeciwko mnie siedzi osoba, której ufam. A ja nadal najchętniej odsuwałabym w czasie konieczność przejścia do meritum.

– Olka!

– No już. To może od początku, co? Tylko proszę, rozmawiam z tobą jak z przyjaciółką, nie z gliną, możesz więc obiecać, że zachowasz to wszystko dla siebie?

– Gadaj! I obiecuję, nie wyjdę na miasto i nie będę rozgadywać wszystkiego przez megafon. Tylko co bardziej wyraziście kąski...

Żart Urszuli rozładowuje napięcie. W końcu mogę wyrzucić z siebie te wszystkie myśli, które atakują mnie od środy.

– Katarzyna Hałka była moją klientką. Nie żyje. Marcin Karbowski był moim klientem. Nie żyje. Kaśka umarła we wtorek, Marcin w środę.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że zabijasz klientów, którzy rezygnują z twoich usług, albo tych, którzy nie chcą ci płacić... to pamiętaj, że cokolwiek powiesz...

– Pamiętam – przerywam jej. Lubię jej poczucie humoru, ale to nie jest dobry moment.

– Wszystko może zostać użyte przeciwko mnie, a policjantem jest się całe życie, a nie tylko przez tę krótką część doby, kiedy nosi się odznakę w kieszeni. Ula, bez jaj! Wokół mnie dzieje się coś złego, a ja nie wiem co. Kasia zaczęła do mnie przychodzić dawno temu. Miała problemy z samoakceptacją. Była gruba i myślała, że nigdy nie znajdzie miłości. Po czterech miesiącach zrezygnowała z terapii. Wróciła po jakimś czasie, odmieniona. Większa wagowo, z klasycznymi objawami adipofilii. Niby cieszyła się życiem, ale we wnętrzu nadal była smutna, bo wciąż nie znalazła prawdziwej miłości. Opowiadała, że prowadzi blog, na którym tuczyciele mogą na bieżąco śledzić jej przybieranie na wadze. Mówiła, że pasuje jej ten anonimowy podziw, że dzięki temu, że nie widzi swoich adoratorów, czuje się pewniej. Ale zarazem potrzebowała faceta z krwi i kości. Wydaje mi się, że kogoś poznała. Podczas kilku ostatnich sesji nie była już taka przybita. Miała błysk w oczach. No wiesz, TEN błysk! Nie zabiłaby się, nie teraz! Na blogu zapowiadała jakieś ekstraparady na dzień następujący po jej śmierci.

– Wiesz coś o tej jej miłości?

– Nie. Nie wspominała, a ja nie pytałam. Uznałam, że zdążę zrobić to później. To był ten pierwszy etap, kiedy chodzisz z głową w chmurach, kiedy zachwyca cię każdy żuczek, ale zapytana o miłość zaprzeczysz, bo nie dość, że sama jeszcze nie dookreśliłaś tego, co czujesz, to nie masz zupełnie pojęcia, czy ON czuje to samo. To te magiczne pięć minut, kiedy niczego od niego nie oczekujesz. Po prostu cudownie się z nim czujesz. Chcecie gadać dzień i noc. Bez celu. O wszystkim i o niczym. Czas mija, wszystko inne traci na znaczeniu, a ty nadal masz mnóstwo pytań, które chcesz zadać. Bo jesteś jego najzwyczajniej na świecie ciekawa. A kiedy spojrzy na ciebie, to czujesz, jakbyście znali się już przynajmniej milion lat.

Popłynęłam. Widzę to po minie Urszuli. Muszę się pilnować, bo jeszcze zada mi pytanie, po którym się rozkleję.

– Dobra, bo nie miałam ci opowiadać o miłości, tylko o klientach. Kaśka nie miała powodu, by się zabić. Najwyraźniej miała za to nowego chłopaka. Była mocno aktywna na swoim blogu, więc podejrzewam, że faceta poznała przez internet. Pod jej wpisami jest kilka pikantnych komentarzy od kogoś, kto podpisuje się „Wypasacz_Poznań”.

Może to był jakiś zboczeniec?

– A ten drugi facet, też twój klient... Co z nim?

– Marcin Karbowski, typowy zapracowany przedsiębiorca, który uświadamia sobie, że

właściwie ma wszystko oprócz tego co najważniejsze, czyli szczęścia. Facet na poziomie, inteligentny, obyty, ciekawy świata. Najgorsze jest jednak to... Zacinam się, bo jednocześnie chcę i nie chcę tego z siebie wydusić. Najchętniej napisałabym na kartce papieru, a potem dała Ulce do przeczytania. Boję się, że gdy moje słowa wybrzmiały, to wszystko stanie się jakoś tak... bardziej rzeczywiste. Że bestia zyska twarz.

– Najgorsze jest to, że Kaśka, Marcin i Piotr się znali.

– Jaki Piotr?

Cenię ją za bystrość umysłu i spokój, którego mnie często brakuje. Błyskawicznie wychwytuje kolejną informację.

Spoglądam na zegar. Nie zostało nam wiele czasu. Za dziesięć minut na miejscu Urszuli usiądzie moja następna klientka.

– We wtorek zmarła Kasia, w środę Marcin, a wczoraj... mój trzeci klient, Piotr Sternal. Znalazłam go w nocy, w jego pracowni.

Wydusiłam to w końcu z siebie. Czułabym ulgę, ale na twarzy Urszuli toczy się wojna. Pojedyncze mięśnie napinają się i rozluźniają. W oczach zapaliły się najpierw znaki zapytania, a potem wybuchł pożar.

– Olka, to ty dzwoniłaś na pogotowie?

– Skąd wiesz, że dzwoniłam?

– Olka, *fuck*, przecież te rozmowy się nagrywają!

– Cholera! Spanikowałam, nie pomyślałam o tym. Chciałam pomóc człowiekowi. Nie mogłam go tak po prostu zostawić... Ulka, a jak policja do mnie dotrze?! Co im powiedzieć? Prawdę? Że przechodziłam obok, zjrzałam przez okno, bo świeciło się światło. Chciałam zobaczyć, jak jest w środku, bo wiedziałam, że to biznes mojego klienta, ale nie byłam nigdy w jego pracowni... Leżał na ziemi, nie ruszał się, a drzwi były zamknięte. Zadzwoiłam po pogotowie i uciekłam. Chciałam uniknąć konieczności tłumaczenia, bo przecież ratownicy chcieliby mnie spisać, a policja przesłuchać. Ulka, co mam robić? To nie paranoja, prawda? Coś się dzieje!

*

– Do Stanisława Neumaiera Juniora! – zakomunikowała Ilona od razu po wejściu do kancelarii.

Sekretarka uniosła się zza ogromnego biurka, a kiedy zauważyła, że Ilona nie zamierza czekać na uprzejmą wymianę zdań, tylko zmierza prosto do gabinetu, wybiegła, by zagrozić jej drogę.

– Chwileczkę! – W ostatniej chwili wślizgnęła się między Ilonę a drzwi.

– Jestem klientką mecenasa.

– Była pani umówiona?

– Oczywiście.

– W takim razie przejdźmy do biurka, sprawdzę czy jest pani na liście. Nazwisko?

– Ilona Drzewiecka. Proszę spojrzeć dokładnie, na pewno jest!

Ilona odsunęła się od drzwi. Zrobiła nawet trzy kroki w stronę wskazaną przez sekretarkę.

Zadziałało. Sekretarka wróciła do biurka i sięgnęła po kalendarz. Ilona przez chwilę przyglądała się kobiecie, jej grzecznie upiętym włosom, białej koszuli zapiętej po samą szyję i spódnicy idealnie zakrywającej kolana.

Kilkanaście tygodni spędzonych w szpitalu na wpatrywaniu się w chorych ludzi i brzydkie ściany sprawiło, że kobieta wydała się Ilonie ładna. Sama zdziwiła się takim odkryciem, gdyż widywała sekretarkę za każdym razem, gdy przychodziła do Neumaiera na naradę. Nigdy wcześniej nie doszła do podobnych wniosków.

– Drzewiecka?

– Ilona Drzewiecka – powtórzyła, po czym wróciła przed drzwi gabinetu i z nieukrywaną satysfakcją nacisnęła klamkę.

Zanim sekretarka zdążyła do niej dobiec, stanęła przed zdziwionym Neumaierem Juniorem. Siedział przy biurku i uśmiechał się do swojej komórki. Wtargnięcie kobiet sprawiło, że uśmiech zastygł mu na twarzy.

– Pani mecenasie, przepraszam, mówiłam tej pani, że musi być umówiona.

– Pięć minut – zażądała Ilona.

– Już dobrze, pani Małgosiu. Poradzę sobie. – Skinął głową na sekretarkę. – Miło panią widzieć, proszę. – Wskazał Ilonie krzesło.

– Dzwoniłam, ale pan nie odbierał. A szkoda, bo mam coś ważnego do powiedzenia.

– Byłem na rozprawie, a potem miałem spotkanie z klientem. Oddzwoniłbym, niepotrzebnie się pani fatygowała. Przeglądałem właśnie... – Sięgnął po jedną z papierowych teczek leżących na jego biurku. – Naszą sprawę. Niedługo kolejny termin rozprawy...

– No właśnie, dlatego przyszedłam. Nie chcę tego dłużej ciągnąć.

– Dobrze się składa, bo jestem przekonany, że to będzie ostatnia rozprawa. Sąd w końcu podejmie słuszną decyzję o pozbawieniu pani bratowej władzy rodzicielskiej.

– Nie zrozumiał mnie pan. Nie chcę kontynuować. Nie chcę odbierać jej praw do dzieci. Wyszedłam ze szpitala, wszystko się zmieniło. Jakoś się dogadamy i obie będziemy uczestniczyć w wychowaniu dzieci. W gruncie rzeczy... Aleksandra nie jest taką złą matką.

– Nie rozumiem. – Prawnik otworzył szeroko oczy ze zdumienia i aż odsunął się od biurka, jakby chciał z większym dystansem spojrzeć na siedzącą przed nim klientkę. – Przecież to pani przyszła do mnie jakiś czas temu z prośbą o pomoc, a teraz, kiedy jesteśmy o krok od wygranej... – zawiesił głos, który z sekundy na sekundę zawierał w sobie coraz więcej złości.

– A ja rozumiem. Pańskie życie to jedna wielka walka. Z przeciwnikami swoich klientów, z ich prawnikami, z sędziami, z urzędami. Ciągłe użeranie się ze światem. Agresja, manipulacja, dążenie do zwycięstwa za wszelką cenę. Ja tak nie chcę... Nie chcę marnować energii na walkę. Nie umarłam. Dostałam drugą szansę i nie zmarnuję jej. Proszę wystawić mi rachunek i przestać się zajmować tą sprawą.

*

– No w końcu! Jak zwykle spóźniona!

– Co mamy na tapecie? – Urszula zignorowała zaczepkę. Nie zamierzała się tłumaczyć z tego, że ma problem z podróżowaniem po Poznaniu i że straciła czas u swojej serdecznej koleżanki, która zawiadomiła pogotowie ratunkowe o denacie z pracowni.

– Doktor Jacek Socha, klient firmy prowadzonej przez Marcina Karbowskiego. Wspólnik Karbowskiego podał nam namiary na niego, bo awanturował się ostatnio dość mocno. Groził im, mam tu wydruk korespondencji mailowej.

– Dobra, czuję się już wprowadzona w sprawę, idziemy.

Pokonali kilka schodów i weszli do prywatnej kliniki. Po krótkiej rozmowie z recepcjonistką zostali skierowani do gabinetu, w którym przyjmował urolog, doktor Socha.

Pod drzwiami nie było kolejki. Tomasz zapukał i wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź.

Przy biurku siedział szpakowaty mężczyzna w średnim wieku, ubrany w białe fartuch.

– Dzień dobry, starszy sierżant Chmielewski i podkomisarz Zimińska, mamy do pana kilka pytań. – Tomasz przejął inicjatywę.

Urszula trzymała się z boku i przyglądała wnętrzu. Gabinet był duży, jasny i dobrze wyposażony. Błękitne vertikale przysłaniały okno, uniemożliwiając spoglądanie na to, co się dzieje w środku, ale jednocześnie przepuszczając dużą część światła dziennego. Biurko, krzesła, parawan i sprzęt do USG – wszystko to wyglądało raczej jak wyposażenie salonu SPA, mające pomóc się zrelaksować. Nawet kozetka sprawiała pozytywne wrażenie.

– Do mnie? – zdziwił się. – O co chodzi?

– Korzystał pan z usług firmy Emocje.pl.

– Ja?

– Pan chyba nie rozumie. Ja nie pytam. Ja to wiem. Wiem też, że groził pan właścicielowi firmy. Miał, cytuję, popamiętać i zyskać taką nauczkę, żeby przestać bawić się emocjami innych. Dlaczego?

– Bo to, co oferuje jego firma, to dyletanctwo, a nie profesjonalne usługi. Na stronie napisali, że znają się na emocjach, że w profesjonalny sposób wyręczają tych, którym ich wyrażanie sprawia problem. Zapłaciłem więc czterdzieści dziewięć złotych za to, żeby w kulturalny i profesjonalny sposób poinformowali moją kobietę, że jest już byłą kobietą. Uznałem, że to będzie lepsze niż SMS. Zrobili to, ale w taki sposób, że dziewczyna zjawiła się pod moimi drzwiami, z pianą na ustach i tak ogromną agresją, że z trudem sobie z nią poradziłem. Spieprzyli zlecenie. Nie wiem, kto telefonował do mojej dziewczyny, ale na pewno nie żaden profesjonalista. Raczej student przyjęty z łapanki, bez wyczucia, bez umiejętności. Gwarantuję panu, że gdybym powiedział dziewczynie, że to koniec, tak prosto w oczy, to jej reakcja nie byłaby nawet w jednej trzeciej tak gwałtowna. I jeszcze musiałem za to zapłacić.

Dobry zegarek, idealnie przystrzyżone włosy, ekskluzywne pióro leżące na biurku. Urszula uważnie przyglądała się wszystkim przedmiotom, z których wyczytać można było cokolwiek o ich posiadaczu. Doktor Jacek Socha był wykształconym mężczyzną żyjącym na odpowiednio wysokim poziomie. Czterdzieści dziewięć złotych nie stanowiło dla niego majątku. Najbardziej jednak dziwiło ją to, że mężczyzna w takim wieku mógł chcieć wyręczyć się byle kim w sytuacji rozstania się z kobietą.

– Groził pan Karbowskiemu – wtrąciła się. – On nie żyje. Proszę powiedzieć, co robił pan w środę wieczorem.

– Zaraz, chwileczkę! Nie groziłem, tylko się zdenerwowałem. Mam włoski temperament, reaguję zbyt ognście. Pojechałem więc po tym facecie od góry do dołu. Napisałem soczysty mail i od razu mi ulżyło.

*

– Włoski temperament i zlecenie wyrażania emocji innym? Nie jestem psychologiem, ale według mnie to się wyklucza.

Stali przy na parkingu przed prywatną kliniką. Urszula przeglądała coś na ekranie swojego smartfona, a Tomasz analizował rozmowę, którą przeprowadzili kilka minut wcześniej.

– Wyklucza się, wyklucza. Włosi nie mają problemu z wyrażaniem emocji. Robią to trzykrotnie częściej i głośniej niż reszta Europy.

– Dziwny ten facet, ale ma alibi. Sprawdzę je, ale jeśli jest tak jak mówi, to możemy go wykluczyć. Kłótni z dziewczyną nie da się upozorować, zwłaszcza takiej we włoskim stylu. Jeśli naprawdę latały talerze, to powinienem uzyskać potwierdzenie nie tylko od byłej, ale i od sąsiadów. Jedziesz ze mną?

Nie widział sensu w staniu na parkingu przed prywatną kliniką. Równie dobrze mogliby już wsiąść do samochodu i kontynuować rozmowę, przemieszczając się po mieście w bardziej komfortowych warunkach. Otworzył drzwi po stronie pasażera, Ula nie zwracała jednak na niego uwagi.

Na dworze było zimno, na drodze leżał śnieg, a jakaś kobieta próbowała obok jego samochodu zaparkować swojego land rovera. Koła buksowały, a mina kierującej kobiety zdradzała, że nie panuje nad sytuacją.

– O *fuck*! Rzeczywiście!

Krzyk Urszuli sprawił, że oderwał wzrok od land rovera. Patrzyła na niego, jakby właśnie odkryła kolejną zasadę termodynamiki.

– Katarzyna Hałka prowadziła blog, pamiętasz? Zaglądaliśmy na niego.

– Pamiętam. Nudny i mało aktualny.

– Tak nam się przynajmniej wydawało. Albo inaczej, ona chciała, żeby tak to wyglądało. W górnym rogu była ikonka gwarantująca wejście tylko wtajemniczonym. Wejście na prawdziwy blog adipofilki.

– Czego?

- Raczej kogo. Adipofilki, dziewczyny, która uwielbia tyć. Adipofilia to jeden z rodzajów parafilii. Co robisz takie oczy? O dewiacjach słyszałeś?
 - Wiesz co, Ula? Nie mam nic przeciwko dewiacjom seksualnym, ale po pracy, dobra? Wtedy możesz mi pokazać zdjęcia, opowiedzieć co i jak, i w ogóle... Teraz gadamy o Karbowski. I chodź, podejźmy bliżej mojego samochodu, bo tamta baba zaraz mi go uszkodzi.
 - Bardzo śmieszne! – obruszyła się Urszula, ale poszła za Tomaszem. – Parafilie to nowa, bardziej poprawna politycznie nazwa dewiacji. Dobra, mów, co z tym Karbowski.
 - Jeśli potwierdzą alibi Sochy, to motyw gróźb możemy wykluczyć. Przed wyjściem z firmy dostałem wykaz połączeń z jego numeru. Jak wrócę, to je dokładniej przeanalizuję. Rzuciło mi się w oczy dużo SMS-ów z numeru z końcówką siedem siedem siedem. Zwłaszcza wieczorami, po dwudziestej drugiej.
 - Przypomnij, jakiego był stanu cywilnego?
 - Rozwiedziony. Była żona nie ma pojęcia na temat jego obecnego życia uczuciowego, od czasu rozwodu się nie kontaktowali. Brak dzieci i wspólnych zwierząt potwierdza jej wersję. Z kimś się spotykał, tak twierdzi wszechwiedząca baba z bloku, w którym mieszkał.
 - Sprawdzisz te SMS-y? Jeśli nie praca, to może miłość?
 - Alkohol, miłość i choroba to najczęstsze powody zejścia z tego świata. Jedziesz ze mną do przyjaciela Sternala? Muszę go przeprosić.
- Pokręciła głową.
- Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. W okolicy pracuje siostra tej zamordowanej dziewczynki. Chcę z nią pogadać. Widzimy się w firmie. Tomasz?
 - Tak?
 - Ktoś z naszych jest jeszcze w mieszkaniu Hałki?
 - Nie wiem, a co?
 - Chcę tam wpaść i zerknąć na jeszcze jedną rzecz.
 - To musisz zadzwonić do chłopaków. Technicy mieli wziąć pod lupę zamek, żeby ustalić, czy nie ma śladów włamania.

*

Od kilku dni kręcę się w kółko. W nocy było mi zimno podczas spaceru i teraz znowu czuję to samo.

Zaparkowałam przy Szamarzewskiego i idę na UAM. To tam studiowała Kasia. Wiem, powinnam zachowywać się bardziej jak odpowiedzialna matka niż kobieta na tropie. Powinnam najpierw wypełnić wszystkie swoje obowiązki, a dopiero potem szukać odpowiedzi.

Nie umiem. Może jestem niedojrzała, a może mam zbyt emocjonalny stosunek do tego

wszystkiego. Trudno jest mi przejść do porządku dziennego nad tym, że w każdej chwili policja może zapukać do moich drzwi i spytać, co robiłam w pracowni Sternała. Musiałyśmy z Urszulą przerwać rozmowę, bo pojawiła się klientka. Zaprosiłam kobietę do gabinetu i słuchałam jednym uchem tego, co ma do powiedzenia. Myślami byłam przy niedokończonych rozmowach. Co prawda umówiłyśmy się z Urszulą, że po południu znowu się spotkamy, ale nie mogłam usiedzieć w miejscu. Po wyjściu klientki odwołałam kolejne spotkania i przyjechałam tutaj. Pomyślałam, że może tu znajdę jakąś odpowiedź.

Uniwersytet Adama Mickiewicza, a dokładniej jego ulubiona część, wydział nauk społecznych, schowany między drzewami i blokami w spokojnej części miasta. Kasia, studentka kulturoznawstwa; Marcin, prywatny przedsiębiorca; Piotr, człowiek z talentem w rękach. Pamiętam, jak zastanawiałam się, czy terapia grupowa nie przyniesie w ich wypadku lepszych rezultatów. Dobrze nam się osobno współpracowało, ale wszyscy oni byli na podobnym etapie – potrzebowali stymulacji i przesunięcia punktu odniesienia. Uznałam, że najskuteczniejszym sposobem na ożywienie ich światów będzie obce spojrzenie. Że konieczność funkcjonowania w grupie poprawi skuteczność terapii. Sprawę, że ich rzeczywistość skurczy się w mgnieniu oka, że prysną misterne zbudowane zamki na piasku, że będą w stanie wyjść poza siebie i zauważyć pewien mechanizm, nie tylko swój osobisty dramat. – Przepraszam, gdzie znajdę kulturoznawstwo, trzeci rok? – pytam w dziekanacie. – Muszę porozmawiać z siostrą, a nie odbiera komórki.

Sekretarka niechętnie zerka najpierw na mnie, a potem do komputera. Zadaje kilka standardowych pytań, jakby chciała mnie przepłoszyć, ale kiedy się nie daje, odczytuje w końcu numer sali wykładowej.

W drodze na piętro mijam trzy dziewczyny. Kłócą się. Wcale mnie to nie dziwi. Trzy to liczba z bardzo negatywnymi wibracjami. Źle oddziałuje na relacje biznesowe, koleżeńskie czy prywatne. Zawsze jest o jednego uczestnika grupy za mało albo za dużo, zależy kogo poprosić o odpowiedź. W terapii grupowej trójka też jest porażką. Nie zapewnia odpowiedniej masy krytycznej.

– Słyszałeś? Mamy to napisać na poniedziałek, chyba go pojebało. Mam siedzieć przez cały weekend w bibliotece, żeby zebrać materiały?!

– Dla niego siedzenie w biblio to na bank najlepsza rozrywka na weekend.

Z sali wykładowej, pod którą czatuję na przyjaciółkę Kasi, wylewa się grupa studentów. Przyglądam się wszystkim uważnie. Kasia pokazywała mi kiedyś zdjęcie przyjaciółki. Śmiesznie wyglądały razem, jak chodząca reklama przeciwieństw.

Jest! Niska chudzina o bladej twarzy i zapadniętych oczach.

– Aneta? – Podbiegam do niej.

Patrzy na mnie zdziwiona.

– Cześć! Przepraszam, nie pomyliłam się, prawda? Masz na imię Aneta i przyjaźniłaś się z Kaśką?

– Tak? – odpowiada niepewnie.

– Mam na imię Ola i jestem jej terapeutką. Chodź na chwilę. – Łapię ją za rękę i odciągam na bok.

Każda grupa, nawet ta nieformalna, rządzi się swoimi zasadami. Grupa dodaje pewności siebie, ale odpowiednio zarządzana, zwłaszcza podczas terapii, stanowi arenę, na której uwidaczniają się i wyraziście prezentują wszystkie problemy. Grupa terapeutyczna to laboratoryjny eksperyment, ujawniający mocne i słabe strony poszczególnych osób. To dynamiczny twór zawierający w sobie napięcia i liczne sytuacje interpersonalne, na które uczestnik musi reagować, a jego reakcje są później analizowane przez pozostałych.

– Wiem, że się przyjaźniłyście. Kasia pokazywała mi wasze zdjęcie z ogniska i opowiadała trochę o waszych wygłupach.

Stoimy z boku. Dziewczyna słucha mnie, a ja już wiem, że nie ma w sobie ani grama asertywności.

– Kasia była zakochana, prawda?

– Tak.

– Czy wiesz, w kim?

– Nie, nie poznałam go.

– Ale opowiadała ci o nim. Co?

– Że jest cudowny, wrażliwy, że ją rozumie, akceptuje, że pokazuje jej, że mu się podoba...

Boże, same banały. Wszystkie zakochane kobiety mówią tak samo o swoich mężczyznach. Po latach, kiedy miłość mija, zmienia się percepcja, mimo że mężczyzna jest taki sam. „Wrażliwy” ewoluje w „przewrażliwionego” lub „miękkiego”, a „akceptuje mnie” w „w ogóle mnie nie zauważa”.

– Jak wygląda? Gdzie się poznali? – naciskam, bo potrzebuję czegoś konkretnego, jakiegoś punktu zaczepienia.

– Nie wiem. Kasia nie miała nawet jego zdjęcia. Mówiła, że uzgodnili, że dopóki nie będą stuprocentowo pewni, że są dla siebie stworzeni, to energię zatrzymają między sobą.

– Jaką energię?

– Nooo... To całe zakochanie. Prosił, żeby nie zużywała swojej ekscytacji nim na rozmowy z koleżankami.

– Czy on ją karmił?

– O tym też pani mówiła?

Przytakuję, chociaż nie jest to zgodne z prawdą. Mam jednak w pamięci komentarze z bloga i podpis: „Wypasacz_Poznań”.

– Tak, był wypasaczem. Spiknęli się podobno dzięki stronie internetowej, którą prowadziła.

*

Urszula miała średnio udany poranek. Najpierw bezowocna rozmowa z doktorem Sochą,

potem wizyta w miejscu pracy siostry dziewczynki zamordowanej w osiemdziesiątym siódmym, która skończyła się uzyskaniem informacji, że kobieta przebywa obecnie na urlopie. Ostatecznie udało się jej jedynie wyciągnąć z kadr adres zamieszkania nieobecnej kobiety.

Południe też nie należało do najlepszych. Sprawdziła otrzymany adres i odbiła się od zamkniętych drzwi. Zostawiła u sąsiadki swój numer telefonu i postanowiła wrócić do firmy.

Nie dotarła, bo Chmielewski doniósł jej, że technicy kończą robotę na Bukowskiej i jeśli się pośpieszy, to wpuszczą ją do mieszkania. Umówili się też, że o szesnastej spotkają się właśnie tam i razem pojedą dalej.

Podobno Tomasz wpadł na ciekawy trop. Nie pytała o szczegóły, bo poranna rozmowa z Aleksandrą wciąż nie dawała jej spokoju. Na tym etapie śledztwa wyglądało na to, że Marcina Karbowskiego, Katarzynę Hałka i Piotra Sternala dzieliło wszystko, a łączyła jedynie psychoterapia u Aleksandry.

– Chociaż nie. – Wyjęła z kieszeni komórkę. Szybko wybrała numer Oli, a kiedy usłyszała jej głos, odezwała się służbowym tonem: – Olka, szybkie pytanie i odpowiedź.

– No?

– Byłaś kiedykolwiek w mieszkaniu tej swojej martwej klientki?

– Raz. A co?

– Przyjeżdżaj. Bukowska sto osiemnaście. Albo nie, spotkajmy się obok pracowni Sternala, blok obok.

Rozłączyła się i pomyślała, że być może popołudnie będzie bardziej udane. Niecałe dziesięć minut później zobaczyła zaciekawioną twarz Aleksandry.

– Olka, co robiłaś tu w nocy?

– Pytasz, jak się wytłumaczę policji? Mieszkam na Swobodzie, bardzo blisko, pokłóciłam się z Krystianem, nie mogłam zasnąć. Rozsadzało mnie od środka, więc musiałam rozchodzić złość – wyrecytowała.

Urszula pokiwała głową i ruszyła przed siebie. Zatrzymała się przed klatką schodową z numerem sto osiemnaście. Pchnęła drzwi i pokazała koleżance, żeby ta szła przodem.

– Uła, co my tu właściwie robimy?

– Chciałaś, żebym ci pomogła. Pomogę. Ja tobie, a ty mnie. Nie możesz jednak zadawać zbyt dużo pytań. Ja też postaram się ograniczyć swoje. Musimy oprzeć się na zaufaniu.

Bo obu nam zależy na złapaniu mordercy, prawda?

– Oczywiście, że tak, ale...

– Co ale?

– Przerażasz mnie.

Urszula postanowiła pozostawić wyznanie Aleksandry bez komentarza. Uśmiechnęła się tylko i otworzyła drzwi do mieszkania Katarzyny Hałki.

Informacja, że zamek został zamknięty od wewnątrz lub od zewnątrz pchnęłaby śledztwo do przodu. Niestety technicy stwierdzili, że do zamknięcia drzwi użyto klucza oryginalnego klucza. Dorobiony lub wytrych zostawiłyby ślady w zamku.

Urszula liczyła, że odnajdzie nieśmiertelnik i powiąże śmierć kobiety z zamordowanymi mężczyznami. Do wyboru miała dokładne przeszukanie mieszkania albo zaproszenie do

niego kogoś, kto widział je przed śmiercią lokatorki. Policji nadal nie udało się skontaktować z mieszkającą w Lublinie rodziną denatki, Ola wydawała się teraz ostatnią deską ratunku.

– Rozejrzyj się, proszę – powiedziała, kiedy zamknęła za sobą drzwi. – Szukaj czegoś, co może być nie na swoim miejscu. Skup się, Olka.

– Ula! Byłam u niej tylko raz, rok temu. Pracowałam wtedy nieopodal, na Szpitalnej, a Kasia zadzwoniła, że chce się zabić. Oczywiście nie chodziło jej o samobójstwo, ale o zwrócenie na siebie uwagi. Miałam blisko, właściwie po drodze z pracy do domu. Zajrzałam więc kontrolnie. Profesjonalnie, chłodno. Nie przyglądałam się mieszkaniu.

– Przyjrzyj się teraz.

– Dlaczego?

– Bo te trzy osoby, o których mi wspomniałaś, a właściwie na razie dwie, łączą coś jeszcze, poza terapią u ciebie. Przy denacie z centrum i przy tym z pracowni znaleźliśmy nieśmiertelniki. Może nie tyle przy nich, ile ukryte za każdym razem za sprzętem, który stał w innym miejscu, niż powinien. Liczę, że podobny znajdziemy teraz.

*

Nawet nie pytam, skąd to wie. Jest policjantką, więc może mieć dostęp do informacji dotyczących aktualnie prowadzonych śledztw. Co prawda pracuje w Łodzi, a nie w Poznaniu, ale podejrzewam, że kryminalni z różnych miast się znają.

Mieszkanie Katarzyny wygląda tak, jak je zapamiętałam. Jest jasne i optymistyczne. Pamiętam, że wtedy bardzo mocno kontrastowało z jej smutną miną, zapuchniętymi oczami i czarnymi myślami.

– Nie, nie jestem w stanie powiedzieć, czy stół stał w idealnie w tym samym miejscu, czy czajnik... Ale wiesz co?

Przyglądam się ścianie znajdującej się za kanapą i coś mi nie pasuje.

– Kasia robiła sobie dużo zdjęć, które potem publikowała na blogu.

Wyciągam komórkę, wpisuję adres internetowy, odszukuję odpowiednią ikonkę i przenoszę się do adipofilicznego świata, w którym panuje kult jedzenia i tłustego ciała.

– Zobacz. – Pokazuję jej pierwsze zdjęcie z brzegu.

Na kanapie siedzi Katarzyna. Uśmiecha się, ale nie mogę się skupić na jej twarzy.

Widzę za to fałdy. Pierwsza to pewnie jej biust, druga i trzecia to brzuch. Są ogromne i budzą moją odrazę. Wyglądają jak te na ludziku Michelin. Nie są jednak ani białe, ani sprężyste. Dawno temu uległy grawitacji i schodzą ku ziemi, zasłaniając część nóg dziewczyny.

– Widzę. Zrobiła je tutaj, kanapa jest ta sama, kolor ścian też. Usiadła na środku, by obraz za nią był widoczny.

– Obraz! Na zdjęciu jest inny. Z napisem: „*Happiness is not a destination. It is a way you of life*”.

– Faktycznie, teraz wisi w jadalni. A na jego miejscu jest inny.

– „Marzyć więcej, narzekać mniej. Słuchać więcej, mówić mniej. Kochać” – odczytuje na głos. – Olka, myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

Nie odpowiada. Wchodzi na kanapę i zachłannie sięga po obraz. Zdejmuje go ze ściany i ogląda z każdej strony.

– Jeaaa! – wydaje z siebie skowyt satysfakcji, a po chwili pokazuje mi łańcuszek zakończony blaszką. – Wiedziałam. Mamy kolejny nieśmiertelnik. Trzeci. Każdy z nich ma wygrawerowane coś zupełnie innego. To znaczy na każdym są linie krzywe, ale inne.

– Przecież to bez sensu!

– Seryjni mordercy nie działają bez sensu. To, że nie widzimy go teraz, nie znaczy, że go nie ma. Olka, musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o tych ludziach. Dlaczego się leczyli, z czym mieli problem, jacy byli. Muszę o nich wiedzieć jak najwięcej, żeby odnaleźć mordercę.

Dłonie zaczynają mi drżeć. Seryjny morderca?

– Olka! Nie wyłączaj się. Mów do mnie.

– Co mam mówić? – Czuję suchość w ustach i kołatanie w piersiach. Moje wcześniejsze podejrzenia, że śmierć Kasi, Marcina i Piotra może być jakoś ze mną powiązana, były raczej poszukiwaniem zaprzeczenia. Teraz stoję w mieszkaniu, w którym był morderca. Człowiek, który zabija moich klientów. A co, jeśli go znam? – Seryjny morderca? Trzy ofiary? A co, jeśli...

Łzy napływają mi do oczu. Nie kończę pytania, ale niestety nie sprawia to, że ono zniknie. Kołacze się po mojej głowie: co, jeśli mnie też zabije, jeśli będę kolejną ofiarą? Zerkam na zegarek. O szesnastej muszę odebrać Kubę z treningu. Mam dwadzieścia minut na stawienie się przed szkołą.

– Boże, muszę lecieć! Kuba na mnie czeka.

– Stój! – Uła zagradza mi drogę. – Dwie minuty. Z czym do ciebie przyszli? Po co ta terapia grupowa?

– Problem z poczuciem satysfakcji i szczęścia...

– Olka, nie pierdol mi tu. Konkrety!

– Wszyscy mieli mniejsze lub większe problemy z seksem, a dokładniej rzecz ujmując, z preferencjami seksualnymi.

Wybiegam do przedpokoju. Urszula biegnie za mną.

– Przepraszam, Kuba nie może czekać. Wpadnij do mnie później! – krzyczę. – Albo zadzwoń.

Odwracam się, by posłać jej przeproszające spojrzenie i w tej samej chwili wpadam na jakiegoś człowieka. Nie widzę jego twarzy, ale jakoś automatycznie zakładam, że to morderca, który wrócił na miejsce zdarzenia.

Zaczynam krzyczeć.

– Spokojnie!

Jestem spanikowana, więc nawet nie potrafię rozróżnić, czy głos należy do kobiety, czy do mężczyzny.

– Tomasz? To ty?

– A kto inny? Umawialiśmy się. Miałem przecież po ciebie przyjechać.

– No tak. Poznaj proszę moją... To Ola Wilk.

Rozmowa toczy się jakoś poza mną. Wnioskuje z niej, że Urszula zna tego mężczyznę. Nie skupiam się na jego nazwisku, kiedy mi go przedstawia. Wyciągam jedynie dłoń, żeby się z nim przywitać, ale on zatrzymuje ją w mocnym uścisku, czym zmusza do spojrzenia prosto w jego oczy, po czym pyta:

– Aleksandra Wilk?

– Tak – potwierdzam niechętnie.

Nie wiem, po co to pytanie. Przecież to jasne jak słońce, że Ola jest krótszą formą imienia Aleksandra.

– Starszy sierżant Tomasz Chmielewski, komenda miejska policji. Spada mi pani z nieba. Właśnie miałem do pani jechać. Pójdzie pani z nami!

*

Tomasz bardzo długo udawał, że sytuacja w mieszkaniu nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Bez mrugnięcia okiem zapakował kobiety do samochodu. Urszula nawet nie protestowała. Widziała w jego oczach, że z trudem powstrzymuje wybuch. Usiadła więc z przodu i wyjęła z torebki książkę. Starła się skupić na tekście, a nie na zamkniętej przestrzeni i obrazach migających za oknami.

– Znasz ją? – Dał upust złości, kiedy zostawili Aleksandrę w pokoju przesłuchań. – Jak mogłaś zabrać ją na miejsce zdarzenia? Popierdzieliło cię? Przecież mówiłem ci, że zabiorę cię z Bukowskiej i pojedziemy po podejrzaną!

– Kurwa, Tomasz! Mówiłeś o nowym tropie, a nie o podejrzaney. Poza tym skąd miałabym wiedzieć, że to ona? Nie czytam w twoich myślach. Olka wskazała miejsce, w którym był ukryty trzeci nieśmiertelnik. Mamy pewność, że Katarzynę Hałkę zabił morderca Karbowski i Sternala. Zobacz. – Wyjęła z kieszeni foliową torebkę z nieśmiertelnikiem. – Jest dokładnie taki sam, ma tylko inny grawerunek.

– Gówno mnie obchodzi grawerunek.

– Trzy trupy, trzy nieśmiertelniki. Mamy seryjnego zabójcę!

– Kurwa, Urszula, wyciągaj sobie wnioski, jeśli masz taką ochotę, ale nie rozpierdalaj mojego śledztwa!

– Nie rozpierdalałam! – warknęła.

– Nie? – wysyczał. – A jak wytłumaczę prokuratorowi, a potem sędziemu, że podejrzana znalazła się na miejscu zdarzenia, bo została zaprowadzona tam przez policjantkę?

– O co ją podejrzewasz?

– Nie przyszło ci do głowy, że wskazała miejsce, bo sama go tam ukryła? Dobrze się znacie?

– Współpracowałyśmy przy pewnej sprawie w Łodzi.

– Może w takim wypadku nie powinnaś współpracować ze mną?

– Sugerujesz, że działałam na twoją szkodę? Na szkodę policji?!

Nie czekała na jego odpowiedź. Pomaszerowała do pokoju przesłuchań. Dogonił ją w połowie drogi i złapał za rękę.

– Nie wejdiesz tam!

– *Fuck*, zrozum, że gramy do jednej bramki! Olka nie ufa policji. Nie odpowie na ani jedno twoje pytanie. Nie w tym miejscu. Jeśli więc chcesz czegoś się od niej dowiedzieć, to musisz skorzystać z mojej pomocy.

*

Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw.

– Muszę wykonać telefon. Jeden telefon. Proszę! – atakuję policjanta, który zawinął mnie z mieszkania na Bukowskiej.

– Jak skończymy przesłuchanie.

– Nie mam czasu. Moje dziecko wyszło właśnie z treningu, ktoś musi je odebrać.

Zdenerwuje się, jeśli skończy i nie zobaczy mnie w holu!

– Im szybciej zaczniesz mówić, tym krócej syn będzie czekał.

– Błagam pana! Jeden telefon. Nie muszę rozmawiać osobiście, niech pan zadzwoni do mojego znajomego Krystiana, może on mógłby zająć się Kubą.

Do pokoju wchodzi Urszula. Siada obok policjanta. Spoglądają na siebie, ale nic nie mówią.

– Od kiedy pracujesz w Poznaniu?

Nie pozwolę jej tego przemilczeć. Niech się wytłumaczy. Oszukała mnie.

Z premedytacją pozwoliła, żebym myślała, że przyjechała do Poznania do mnie, że jest moją przyjaciółką i chce mi pomóc.

– Od kilku dni. Przepraszam, że ci o tym nie powiedziałam, ale jakoś za pierwszym razem nie zdążyłam, a potem było mi niezręcznie...

– Niezręcznie?!

– Przepraszam. Nie martw się o Kubę, wysłałam po niego miłą policjantkę. Przywiezie go tutaj. Albo zawiezie w inne wskazane przez siebie miejsce.

Zgrywa teraz dobrego policjanta. Uśmiecha się nieśmiało i pewnie oczekuje podziękowań.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Katarzynę Hałkę?

Nie zamierzam odpowiadać na pytania policjanta.

– Czy знаła pani Marcina Karbowskiego? Co robiła pani w nocy w czwartek siódmego grudnia?

Robi przerwy między kolejnymi pytaniami, dając mi możliwość udzielenia odpowiedzi. Patrzę mu prosto w oczy. Niech widzi, że się go nie boję i że nie odpowiem na żadne z pytań.

– Kilka godzin przed śmiercią rozmawiała pani z nią przez telefon. O czym?

– *Fuck*. – Jęk Urszuli sprawia, że się dekoncentruję i spuszczam wzrok. Jestem zła, bo policjant może uznać to za kapitulację.

*

– Tomasz, możesz zostawić nas same?

Mężczyzna nie wyglądał na zadowolonego, ale wyszedł.

Urszula dopiero po chwili odezwała się szeptem:

– Nie powiedziałam ci, że przeniesiono mnie do Poznania. Mam tu zorganizować komórkę badającą stare sprawy. Przy okazji sprawdzania, który ze śledczych najlepiej nadawaliby się do tego zespołu, rozpoczęłam współpracę z Tomaszem Chmielewskim. Zabrał mnie do mieszkania Hałki. Potem widziałam zwłoki Karbowskiego i Sternala. Postaraj się chociaż mnie zrozumieć. Lubię cię, jesteś mi bliska, ale w pewnej chwili sprawy posunęły się za daleko. Powiedziałaś o tym, że byli twoimi klientami. I co miałam ci wtedy powiedzieć? Że fajnie, i że też zdążyłam się z nimi zaznajomić, a właściwie to z ich zwłokami? Wyszło beznadziejnie. Przepraszam. Zamknijmy jednak ten temat. Masz kłopoty i to poważne. Jeśli nie zaczniesz mówić, będziemy musieli cię zatrzymać. Olka, to wszystko bardzo kiepsko wygląda.

– Kiepsko? Proszę cię! Zwierzyłam ci się, a ty to teraz obracasz przeciwko mnie! W zaufaniu? Rozumiesz to?!

– Nikomu jeszcze o niczym nie powiedziałam. Mamy bilingi Hałki. Jesteś ostatnią osobą, z którą rozmawiała przez telefon. Trwa ustalanie, kto zawiadomił pogotowie o Sternalu. Olka, zacznij mówić. Wiem, że jesteś niewinna, ale fakty świadczą przeciwko tobie. Nie będziemy w stanie ci pomóc, jeśli nie wyjaśnisz nam tego wszystkiego.

– No proszę cię! Mam uwierzyć, że ten palant... – Aleksandra wskazała na drzwi, którymi jakiś czas temu wyszedł Chmielewski – chce mi pomóc?!

– Ten palant chce złapać zabójcę twoich klientów.

– Przesłuchując MNIE?!

– Nie mamy w tej chwili innego punktu zaczepienia. Pomóż nam go znaleźć.

Przez dłuższą chwilę siedziały w ciszy. Aleksandra musiała rozważyć wszystkie za i przeciw. Przyjrzała się więc dokładnie seledynowym ścianom, zużytemu stołowi i lustru, za którym – jak się domyślała – stał policjant. Świadomość, że musiał przysłuchiwać się temu, jak obie nazwały go palantem, wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Dobrze, powiem, co wiem – zakomunikowała, jednocześnie doskonale zdając sobie sprawę z tego, że kłamie. – Kasia do mnie dzwoniła. Rozmawiałyśmy o sprawach damsko-męskich. Pytała, co wypada. Czy mówić facetowi wprost, że jej się podoba, czy delikatnie sugerować i bawić się z nim w damsko-męskie gierki. Była zakochana.

– Była twoją klientką?

– Tak.

– Wspominałaś, że wszystkie trzy ofiary były członkami grupy terapeutycznej, którą

prowadziłaś.

– Zgadza się. Wszyscy poszukiwali szczęścia, a nie mieli łatwo, bo każdy z członków grupy miał mniejsze lub większe zaburzenia preferencji seksualnych.

– Możesz to uściślić?

– Kasia uwielbiała swoje tłuste ciało, Marcina podniecały owady, a Piotr lubił krępowanie. Jednym słowem: parafilie...

V

Sobota

– Mamo?

Głos Kuby wyrwał Aleksandrę z pustki. Siedziała przed telewizorem, bezmyślnie wpatrując się w obraz i usiłując sobie poradzić z kłębiącymi się myślami. Starła się je segregować. Ustawiała w kolejki. Myśli niecierpiące zwłoki. Myśli, które można zignorować. Myśli niespokojne. Wątpliwości, które trzeba rozwiązać natychmiast. Na samym końcu stały obawy. Stały i wpatrywały się w nią wzrokiem zniecierpliwionego rodzica, próbującego oderwać dziecko od zabawy. Nadzorcy wiedzącego, co wydarzy się za chwilę, wiedzącego, że będzie dokładnie tak jak chce. Mimo to daje dziecku jeszcze jedną, ostatnią szansę do prawidłowej reakcji.

– Słucham? – Spojrzała na syna.

– Nie mogę zasnąć...

Wyciągnęła ręce w jego stronę, dając tym samym znak, że może się do niej przytulić. Podbiegł, wskoczył na jej kolana i wtulił się prawie tak samo mocno, jak kiedy zobaczył ją na policyjnym korytarzu.

– Zdenerwowałaś się dzisiaj?

– Troszeczkę, ale jak ta policjantka powiedziała, że jesteś z cicią Ulą, to się uspokoiłem. A potem pokazała mi taki prawdziwy pokój przesłuchań!

Aleksandra wiedziała, że Kuba miał nie tylko spojrzenie swojego ojca, ale również podobnie jak on starał się udawać twardziela. Nie powiedziałaby, że się przestraszył. Wolał skupić uwagę na innych rzeczach.

Jedyną rzeczą, którą mogła zrobić, żeby zmniejszyć dyskomfort Kuby, było bycie troskliwą matką.

– Kocham cię najbardziej na świecie – powiedziała, przytulając go z całej siły.

– Ja ciebie też.

Zniosła go do łóżka, ponownie ułożyła do snu, ale tym razem położyła się obok.

– Śpij kochanie, ja będę czuwać.

– Ale nie zostawisz mnie samego? Nie wyjdiesz?

– Nie. Dziś śpimy razem.

Miał już dziewięć lat i czasem wydawał się dużym chłopcem, ale to była taka chwila, w której wiedziała, że jest mu bardzo potrzebna.

Jak on jej.

Nasłuchiwała jego regularnego oddechu, głaskała po głowie i czuła, że nie jest sama.

Ani samotna.

Zabawki leżące na regale, samochody stojące na półce i bluza niedbale rzucona na krzesło przy biurku – to wszystko wydawało się Aleksandrze tak cudnie nieidealne, a jednocześnie tak bardzo ważne w tej chwili. O wiele ważniejsze niż policyjne przesłuchanie, stado nieusłuchanych myśli i zamiar, żeby przejrzeć akta klientów prowadzonej przez niej grupy terapeutycznej, zanim przekaże je policji. Chciała to zrobić zaraz po tym, jak Kuba zaśnie, ale teraz poczuła, że sen morzy także ją i że przecież musi dotrzymać danego słowa. Jedyne, co jej pozostało, to skorzystanie z zasobów pamięci i wyszukanie w niej nieszczęsnej grupy terapeutycznej, której uczestnicy zginęli w ostatnich dniach.

Wspomnienia miała ukryte gdzieś daleko za pojedynczymi sesjami. Nie bez powodu każdego dnia notowała szczegóły kolejnych spotkań. Nie lubiła przechowywać ich w pamięci. Wiedziała, że ta bywa zawodna. Szczególnie łatwo zatracić obiektywizm, kiedy między uczestnikami terapii zachodzą interakcje.

– Nie wiem, czy powinnam tu być. – Pamiętała protesty Katarzyny podczas pierwszej sesji grupowej. – Wszyscy jesteście dziwni, a ja jedynie szukam miłości.

– Dlaczego uważasz, że są dziwni? – dopytywała wtedy, uważnie śledząc reakcje grupy. Piotr Sternal nie mógł usiedzieć na krześle, huśtał się na nim i wyraźnie demonstrował chęć zabrania głosu. Pokazała mu, że musi poczekać na swoją kolej. Najpierw Katarzyna powinna wyjaśnić, co miała na myśli, a ona jako psycholog powinna zachęcić ją do przeżywania uczuć takich, jakimi są. Wiedziała dobrze, że dla uczestników udział w grupie musi być doświadczeniem sukcesu, że rozpoczynają terapię w poczuciu frustracji i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują, jest kolejna porażka spowodowana niezdolnością do skutecznego komunikowania się. Aleksandra musiała nauczyć ich rozmowy.

– A co? Nie? Przecież oni są zboczeni! Dla nich najważniejszy jest seks, a dla mnie miłość.

– Rozumiem, Katarzyno. Kto chce zabrać teraz głos? Może Piotr?

Mężczyzna zamarł, kiedy usłyszał swoje imię. Tak to przynajmniej zapamiętała. Jakby przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć wszystko, co przyszło mu na myśl. Szybko jednak podjął decyzję i nawet nie próbował ukryć ironii:

– Gratuluję. Łatwo się ocenia innych, w ogóle ich nie znając? I wiesz, kto jak kto... ale po tobie bym się tego nie spodziewał. Wyglądasz jak wieloryb i chyba większość ludzi ocenia cię po wyglądzie. Nie lubisz tego i pewnie jeszcze nie raz będziesz się nam wyplakiwała z tego powodu, a sama robisz dokładnie to samo co inni. Nie wiem, jak pozostali, ale dla mnie najważniejsza jest akceptacja, bliskość, radość robienia czegoś razem... Miłość... To wielkie słowo, nie lubię go nadużywać, ale właśnie ono określa to

wszystko, czego mi brakuje.

*

Szare kropki zniknęły z ekranu a chwilę potem pojawiło się wyczekiwane pytanie:

„To może dziś wieczorem?”

„O której?”

„Mogę być u ciebie około dwudziestej drugiej”

Dzień dopiero się zaczynał i Remigiusz nie wiedział, jak doczeka do wieczora. Od spotkania miało go dzielić piętnaście długich godzin. Piętnaście godzin, podczas których musiał siedzieć przy biurku, uśmiechać się do petentów i przekładać papierki.

Dziewięćset minut, podczas których będzie nerwowo zerkał na ekran swojej komórki z obawą, czy nie zobaczy wiadomości, że „Głodny_Poznań” się rozmyślił.

„Dwudziesta druga? Idealnie” – odpisał i drżącą dłonią wcisnął Enter.

Z drugiej strony tak długo czekał na tę chwilę, że sama świadomość tego, że niebawem będzie mógł spełnić swoje fantazje, przyjemnie go drażniła.

Zegar zaczął bić pełną godzinę. Remigiusz powinien już nakładać buty, kurtkę i czapkę, ale nadal siedział przy komputerze. W jego życiu istniały rzeczy ważne i ważniejsze.

Wśród tych bardzo ważnych była praca. Wśród najważniejszych – podążanie za instynktami. Zwłaszcza tym jednym, powodującym ssanie w żołądku, mrowienie penisa i wprawiającym w przyjemne podniecenie.

„To jak się dzielimy zadaniami?”

Konkretne pytanie spotęgowało wrażenie, że fantazje Remigiusza naprawdę się ziszczą.

„Ja biorę na siebie jedzenie”

„W takim razie ja zadbam o klimat wnętrza. Musisz mi tylko podesłać fotkę pokoju, w którym będziemy się bawić, żeby można było wszystko do siebie dopasować”

„Bawić? Jak to miło brzmi... W końcu”

„Czasem lepiej poczekać, trochę dojrzeć, przygotować się do tego co nadejdzie...

Wtedy spełnienie smakuje jeszcze lepiej”

„No tak, masz rację. Ale wiesz, klimat dla mnie nie ma znaczenia. Ważne, że będziesz ty”

„Uwierz mi, klimat daje dodatkowego kopa”

„Dobra, niech ci będzie. W końcu z nas dwóch to ty jesteś bardziej doświadczony w temacie uczyty zmysłów”

„Mówiłem ci to już nie raz. Nie liczy się doświadczenie, tylko to, czy chcesz tego tak mocno, żeby przestać się blokować”

„Chcę. Nie mogę się doczekać. To co? Załatwiam jedzenie dla dwóch? Najpierw jeść będzie jeden, a potem drugi?”

„Nie martw się tym, co będzie potem. Też już drzę z podniecenia. Nie mogę się doczekać wieczora. Gdzie mam się pojawić?”

*

Tomasz wrócił do samochodu. Uruchomił silnik, włączył radio i ogrzewanie i przez dłuższą chwilę próbował zebrać myśli.

Potwierdził właśnie alibi Sochy. Lekarz nie miał fizycznej możliwości zabicia Karbowskiego. Nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie. Mógłby oczywiście zlecić zabójstwo komuś z zewnątrz, ale wtedy zapłaciliby za nie dużo więcej niż te niecałe pięćdziesiąt złotych za usługę, która nie spełniła jego oczekiwań.

Rozpoczynał się kolejny dzień, a ustalenia w sprawie śmierci trzech osób nie prowadziły do żadnej konkluzji. Tomasz potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia.

Wybrał w komórce numer Cebulskiego.

– Halo?

– Powiedz, że masz dla mnie jakieś rewelacje.

– Domyślam się, że nie interesuje cię liczba ukąszeń na penisie jednego z denatów. Chmielewski zarechotał.

– No właśnie. Poza tym nic rewelacyjnego. Obaj mają dwa wkłucia. Jedno w ramię, drugie w żyłę. Materiał pobrano do dalszych badań.

– Daj znać, jak będziesz miał wyniki.

– Nie ma sprawy.

Cebulski się rozłączył, a Tomasz pomyślał, że musi się dowiedzieć czegoś więcej o ofiarach. Ponownie sięgnął po komórkę.

– Cześć, Tomasz Chmielewski z tej strony. Słuchaj, chcę zajrzeć do komputerów Hałki, Karbowskiego i Sternala. Zabezpieczyliście je? Świetnie, podrzuć mi je dziś na biurko.

*

Porządek salonu kosmetycznego Paris zburzyło pojawienie się obcego mężczyzny. Dagmara spojrzała na niego fachowym okiem i od razu zauważyła kilka palących problemów: przesuszoną skórę twarzy, grube i pełne zadziorów ręce z paznokciami, które częściej są obgryzane niż obcinane. Krzaczaste brwi, które wołały o litość.

– Dzień dobry – odezwała się najłagodniej jak potrafiła.

Liczba problemów mogła sugerować, że mężczyzna nigdy wcześniej nie był w salonie kosmetycznym, a to, że dziś się w nim pojawił, trzeba było wykorzystać, tak by go ośmielić i zachęcić do powrotu. Niezależnie od tego, z czym przyszedł dzisiaj, Dagmara postawiła sobie za punkt honoru zdobycie kolejnego stałego klienta.

– Dzień dobry – odpowiedział, rozglądając się czujnie.

– W czym mogę panu pomóc?
– Chciałbym...
– Mamy świetną promocję na zabieg pielęgnacyjny dla mężczyzn, może się pan skusi?
– Skuszę się... – zawiesił głos, a kiedy wyjęła na ladę katalog ze zdjęciami i opisami wszystkich zabiegów, odsunął się od kontuaru, sięgnął do kieszeni i położył na blacie policyjną odznakę. – Skuszę się na rozmowę z właścicielką.
– Z panią Iloną?
– A macie tu innych właścicieli?
– Yyy... Nie.
– No właśnie.
– Szefowa jest obecnie zajęta.
– A co? Robi paznokcie czy makijaż? Ja też jestem zajęty, a przyszedłem tu jedynie z uprzejmości. Mam tylko pięć minut, żeby przekazać pani szefowej ważną informację. Jeśli więc chce pani, żeby była na panią zła, proszę dalej utrudniać mi rozmowę z nią.
– To może przekaże mi pan to, co ma pan powiedzieć szefowej? Albo przyjdzie pan później? Umówię pana na zabieg nawilżania cery, przydałoby się jej...
– Nie, nie! – zaprotestował stanowczo. – Nic by się jej nie przydało!
– Co to za krzyki? – W drzwiach gabinetu pojawiła się Ilona.
– Nic, ja tylko...
Zanim Dagmara znalazła jakieś sensowne wytłumaczenie, policjant podszedł do Ilony i, zupełnie ignorując zarówno jej pytanie, jak i obecność Dagmary, wyrecytował:
– Pani Ilono, przykro mi, ale od czasu zdarzenia minęło zbyt dużo czasu. W związku z faktem, że nie mamy żadnych świadków, poszlak ani innych rzeczy prokurator podjął decyzję o zamknięciu sprawy napadu na panią. Przykro mi.

*

– Jedno nie daje mi spokoju.
Siedzieli w małym pokoju w oddziale banku na Starołęce i czekali na pojawienie się Sylwii Małeckiej.
Właściwie to nie był pokój, a wydzielony fragment przestrzeni. Przejrzyste ściany nie chroniły przebywających w pomieszczeniu przed wzrokiem innych ludzi, ale przynajmniej zapewniały możliwość prowadzenia rozmowy, która przypadkiem nie trafi do niewłaściwych uszu.
– Jedno?
– Tak. Podczas przesłuchania Aleksandry Wilk powiedziałaś do niej coś w stylu „Nie wygadałam jeszcze wszystkiego”.
– No i?
– Oznacza to, że dysponujesz wiedzą, którą uzyskałaś od Wilkowej i zostawiłaś dla siebie. Ulka, wiesz, że tak być nie może. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa trzech

osób, nie możesz zatajać dowodów, dawkować szczegółów czy prowadzić sprawy za moimi plecami!

– Wiem.

– Wiesz i uśmieciasz się do mnie, jakbym był głupi. Co przemilczałaś?

– Dzień dobry.

Kobiety głos przerwał wypowiedź Chmielewskiego. Zarówno on, jak i Urszula spojrzeli w stronę w drzwi. Kobieta w średnim wieku weszła do pomieszczenia i wyciągnęła rękę, przedstawiając się:

– Sylwia Małecka.

Po kolei odwzajemnili uścisk jej dłoni, a Urszula dokonała oficjalnej prezentacji:

– Podkomisarz Urszula Zimińska, a to mój kolega, starszy sierżant Tomasz Chmielewski. Dziękuję, że zgodziła się pani z nami porozmawiać.

– Usiądźmy. – Kobieta zajęła miejsce za biurkiem. – Co państwa do mnie sprowadza?

– Przeglądamy ponownie akta sprawy zabójstwa Marysi.

Słowa Urszuli wywołały na twarzy kobiety przerażenie. Ta mina zupełnie nie pasowała do granatowego garnituru i białej koszuli. Bankowy uniform korespondował jedynie z uprzejmym uśmiechem i profesjonalną pewnością siebie.

– Marysi? – Wyglądała na zagubioną. – Przecież minęło ze trzydzieści lat!

– Jeszcze nie minęło, dlatego przyglądamy się jej na nowo. Specjalizuję się w rozwiązywaniu archiwalnych spraw. Nie mogę jednak niczego obiecać. Czas nie działa na naszą korzyść. Przyszliśmy jednak do pani z nadzieją, że pamięta pani coś, czego nie znajdę w aktach.

– Pochowaliśmy Marysię prawie trzydzieści lat temu... – odezwała się półszepem, a później spuściła głowę i przez dłuższą chwilę przygryzała to dolną, to górną wargę. – To bardzo, bardzo dawno temu... Nie jestem już w stanie przypomnieć sobie ani jej twarzy, ani głosu. Czasem myślę, jak by wyglądała dziś. Miałaby trzydzieści dziewięć lat, pewnie męża, dzieci i problemy takie same jak ja. Brakuje mi jej.

– Rozumiem. Czytałam w aktach, że uczestniczyła pani w poszukiwaniach siostry?

– Tak. To pamiętam bardzo dobrze. Mama uznała, że Marysia powinna już być w domu, bo jakoś późno się zrobiło. Tata powiedział, że pewnie jak zwykle polazła do Kryski i nawet nam o tym nie powiedziała. Mama poprosiła tatę, żeby po nią poszedł, ale ten się zaparł, że jeśli zechce, to sama przyjdzie, a wtedy on jej powie, co myśli. Wyszłam więc z domu i pobiegłam do Kryski, żeby uprzedzić Marysię.

– Kim była Kryśka?

Urszula zadawała kolejne pytania, a Chmielewski słuchał odpowiedzi, jednocześnie wodząc wzrokiem. Kiedy przyjrzał się komputerowi, drukarce i małemu regałowi w rogu, zaczął obserwować to, co się działo za szybą.

W banku pojawiali się kolejni klienci. Niektórzy z nich podchodzili bezpośrednio do lady, inni niepewnie się rozglądali, jakby szukając pomocy.

– Krysia była koleżanką Marysi. Mieszkała blisko nas. Pobiegłam do niej, ale Marysi u niej nie było.

– Czy pamięta pani, jaka była atmosfera w domu, kiedy odnaleziono zwłoki Marysi?

– Nie bardzo rozumiem. A jaka miała panować? – Małecka nie ukrywała

zniecierpliwienia. Uniosła głos, a jej twarz zrobiła się niebezpiecznie czerwona. – Rodzice stracili dziecko, ja siostrę... Nie było łatwo. Długo płakałyśmy z mamą. Kładłyśmy się wieczorem razem do łóżka i łkałyśmy w poduszkę, żeby tata nie słyszał. Chmielewski pomyślał, że widział już bardzo dużo w swoim zawodowym życiu, ale do kategorii miejsc, w których nie powinno się prowadzić trudnych rozmów, zwłaszcza jeśli liczy się na ciekawe i bolesne wyznanie, należy zaliczyć bankowe „akwarium”.

– Dlaczego nie płakałyście przy nim?

– Bo nie lubił płaczących kobiet.

– Czy nie zdziwiło pani, że to ojciec znalazł zwłoki Marysi?

– Jezus Maria! – Kobieta rozłożyła ręce i wzniosła oczy ku górze. – Po trzydziestu latach znowu to samo? Będzie mi pani próbowała wmówić, że to mój ojciec?! Dlaczego miałoby mnie to zdziwić? Szukał jej, to ją znalazł. Jesteście okropni! – Spojrzała na nich z obrzydzeniem. – Już wtedy próbowaliście zrujnować naszą rodzinę, rozsiewając takie obrzydliwe podejrzenia. Naprawdę sądzicie, że jakikolwiek ojciec mógłby zabić swoją ukochaną córkę?! Zresztą... Milicja nie postawiła mu żadnych zarzutów.

– A co pani o tym sądzi? Kto według pani zabił Marysię?

– Jakiś zboczeniec. Obcy zboczeniec, bo wtedy na osiedlu nie mieszkało wielu ludzi.

Wszyscy się znali. Nikt ze znajomych nie mógłby zrobić nic tak okropnego małej Marysi. Ona była bardzo grzeczną dziewczynką. I ładną. Dużo ładniejszą ode mnie. Zazdrościłam jej... aż do tego dnia, kiedy ją odnaleziono. Byłam wtedy jeszcze mała, ale słyszałam, jak dorośli szeptali, że ktoś ją zgwałcił. Nie wiedziałam wtedy, co to znaczy, ale wiedziałam, że zboczeniec wybrał ją, bo była ładna.

– Zboczeniec... Czy pamięta pani, żeby ktoś obcy kręcił się w tamtym okresie koło waszego domu? Albo gdzieś przy drodze do szkoły, kościoła?

– Czy pamiętam? – prychnęła. – Trzydzieści lat temu... Przecież ja nawet tego kościoła nie bardzo pamiętam, a co dopiero tego, czy ktoś się kręcił! Ale pewnie gdyby się kręcił, tobym o nim opowiedziała rodzicom. Albo milicji.

Urszula zamknęła notes i uśmiechnęła się do kobiety, dając Tomaszowi znak do odwrotu.

– Gdyby coś pani sobie przypomiała, nawet pozornie mało istotnego, bardzo proszę do mnie zadzwonić. To jest moja wizytówka.

– Chwileczkę – zaprotestował Tomasz, kiedy Urszula wstała. – Kiedy koleżanka wymieniła imię pani siostry, od razu wspomniała pani pochowanie Marysi. Dlaczego pomyślała pani o pogrzebie? Nie o tym, że wyszła z domu albo że nie wróciła, że jej pani szukała albo że rodzice rozpaczali?

– Yyy... Czy ja wiem? – Na twarzy kobiety malowało się zmieszanie doprowadzone zdziwieniem. – Nie wiem. Tak jakoś... po prostu? Dlaczego pan pyta?

– Proszę się zastanowić – nalegał.

Urszula usiadła z powrotem i z zainteresowaniem spoglądała to na Tomasza, to na siostrę zamordowanej dziewczynki.

– A może pogrzeb był najsilniej naładowany emocjami, dlatego go pani zapamiętała?

– To chyba oczywiste. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Trumna z Marysią trafiła do ziemi. To był bardzo smutny dzień. Mama płakała od rana, nawet nie kryjąc się przed

ojcem. Zresztą... ojciec też płakał.

– Pamięta pani coś jeszcze z tego dnia? Coś było inne niż zazwyczaj?

– Wszystko było inne. Pamiętam obojętną twarz księdza. Myślałam sobie wtedy, że to jego wina. Gdyby nie ten Biały Tydzień, Marysia siedziałaby w domu. Pamiętam też kuzyna. On był dużo ode mnie starszy, ale zawsze dla mnie miły. Tego dnia był jakiś taki dziwny. Po tym jak trumna została opuszczona do dziury, mama i tata podeszli do niej i zrzucili w dół po garści ziemi. Zaraz po nich podszedł kuzyn i zamiast ziemi wrzucił różę.

– Co to znaczy dziwny? – wtrąciła Urszula, spoglądając znacząco na Tomasza. Po raz pierwszy jej zaimponował. Gdyby nie jego dociekliwość, nie dotarliby do unikatowego wspomnienia, o którym nie ma mowy w aktach.

– Nie wiem. Nie potrafię pani tego wytłumaczyć. Miałam wtedy tylko dwanaście lat, nie byłam w stanie zauważyć wszystkiego. Jednak Irka zapamiętałam. Był nieswój. Zachowywał się zupełnie inaczej niż wszyscy.

– Czy powiedziała pani o tym funkcjonariuszowi?

– Powtórzę, miałam wtedy dwanaście lat. Myśli pani, że jakiś milicjant potraktowałby mnie poważnie? Kto miał mnie wysłuchać? Poza tym to było tylko moje subiektywne odczucie. Spytałam mamy, czy zauważyła, że Irek dziwnie się zachowywał, ale powiedziała, że na pogrzebach widzi się różne dziwne rzeczy. Uwierzyłam jej.

– A po pogrzebie? Co z Irkiem?

– Nie wiem, chyba się wyprowadził gdzieś w Polskę, bo przestał u nas bywać tak często. A jak już się pojawiał, to znowu był moim starszym kuzynem, który lubił się ze mną bawić.

*

– Czy mój brat wspominał kiedyś o tym, że chce umrzeć?

Spojrzenie Pawła Karbowskiego jest pełne nadziei. Dotarłam do niego dzięki notatkom w kartotekach klientów. Pomyślałam, że porozmawiam z nim, zanim przekażę dokumenty policji. Chciałam się czegoś dowiedzieć, ale informacja, że prowadziłam terapię Marcina sprawiła, że mężczyzna wziął mnie w krzyżowy ogień pytań.

– Nie.

– Ale mówił pani o swoim życiu?

– Oczywiście.

– O problemach też?

Kiwam głową.

Jeszcze na studiach wydawało mi się, że niewiele różni relację psycholog – pacjent od relacji pomiędzy przyjaciółmi, ale dość szybko pojęłam, że relacje z psychologiem mają dla jego pacjentów czy klientów odrealniony charakter. W relacji z przyjacielem pozwalamy sobie zwykle jedynie na bezpieczną szczerość. Pewnie szczegóły upiększamy, inne usuwamy, przemilczamy emocje, których moglibyśmy się wstydzić,

zaś te niewygodne zostawiamy za drzwiami. W przyjacielu szukamy sojusznika. Liczymy na jego wzajemność.

– Mnie nie mówił, a może gdyby powiedział... Może mógłbym mu jakoś pomóc. Wie pani? Uświadomiłem sobie, że tak naprawdę niewiele o nim wiedziałem. Żyliśmy obok. Dziwnie mi teraz, kiedy pani, obca kobieta mówi, że go znała, i że rozmawiała z nim o wszystkim.

– Proszę nie mieć tego sobie za złe.

Świadomość, że psycholog jest obcą osobą, która nigdy nie zaistnieje w naszym życiu, pomaga się otworzyć. Nabrać pewności siebie i pokazać skrywane dotychczas emocje. To specyficzny, w dużej mierze jednostronny układ, którego zasady uzgadnianie są na początku terapii. To klient określa jej cel. Jeśli jest w związku i jednocześnie ma kochankę, to podczas spotkań będziemy przyglądać się jego emocjom, tak by dojść do założonego przez niego celu. Chce rozstać się z kochanką? Świetnie. Chce zostawić żonę? Nie ma problemu. Chce efektywniej funkcjonować w układzie złożonym z dwóch niewiedzących o sobie kobietach? Proszę bardzo.

– A Marcin czego chciał?

– Pan go znalazł, prawda? – Ignoruję jego pytanie. – Jak to wszystko wyglądało?

– Normalnie. Leżał w wannie. Jakby zasnął. Policja nie wierzy w to, że ktoś go zabił. Sugerowali, że może on sam... – Mężczyzna jest roztrzęsiony. – A może on miał jakąś kochankę? Może to ona? – Wpatruje się we mnie, jakby chciał odczytać odpowiedź z mojej twarzy. – Miał kochankę?

– Nie wiem – kłamię.

– Ale przecież pani ufał?

– Ufał. I dlatego kiedy dowiedziałam się, że nie żyje, postanowiłam przyjechać do pana i spytać o komputer. Marcin miał laptop, taki z dużą naklejką kosmity na obudowie. Czy mógłby mi pan go udostępnić? Chciałam sprawdzić... Mam pewne podejrzenia.

– Nie lepiej powiedzieć o nich policji?

Przygląda mi się, jakby właśnie rozważał, czy jestem godna zaufania. W niczym nie przypomina Marcina.

Marcin Karbowski był... Tak, był idealnym ogniwem budowanej przeze mnie grupy terapeutycznej. Kasia Hałka potrafiła łatwo zmieniać temat – była otwarta i mało asertywna. Z kolei Piotr Sternal był typowym narcyzem. Nie liczył się z opiniami innych. Marcin miał swoje defekty, ale cudownie wypełniał środek. Tak wtedy myślałam, pamiętając o zasadach łączenia różnych ludzi, by grupa była spójna i mogła pracować efektywnie.

Zebrałam sześć osób skupionych na gonitwie za kolejnymi wrażeniami. Zachęcałam ich do obserwowania tego, co z nimi dzieje. Wszyscy mi zaufali i regularnie co tydzień pracowaliśmy nad tym, żeby odzyskali prawidłowe czucie życia.

– Czy lepiej? Nie wiem. Nie ufam policji. Ale mogę panu obiecać, że jeśli się potwierdzą, to oczywiście powiem...

– Szczerze? Ja też nie ufam policji. Chętnie bym go pani dał, ale niestety zabrali go policjanci.

*

„Raz, dwa. Raz, dwa”.

Stefan Waligórski stawiał kolejne kroki pewnie i płynnie. Muzyka sącząca się do jego uszu pobudzała ego i motywowała organizm do wysiłku.

„O rany, rany, jestem niepokonany”.

Rytmicznie recytowane rymujące się słowa, którym towarzyszył mocny akompaniament niczym serie z karabinu, docierały do jego wnętrza i sprawiały, że czuł się jeszcze bardziej wyjątkowy niż zwykle.

„Wiesz, co mnie boli? Że w głowach się pierdoli”.

Co prawda nie wszystkie słowa, które słyszał, przypadły mu do gustu, ale sama muzyka oraz nonszalancja, z jaką wykonawcy wplątywali w nią swoje myśli, zrobiła na nim wrażenie już w dwa tysiące dwunastym.

To wtedy do kin wszedł film, a jego syn kupił sobie płytę Paktofoniki i odsłuchiwał jej w kółko w swoim pokoju. Stefan początkowo się krzywił, słysząc te wszystkie przekleństwa, ale ostatecznie szybko zaczął identyfikować się z jednym utworem. Ściągnął go sobie na komórkę i od tamtego dnia, kiedy wychodził do pracy, wciskał w uszy słuchawki.

„Jestem Bogiem! Uświadom to sobie, sobie”.

Też był Bogiem. Kroczył przez korytarz szpitalny niczym Bóg. Z uniesioną głową, z zadartym nosem. Czuł nie tylko spokój, ale i bezpieczeństwo.

– Dzień dobry. – Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego z nadzieją, że ją zauważy.

Od dwudziestu lat pracował w tym miejscu. Przeżył kilka pokoleń pielęgniarek, kilku lekarzy i tysiące pacjentów. Już nawet nie próbował być dla kogokolwiek miły. Nie opłacało mu się to. I tak był Bogiem. I tak wszyscy traktowali go z należnym szacunkiem. Nie musiał już się starać i udowadniać, że jest dobry.

Wszyscy o tym wiedzieli.

„Wiesz, co mnie boli? Że w głowach się pierdoli”.

Szpitalna winda zawiozła go na czwarte piętro. Wysiadł z niej i kroczył pewnie w stronę gabinetu. Miał świadomość, że porusza głową w rytm muzyki. Zastanawiał się czasem, co by było, gdyby na szpitalnym korytarzu zaczął się kiwać i recytować tekst wraz z Magikiem. Czy ktoś spojrzałby na niego jak na idiotę, czy z racji wykonywanego zawodu wszyscy udawaliby, że nie widzą w tym nic dziwnego. Czy ktoś odważyłby się zwrócić mu uwagę, czy też potraktowałiby go jak nagiego króla?

„Przysięgam na ogon, uwierzysz, w co zechcę, a poczujesz jeszcze od tych lepsze dreszcze. Jestem Bogiem! Uświadom to sobie, sobie”.

Był Bogiem. Ciężko na to pracował, ale miał też szczęście. Wybrał bardzo dobrą specjalizację.

– Dzień dobry. – Po otwarciu drzwi do gabinetu zobaczył kolejną kobiecą twarz.

Nie zapamiętywał imion tych wszystkich salowych i pielęgniarek. To był zbyt niski

szczebel dla niego.

– Jakież zmiany w dzisiejszym grafiku operacji? – spytał i wyjął słuchawki z uszu.

– Jedna operacja spadła, doszło za to znieczulenie pacjenta kwalifikowanego do zabiegu...

Posłał jej karcące spojrzenie. Nie lubił nadmiaru słów.

– Dzwonili też z izby, że wiozą nam coś na ostro...

„Ostro” nie robiło na nim żadnego wrażenia. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat i specjalizację z anestezjologii intensywnej. Ciągle kogoś usypiał i wybudzał. I sam trzymał się bardzo dobrze, w przeciwieństwie do swoich kolegów.

Ostatnio przez cały kraj przetaczały się informacje o zgonach kolejnych anestezjologów. Najpierw lekarka w Białogardzie, która zmarła w czwartej dobie ciągłych dyżurów, potem lekarz w Sosnowcu, któremu nie pomogły natychmiastowa reanimacja i przewiezienie na SOR. Ludzie pracowali bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny w ciągu dnia. On się nie przemęczał.

– Czy mógłby pan doktor...

– Chwileczkę, pani... Jak pani ma na imię?

– Iza.

– Pani Izo, rozpoczynam dyżur dopiero za pięć minut – ponownie ją skarcił. Tym razem nie tylko spojrzeniem, ale również pełnym pretensji tonem. – Tak więc nie, nie mógłbym. Zamierzam usiąść jeszcze na chwilę i w spokoju posłuchać muzyki.

*

– Dziękuję za dzisiaj. Jak zwykle było ciężko, ale inspirująco.

Kolejna klientka opuszczała gabinet Aleksandry z uśmiechem na twarzy. To był dobry znak. W takich chwilach Aleksandra uwielbiała swoją pracę. Kiedy po miesiącach spotkań klient ufał jej na tyle, by nie marnować czasu na osvajanie się. Przychodził i wprost mówił o tym, co go boli, a ona zachęcała, by podszedł jeszcze bliżej jątrzącej się rany i przeżywał emocje z bliska.

– Emocje nie zabijają – powtórzyła słowa, które jej klienci znali już zapewne na pamięć.

– Tak, wiem. Nauczyłam się, że mogę czerpać z nich siłę. Bez pani nie byłabym w stanie.

Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi od gabinetu. Wyszły na korytarz i powoli przemieszczały się w stronę wyjścia. W poczekalni czekał jakiś mężczyzna. Aleksandra spojrzała na niego dyskretnie, jak to zwykle miała w zwyczaju, kiedy spotykała się z klientami swojego wspólnika.

– Ja tylko zachęcałam panią do odwagi terapeutycznej. Postępy zawdzięcza pani sama sobie.

– Wiem. Mimo wszystko jestem bardzo zadowolona ze współpracy.

– Cieszę się.

Uścisnęły sobie dłonie, a klientka otworzyła drzwi, mówiąc po raz kolejny:

– Widzimy się za tydzień.

– Tak, tak – powtórzyła uspokajającym tonem Aleksandra – do zobaczenia.

Istniała taka grupa klientów, którzy tak przyzwyczajali się do spotkań, że trudno było im z nich zrezygnować. Kobieta, którą właśnie pożegnała, należała do tej grupy. Spotykały się od ośmiu miesięcy i przerobiły wszystkie najważniejsze problemy.

Odgłos dzwoniącej komórki sprawił, że Aleksandra szybko zamknęła drzwi. Zerknęła na wyświetlacz i odebrała bez zastanowienia.

– Halo? Witaj, kochanie.

– Cześć, mamó. Co słychać?

– Wszystko w porządku. A co u ciebie? Jak w szkole? Jakieś nowe oceny?

– U mnie też oki. Szkoła jak to szkoła. Na treningach świetnie mi idzie. Ostatnio bolała mnie noga, a właściwie pięta i trener skierował mnie do ortopedy, ale zrobili mi prześwietlenie i wszystko jest OK. Przeciążyłam ścięgno Achillesa. Muszę się teraz rozciągać i trochę oszczędzać.

– Weronika, ale przyjedziesz za tydzień do domu? Tęsknie ogromnie.

– Przyjadę, przyjadę, tym razem zostałam w Łodzi, bo Gabryśka dziś ma urodziny. Nie chciałam zostawiać jej samej. Mamó?

– Słucham?

– Czy to prawda, że ciocia Ilona się zmieniła?

– Jak to zmieniła?

– Rozmawiałam z nią dzisiaj. Wydaje się zupełnie inna. Łagodna. I nie gada na ciebie już takich głupot.

– A co gada?

– Że jesteśmy rodziną, że Wilki muszą się trzymać w stadzie, że mamy tylko siebie i że nawet jeśli czasem się kłócicie, to nie znaczy, że się nie kochacie. I że umówiła się na oglądanie mieszkań w Łodzi, bo chce kupić jakieś blisko mojej szkoły, żebyśmy nie musiały płacić za internat.

– Werka, poczekaj, bo nie nadażam. Jak to kupić?

– No normalnie. Będzie mieszkała w Łodzi. A ja z nią. Jeśli oczywiście się zgodzisz.

Dlatego dzwonię dopytać, czy rozmawiałyście i czy się pogodziłyście.

Nie rozmawiały ani nie próbowały się pogodzić. Właściwie to byłoby dość trudne, bo przecież się nie kłóciły. To Ilona zjawiała się w mieszkaniu, które kiedyś należało do rodziców jej i Gabriela i oznajmiła, że Gabriel przepisał na nią nieruchomości, a ona nie ma gdzie mieszkać, więc prosi uprzejmie, aby Ola się wyprowadziła. Ola i dzieci.

– Werka, to sprawy dorosłych.

– Ale mogę z nią zamieszkać? Bo będzie rzeczywiście taniej, i będzie ci łatwiej. Tobie i Kubie. Ciocia mówiła, że wcale nie musisz sprzedawać mieszkania, że to nieporozumienie.

– Weronika, proszę cię, wstrzymaj się z podejmowaniem decyzji. Daj mi chwilę, zadzwonię do ciebie później. Właśnie zaczynam sesję.

Skłamała, ale wolała odsunąć rozmowę z Weroniką na później. Chciała sprawdzić Ilonę. Nie spodziewała się po niej nic dobrego.

Ale najpierw powinna odwiedzić komendę. Obiecała, że dziś dostarczy kartoteki

klientów. Miała zbyt wiele do ukrycia, żeby się stawiać.

Kasia, Marcin, Piotr. Im wszystko było już obojętne. Zastanawiała się jednak, co z resztą? Co na przykład z takim Remigiuszem? Korpolutkiem, który żyje w ciągłym stresie, bo mniej więcej co pół roku w pracy pojawia się problem redukcji etatów, a nad nim zawisa wizja utraty pracy i źródła utrzymania rodziny.

Czy powinna z nimi porozmawiać? Uprzedzić? Wy tłumaczyć, że została do tego zmuszona i że policja w gruncie rzeczy musi mieć wgląd w akta, żeby jak najszybciej złapać zabójcę?

*

Ilona wyłączyła silnik i spojrzała w lewo. Oklejona zielonymi napisami wystawa warzywniaka uświadomiła jej, że dokładnie w tym samym miejscu zaparkowała samochód feralnego sierpniowego dnia. Dnia, w którym jej życie się zatrzymało i wyrzuciło ją z prostej drogi do sukcesu.

Pojedyncze obrazy z ataku wróciły niczym bumerang. Obca dłoń łapiąca ją za ramię. Pierwsze uderzenie. Ból. Wirująca wystawa sklepowa. Rękawiczka zasłaniająca dłoń.

– Co ty sobie znowu wymyśliłaś? – Kobięcy głos dotarł do niej, kiedy zamknęła samochód i weszła na chodnik. Obejrzała się za siebie. Mimo opatulenia szalem, czapki na głowie i postawionego kołnierza kurtki, natychmiast rozpoznała kobietę.

– Aleksandra? Co ty tu robisz?

– Nie udawaj, że się mnie nie spodziewałaś!

Głos pełen pretensji, zaczerwieniona twarz – zwykle była chorobliwie blada – i ręce skrzyżowane na piersiach nie zwiastowały sympatycznej pogawędki. Bratowa stała obok samochodu Ilony i ewidentnie oczekiwała czegoś więcej niż przelotnej wymiany zdań o pogodzie.

– Powinnaś się mnie spodziewać? Tu? Na ulicy? Niby czemu? – Ilona nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

Były na ulicy same, co potęgowało jej poczucie zagrożenia. Próbowwała się uspokoić i nie okazywać lęku. Był przecież środek dnia – prędzej czy później ktoś musiał przechodzić obok.

– Czemu? Czemu?! Ledwo wyszłaś ze szpitala i znowu próbujesz zniszczyć moją rodzinę!

– O co ci chodzi? Czyhasz na mnie na ulicy, atakujesz pełna pretensji... Nie zrobiłam ci przecież nic złego!

– Nic złego? – Aleksandra zaczęła iść w stronę Ilony i zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy była już na wyciągnięcie ręki. – Nic, zupełnie nic? Ale nasyłać na mnie policję, że to niby ja cię pobilałam, to potrafisz? A teraz zgrywasz niewiniątko! Wpadasz bez uprzedzenia do mieszkania Gabriela i każesz nam się z niego wyprowadzić. Nam! Mnie i dzieciom; jednocześnie wciskasz im kity, że są dla ciebie najważniejsze. I jeszcze ta

sprawa w sądzie! Gabriel przewraca się w grobie, widząc, jak nas rujnujesz!

– Z mieszkania jakoś się nie wyprowadziłaś!

– Bo przestało być ci potrzebne.

– Przestało, bo mnie pobiłaś i trafiłam na kilka miesięcy do szpitala!

– Ja cię pobiłam?! – Aleksandra się roześmiała i złapała Ilonę za kurtkę. – Ja to dopiero cię pobiję. Ale wtedy nie wyjdiesz ze szpitala tak szybko. Odczep się od Weroniki!

– Zostaw mnie! – Ilona się cofnęła, wrywając z uścisku. – Dlaczego ty mnie tak nienawidzisz, co? Przypominam ci Gabriela?

– Zamknij się! Byłam dla ciebie miła, ale to ty zdecydowałaś o wojnie. Chcesz mi odebrać dzieci!

– Nieprawda. Nie chcę. Przemyślałam wszystko, być może próba odebrania ci praw rodzicielskich nie była najlepszym pomysłem. Byłam u prawnika, wycofałam się. Możesz spać spokojnie.

– Spać spokojnie? Mam ci uwierzyć? Chcesz tylko osłabić moją czujność!

– Rób jak chcesz. Ja tylko mówię, że nie będzie kolejnej rozprawy. Kazałam prawnikowi wszystko odkręcić.

– Jeśli to prawda, w życiu nie uwierzę, że zrezygnowałaś, bo dotarło do ciebie, że wyrządzasz krzywdę dzieciom. Opuściłaś, bo w końcu dotarło do ciebie, że tego nie wygrasz, że jestem dobrą matką i żaden sąd nie znajdzie powodów, żeby odebrać mi dzieci. Miałaś w szpitalu wystarczająco dużo czasu, żeby wymyśleć nowy plan. Wojna podjazdowa, etap drugi, co?!

– Przestań krzyczeć!

– Mogę robić to, na co mam ochotę. A ciebie, ciebie...

Aleksandra nie panowała nad sobą. Ilona nigdy wcześniej nie widziała, żeby tak mocno gestykulowała. Nawet wtedy, kiedy kłóciły się dzień po tym, jak przyszła najpierw ją prosić, a później grozić, żeby zmieniła zdanie w związku z opuszczeniem mieszkania.

– No co?

– Mam cię dość. Odciełam cię od Kuby, to teraz wymyśliłaś sobie, że ukradniesz mi Weronikę!

– Jesteś chora i masz obsesję! Nie kradnę ci dzieci. Kuba jest mały i robi to, co mu powiesz, ale Weronika na szczęście ma już swój umysł i wolę. Ona mnie kocha. Jestem jej ciotką. Najbliższą!

– Ale ona jest moja. Mogłaś urodzić swoje dzieci, a nie kraść mi moje.

– Jestem siostrą bliźniaczką ich ojca, mam prawo się z nimi widywać.

– Gównu masz, nie prawo.

– Uspokój się. Ja je kocham!

– Kochasz? Kochasz i manipulujesz. Robisz im krzywdę, nie widzisz tego? Weronika jest już ogłupiała od tych twoich kłamstw, sztuczek i przekrzywień rzeczywistości. Dzieci to nie zabawki.

– Co niby jej zrobiłam?

– Nie uzgodniłaś ze mną faktu, że chcesz kupić mieszkanie w Łodzi.

– To moje życie i nie muszę z tobą ustalać jego przebiegu!

– Owszem, twoje, ale nie możesz proponować mojej córce tego, żeby z tobą

zamieszkała. Nie bez uzgodnienia ze mną!

– Słuchaj, stoję na głowie, żeby jakoś ułożyć sobie relacje z tobą i twoimi dziećmi.

– No właśnie widzę, jak stajesz na głowie!!

– Uspokój się. Postanowiłam, że nie sprzedam mieszkania, które odziedziczyłam po Gabrielu. Możesz w nim mieszkać razem z Kubą. Nie podoba mi się jednak to, że Weronika jest sama w obcym mieście. Postanowiłam więc ci pomóc i kupuję mieszkanie w Łodzi. Zamieszkał gdzieś obok szkoły Weroniki, zaopiekuję się nią, przypilnuję, żeby jadła śniadanie, przyjrzę się jej koleżankom, będę kontrolowała jej postępy w nauce i sporcie. Podzielimy się obowiązkami. Tobie będzie łatwiej, a ja będę cieszyła się, że mogę wam jakoś pomóc.

– Ktoś prosił cię o pomoc? Nie! Sama wymyśliłaś sobie tę bajeczkę, żeby przykryć nią prawdziwe motywy. Nie możesz odebrać mi dzieci, to postanowiłaś, że zabierzesz chociaż jedno?!

Rozmowa nie zmierzała do końca, a Ilona nie chciała dłużej się kłócić. Skorzystała z okazji, że z warzywniaka właśnie wyszedł mężczyzna w średnim wieku. Powiedziała mu dzień dobry, chcąc zwrócić jego uwagę. Odpowiedział jej, przyglądając się uważnie i jej, i Aleksandrze, a następnie udał w stronę, w którą powinna również pójść Ilona, jeśli chciała dotrzeć do swojego salonu.

– Chwileczkę! – zawołała i pobiegła za nim, zostawiając za sobą zaskoczoną Aleksandrę.

Nie wiedziała jeszcze, o co zagadnie mężczyznę, kiedy do niego dobiegnie, ale wiedziała, że to jedyny sposób, by w miarę bezpiecznie i szybko opuścić rozemocjonowaną Aleksandrę.

*

Na stoliku pojawiły się zamówione kawy. Dwie małe filiżanki na mikroskopijnych podstawkach i towarzyszące im niskie szklanki z wodą. Paweł Drzewiecki był niemalże pewien, że jego kontrahent nie był koneserem espresso.

Poprosił kelnerkę o to samo co Paweł, żeby nie wyjść na mięczaka. A teraz siedział przed końską dawką kofeiny i zastanawiał się, jak wyjść z tego z twarzą. Tak przynajmniej Paweł interpretował jego minę. Według niego pozory w świecie biznesowym urosły już do kosmicznych rozmiarów. Kiedyś mężczyźni, którzy chcieli dobić interes, obwieszali się bronią palną, nożami lub innymi symbolami mającymi podbić ich męskość i zapędzić przeciwnika do kąta niepewności. Dziś korzystali z zabiegów SPA, likwidowali nadmierne owłosienie i stawali się tak bardzo metroseksualni, że rozpaczliwie łapali się takich szczegółów jak espresso, by choć na chwilę pokazać, że są twardzielami.

– To co? Przemyślał pan moją propozycję?

– Przemyślałem.

Skłamał. O niczym nie musiał myśleć. Wszystko miał zaplanowane od samego początku. Musiał tylko znaleźć odpowiedniego klienta.

– I co?

– Lubi pan etap negocjacji? Bo jeśli tak, to możemy się trochę policytować na argumenty, jeśli jednak ceni pan szczerłość...

– O tak, proszę o konkrety. Mamy małe kawy, mało czasu, więc wystarczy kilka słów.

– Salon kosmetyczny Paris jest oczkiem w głowie mojej żony. Niestety żona zachorowała i musimy sprzedać firmę. Żona zadbała o jakość usług i klientów. Zdaje sobie pan sprawę, że może stać się pan właścicielem najlepszej marki kosmetycznej?

– Skoro jest taka dobra, to dlaczego państwo chcecie się jej pozbyć? Poza tym sama lokalizacja i nazwa nie są warte nawet połowy ceny podanej w ogłoszeniu.

Paweł jednym łykiem wypił całe swoje espresso, nie dotykając nawet szklanki wody.

Smolista, piekielnie gorzka ciecz pozostawiła w jego przetyku dyskomfort, ale pomyślał, że wyjdzie na twardziela, jeśli nie da tego po sobie poznać. Chciał zasygnalizować, że kończy właśnie rozmowy. Uważał, że mężczyzna, z którym się spotkał, był cwany biznesmenem. To dla niego odgrywał to całe przedstawienie. Dla niego i dla Ilony.

– Rozumiem pana. – Zamilkł na chwilę, by podkreślić, jak ogromną trudność sprawia mu wyznanie. Wiedział, że mężczyzna musi poczuć, że zrobił interes życia. – Moja żona nie może wrócić do salonu. Tak, chcemy się go pozbyć. Tak, przyjmujemy każdą pana propozycję. Tak, oddamy w tej cenie również bazę z adresami klientów. I dorzucimy jeszcze prawa do franczyzy, bo bliźniacze salony działają w całej Polsce. Przyznaję, jesteśmy zdesperowani. Teraz musimy skupić się na sobie, nie na prowadzeniu biznesu. Słowa Pawła wywołały zamierzony skutek.

– Trzeba było tak od razu! – Trudno nie było zauważyć błysku w oku mężczyzny.

– Przepraszam za szczerłość. Nie jestem może wytrawnym graczem, ale naprawdę chciałbym mieć to najszybciej za sobą.

– W pełni pana rozumiem. Umowę możemy podpisywać zaraz po weekendzie. Zapłacę gotówką. Połowa kwoty z ogłoszenia będzie OK?

*

– Piotr korzystający z usług psychologa? Leżący na kozetce i opowiadający o tym, co go boli? Jakoś sobie nie potrafię tego wyobrazić. – Żonie Sternala nie zamykają się usta.

Opowiada i opowiada, a ja tylko siedzę i słucham. Czekam, aż się wygada. – Piotr zawsze wszystkim próbował pokazywać, że ma się świetnie. Nawet kiedy wszystko waliło się nam na głowy. Chociaż w sumie to jest oczywiste. Gdzieś musiał wyrzucać te wszystkie wątpliwości, lęki, problemy... Długo do pani przychodził? – Nawet nie czeka na moją odpowiedź. – Cholera, na pewno mówił też o mnie! Złe rzeczy? Bardzo złe? Że go nie rozumiem, że się nie staram, że mam jego uczucia centralnie w dupie?

– Kochał panią. To dlatego nie podjął decyzji o rozstaniu.

– Ale najmocniej kochał siebie! To dlatego nie podjął decyzji, żeby skończyć z tymi głupotami. Jak można narzucać komuś, kogo niby się kocha, zboczone zachowania w sypialni? Ciekawa jestem, czy zareagowałyby ochoczo, gdybym powiedziała, że zanim wejdzie do sypialni, ma się ubrać w damskie ciuszki, bo w męskim wydaniu w ogóle mnie nie kręci!

Sternal nie żyje, a w jego żonie nadal buzują emocje. Emocje nie zabijają, powtarzam swoim klientom, bo chcę żeby dali sobie przyzwolenie na odczuwanie życia. Jego dobrych i złych aspektów.

Emocje nie zabijają, ale te lekceważone potrafią zabić każdą relację. Sternalowie są najlepszym przykładem.

– Pani Anno, czy miała pani okazję poznać Kasię Hałkę albo Marcina Karbowskiego? Kasia mieszkała blisko pracowni Piotra.

Rozmawiałam wcześniej z bratem Marcina i z koleżanką Kasi. Żadne z nich nie słyszało o pozostałych członkach grupy terapeutycznej. Przyszłam więc do żony Sternala z nadzieją, że może ona? Piotr zawsze opowiadał o tym, że żona ma silnie rozwinięty instynkt kontrolowania jego życia. Liczę, że to się potwierdzi, że kobieta podsunie mi trop, który będę mogła przekazać policji. Muszą przestać myśleć o mnie jako o podejrzaney.

Każdy z członków pechowej grupy terapeutycznej miał problemy natury seksualnej. Nie były to jednak sprawy na tyle poważne, żebym musiała odsyłać ich do seksuologa. Żaden z nich nie borykał się z zaburzeniami seksualnymi. Raczej mniej lub bardziej pragnął szczęścia i spełnienia związanego z realizacją niegroźnych fantazji seksualnych. Próbuąc znaleźć motyw, dla którego ktoś miałby zabijać leczone się u mnie osoby, dotarłam do wniosku, że być może policja przyjęła złe założenie. Może nie zabija nikt z zewnątrz? Może złamali warunki umowy terapeutycznej i zaczęli się ze sobą kontaktować? Stworzyli coś na kształt sekty i zaplanowali zbiorowe samobójstwo? Coś jednak poszło nie tak i nie udało im się tego skoordynować w czasie?

– Nie bywałam w pracowni zbyt często. Ale wie pani co? Mam tu taki notes. Zapisywałam w nim jego aktywność... To znaczy harmonogram dnia. Przy śniadaniu pytałam, co będzie robił, a potem notowałam. Lubiłam wiedzieć, gdzie jest o każdej porze dnia.

*

– Halo?

– Cześć! Słuchaj, namierzyliśmy osobę, która zawiadomiła pogotowie w sprawie Sternala.

Urszula odebrała automatycznie i dopiero sekundę po tym zorientowała się, że nie bardzo ma warunki do prowadzenia tej rozmowy. Niepohamowany słowotok

Chmielewskiego nie pozwolił jej jednak zareagować.

Pozostała jej jedynie ucieczka. Wstała więc z kanapy i pomaszerowała do przedpokoju.

Nie mogła dopuścić, żeby do uszu Aleksandry docierały słowa policjanta.

– To była twoja koleżaneczka, ta Wilk. Od teraz masz zakaz przekazywania jej jakichkolwiek informacji dotyczących prowadzonych przeze mnie śledztw. Dla mnie jest podejrzana. Byłem podpytać jej sąsiadów i opowiedzieli mi o ciekawej awanturze pomiędzy nią a jakąś inną kobietą. Podobno Wilkowa była agresywna.

– Ale dostałeś to, na co czekałeś?

– Tak, dostarczyła mi kartoteki klientów biorących udział w grupie. Mamy sześć nazwisk i trochę papierów. Zaraz zabiorę się za ich przeglądanie. Chociaż nie, najpierw muszę pojechać do kobiety, którą obrobili na wnuczka. Będiesz dziś jeszcze w firmie?

– Nie wiem. Zobaczę. Wybieram się dziś do rodziców Marysi. Chcesz jechać ze mną?

– Dziś sobota, nie wyrobię się. Przepraszam.

– Spoko.

– W kontakcie.

Rozłączył się, więc Urszula schowała telefon do kieszeni i wróciła do salonu.

Aleksandra siedziała dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawiła. Miała obojętny wyraz twarzy. Kiedy Ula zapukała do drzwi jej mieszkania, została zaproszona do środka, ale po minie Aleksandry wiedziała, że czeka je poważna rozmowa.

– Przepraszam, dzwonił Tomasz. Miałaś okazję go poznać.

– Poznałam i nie polubiłam.

– Sama jeszcze nie wiem, czy można go lubić. Ola, nadal jesteś na mnie zła?

– Zła? Nie. Głupio wyszło... ale staram się cię zrozumieć.

– Nie zdradziłam nikomu niczego, z tego co mi opowiedziałaś.

– Mam nadzieję. Przyszłaś do mnie jako przyjaciółka i zaczęłaś wypytywać o sprawy, które prowadzisz, a w które mogę być zamieszana.

– Nie prowadzę ich! – zaprotestowała Urszula. Wzięła krzesło i usiadła naprzeciwko Aleksandry. – Przyglądam się jedynie Tomaszowi, bo być może wezmę go do zespołu.

Po to tu przyjechałam. Mam nauczyć poznaniaków rozwiązywać stare sprawy. Dostałam propozycję nie do odrzucenia. Musiałam podjąć decyzję w ciągu godziny. Następnego dnia byłam już w Poznaniu, a ty byłaś spanikowana i skupiona na swoim problemie.

– I nie mogłaś mi powiedzieć o zmianie pracy przy pierwszym spotkaniu?

– Uznałam, że twoje problemy są bardziej palące od zmian w moim życiu. Olka, przepraszam! Masz rację, głupio zrobiłam, tak jakoś beznadziejnie wszystko wyszło.

Ale przecież to nie było intencjonalne.

– Wiem. Ja też przepraszam. Może zareagowałam odrobinę zbyt... No wiesz. Jestem zmęczona i niewyspana. Zapomnijmy o tym, dobra? Mimo wszystko się cieszę, że jesteś w Poznaniu. – Aleksandra uśmiechnęła się ciepło.

– Ja też się cieszę, że między nami wszystko gra. Pójdę już. – Odstawiła krzesło na miejsce. – Prześpij się, rzeczywiście nie wyglądasz najlepiej.

– No wiesz?!

– No co? Przyjaciółka zawsze prawdę ci powie.

Roześmiały się głośno i pomaszerowały do przedpokoju. Urszula włożyła buty, kurtkę i owinęła się szalem. Kiedy była już przy drzwiach, usłyszała cichy głos koleżanki.

– Znaleźliście już motyw, który kieruje sprawcą?

Odwróciła się.

Ruda burza loków odwracała uwagę od skupionej twarzy Aleksandry. Widziała ją już taką w Łodzi, kiedy to po raz pierwszy próbowała przekonać ją do siebie.

– Nadal szukamy.

*

Urszula do spotkania z rodzicami Marysi miała jeszcze ponad czterdzieści minut. Krótki spacer pozwolił jej na uporządkowanie myśli.

Sprawa snuła się własnym tempem. Na szczęście nie czuła na plecach nieświeżego oddechu mediów, więc mogła pracować tak, jak lubiła – uważnie i spokojnie.

Obserwacje policjantów z wydziału kryminalnego uświadomiły jej, że lata pracy w tym zawodzie sprawiają, że człowiek zatracza resztki empatii, a kolejne sprawy traktuje jak akta do zamknięcia i dlatego współpraca na linii kryminalny – profiler jest tak ważna. Ten drugi zauważa to, co umyka kryminalnemu, a dzięki temu kryminalny spokojnie wykonuje swoją robotę.

Komfort współpracy z Chmielewskim poprawił się od czasu, kiedy wyartykułował, że zależy mu na tym, żeby wybrała go do zespołu. Widziała, że stara się ograniczać głupie żarty, ale jednocześnie nadal jest sobą. Nie udaje, że nagle zmienił się z doświadczonego i zdystansowanego policjanta w epatującego zaangażowaniem zapaleńca. A to wróżyło dobrze na przyszłość. Podobnie jak to, że szybko uczył się dociekliwości i uważności. Właśnie dotarła na miejsce odnalezienia ostatnich zwłok.

Budynek pracowni mebli zwracał uwagę. Wydawał się nie pasować ani do pasa zieleni, przy którym został wybudowany, ani do bloków nieopodal. Właściwie nic tu do siebie nie pasowało. I w przestrzeni, i tych trzech aktualnych sprawach.

Urszula zatrzymała się przy niewielkim placu przed pracownią. Obok znaku drogowego informującego, że jest to parking dla klientów pracowni, znajdował się kosz na śmieci.

Wróciła do wspomnień z piątku, kiedy to technicy zabezpieczali miejsce odnalezienia zwłok i zdała sobie sprawę, że wszyscy zignorowali kosz. Chmielewski zaparkował tak, że zasłonił pojemnik pełen odpadów.

Włożyła rękawiczki i zaczęła przeglądać zawartość kosza. Wyciągała wszystko po kolei. Plastikową butelkę, zgniecione puszki po piwie, trochę papierów.

– Wstydziłaby się pani! – Starszy mężczyzna spacerujący z wyliniętym kundlem posłał jej nie tylko gorszące spojrzenie, ale także kilka uwag, że trzeba pracować, a nie grzebać w koszach.

Pracowała. Z poświęceniem. Zużyte bilety autobusowe, gnijący banan, i resztki, które trudno było zidentyfikować – wszystko trafiło na ziemię. Kiedy była mniej więcej w połowie opróżniania, odgłos szkła uderzającego o metalowy kosz sprawił, że przyspieszyła. Intuicja podpowiedziała jej, że to będzie coś ciekawego. Kolejne śmieci błyskawicznie trafiły na zmarzniętą ziemię, obok wcześniej segregowanych kupek,

a dno pojemnika stawało się coraz lepiej widoczne.

W końcu Urszula zauważyła strzykawkę i dwie fiołki z zielono-białymi korkami. Tylko jedna miała etykietę, sięgnęła więc najpierw po nią. Czarne litery na białym tle składały się w napis: „Pancuronium Bromide Injection”. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Chmielewskiego.

– Tomasz, Hałka miała wklucia na ciele, dobrze pamiętam?

– Tak. I Karbowski też.

– A Sternal?

– Też.

– Wiem, co im wszystkim wstrzyknięto.

– Skąd?

Pytanie sprawiło, że Urszula rozejrzała się wokół i szybko zrezygnowała z udzielenia odpowiedzi zgodnej z prawdą. Zresztą... co miałyby powiedzieć? Że właśnie stoi z dumną miną wśród kupy gnijących śmieci?

– Nieważne. Spotkajmy się w firmie za jakieś dwie, trzy godziny. I ściągnij koniecznie jakiegoś chemika. Mam dwie fiołki. Jedna jest opisana, a druga nie. Musimy wiedzieć, co w nich było. Na CITO! – krzyknęła i się rozłączyła.

*

Policjantka siedząca przy stole wyglądała zupełnie inaczej, niż spodziewała się Teresa. Gdyby podzieliła się przemyśleniami ze starym, wyśmiałyby ją. Bo właściwie jak miałyby wyglądać policjantka? Ostatni raz z milicją rozmawiali w osiemdziesiątym dziewiątym. Potem nastąpiła cisza, tak ogromna, że bez problemu mieściła w sobie jej wszystkie wyplakane łzy, poczucie bezsilności, opuszczenia i bezradności.

– Umawialiśmy się na sobotę, żebyśmy mogła porozmawiać również z pani mężem.

– No tak. On będzie, się pani nie przejmuj. Ale wysłałam go najpierw na długi spacer z psem. Wie pani, on was nie lubi. I to nawet nie ma znaczenia, że teraz jesteście wy, nie milicja. Bo to nie chodzi o nazwę, ale mundury i te wszystkie insynuacje, które były przeciwko niemu wyciągane.

– Czyli pan Jerzy do nas dołączy?

– Dołączy.

– Dobrze, zatem zacznijmy. Bardzo dokładnie przeanalizowałam sprawę zaginięcia państwa córki.

– Morderstwa raczej! – Teresa poczuła się w obowiązku, by poprawić policjantkę.

Wszystkie służby mundurowe, niezależnie od stroju politycznego, miały tendencję do umniejszania zasług i emocji społeczeństwa. Gdyby Marysia tylko zaginęła, a później się znalazła, nie byłoby tej całej afery. Milicjantów nachodzących ich o dziwnych porach dnia i nocy. Sąsiadów, którzy zaczęli przyglądać się im jak jakimś dziwolągom. Żalu, że nie udało się uchronić dziecka przed złem tego świata.

– Morderstwa, oczywiście.

– I po co to pani?

Policjantka chyba nie zrozumiała jej pytania. W ogóle nie wyglądała na policjantkę. Nie miała na sobie munduru. Mignęła tylko policyjną odznaką, ale właściwie Teresa nie była pewna, czy kobieta pracuje w policji, czy może jest dziennikarką, która chce wydobyć od niej kilka zdań, które potem zamieści na pierwszej stronie jakiegoś szmatławca. „Ojciec zgwałcił i zamordował córkę”, „Potwór, nie ojciec”, „Gdzie była matka?” – Teresa nie zapamiętała wszystkich tytułów artykułów, które ukazały się na ich temat, ale niektóre bolały ją do dzisiaj.

– Nie bardzo rozumiem.

– Po co rozdrapywać stare rany po dwudziestu dziewięciu latach?

– By wymierzyć sprawiedliwość mordercy państwa córki.

– Skoro wtedy nie mogliście go złapać, to zrobicie to nagle teraz? Nie wierzę w bajki.

Dla pani to jedynie kolejna sprawa, dla nas największa porażka i strata w życiu.

– Z zebranych przeze mnie informacji wynika, że wystąpiliście państwo w programie telewizyjnym, w którym wykazywaliście błędy, które popełniono podczas poprzedniego postępowania. – Policjantka spojrzała do notesu i zaczęła wymieniać: – Nie sporządzono psychologicznego portretu sprawcy, nie sporządzono profilowania kryminalnego.

– To nie my, tylko dziennikarz. On mówił, że sprawca by się znalazł, gdyby milicja działała tak jak trzeba.

– Ale jeśli wystąpiła pani w telewizji, to mogła się pani spodziewać, że sprawa ponownie ujrzy światło dzienne.

– Mojej córce nic już życia nie wróci. – Teresa westchnęła.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Uważam jednak, że jeśli jest cień szansy, żeby złapać bestię, która zrobiła to... – Policjantce zadrżał głos. – Państwa córce... Jeśli jest cień szansy, to trzeba ją wykorzystać.

– Co chce pani wiedzieć?

– Pani mąż znalazł zwłoki córki i według akt mógł je wtedy zanieczyścić swoim DNA.

– Nie, tego to ja nie będę słuchać! – Oburzona Teresa uniosła się z krzesła. – Miała pani pomóc, a nie wpędzać nas w ten sam kozi róg. Wie pani, jak bardzo te oskarżenia wpłynęły na funkcjonowanie całej naszej rodziny? Wie pani?!

– Proszę mi opowiedzieć.

Teresa nie zamierzała otwierać serca przed obcą kobietą. Zresztą... Co miałyby jej powiedzieć? Że dziad oskarżony o molestowanie własnej córki w ogóle przestał interesować się seksem? Że zamknął się na cały świat, skupił na robocie i nie dopuszczał do siebie nikogo? Nawet jej, poślubionej przed Bogiem, która przysięgała przy nim tkwić w zdrowiu i chorobie, na dobre i na złe.

I tkwiła właściwie tylko dlatego, że przysięgała. Co noc prowadziła w głowie poważne dyskusje, zasypiając przy Jerzym. Czy mógłby to zrobić. Raz wygrywała myśl, że nie. Innym razem – odwrotnie. Zwykle jednak zasypiała zmęczona dopiero nad ranem, nie mogąc uzyskać od siebie jednoznacznej odpowiedzi.

– Straciliśmy jedną córkę, ale jeśli zapytałaby pani tej drugiej, to ona pewnie powiedziałaby, że straciła nie tylko siostrę, ale i rodziców. Nie było nam łatwo.

Musieliśmy się przeprowadzić, bo spojrzenia sąsiadów stały się nie do wytrzymania. Mąż zmienił pracę i już nigdy nie było tak jak przedtem. Nigdy.

– Rozmawiałam już z państwa córką. Sylwia wspomniała o dziwnym zachowaniu kuzyna podczas pogrzebu. Pamięta pani może coś szczególnego z tamtego czasu?

– Kuzyna? Widzę, że władza się zmienia, ale milicja nie! Nadal szukacie mordercy wśród nas!

Teresa spojrzała w kierunku, z którego dochodził męski głos. W sumie nawet nie musiała patrzeć na swojego starego, żeby stwierdzić, że jest wściekły. Ton jego głosu był znamieny. Jerzy stał w drzwiach w rozpiętym kożuchu i zdenerwowany spoglądał to na nią, to na policjantkę.

– O, a to właśnie mój mąż jest – powiedziała. – Jerzyk, wejdz do środka i się nie denerwuj, pani przyjechała, żeby nam pomóc.

– Krzyż jej na drogę! W czym niby pomóc? Niech wypieprza stąd, bo jak się zdenerwuję!

– Panie Jerzy...

Policjantka próbowała złagodzić sytuację, ale Teresa zbyt długo znała swojego męża, żeby liczyć na to, że się da. Spacer z psem nie zmęczył go wystarczająco mocno, a pytanie o kuzyna na dzień dobry wprowadziło w stan wysokiego wkurwienia.

– Powinna pani już pójść, odprowadzę panią – zaproponowała.

– Jak tu łajza trafiła sama, to niech sama wyjdzie!

– Jerzyk!

– Co: Jerzyk, Jerzyk?!

– Przestań, tylko wstyd robisz.

– A w dupie mam wstyd! Jak mnie oskarżali, że własne dziecko zgwałciłem, to jakoś nie myśleli o wstydzie!

Teresa wraz z policjantką wyszły na klatkę schodową.

– Przepraszam za męża. Proszę go zrozumieć. Nie dość, że straciliśmy córkę, to jeszcze żyliśmy w strachu. Wszyscy patrzeliśmy na siebie wilkiem. Wzajemnie obarczaliśmy się winą. On mnie, ja jego...

– Rozumiem. Ale proszę sobie przypomnieć zachowanie kuzyna.

– Ja z pogrzebu niewiele pamiętam. Wzięłam tyle leków uspokajających, że właściwie było mi wszystko obojętne.

– Sylwia mówiła, że wspominała pani o tym, że Irek się dziwnie zachowywał. Czy mówiła pani o tym komuś?

– Nie, nikomu. Nie pamiętam nawet takiej rozmowy z córką. I nigdy nie podejrzewałam Irka, więc córka nie mogła powiedzieć mi nic, co byłoby niepokojące.

– A co to za Irek? Bo córka nie zna jego nazwiska.

– Ireneusz Olendrowicz. Syn mojej siostry, Alicji. Chłopak był starszy od naszych dziewczyn, ale go lubiły.

– Gdzie go znajdę dzisiaj?

– Oj nie wiem, nie wiem. Bardzo szybko urwał nam się kontakt. Alicja umarła, a chłopak się pogubił. Poszedł siedzieć, biedaczysko...

*

Tomasz zdawał sobie sprawę, że dokonał niemożliwego. Ściągnięcie w sobotnie popołudnie chemika, który raczy zająć się „na już” zawartością fiolek, graniczyło z cudem. Tylko w filmach wszyscy specjaliści czekali, aż okażą się przydatni głównemu bohaterowi. W praktyce każdy miał prywatne życie, któremu oddawał się w czasie wolnym. I nie zamierzał z tego czasu rezygnować.

Jemu się jednak udało. Chemik bronił się co prawda długo, ale w końcu uległ. Tomasz uznał więc, że być może ma szczęśliwy dzień i nie powinien tracić go na odpoczynek. Z taką myślą dotarł pod blok Aleksandry Wilk.

– Dobry – zagadnął ją od razu po wyjściu z samochodu.

Zaparkował przy śmietniku, a kobieta właśnie wrzucała do niego dwa średniej wielkości worki.

– Co pan tu robi?!

– Musimy porozmawiać.

– Rozmawialiśmy już.

– Widocznie za krótko.

– Proszę dać mi spokój! – Próbowwała go ominąć, ale nie dał się zlekceważyć. Złapał ją za rękę i zmusił do zatrzymania.

– Chciałbym... No ale widocznie zależy pani na tym, żebym panią nachodził.

Przychodzę tu na pani życzenie. Zataiła pani kilka istotnych szczegółów podczas ostatniego przesłuchania.

– Że co?!

– Kiedy ostatni raz widziała pani Sternala?

Nie spuściła wzroku. Wręcz przeciwnie. Wpatrywała się w niego uważnie, jakby miała nadzieję wyczytać z twarzy stan jego wiedzy.

– Ale o co panu chodzi? – odezwała się po kilku sekundach.

– Kiedy widziała pani Sternala?

– Był moim klientem, widywaliśmy się...

– Kiedy ostatnio? – warknął.

– Nie pamiętam.

– Ciekawe. Ale dobrze, skoro chce pani bawić się w ten sposób. Proszę bardzo. Pójdzie pani ze mną, porozmawiamy na komendzie.

– Ale...

– Mija ostatnia minuta, w ciągu której może pani powiedzieć prawdę, w przeciwnym razie zatrzymam panią pod zarzutem utrudniania śledztwa.

Widział, że kobieta toczy z sobą walkę. Przygryza usta, kuli się w sobie i zaciska pięści.

– Nie pamiętam, kiedy widziałam go żywego. Martwego wtedy, kiedy wezwałam pogotowie. Pewnie już ustaliliście, że to byłem ja. Chciałam mu pomóc, dlatego zadzwoniłam, a potem pomyślałam, że przyjedzie policja i będę musiała tłumaczyć,

dlatego znalazłam się w tym miejscu o tej właśnie porze. Powinnam była powiedzieć panu o tym podczas ostatniej rozmowy, przepraszam. Ale skoro już rozmawiamy. Dostałam od żony Sternala notatnik. Codziennie rano przepytowała męża, z kim się będzie spotykał i gdzie, a później to zapisywała. Może będzie pan w stanie wyciągnąć z tego jakieś ciekawe informacje. Chociaż wydaje mi się, że Piotr doskonale potrafił radzić sobie z kontrolującą go żoną. Sprawdziłam kilka dat naszych spotkań. Przy żadnej nie ma informacji o mnie, tylko o spotkaniu z kumplem...

*

- Baw się dobrze.
- Dzięki, mam.
- Może cię odprowadzę?
- Proszę, nie mam już sześciu lat!
- Szesnastu też nie.
- Mamo?!

Aleksandra skapitulowała. Kuba powoli zmieniał się w Jakuba i potrzebował coraz więcej swobody. Najwidoczniej dotarli do punktu, w którym rezygnacja z ciągłej obecności jest trudniejsza dla matki niż dla dziecka.

- Dobrze, kochanie. Pamiętaj, nie kłóćcie się, słuchaj mamy Piotrka, umyjcie zęby i...
- Mamo, wiem! Przecież nie jadę tam pierwszy raz!

Miał rację, ale Aleksandra jakoś nie mogła się z nim dzisiaj rozstać. Powodem był zapewne kolejny punkt programu. Zamierzała wykorzystać fakt, że ma wolny wieczór i noc, i spróbować naprawić swoje relacje z Krystianem.

- Komórkę masz naładowaną?
- Tak. Lecę, pa!
- Kocham cię, pa! Do jutra. Jak coś, to dzwoń!

Odczekała, aż Kuba wszedł do bloku, w którym mieszkał Piotrek, i odjechała. Po drodze wstąpiła po sushi. Najchętniej przy okazji odwiedziłaby myjnię i zamówiła najdłuższy program, włącznie z praniem tapicerki.

Wiedziała, że musi spotkać się z Krystianem i porozmawiać z nim w cztery oczy, ale miała dużo obaw.

- Cześć. – Starła się zagłuszyć je, kiedy stanęła przed drzwiami, a on je otworzył.
- Aleksandra?
- Wiem, powinnam zadzwonić, ale pomyślałam, że w sobotę wieczorem będziesz w domu.

Wpatrywał się w nią, jakby właśnie urwała się z choinki. W końcu wydusił z siebie krótkie i mało przekonujące:

- Wejdiesz?

Uśmiechnęła się i przekroczyła próg mieszkania, tłumacząc sobie, że być może nie zareagował entuzjastycznie, ale mając na uwadze jego ostatni telefoniczny wybuch, to

nie było najgorzej.

– Przyniosłam sushi. Na zgodę?

Stała oparta o wszechobecną boazerię i czekała na jego ruch. Nadal była opatulona szalem, a zimowa kurtka – a może obecność Krystiana? – sprawiała, że zaczęło jej się robić gorąco.

– Co z Weroniką i Kubą?

– Wera w Łodzi, Kuba u kolegi.

– Masz wolny wieczór?

– I noc – dodała.

Udał, że nie złapał sensu wypowiedzi. Podszedł do niej, odebrał siatkę z sushi i zaproponował, żeby zdjęła kurtkę. Sam poszedł do stołu i zajął się rozpakowywaniem ryżowych smakołyków.

Rozmowa się nie kleiła. Aleksandra widziała, że Krystian nadal nie przetrwał ich nocnej kłótni. Co chwilę przygryzał wargi i niby się uśmiechał, ale tylko ustami. Jego oczy cały czas były smutne.

– Krystian?

– Tak?

Spojrzał na nią z nadzieją, dlatego zdecydowała się zaryzykować. Odeszła od stołu i usiadła na kanapie. Poprosiła, żeby zajął miejsce obok niej, a kiedy to zrobił, odezwała się:

– Zabolało mnie to, co powiedziałeś przez telefon. Ja... ja...

– No jasne. Powiedziałem ci to, bo jestem wredny i źle nastawiony do świata. I myślisz sobie, że jestem twoim wrogiem i chciałem ci dokopać. Ale co tam, nawet nie zamierzam się bronić. Oczywiście, to ty masz rację, jak zawsze.

– Krystian! – uniosła głos.

Popatrzył na nią, ale po nadziei nie został już żaden ślad. Mężczyzna był zły.

– Zachowujesz się jak zranione zwierzę. Atakujesz mnie, bo czujesz się zagrożony.

– Zagrożony? Niby przez ciebie? Nie rozśmieszaj mnie!

Ukryła twarz w dłoniach i przez kilka sekund próbowała odzyskać panowanie nad sobą. Krystian był naładowany negatywnymi emocjami. Jeśli chciała się z nim dziś porozumieć, powinna opanować nie tylko swoje lęki, obawy i pragnienia, ale także jego „bestie”.

– Możesz się uspokoić? Krystian, rozumiem, czekałaś na mnie, a ja cię nie uprzedziłam, że nie przyjdę. Nie uprzedziłam nie dlatego, że mam cię gdzieś. Padłam zmęczona... Nie słuchał jej. Przewracał oczami. Uznała, że nie ma sensu tego kontynuować.

– Byłoby bardzo miło, gdyś mógł się skupić na naszej rozmowie. Kiedy powiedziałam, że zabolaly mnie twoje słowa, chciałam, żebyś wiedział, jak się czułam. Nie po to, by cię oskarżać i szukać winnego całej tej sytuacji. Zdjęłam wszystkie maski, stanęłam przed tobą naga i wyznałam, co mnie zabolalo. Nie wiem, czy na tym etapie znajomości mogłam zrobić coś bardziej intymnego, budującego bliskość. Zaufałam tobie, pokazując, gdzie mnie boli. A ty, zamiast przyjąć moje wyznanie z wdzięcznością...

– Wdzięcznością? – Wybuchnął śmiechem.

– Przestań! Proszę cię, przestań! Próbuję się z tobą dogadać, a ty to utrudniasz. Ja chcę

się pogodzić, a ty dążysz do konfliktu. Z wdzięcznością za szczerość...

– Ja utrudniam? No widzisz, znowu moja wina. Oczywiście. Tak powiedziałaś. Masz rację. Mam to wszystko w dupie i w sumie nawet nie wiem, po co cię tu wpuściłem.

– Naprawdę chcesz ze mną tak rozmawiać? Mam wolny wieczór i noc, moglibyśmy...

– Jesteś śmieszna. Od kiedy w naszym związku liczy się moje zdanie? Zawsze jest tak, jak ty chcesz. Dziś wymyśliłaś sobie, że spędzisz wolną chwilę ze mną. Jestem ci potrzebny, więc się pojawiłaś.

– Nie jesteś mi potrzebny! – zaprotestowała gwałtownie. – Bardzo dobrze radzę sobie sama. Przyszłam, bo tego chciałam, ale może jesteś zbyt głupi, żeby chcieć to zauważyć! – wrzasnęła i wstała, nie czekając na odpowiedź. Sięgnęła po kurtkę i pomyślała, że rozkładanie ludzkich emocji na czynniki pierwsze w gabinecie psychologa nie jest może bezbolesne, ale o wiele łatwiejsze. Prościej jest zrozumieć, że jeśli o swoich emocjach poinformuje się partnera, i od niego uzyska się komunikat mówiący o tym, co on czuje, to posiada się wiedzę niezbędną do efektywnego porozumienia się.

Bo skoro kobietę zabolalo coś w zachowaniu mężczyzny, a mężczyznę coś innego w zachowaniu kobiety, to głównym wnioskiem jest to, że im na sobie zależy. Że są na tyle blisko siebie, żeby czasem nawet nieświadomie zadawać sobie ból. Kolejnym etapem rozwiązywania problemu jest zrozumienie zachowania własnego i partnera, wyciągnięcie wniosków na przyszłość i powiedzenie sobie czegoś miłego na koniec. I tak właśnie zamierzała zrobić. Wystarczyłoby, żeby Krystian odpowiedział jej tak samo dojrzałe, jak ona. Żeby powiedział, że wybuchł przez telefon bo... i że czuł się wtedy tak i tak.

Mogłaby mu wtedy wytłumaczyć. Przeprzić. Przytulić.

– Czekaj!

Usłyszała jego głos, kiedy stała już przy drzwiach gotowa do wyjścia. Odwróciła się z nadzieją, że nie wszystko stracone i z myślą, że zupełnie niepotrzebnie straciła cierpliwość.

– Oddam ci pieniądze za sushi – stwierdził kategorycznie.

Spojrzała w jego obojętne oczy i nagle zapragnęła poczuć w swoich płucach zimne grudniowe powietrze.

Odwróciła się na pięcie, nacisnęła klamkę i wyszła. Drzwi zamknęła najciszej jak tylko mogła. Nie chciała robić hałasu. Jej dogorywająca relacja z Krystianem właśnie wybrzmiała.

*

Urszula siedziała sama na komisariacie, który w późne sobotnie popołudnie świecił pustkami. To znaczy z części dostępnej dla społeczeństwa jak zwykle dochodziły odgłosy awanturujących się interesantów, ale w wydziale kryminalnym panowała cisza.

Sprawdziła już bazy pod kątem Irka, kuzyna, a teraz przeglądała internet. Tomasz powinien jej towarzyszyć, ale jego biurko było puste, a komórka wyłączona. Zrobiła sobie herbatę, podkreśliła kaloryfery i poczuła się jak w domu.

– Jestem! – Tomasz zjawił się w takim momencie, że przez chwilę wpatrywała się kolegę nieprzytomnym wzrokiem. Zrzucił kurtkę na biurko obok, przyjął pozę „podziwiał mnie” i śpiewnie zaintonował: – Ta-ram!

– Serwujesz mi wejście smoka godzinę po umówionym terminie spotkania?

– E tam, od razu smoka. Nad czym siedzisz? – Zerknął na monitor komputera, a to, co tam zobaczył, sprawiło, że aż gwizdnął pod nosem. – Ho, ho, ho! Nie mów, że oglądasz pornole w pracy.

– *Fuck*, jacy wy jesteście ograniczeni. – Machnęła ręką. – To, że mam na ekranie nagich ludzi nie znaczy... Tomasz, ja pracuję.

– Jeśli tak, to ja też chętnie popracuję. Zwłaszcza jeśli to ma tak wyglądać. – Roześmiał się, przysunął krzesło do jej biurka i usiadł. – Co masz?

– Szukam czegoś, co łączy twoje trzy ofiary. Wzięłam pod lupę parafilie.

– Filie? Czyli że pedofilia? Chyba nie myślisz, że Hałka mogłaby molestować dzieci?

– Pedofilia jest jednym z najgłośniejszych i najbardziej potępianych, ale wierz mi, zaburzeń preferencji seksualnych jest znacznie więcej.

– Zaburzenia, czyli to choroba?

– To nie jest teraz istotne. Istotne jest, że parafilii niespecyficznych jest bez liku.

– Niespecyficznych... czyli jakich? I co to ma wspólnego z moimi trupami?

– Czyli takich jak na przykład partenofilia, gerontofilia, zoofilia, urofilia, abasiofilia, nekrofilia czy skatofilia telefoniczna.

– Zoofilia i nekrofilia to wiem, o co chodzi. Uro... Domyślam się, że od moczu, ale reszta?

– W partenofilii warunkiem osiągnięcia satysfakcji seksualnej jest kontakt z dziewczynami, w gerontofilii seks ze starszymi, w abasiofilii z osobami mającymi uszkodzone nogi lub ręce. Skatofilia telefoniczna to...

– Jęczenie przez telefon?

– Nie tylko jęczenie, raczej prowadzenie obscenicznych rozmów przez telefon. Szukam właśnie parafilii, na którą mógłby cierpieć Karbowski. Bo zobacz, to mogłoby pasować. Sternal lubił się wiązać, co daje nam praktyki sadomasochistyczne, według jednej z klasyfikacji numer F65.5, sadomasochizm. Dzięki wglądowi w blog prowadzony przez Hałkę wiemy, że kręciło ją jedzenie.

– Obżarstwo to grzech. Ty, a może to o grzechy chodzi, co? Siedem grzechów głównych. Lenistwo w wannie, nieumiarkowanie w jedzeniu i picu u Hałki i na przykład gniew u Sternala?

– No nie wiem. Zapisz to na listę hipotez, ale na razie skup się na moim toku rozumowania. Obżarstwo, nadmiar tkanki tłuszczowej, chwalenie się tym, ile się przytyło, poszukiwanie kogoś, kto cię będzie tuczył... To zespół zachowań parafilicznych.

– Serio? – Tomasz otworzył szeroko oczy.

– Niestety. Fachowa nazwa to „adipofilia”. Tylko co z tym środkowym trupem? Leżał

w wannie. Sam. Nie znaleźliśmy żadnych kompromitujących materiałów.

Urszula podeszła do szafy pancерnej i wyjęła z niej akta kolejnych spraw. Zamierzała po raz kolejny przyjrzeć się zdjęciom. Od samego początku obrazy, które zastała na miejscach zdarzenia, jakoś mocno na nią oddziaływały. I nie chodziło jej tym razem o przepływy energetyczne czy ślady, po których można by tropić walkę mordercy z ofiarą, ale o idealny constans.

– Zobacz. – Zaczęła rozkładać fotografie na biurku. – Są piękne, tak klimatyczne, że aż trudno uwierzyć, że to nie fotosy z planu filmowego. Życie nie jest idealne, ludzie nie mają takiego idealnego porządku w łazienkach, pokojach...

– Może morderca wybiera sobie właśnie pedantów? I morduje ich, żeby dać upust swojej frustracji, bo sam ma problem z utrzymaniem porządku. Chociaż nie, u tej grubej panował raczej artystyczny nieład.

– Jeśli już, to zupełnie odwrotnie. Nie daje upustu frustracji, bo zwłoki nie noszą śladów kontaktu z mordercą. Nie ma na nich śladów po uderzeniach. Nie rani ich ani nie bije. Ale sam może być pedantem i to on, już po wszystkim, sprząta pomieszczenie, tak żeby wyglądało przyzwoicie.

– Skoro o ciałach... Wyciągnąłem chemika pracującego w zakładzie medycyny sądowej z domu, żeby od ręki sprawdził znalezione przez ciebie fiołki.

– I co? – Urszula oderwała wzrok od fotografii, które zajmowały już cały blat biurka.

– I to przez niego się spóźniłem. Ale już wszystko wiem.

– Mów!

– W jednej rzeczywiście było pankuronium. To aktualna nazwa leku, który cała Polska zna jako pavulon. Aktualna, ale nieużywana, bo wszyscy i tak raczej posługują się starą. Pavulon paraliżuje pacjenta. W drugiej fiołce był natomiast chlorek potasu.

– Potasu?

– Aha, chlorek potasu stosowany jest jako składnik mieszaniny soli do posypywania dróg w zimie. Ale oczywiście znane są również przypadki zabójstw przez wstrzyknięcie chlorku potasu. To o tyle sprytna substancja, że trudno ją wykryć po śmierci. Chyba że się wie, czego szukać.

– Pavulon i chlorek potasu. Paraliż i śmierć. Wszystkie trzy ofiary miały po dwa wkłucia. Kolejność wydaje się oczywista. Najpierw je paraliżuje, a potem zabija. Dlaczego?

– Chce, żeby byli bezwolni, bo coś z nimi robi? Nie wiem tylko, co. Gdyby nie wyniki sekcji, to powiedziałbym, że paraliżuje je i z nimi współżyje.

– Brak śladów współżycia. Ale może z nimi rozmawia?

– Sparaliżowani raczej nie mówią.

– Nie odpowiadają mu, więc sam do nich mówi? *Fuck*.

Za oknami było już ciemno. Odgłosy awanturującego się mężczyzny ucichły. Siedzieli w pokoju i wpatrywali się w zdjęcia, szukając odpowiedzi na mnożące się pytania.

Urszula nie знаła stanu cywilnego Tomasza, ale stanął dziś na wysokości zadania. Mimo soboty wytrasnął spod ziemi chemika, ustalił zawartość fiołek i wrócił do firmy, mimo że miał już wolne.

Ewidentnie odnajdywał przyjemność z tropienia mordercy. Zdawał sobie sprawę

z ograniczeń proceduralnych, ekonomicznych i organizacyjnych, ale nie zrzucił na nie wszystkich swoich niepowodzeń. Płynął z nurtem, ale nadal przynajmniej starał się zachowywać pozory tego, że siedzi za sterami.

– Wiem! – Nagle przyszła jej do głowy myśl, która wydała się idealnie uzupełniać kilka dziur. – On je ustawia, bo przecież ciało jest najważniejsze w tym całym przedstawieniu teatralnym na tych fotografiach...

– Myślisz, że też je fotografuje?

– Jestem niemal pewna. Musi się napracować, żeby było ładnie. Podejmuje wysiłek w określonym celu. Ma wizję. Może uwieczniać efekt swojej pracy. Czyli szukamy sprawcy z aparatem fotograficznym. Fotografuje, nie walczy z nimi, obezwładnia ofiary środkami farmaceutycznymi. Jakiś lekarz? Popatrz jeszcze raz na zdjęcia Karbowskiego. Widzisz w nich coś perwersyjnego?

– Czy ja wiem? Może dla ciebie perwersyjne będzie ciało tego faceta. Dla mnie to zwykła fota nagiego, kąpiącego się gościa. Urszula, jestem zmęczony, może zrobimy przerwę, co?

Nie uważała, żeby nagość była perwersyjna. Mężczyzna leżał w wannie, a głowa opierała się o brzeg wanny. Ręce spoczywały wzdłuż ciała, kolana wystawały ponad poziom wody. Na kolejnym ujęciu widać było, że na powierzchni wody unoszą się małe paprochy.

– Mrówki – przypomniała sobie. – W tej wannie były mrówki. Jakieś nietypowe, nie takie jak te w blokach.

*

Remigiusz wpuścił gościa do środka i zaprowadził do pokoju. Sam usiadł na pufie, gdyż mężczyzna zajął całą kanapę. Lodówkę turystyczną położył po swojej lewej stronie, reklamówkę z prawej. Odchrząknął, uśmiechnął się i wbił wzrok w podłogę.

Remigiusz wykorzystał ten moment, żeby przyjrzeć się mężczyźnie. Białe adidasy, spodnie ze zwisającym krokiem, bluza z kapturem. Nieczęsto spotykał ludzi ubranych w coś innego niż marynarki, koszule, spodnie w kant i eleganckie buty.

Od lat był menedżerem w międzynarodowej firmie. Mieszkał już w jedenastu dużych miastach, między innymi w Berlinie i Amsterdamie. Do Poznania został oddelegowany dwa lata temu i powoli jego misja zbliżała się do końca. W firmie mówiło się o tym, że kolejna filia zostanie uruchomiona w marcu we Wrocławiu i że to Remigiusz zajmie się zarządzaniem.

To dlatego zdecydował się na realizację swojej fantazji. Pragnął zrealizować marzenia i za kilka tygodni zapomnieć o doznaniach. Wyjazd do Wrocławia miał być symbolicznym zerwaniem z cielesnymi uciechami. Robił się coraz starszy i wiedział, że w końcu powinien się ustatkować i znaleźć dla siebie innego partnera. Z Antkiem coraz

trudniej było mu się dogadać.

– Ale dzisiaj pogoda – rzucił, żeby przerwać ciszę.

W sumie nie miał nic do zarzucenia pogodzie, ale czuł się bardzo niezręcznie.

– No niestety. Taki mamy klimat.

– Jak właściwie masz na imię?

– A jakbyś chciał, żebym miał?

Pytanie przypomniało mu, że ma do czynienia z „Głodny_Poznań” i że zna tego faceta od kilku miesięcy. Co prawda dopiero teraz zobaczyli się po raz pierwszy na żywo, ale wcześniej regularnie wymieniali się myślami dotyczącymi jedzenia.

Kręciły ich te same rzeczy, zachowania i klimaty. „Głodny_Poznań” był bardziej doświadczony i wielokrotnie przejmował kontrolę nad ich rozmową, tak jak w tej chwili. Remigiusz nie lubił jej przekazywać, ale w zachowaniu Głodnego było coś podniecającego.

– Pomyślmy... Hm, może Mariolka?

– Czy ja wyglądam na Mariolę?

Mężczyzna parsknął śmiechem, a atmosfera się rozluźniła. Remigiusz poczuł, że dysonans poznawczy mija. Że oswaja się z powierzchownością Głodnego i łączy ją z wieloma sympatycznymi doznaniem, które miał zakodowane w mózgu.

– Na szczęście nie. Wiesz, że nie gustuję w kobietach.

– W takim razie możesz mówić do mnie Marian.

– Mogę. Zastanawia mnie jednak, dlaczego jesteś taki tajemniczy? Znasz moje prawdziwe imię, znasz adres zamieszkania. Ja nie wiem o tobie nic.

– Z tym „nic” to trochę przesadziłeś. A tajemniczość... Przecież to lubisz?

Wizualnie w ogóle do siebie nie pasowali, ale dobrze im się rozmawiało. Głodny wiedział, jak podkreślić pożądanie Remigiusza. Doprawiał ich rozmowę nutą tajemniczości, stawiał się zawsze w roli eksperta żywo zainteresowanego poczynaniami Remigiusza i zawsze kończył rozmowę nagle, w najciekawszym momencie.

– Okazało się, że lubię też śliwki – rozpoczął delikatnie, chcąc wyczuć rozmówcę.

Liczył się z tym, że jednak o seksie o wiele łatwiej pisać, niż rozmawiać. Lęk przed tym, że partner zobaczy prawdziwe podniecenie, obawy czy łakome przełykanie śliny był paraliżujący. Przynajmniej dla Remigiusza.

– Próbowalesz? – Głodny oparł się o poduszki. Wyglądał na zrelaksowanego. – I jak?

– Zadanie wydawało się niewykonalne, bo gdzie tu w grudniu znaleźć miękką śliwkę, ale się udało. Wydrążyłem ją i powiem ci, że megadoznania.

– A nie mówiłem? Rytmiczne nasuwanie na żołądek daje zajebistego kopa!

– Taa, kopa ma ta kawa.

Zarechotali.

– Swoją drogą z kawą jeszcze nic nie próbowałem.

– Z ziarnistą?

– No.

– Ja też nie, ale można by ją... Nie, nie, jednak nie.

– Co nie? – zapytał Remigiusz. Lubiał przekraczać granice, a przecież nie miał na to zbyt dużo czasu. Od marca miał być już grzecznym mieszkańcem Wrocławia.

– Pomyślałem, że można by ją może zamiast winogron czy pomidorków koktajlowych wkładać do odbytu, żeby potęgowała wrażenia w czasie anala, ale to chyba nie najlepszy pomysł. Winogrona i pomidorki są miękkie, a kawa wręcz przeciwnie.

Zamyślili się. Po chwili Głodny wstał i zaczął się rozglądać po pokoju.

– Dobra, bo my tu gadu-gadu, a mnie zaraz się roztopią lody.

– Lody? – powtórzył Remigiusz, a podniecenie poszybowało pod sufit.

– Masz nożyczki?

Głodny wyjął z reklamówki papierowy talerz. Remigiusz przyniósł nożyczki z kuchni, a później przyglądał się, jak mężczyzna wycina na środku talerza otwór.

– Remik, taki wystarczy? – spytał w końcu.

– Nie wiem. – Remigiusz wzruszył ramionami.

Nie był już w stanie skupiać się na szczegółach. Natrętna myśl krzycząca przez megafon, że oto za chwilę rozpocznie się uczta zmysłów, a jego penis znajdzie się na talerzu i zostanie obłożony lodami, powodowała paraliż wszystkich funkcji życiowych. Chociaż nie. Jego penis dawał o sobie znać. Nabrzmiewał w spodniach, jakby chciał powiedzieć, że dziura będzie za mała, bo on cały czas rośnie.

Nie raz dotykał nim różnej żywności. Zatapiał go w słoiku miodu, wydrążonym melonie albo wciskał w wieprzową wątróbkę. Każde zetknięcie się wrażliwej na dotyk główki z nową strukturą i konsystencją podniecały go prawie tak samo mocno, jak myśl o tym, że ludzie jedzą produkty, z którymi on osiąga satysfakcję seksualną.

Kręcące było to, że praktykuje coś zбочonego. Że wcale nie jest taki grzeczny, za jakiego uchodzi. I że za chwilę lody zmrożą jego płonąca z pożądania męskość.

Nie bez znaczenia był też fakt, że tym razem miał doznać czegoś więcej. Jego doznania seksualne związane z obcowaniem z żywnością miały zostać spotęgowane pieszczotami oralnymi. Głodny przyniósł ze sobą swoje ulubione lody po to, by zlizać je z papierowego talerza...

*

– Połóż się.

– Gdzie?

– Na kanapie, na stole? Jak wolisz.

Remik wypełniał wszystkie jego polecenia.

– Wolę na kanapie. Tobie też powinno być wygodnie...

Nie zaprzętał sobie głowy tym, żeby było wygodnie. Przecież wiedział, że przebieg tej zabawy będzie zupełnie inny, niż spodziewał się Remik.

Wiedział, dlaczego to robi, ale chwile takie jak ta, kiedy pojawiał się w mieszkaniach ludzi, których rozpracowywał przez miesiące, zawsze sprawiały, że dostawał wiatru w żagle. Nie był w stanie pojąć, jak bardzo osoby takie jak Remik są w stanie pozorować normalność.

Praca, dom, hobby, partner lub partnerka, dzieci, niedzielne wizyty w kościele. Na

pierwszy rzut oka wszystko było idealne. On już wiedział, że im bardziej idealnie wygląda życie jakiegoś człowieka, tym więcej ten ktoś ma do ukrycia.

– Rozbierz się.

– Tak od razu?

Mężczyzna wyglądał, jakby oczekiwał jakichś czułości. Nie na to się jednak umawiali.

– Możesz jeszcze poczekać, ale lody mi się roztopią. Mam jeszcze bitą śmietaną i galaretkę.

U Remika jedyne szaleństwo znajdowało się w głowie. Rozmnażało się przez pączkowanie i właśnie wypełniło całą czaszkę, próbując wyjść na zewnątrz oczami.

Drżącymi rękoma zdejmował spodnie, skarpetki, koszulę i bieliznę. Wszystko odkładał złożone w kosteczkę na bok.

– Wezmę to z kanapy, a ty się na niej połóż, a potem załóż talerzyk. – Podał mu talerzyk i obserwował, jak zakłada go na sterczącego członka.

– Chyba za duża ta dziura. – Remik wydawał się onieśmielony.

– Bo źle założyłeś. Jaja też mają leżeć na talerzu.

Odczekał chwilę, aż talerz będzie na miejscu, otworzył lodówkę, sięgnął po przyniesioną ze sobą łyżkę do lodów i powiedział:

– Zamknij teraz oczy, to zintensyfikujesz doznania. Najpierw obłożę twojego członka lodami, a potem przyozdobię je bitą śmietaną.

– A kiedy będziesz jadł?

– Jak skończę nakładać.

– A jeśli nie dam rady? Jeśli twój ciepły język zlizujący ze mnie mroźnego loda sprawi, że będę musiał... No wiesz, jeśli nie będę mógł się pohamować?

– Że spuścisz mi się na twarz? – spytał wprost, widząc, jak Remik się miota.

– No.

– Nie przejmuj się – wyartykułował to takim tonem, jakby grał w reklamie Marlboro. Tysiąc procent męskości. Tak ocenił swój występ.

Pierwsza porcja lodów trafiła na talerz, a Remik syknął z rozkoszy. Był tak skupiony na odczuwaniu, że nawet nie poczuł, kiedy został ukłuty w ramię.

Pierwsza porcja pavuloniu trafiła do mięśni. Druga musiała zostać wstrzyknięta bezpośrednio do krwioobiegu.

Remik tak niecierpliwie oczekiwał ust kochanka, że odezwał się dopiero po kilku minutach:

– Jestem już tak podniecony, że aż sparalizowany. No dalej, jedz. Zaraz się roztopią. Ej, Marian, jedz!

– Nie chcę.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Chcesz się teraz przekomarzać? No kurwa, mam faję na wierzchu, lody się topią, nie rób mi tego, bo odwzięczę ci się tym samym.

– Bardzo chcesz, żebym zjadł z ciebie te lody?

– Kurewsko. Nie gadaj, tylko jedz.

– A wiesz, że satysfakcję seksualną powinno się czerpać z kontaktów z inną, bliską ci

osobą, a nie z żywnością?

– Wiem i mam to w dupie.

– Dlaczego?

– Zliż to ze mnie! Cholera, lody się topią, czuję, jak spływają!

– Dlaczego masz to w dupie?

– Przecież wiesz, rozmawialiśmy już o tym nie raz.

– Dlaczego? Powiedz to na głos.

– Bo żaden kontakt z człowiekiem nie jest już w stanie dostarczyć mi bodźców, które mnie podniecą. Dotyk człowieka jest dla mnie obojętny... Chyba że dodatkowo gdzieś o moją skórę ociera się coś smakowitego.

VI

Niedziela

Niedziela dla Uli rozpoczęła się wcześniej. Dokładnie o szóstej dwadzieścia spojrziała po raz pierwszy na zegarek i pomyślała sobie, że ma jeszcze dużo czasu na sen. Od kilku dni mieszkała w obcym mieście i nie miała planów na weekend, zatem mogłaby spędzić dzień w łóżku. To byłby świetny sposób na przetrwanie dnia bez pracy i uniknięcie nieprzyjemnych myśli dotyczących tego, jak ostatnio skomplikowało się jej życie. Przewracała się z boku na bok, ale jakoś nie mogła znaleźć wygodnej pozycji. Albo przeszkadzała jej poduszka, albo własna ręka, albo materac był zbyt twardy, albo żołądek zaczynał wysyłać sygnały, że panuje w nim pustka.

Urszula otworzyła oczy. Zegarek wskazywał szóstą trzydzieści. Nadal było zbyt wcześnie, żeby wstać, ale i zbyt późno, żeby wziąć tabletkę na sen. Omiotła wzrokiem swój mikroskopijny pokój i zatrzymała się na leżącej na biurku torebce, z której wystawały akta.

Wyciągnęła rękę, wyjęła je i po raz pierwszy, odkąd się tu wprowadziła, ucieszyła się z tego, że mieszkanie jest takie małe. Dzięki temu mogła pozwolić sobie na kompromis, czyli pracę w łóżku. Usiadła po turecku, rozłożyła akta na pościeli i sięgnęła jeszcze po leżący na biurku brystol. Podczas pracy nad każdą archiwalną sprawą przygotowywała tabelę. Zawsze rysowała ją czarnym flamastrem. W wersach wpisywała nazwiska, które pojawiały się w aktach sprawy. Nie tylko podejrzanych czy bliskich ofiary, ale też tych, którzy pojawiali się gdzieś w tle. Doświadczenie kazało jej nie zamykać się na żaden trop. Każdy – kto oczywiście był obecny w otoczeniu ofiary, jej bliskich lub miejsca pobytu – mógł mieć związek ze zbrodnią. Niektóre sprawy zabójstw czy zaginięć trafiały do archiwum z powodu konieczności oczekiwania na udoskonalenie aparatu śledczego, inne – przez błędy popełnione przez śledczych, bądź to na etapie zbierania śladów, bądź przesłuchań. Jeszcze inne nie mogły zostać zamknięte dlatego, że komuś na tym bardzo zależało, najczęściej sprawcy. Zmowa milczenia otoczenia, matactwo czy

zastraszanie świadków – takie praktyki popularne były od dawna i nic w tym temacie się nie zmieniało.

Celem Urszuli było wykrycie sprawcy. Wykrycie i postawienie w stan oskarżenia, co oznaczało nie tylko wskazanie winnego, ale również zebranie dowodów i zeznań, które przekonają sąd.

Tabela pomagała zapanować nad czynnikiem „upływu czasu”. Z jednej strony utrudniał on dotarcie do prawdy, z drugiej dodawał kolejną zmienną, którą mogła poddać analizie. Nie miała, jak koledzy prowadzący aktualne sprawy kryminalne, bezpośredniego dostępu do świeżych emocji i wrażeń świadków. Nie mogła skupiać się na smakowaniu gorących potraw i wyszukiwaniu w nich różnych nut smakowych. Nie miała nawet szans, by spróbować ich zimnych. Jedyne, co jej pozostało, to lektura nadgryzionego przez ząb czasu menu – zeznań i notatek spisanych wiele lat temu, zwykle ogołoconych z emocji, reakcji i wszystkiego, co mogłoby dziś stanowić jakiś punkt wyjścia.

W kolumnach tabeli widniały lata. Osiemdziesiąty siódmy i dwa tysiące szesnasty.

Krańcowe daty pozwalające usystematyzować dane. Pola pomiędzy kolumnami a wersami wypełniała na bieżąco, zwykle po rozmowie z konkretną osobą. Rubryki z ojcem, matką i siostrą zamordowanej były już wypełnione.

Sylwia Małecka w dniu zabójstwa Marysi była grzeczną uczennicą. Dziś pracowała w biurze, spłacała kredyt hipoteczny i była rozwódką z dzieckiem. Urszula nie zastanawiała się, czy było to następstwem przeżytej traumy, ale notowała takie rzeczy, wychodząc z założenia, że być może taka informacja może przydać się na późniejszym etapie jej pracy.

Porównanie Kowalskiego z dnia zabójstwa z dzisiejszym Kowalskim dawało jej dodatkową perspektywę, która okazywała się niezwykle pomocna.

Uczucie ssania w żołądku stało się tak uporczywe, że Urszula wyskoczyła z łóżka, zrobiła trzy kroki i zgarnęła z kuchni bułkę i stojącą na blacie butelkę coli. Wróciła do łóżka, zaczęła jeść bułkę i w pustej rubryce znajdującej się na skrzyżowaniu roku obecnego i nazwiska Ireneusza Olendrowicza – trochę opóźnionego w rozwoju kuzyna, w osiemdziesiątym siódmym bezrobotnego, mieszkającego z matką – zaczęła wpisywać dane, które wynotowała wczoraj z policyjnej bazy danych:

„W osiemdziesiątym ósmym po raz pierwszy osadzony, z zarzutami dotyczącymi popełnienia przestępstw seksualnych na szkodę małoletnich. Kolejne odsiadki w dziewięćdziesiątym trzecim i dwa tysiące piątym”.

*

To zabawne, że sprawy czasem wydają nam się ostateczne, a później idziemy spać, uspokajamy myśli i dochodzimy do wniosku, że do ostateczności jeszcze daleko. Stoję przed drzwiami prowadzącymi do mieszkania Krystiana i zastanawiam się, co powiedzieć, gdy otworzy. Jeśli w ogóle otworzy.

Szybko dochodzę do wniosku, że każde zdanie będzie tak samo bezsensowne. Dlatego zupełnie nie ma znaczenia, co powiem. Ważne, że przyszłam. Mam nadzieję, że to doceni.

Drzwi się otwierają i widzę mężczyznę, z którym staram się ułożyć sobie życie. Ubranie sugeruje, że nikogo się nie spodziewał. Nawet mnie. Spodnie od dresu są wytarte, a koszulka ma bardzo oryginalny kolor, zapewne powstały dzięki wrzuceniu jej do prania z kilkoma kolorowymi i farbującymi rzeczami. Pamiętam, że Krystian zawsze był niechlujem i nie dbał o swój wygląd. Zmieniło się to dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy się spotykać. A może nawet chwilę wcześniej? Skoro to zmienił, to może naprawdę mu na mnie zależy, a jedyne, z czym musimy sobie poradzić, to problemy komunikacyjne wynikające z różnicy płci i konieczności przebicia się przez mur zaangażowania emocjonalnego?

Każdy z nas, mimo że chce być kochany, boi się zranienia. Stawia więc przed sobą obronny mur.

– Ola? – pyta zaskoczony, a chwilę później zerka na swoje spodnie i robi się czerwony.

– Nie spodziewałem się... Proszę, wejdź.

Wchodzę do miejsca, z którego wczoraj uciekłam.

On staje naprzeciwko mnie. Z naszych ust równocześnie padają przeprosiny. Nie wiem, kto był pierwszy. To nie ma teraz znaczenia.

– Cieszę się, że wróciłaś.

Chcę powiedzieć, że przecież sam mógł przyjść do mnie, nie czekać na mój powrót, ale gryzę się w język.

Uśmiecham się. Odpowiada tym samym.

Chyba nie wie, co powiedzieć, bo zbliża się do mnie i zaczyna mnie całować.

Usta, szyja, policzki, ramiona.

Zdejmuje ze mnie sweter...

Nie. Nie mogę odnotowywać tego, co robi. Muszę wyłączyć świadomość. Poddać się atmosferze chwili, odszukać w sobie boginię zmysłowości. A przynajmniej kobietę, która potrafi cieszyć się z seksu.

Tylko jak cieszyć się z bliskości ciała, kiedy najpierw trzeba by popracować nad seksualnym dopasowaniem? Nie mogę instruować Krystiana!

Niezręcznie mi. Nie chcę, by poczuł się niemęsko. Albo żeby uznał, że podważam jego umiejętności.

– Uwielbiam cię – szepce mi do ucha.

Leżymy już na kanapie, a ja staram się nie myśleć o tym, jak ważne w związku dwojga ludzi jest dopasowanie seksualne. Że niezależnie od ogromnej miłości z umniejszającym ją czynnikiem czasu może wygrać jedynie zgranie w seksie. Jedność potrzeb, zrozumienie, otwarcie, podobne odczuwanie i zmiernianie w tym samym kierunku.

– Uwielbiam – powtarza. – Jesteś wspaniała.

– Ty też – odpowiadam szeptem, chcąc sama w to uwierzyć.

Od czasu śmierci Gabriela tylko raz miałam świetny seks. Tylko raz i bynajmniej nie z Krystianem. On jest dobrym i ciepłym mężczyzną, ale nie ma między nami takich wyładowań zmysłowych jak między mną i... Nie! Muszę wyrzucić to ze swojej

pamięci.

To było złe i nigdy nie powinno się zdarzyć. Nigdy.

– Jesteś wspaniała.

Nie, nie jestem. Gdybyś wiedział, co zrobiłam, nigdy byś tak nie powiedział.

*

Pięciokierunkowe głowice idealnie przylegały do szczęki, usuwając z niej zarost. Stefan Waligórski stał przed lustrem i w pełnym skupieniu przesuwając golarkę po swojej twarzy.

– Stefan! – Donośny głos żony dochodził zza łazienkowych drzwi.

Oderwał golarkę od skóry, ale jej nie wyłączył. Ostrza kręciły się, przecinając powietrze, a on przysunął twarz do lustra. Prawy policzek był gładki jak pupa niemowlaka.

– Stefaaan!

Krzyk żony był coraz bardziej intensywny, ale jeszcze nie osiągnął poziomu, który wymusiłby na Stefanie reakcję. Poza tym nie po to zamknął za sobą drzwi do łazienki, żeby teraz przez nie krzyżeć. Potrzebował chwili ciszy i samotności i nie zamierzał z niej rezygnować.

Przecież rozpoczęła się niedziela. Dzień wolny od pracy, bezsensownych rozmów i interesownych uśmiechów.

– Stefan, do jasnej cholery!

Tym razem zabrzmiała tak głośno, jakby stała obok niego. Spojrzał w kierunku drzwi i od razu zauważył jej głowę przysuniętą do mlecznej szyby.

– Czego? – burknął, chcąc uniknąć tej całej afery z próbą otwarcia drzwi, wyrzutami, że przecież nie powinien zamykać się na klucz i wywlekaniem przy okazji wszystkich jego grzechów.

Bo wtedy spokojna niedziela zmieniałaby się w niekończący się koncert życzeń.

Chciałabym, żebyś słuchał tego, co do ciebie mówię. Chciałabym, żebyś odkładał szampon na miejsce... Chciałabym, żebyś opuszczał klapę, żebyś uczestniczył w życiu rodzinnym, chciałabym... Bla, bla, bla.

Nie, żeby był jakimś grzesznikiem czy okropnie wrednym mężem. Żył z Beatą od trzydziestu pięciu lat pod jednym dachem i ku swojemu zdziwieniu odnotowywał, że żona posiada niewyczerpaną pamięć, do której wrzuca wszystkie jego przewinienia. Te mniejsze i te większe. Wszystkie one splatają się ze sobą magiczną nicią, i kiedy Beata sięga do pamięci w poszukiwaniu konkretnej sytuacji, którą chce przytoczyć, by pokazać Stefanowi, jak złym jest mężem, nagle okazuje się, że za tą sytuacją ciągnie się następna, a za nią jeszcze jedna. I kolejna.

– Pospiesz się!

– Aha – powiedział wymijająco.

Do ogolenia pozostał jeszcze lewy policzek i nie zamierzał się spieszyć. Nie miał

przecież powodu. Była niedziela.

– Żadne aha, tylko się pospiesz. Czekamy na ciebie.

– Nie czekajcie!

– Zaraz mnie cholera weźmie! „Nie czekajcie”. Stefan, proszę cię, tylko nie mów mi, że nie wiesz, dlaczego czekamy, bo będę musiała ci przypomnieć, że...

Wyłączył golarkę i rzucił stanowczo:

– Już idę. Zrób mi kawę.

Nie chciał słuchać dalszych utyskiwań. Łańcuch jego małżeńskich przewinień pewnie kwalifikowałyby się do księgi rekordów. Nie było w nim żadnych perełek, tylko plastikowe koraliki, które zauważone mogą być jedynie przez kobiety.

Pięć minut później usiadł do stołu.

– Dzień dobry. – Skinął głową w stronę syna.

Marek był chodzącą kopią swojej matki. Kręcone włosy, szerokie czoło i oczy tak okrągłe, jakby ciągle się dziwiły.

– Dobry – odpowiedział od niechcienia.

Tak wyglądały wszystkie ich niedzielne poranki. Podenerwowana Beata biegła między kuchnią o pokojem, Marek obecny był przy stole jedynie ciałem, on sam zaś najchętniej włączyłby telewizor. Chciał zagłuszyć ich codzienność. Przerwać ciszę rodzinnego śniadania. Mieć powód, by nie patrzeć domownikom prosto w oczy.

– Beata, mnie pospieszasz, a on ciągle w pidżamie?

– Daj dzieciakowi spokój. Masz swoją kawę.

Marek miał już trzydzieści trzy lata. I nawet nie mieszkał już z nimi, ale Beata uparła się, że muszą kultywować tradycję wspólnych niedzielnych śniadań. Stefan nie pamiętał już, kiedy pojawił się w ich domu imperatyw wspólnego pochłaniania kanapek i jajecznicy, ale pamiętał, że rzadko kiedy niedzielne poranki należały do przyjemnych.

– Słodziłaś?

– A co ja jestem?! Cukier stoi na stole.

Tym razem było podobnie. Beata zdążyła wkurzyć się na to, że zebranie Waligórskich przy jednym stole zajęło jej tyle czasu. Domyślał się też, że pewnie, jak zwykle, bolały ją już plecy od stania w kuchni, więc była bardziej nerwowa niż zwykle.

Zrezygnował więc z odzywiania się do żony i zaczął przyglądać się synowi.

– Imprezka się udała?

– Jaka imprezka?

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Ech...

– Jak chcesz, to po śniadaniu podepnę ci kroplówkę i kac od razu ci minie.

Marek zrobił minę, jakby farmakologiczne pozbywanie się kaca było przestępstwem. Beata usiadła przy stole i nałożyła sobie na talerz kilka plasterków szynki.

– A pamiętasz, Mareczku, jak byłeś dzieckiem? Zawsze na święta była u nas właśnie taka szynka, swojska, i brałeś sobie ją na talerzyk, a potem z chirurgiczną precyzją odcinałeś chude mięso, a tłuste skrawki odkładałeś na brzegi talerza.

Stefan pamiętał. Tłuste obramowanie talerza utkwilo mu w pamięci. Podobnie jak obraz Beaty dojadającej później pozostałości z talerza syna.

Marek się skrzywił.

– Nie pamiętasz? – Beata domagała się odpowiedzi i jak to miała w zwyczaju, zamiast poczekać, zadawała pytania wzajemnie się wykluczające.

Pamiętasz? Nie pamiętasz? Trudno było odpowiedzieć w sposób satysfakcjonujący. Stefan miał to już wielokrotnie przećwiczone. Zwykle „tak” nie wystarczało, bo Beata nie wiedziała, czy tak – pamięta, czy przytakuje, że nie pamięta.

– Mamo, kogo obchodzi tłuszcz na talerzu. Nie szkoda obciążać ci własnej pamięci takimi głupotami?

*

Na dobrą sprawę Aleksandra nie musiała spoglądać w kalendarz. Siódmego dnia tygodnia nie mogła przeoczyć. Zawsze kiedy wychodziła z domu, przypominała sobie, że to dzień święty, bynajmniej nie za sprawą kościelnych dzwonów przywołujących wiernych na mszę, ale za sprawą samochodów. Każdego roboczego dnia w kolumnach zaparkowanych po obu stronach ulicy Swoboda można było znaleźć kilka wolnych miejsc. W niedzielę następowało cudowne rozmnożenie pojazdów. Zupełnie jakby wszyscy mieszkańcy niedzielę spędzali w swoich domach i to nie sami, ale w towarzystwie bliższych i dalszych – oczywiście zmotoryzowanych! – członków rodziny.

Wizyta u Krystiana miała przynieść nie tylko poprawę klimatu ich znajomości, ale i zapewnić rozładowanie napięcia. Musieli w końcu zająć się porządkami w związku. Na pierwszy ogień poszły niezaspokojone potrzeby seksualne.

Aleksandra wiedziała, że każdy człowiek przenosi nieuświadomione napięcie seksualne na interpretację zachowania swojego partnera. W wyniku tego reaguje nerwowo, traci pewność siebie i doszukuje się drugiego dna.

Napięcie nie minęło, mimo doświadczonego kilkanaście minut temu orgazmu. Miała dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się za siebie, ale nikogo nie zauważyła. Zrobiła kilka kroków, ale nadal czuła na sobie czyjś wzrok.

Pomyślała, że to wyrzuty sumienia utrudniają jej osiągnięcie spokoju.

Dotarła do swojego bloku i weszła na klatkę schodową. Kiedy była na drugim piętrze, usłyszała charakterystyczne piknięcie, zdradzające, że drzwi wejściowe otworzyły się po raz kolejny. Zatrzymała się i przez poręczę zerknęła w dół.

Spięty umysł podpowiadał, że być może ktoś, kto ją śledził, wszedł właśnie do klatki. Nikogo nie zauważyła.

Przez chwilę stała nieruchomo, usiłując wsłuchać się w dochodzące do niej dźwięki. Do jej uszu docierały jedynie odgłosy codziennego życia sąsiadów. Płacz dziecka, krzyki, szczekanie psa i szum odkurzacza. W tej plątaninie dźwięków nie była w stanie wyodrębnić ludzkich kroków.

Pomyślała o tym, że powinna pozbyć się męczącego ją poczucia winy, bo jego

negatywna siła oddziaływania na ludzką psychikę jest przecież tak oczywista jak to, że fakt przekroczenia przez nią granic etycznych nie mógł zniszczyć jej życia. Zrobiła to przecież tylko raz.

Kiedy przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi swojego mieszkania, poczuła ulgę. W końcu mogła zamknąć się przed światem, włączyć ulubioną muzykę i się zrelaksować.

Nagle poczuła opór przy zamykaniu drzwi. Pchnęła je z całej siły, opierając na nich również swoje ramię. Nie przyniosło to jednak żadnego rezultatu.

Czyjaś ręka trzymała drzwi.

*

Urszula rozważała w myślach różne hipotezy śledcze. Marysia W. została wykorzystana i zamordowana. Ustalenie, że Ireneusz Olendrowicz był pedofilem, w oczywisty sposób skupiało na nim wszystkie podejrzenia.

W dziewięćdziesięciu procentach przypadków pedofilii molestującym jest ktoś z rodziny lub blisko z nią związany. Takie stwierdzenie przychyliło się do wytypowania Olendrowicza na sprawcę gwałtu i zabójstwa dziewczynki.

Urszula chciała porozmawiać z Olendrowiczem. Praca nad przygotowaniem profili psychologicznych wytworzyła w niej jeden bardzo użyteczny mechanizm: przyjmowania rzeczywistości (lub przeszłości) dokładnie taką, jaka jest, bez narzucania na nią swojego „filtra” interpretacji.

Do analizy danych używała przecież mózgu. Tego samego, który potrafił odczytać tekst, w którym na swoim miejscu były jedynie pierwsza i ostatnia litera każdego wyrazu. Bo nie tylko doświadczenia osobnicze, ale i badania dowiodły, że tak naprawdę nie ma znaczenia kolejność liter przy zapisie danego słowa. „Nwajżanszyeim jest, aby prieszwa i otatsnia ltera była na siwom mijsecu”. Pozostałe mogą być w nieładzie, a i tak mózg nie będzie miał większych problemów ze zrozumieniem tekstu, ponieważ mamy zanotowane w głowie schematy zapisu słów, które niczym gotowce wyskakują z pamięci podczas czytania.

Podobnie działo się podczas przygotowywania profilu psychologicznego i analizy danych. Przyjęcie hipotezy na początku lub w trakcie czytania danych zebranych na temat sprawcy sprawiało, że mózg korzystał ze schematów i wychwytywał z danych to, co wydawało się potwierdzać przyjętą hipotezę, jednocześnie ignorując rzeczy niepasujące do schematu.

Urszula nigdy nie pozwalała sobie na intuicyjne wskazywanie sprawcy. Oczywiście powiązania mogły przecież się okazać zupełnie przypadkowe. Podobnie mogło być z Olendrowiczem. Może nie zgwałcił i nie zamordował Marysi, ale coś, co zobaczył tamtego dnia, wyzwoliło w nim pożądanie, z którym nie potrafił już sobie poradzić.

– No nareszcie! – Stojąca za drzewem Urszula zauważyła Aleksandrę, ale zamiast do

niej podbiec, zaczęła jej się przyglądać. – Co ona robi? – mruknęła pod nosem. Kobieta zachowywała się dziwnie. Oglądała się za siebie nerwowo, jakby wyszła właśnie ze sklepu ze skradzioną biżuterią i chciała sprawdzić, czy ktoś ją goni. Poszła więc za nią. Dogoniła ją dopiero na schodach i w ostatniej chwili złapała zamykające się drzwi do mieszkania.

Krzyk i przerażenie, które zobaczyła w oczach przyjaciółki sprawiły, że pożałowała swojego zachowania.

– Olka, to ja. Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

*

– Mieszkanie ma trzy pokoje, jasną kuchnię i dużą łazienkę. Dzielnica jest spokojna, a cena mieszkania nie jest zbyt wygórowana. Właściciele przenoszą się do Kanady i zależy im na tym, żeby szybko pozbyć się posiadanych nieruchomości.

Deklaracja agenta nieruchomości prezentującego mieszkanie wydała się Ilonie mało przekonująca. Mężczyzna ubrany w elegancki garnitur podjechał pod blok nowym sportowym samochodem i mógł zupełnie inaczej rozumieć pojęcie „wygórowanej ceny”.

– Posiadane? A mają coś jeszcze do sprzedaży w tym bloku? Może coś trochę mniejszego? – spytała, jakby od niechcienia.

Zwykle nie pytała o mniejsze produkty i tańsze oferty. Uśmiechała się w duchu, kiedy takie pytania padały z ust jej klientek.

– Tak, kawalerkę w tym samym bloku z pięknym widokiem na...

Ilona miała jasno sprecyzowaną wizję tego, jak powinno wyglądać jej łódzkie życie. Dwie małe sypialnie, pokój dzienny, w którym miało zaistnieć epicentrum życia rodzinnego, łazienka z prysznicem i tak zwane dobre sąsiedztwo. W jednej sypialni miałyby zamieszkać Weronika, w drugiej ona. W tygodniu obie zajmowałyby się codziennymi obowiązkami – Weronika szkołą, a Ilona pracą, ale za to w weekendy mogłyby szaleć. Tak prawdziwie, po babsku. Chodzić w pidżamach cały dzień, nakładać maseczki, malować paznokcie, szwendać się po sklepach, piec ciasta, a później się nimi opychać i rozmawiać o wszystkim, o czym mogą rozmawiać przyjaciółki.

– Nie, kawalerka odpada.

Ilona nie chciała w tej chwili szastać pieniędzmi, nie wyobrażała sobie jednak egzystowania w jednopokojowym mieszkaniu. Oczekiwała, że za sprzedaż salonu kosmetycznego dostanie konkretną kwotę, która wystarczy nie tylko na otwarcie w Łodzi nowego salonu, ale i na zaliczkę na zakup mieszkania. Resztę wydatków zamierzała pokryć z pieniędzy Pawła.

Jeszcze się nie rozwodzili, to znaczy żadne z nich nie wystąpiło do sądu z odpowiednim wnioskiem, ale przyszłość ich małżeństwa była oczywista. Prędzej lub później musiało się formalnie zakończyć. Na tym Ilonie nie zależało tak bardzo, jak na uregulowaniu spraw finansowych. Paweł został w domu sam. Jeśli nie zamierzał go sprzedać, musiał

ją spłacić. Zawsze był honorowy, nie wyobrażała sobie, żeby tym razem postąpił inaczej.

– W mieszkaniu mogą zostać wszystkie meble, jeśli się pani podobają.

– Nie są w moim guście, ale na początek wystarczą. Oczywiście jeśli właściciele nie liczą za nie dodatkowo.

Nie zamierzała za nie płacić. Miała jeszcze trochę oszczędności na czarną godzinę, ale nie chciała ich ruszać. O pieniądze na utrzymanie na szczęście nie musiała się martwić: co miesiąc na jej konto wpływała pokaźna kwota zysków z franczyzy.

– Myślę, że jeśli będzie pani zainteresowana, to meble nie będą stanowić przeszkody.

Podoba się pani mieszkanie?

Wolała uniknąć odpowiedzi. Podobało jej się, ale przecież chciała zapłacić za nie jak najmniej.

– Do szkoły sportowej jest blisko? – spytała.

– Tak, znajduje się na ulicy obok. Pięć minut piechotą.

– To plus. Wystrój i klimat tego mieszkania nie są za bardzo w moim guście, ale chętnie spotkam się i porozmawiam z właścicielami. Skoro zależy im na szybkim pozbyciu się problemu, to mam dla nich propozycję.

*

– Oszalałaś?! Wepchnęłaś mi się do mieszkania!

Głębokie wdechy i wydechy nie przynosiły Aleksandrze żadnej ulgi. Całe jej ciało drżało. Widok obcej ręki uniemożliwiającej zamknięcie drzwi, a następnie pojawienie się w jej mieszkaniu nogi w ciężkim wojskowym obuwiu sprawiły, że wpadła w panikę.

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– Mogłaś zadzwonić!

– Dzwoniłam, ale nie odbierałaś.

Stały w przedpokoju.

– Boże, Ulka! Mogłam zejść na zawał! – Złość mieszała się z ulgą, a zdenerwowanie szukało drogi ucieczki. W końcu ją odnalazło. Łzy popłynęły tak niespodziewanie, że Ola nie była w stanie ich zatrzymać. – Pomyślałam sobie, że to morderca, ten, który zamordował Marcina... – wyznała i momentalnie ugryzła się w język.

Urszula przytuliła ją i nie puszczała dopóty, dopóki Aleksandra nie przestała płakać.

– Dobra, już. Przestań mnie trzymać. Już chyba mi lepiej.

– Chyba czy na pewno? – Trudno nie było nie usłyszeć nadziei w głosie Urszuli.

Aleksandra przeszła do pokoju, usiadła na kanapie i głośno westchnęła.

– Na pewno. Nie bój się, nie będę popłakiwać teraz co pięć minut.

– Wierzę na słowo. Bo wiesz, ryczące baby to nie mój klimat. – Urszula parsknęła śmiechem. – Gdzie byłaś? Czekam na ciebie pod blokiem prawie od godziny.

Dzwoniłam... Zaczęłam się już niepokoić.

– U Krystiana. Moment, pytasz jako przyjaciółka czy policjantka?

- No proszę, przecież nie przesłuchiwałabym cię...
- No nie wiem. Muszę się przyzwycząić do tego, że pracujesz teraz w Poznaniu. Działasz na moim terenie, a ja jestem podejrzaną w sprawie, którą prowadzicie z tym... tym... No! – Aleksandra się zacięła. – Z tym beznadziejnym facetem.
- Według mnie lepiej być podejrzaną niż ofiarą.
- Nie powinnaś ze mną rozmawiać.
- Nie powinnam. Ale rozmawiam. Bo mam do ciebie zaufanie i uważam, że możemy sobie pomóc. Z dokumentacji grupy, którą przekazałaś, wynika niewiele, a zabójca może właśnie obserwować kolejną ofiarę. Olka, uważam, że powinniśmy wymienić się wszystkimi posiadanymi informacjami. Może to pomoże nam ustalić, kto jest mordercą. Bo przecież obu nam zależy na tym, żeby go powstrzymać. Żeby nikt więcej nie zginął.
- Sięgnęła do torby, a następnie rzuciła na ławę papierową teczkę. – Tu masz wszystko. Protokoły przesłuchań, fotki, wyniki badań. Możesz to teraz przejrzeć.
- Dlaczego?
- Bo wiesz dużo więcej, niż zawarłaś w notatkach. Nie sugeruję, że ukrywasz to przed policją, bo jesteś mordercą. Wiem, że ich nie zabiłaś. Ale wiem też, że możesz ukrywać coś, co może naprowadzić mnie na trop zabójcy. Pomóż mi, proszę.

*

Przytulny rodzinny salon bardzo szybko zamienił się w prowizoryczny sztab dochodzeniowy. Na ławie pojawiły się zimne napoje i kruche ciastka, które Aleksandra znalazła w kuchennej szafce. Na kanapie i podłodze porozkładane zostały chronologicznie zdjęcia trzech ofiar oraz znalezionych przy nich rzeczy.

- Studentka, przedsiębiorca i artysta. Kobieta i dwóch mężczyzn. Dwadzieścia jeden, czterdzieści trzy i trzydzieści lat. Dwa ciała znaleziono w miejscu zamieszkania ofiar, trzecie w pracowni. Podłoga, wanna i krzesło. Na pierwszy rzut oka różni ich wszystko.
- Ale na pewno jest jeszcze coś, co łączy tych ludzi. Oczywiście poza moją osobą. No chyba że przyjmujemy filmowy scenariusz, że mam wroga, który zabija moich klientów. Może trzeba na to spojrzeć inaczej. Szukać podobieństw, a nie różnic? Może płęć nie ma znaczenia? Hałka umarła w kuchni, bo lubiła jeść. Sternal w pracowni, bo spędzał tam większość swojego czasu, a Marcin w swoim mieszkaniu... Nie, nie pasuje. On też dużo pracował.
- Próbowałam ugryźć to z zupełnie innej strony. Brak większych podobieństw między ofiarami z jednej strony wskazuje na ich przypadkowość, ale z drugiej miejsce zabójstwa jest perfekcyjnie przygotowane. To dużo mówi o sprawcy. Nie działa ani chaotycznie, ani spontanicznie. Planuje, myśli, rozważa różne scenariusze i panuje nad szczegółami. Fantazjuje o tym, co robi, a jego wizje nabierają coraz bardziej agresywnej formy. Dosłownie organizuje sobie scenę zbrodni. Sprawca zorganizowany ma osobowość psychopatyczną, antisocjalną z cechami osobowości narcystycznej. Akt

mordu jest zrytualizowany. Ustaliliśmy, że wstrzykuje ofiarom śmiertcionośne substancje, pavulon i chlorek potasu. Podejrzewam, że nawet to odbywa się w zaplanowanej kolejności, aby zwiększyć cierpienie ofiary. Pavulon powoduje...

– Wiem, wiem, pamiętam aferę z łowcami skór. Zwiotczali pavulonem mięśnie. W gruncie rzeczy tylko ta jedna substancja wystarczyłaby do uśmiercenia człowieka. Po co jeszcze chlorek potasu?

– Nie mam pojęcia. – Urszula wzruszyła ramionami i sięgnęła po zdjęcia ofiar. – Jak widzisz, na ciałach nie ma śladów walki. Na każdym znajdują się za to dwa wkłucia. Jedno bezpośrednio w żyłę.

– Pewnie to drugie następuje, kiedy ofiara jest już sparaliżowana i nie może się bronić. Najpierw kłuje je z zaskoczenia byle gdzie i wstrzykuje pavulon, a dopiero potem przechodzi do konkretów. Czeka, pavulon i chlorek potasu? – Aleksandra wstała i pobiegła do sypialni. Wróciła chwilę później z laptopem. Postawiła go na ławie, obok talerza z ciastkami.

– Pavulon i chlorek potasu, chlorek potasu... – Jej palce sprawnie przesuwały się po klawiaturze. – Mam! Boże! Te twoje substancje... Z ich pomocą wykonuje się wyrok śmierci przez podanie śmiertelnej dawki trucizny. Jest to obecnie – czytała podekscytowana – najpopularniejsza metoda wykonywania kary śmierci w USA. Najpierw podawany jest tiopental, barbituran, który działa usypiająco, potem pavulon, które w odpowiednio dużym stężeniu powoduje zatrzymanie akcji oddechowej, a na koniec chlorek potasu zatrzymujący akcję serca w fazie rozkurczu. Środki podawane są kolejno, bo zmieszane mogą reagować ze sobą, wytrącając osad. Śmierć następuje w ciągu kilku minut po podaniu.

– Sprawca daje ofiarom zastrzyk śmierci? Sam wymierza karę śmierci?

– Chyba chce, żeby ci ludzie byli świadomi, że umierają. Może chce, żeby cierpieli?

– *Fuck*. Nie dość, że zorganizowany, to jeszcze bawi się w Boga. Jeśli mamy do czynienia ze sprawcą-misjonarzem, to on realizuje własną wizję oczyszczenia świata. Jeśli ustalimy klucz, według którego wybiera ofiary, będzie nam łatwiej wytypować potencjalne przyszłe ofiary.

– Zabija moich klientów. Cholera, może to ma związek z włamaniem?!

– Włamaniem? – Urszula spiorunowała spojrzeniem koleżankę.

– Nie patrz na mnie tak, jakbym ich zabiła. Jakiś rok temu mieliśmy włamanie do gabinetu. Nic wtedy nie zginęło, ale ktoś przeglądał karty klientów.

– Zgłosiliście to na policję?

– Mówię ci przecież, że nic nie zginęło. Nie mieliśmy wtedy jeszcze szaf pancernych i Robert, mój współnik, bał się, że jak przyjdzie policja i zacznie pytać o zabezpieczenie danych osobowych, to będziemy mieli problemy z GIODO. Ale teraz tak sobie myślę, że nawet jeśli nic nie zginęło, to przecież włamywacz mógł sfotografować akta...

Wspomnienie związanego i leżącego na podłodze Piotra towarzyszyło Annie już czwarty dzień. Dziwiło ją to, bo przecież nie widziała tego na żywo. Nie wpuszczono jej do pracowni, zanim nie wyniesiono z niej ciała. Mogła jedynie zerknąć na zdjęcie. Sama się o to prosiła. A teraz miała za swoje.

Kręciła się po ich wspólnym mieszkaniu i gdziekolwiek się nie obejrzała, widziała skrępowane ciało. Zapamiętany obraz wracał, zmieniało się jedynie otoczenie.

To nie był przyjemny widok. Jego krótkie nogi, niewielki, ale jednak zauważalny nadmiar tłuszczu na brzuchu, kilkanaście pieprzyków i członek, który kiedyś potrafił sprawić jej przyjemność. To wszystko było tak intymne, mimo że od dłuższego czasu emocjonalna bliskość wyparowywała z ich związku. W dniu zabójstwa byli już tylko obcymi sobie ludźmi zajmującymi wspólne mieszkanie, posiadającymi wspólne obowiązki i milion osobnych radości i trosk.

Łączyła ich jedynie złość. Że nie udało się im zrealizować planów, które snuli na początku związku. Że się zmieniali, że każde z nich podążało w inną stronę. Że nikt tego nie zatrzymał. Oddalili się od siebie na tyle, że nie mieli szansy, żeby się dogadać.

A przecież próbowali.

Pusta butelka po winie leżała przy łóżku. Anna siedziała oparta o jego wezglowie, dokładnie to samo, do której kiedyś przywiązał jej ręce. Nie podobało się jej to. Lubiła mieć kontrolę, ale widziała, że taka zabawa kręci Piotra. Próbowwała więc się przemóc.

– Próbowalam, tak mocno próbowalam... – starała się przekonać samą siebie. – Próbowalam – powtórzyła bardziej zdecydowanie.

Dopiła wino, odłożyła kieliszek i spojrzała obojętnie na Skarpetę, kocicę, którą Piotr uratował przed śmiercią głodową. Spała, słodko zwinięta w kłębek.

Anna też chciałaby zasnąć. Zasnąć i nie mieć koszmarów.

– Próbowalam – przypomniała sobie i sięgnęła po telefon komórkowy.

Znalazła wśród kontaktów numer do psycholog, która ją ostatnio odwiedziła. Tej, do której chadzał kiedyś Piotr.

– Halo? Pani doktor? Z tej strony Anna Misztak-Sternal. Nie wiem, czy pani mnie pamięta. Pracowała pani z moim mężem, Piotrem – wyrzuciła z siebie zbitek słów, zdając sobie jednocześnie sprawę, że ich użyteczność nie jest duża.

Nie chciała przecież rozmawiać o tym, czy ktoś ją pamięta, czy nie. Chciała wrócić do psychicznego pionu. Oswoić się z myślą, że została sama i rozstać z poczuciem winy.

– Pamiętam. Oczywiście, że pamiętam. Jak mogę pani pomóc?

– Piotr... umarł. Pani Aleksandro, czy mogłybyśmy porozmawiać? To znaczy... spotkać się? To znaczy, potrzebuję... – Jej język się plątał, utrudniając wyrażenie i tak splątanych myśli. – Przepraszam. Nie mogę otrząsnąć się po jego śmierci. Ale pomyślałam, że skoro on pani ufał, to może i ja... Może i mnie byłaby pani w stanie pomóc. Teoretycznie każda żona może cierpieć po śmierci męża. Ale ja jestem wściekła. Na niego, że mnie zdradzał. Umówił się z jakąś babą w pracowni... Zostawiła go nagiego! Bardzo mu dobrze. Igrał z ogniem. Igrał, igrał i się doigrał. Z drugiej jednak strony boję się, że to moja wina. Pani Aleksandro, tylko z panią mogę szczerze o tym porozmawiać.

– Rozumiem. Jeśli ma pani taką potrzebę, to oczywiście możemy się spotkać. Zaraz spojrzę w kalendarz i zobaczę, kiedy mam czas na sesję.

– Dlaczego nas to spotkało? Dlaczego Piotr okazał się zboczeńcem?

– Parafilia to nie zboczenie.

– Dlaczego Piotr musiał iść dalej i dalej w tym poszukiwaniu doznań?!

– Każdy z nas ma swój zestaw pragnień i reakcji, niezależnie od tego, czy aktywność seksualna ma parafiliczny charakter, czy też nie. Ten Piotra różnił się od tego pani.

W budowaniu relacji w związku najtrudniejsze jest chyba to, żeby zrozumieć, że druga osoba nie jest nami. Że miłość nie oznacza stania się emocjonalnym klonem.

– Zgadza się. Może kochałam go zbyt słabo? Nie umiałam zaakceptować jego obsesji.

Przerażało mnie, że chce więcej i mocniej. Chciał, żeby go krępować, oplatać linami...

To dla mnie było za dużo! Nie miało to dla mnie nic wspólnego ani z seksem, ani z miłością. Pani Aleksandro, tak bardzo się starałam.

Milczenie po drugiej stronie słuchawki było znamienne. Anna wstała z łóżka, poszła do kuchni i wyjęła z szafki kolejną butelkę wina.

– Pani Anno, może przyjdzie pani do mnie jutro? Proponuję godzinę trzynastą.

– Trzynastą? Dobrze, sprawdzę dziś w swoim kalendarzu i potwierdzę – powiedziała na odczepne.

Nie była pewna, czy na trzeźwo wciąż będzie mieć odwagę, by w oczach obcej kobiety szukać zrozumienia i rozmawiać z nią o tych wszystkich wyuzdanych rzeczach, które próbował robić z nią Piotr.

Tak, próbował. Próbował realizować swoje fantazje i cieszył się przy tym jak mały chłopiec. Ona też próbowała znaleźć w tym wszystkim przynajmniej odrobinę przyjemności, ale nie potrafiła. Usiłowała więc pójść na kompromis i pozwolić mu robić z jej ciałem coś, nad czym starała się nie zastanawiać. Jednak zawsze po wszystkim dopadały ją brzydkie myśli. Brzydziła się nie tylko nim, ale i sobą. To dlatego w pewnej chwili powiedziała „dość”.

– Dobrze, w takim razie czekam na telefon.

– Zadzwoń jutro rano. Pani Aleksandro?

– Tak?

– Zastanawiam się jeszcze... Czy to nie jest moja wina? Gdybym się zgodziła na jego praktyki, gdybym potrafiła spojrzeć na te jego zabawy przychylniej... To czy Piotr by żył? Nie szukałby kogoś, kto zechce z nim TO robić. Nie bywałby w dziwnych miejscach. Nie rozbierałby się przed obcymi. Nie trafiłby na mordercę...

*

– Przepraszam, że tak długo.

– Nie szkodzi. Nie chciałam podsłuchiwać, ale... usłyszałam. Rozmawiałas o Piotrze, naszej ofierze?

– Tak, dzwoniła jego żona.

Dylemat między tym, co mogę powiedzieć, a czego nie powinnam nagle wydaje się tracić na znaczeniu. To, że Ulka przyniosła ze sobą policyjne akta, ostatecznie przekonało mnie, że ma wobec mnie czyste zamiary. Powinnam się odwdziżyć się tym samym.

– Wiesz, ona obarcza się winą za to, że nie mogła zaspokoić jego fantazji i to przez nią zaczął szukać mocnych wrażeń.

– Atrakcyjna kobieta, zadbany facet, można się zdziwić, że nie mogli się dogadać w łóżku.

– Bywały chwile, w których Piotr bardzo męczył się tą swoją chucią. W tym całym pędzie za podniecającym bodźcem lub zachowaniem miewał przebłęski świadomości, że robi coś nie do końca akceptowanego przez innych. Oczywiście szybko to zagłuszał, jak każdy inny parafilik. W tym względzie był wyjątkowy, bo przecież czynniki biologiczne i psychologiczne kształtujące dewiację pojawiają się w bardzo wczesnych etapach życia, co sprawia, że dewiacja ściśle splata się z tożsamością i poczuciem ego parafilika. On najczęściej jest zadowolony i w każdej chwili swojego życia w dużej mierze nastawiony na szukanie sposobów zaspokojenia.

– Olka, wytłumacz mi, proszę... Sternal lubił się wiązać. Sadomasochizm?

– Tak, ale to on lubił być wiązany, nie wiązać. Najbardziej kręciło go krępowanie ciała. Ozdobne wiązania. Różne materiały wbijające się w jego ciało.

– I co? Takie wiązanie to gra wstępna? Po niej następuje seks właściwy?

– Może służyć jako gra wstępna, jako zintensyfikowanie doznań czy budowanie napięcia. Czasem jednak, i tak właśnie było u Piotra, samo wiązanie ciała wystarczało mu do osiągnięcia satysfakcji. On nie wchodził w seksualne układy z ludźmi, z którymi się spotykał. Owszem, rozbierał się do naga, ale nie współżył.

– Dlaczego? Skoro była gra wstępna, to powinna być też kulminacja.

– Dla Piotra sesja *bondage* służyła za wielokrotny czynnik kulminacyjny. Wspominał ją, oglądał zdjęcia, podniecał się i masturbował. Był tak zafiksowany, że intensywność myśli o *bondage* wpływała na całe jego życie. Nie tylko na stosunki z żoną. Otwarcie mówił o tym, że nie może skupić się na niczym innym, nawet na rzeczach ważnych dla niego samego. Zawalał wiele spraw, a potem, żeby pozbyć się napięcia, oglądał zdjęcia swojego związanego ciała, przypominał sobie, jak wielkie czuł wtedy upokorzenie. To mu przynosiło chwilową satysfakcję.

Nigdy nie nazywał jej spełnieniem, tylko właśnie „satysfakcją”. Na dodatek chwilową. Pamiętam te nasze sesje indywidualne i grupowe. Zastanawiałam się wiele razy, czy odczuwałby parafilię tak silnie, gdyby nie był takim narcyzem.

– Czekaj, czyli skoro dla Sterna ważne było samo wiązanie, a nie seks, to równie dobrze mógł spotkać się z facetem, nie kobietą?

– Tak.

– Podsumowując: Sternal był parafilikiem, próbował walczyć z chucią. Katarzyna Hałka dawała się karmić, prowadziła odpowiednią stronę, kochała być grubą, podniecało ją to.

– Sternal to przykład sadomasochizmu, a Hałka adipofilii.

– A ofiara numer dwa? – Ula zerka w akta, żeby odnaleźć nazwisko. – Karbowski też miał swoją parafilię?

– Marcin?

Zauważam, że kończą się ciastka, podobnie jak sok. Zabieram talerz i idę do kuchni. Chcę zyskać na czasie.

Marcin był przystojny, inteligentny i miał cudowne poczucie humoru. Potrafił łagodzić złe nastroje grupy i stać go było na szczerość. To chyba tym zwrócił moją uwagę.

– Marcin też miał swoją parafilię. Nie tak uciążliwą jak Sternal ani nie tak rzucającą się w oczy jak Hałka – mówię coś, co powtórzyłam w myślach kilka razy, podczas gdy w kuchni trzaskałam szafkami, markując poszukiwanie nowej paczki ciastek. – Nie mogę znaleźć nic do przegryzienia. Może zamówimy pizzę?

Delikatnie zmieniam temat. Nie chcę, żeby zabrzmiało to jakoś zbyt... emocjonalnie? Subtelnie? Inaczej? Sama nie wiem. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że nie mogę zmieniać tonu. Profesjonalnie i względnie szczerze muszę odpowiadać na pytania Ulki.

– Pizzę? Czemu nie. Ale to za chwilę. Mów, co z Karbowskiem.

– Był przystojny i wolny. Nie miał problemu z zawieraniem znajomości damsko-męskich. Do pełnego podniecenia potrzebował jednak specyficznej stymulacji.

– Specyficznej, czyli?

– Formikofilia. Rodzaj zoofilii, w której podniecenie gwarantują owady lub małe zwierzęta. Pełzające po ciele lub je gryzące.

– *Fuck*, małe zwierzęta?

– Na przykład ślimaki.

– Obrzydliwe!

– No nie wiem, według mnie o wiele bardziej bulwersujące są: stygmatofilia, ksenofilia, mysofilia, saliromania czy dakryfilia.

Mina Urszuli mówi, że potrzebne jest krótkie wyjaśnienie.

– Przy stygmatofilii satysfakcja seksualna osiągnięta jest przez nakłuwanie innych osób, przy dakryfilii przez wywoływanie płaczu partnera, przy ksenofilii przez współżycie z zupełnie obcą osobą. I to do tego stopnia obcą, że parafilik nie chce nawet znać imienia tej drugiej osoby, bo to mu odejmuje frajdę. Przy mysofilii bodźcem seksualnym jest brud, własny, partnera lub otoczenia. Przy saliromanii do wyzwolenia reakcji seksualnej dochodzi w wyniku celowego pobrudzenia innej osoby. Saliroman pluje na nieznanego albo smaruje partnera wydzielinami ciała, sadzami, atramentami. A chyba najbardziej pojechana jest symforofilia. Nie ma to nic wspólnego ze słuchaniem symfonii. Reakcję seksualną wywołuje wyobrażanie sobie klęsk żywiołowych lub katastrof, w których cierpią i giną ludzie.

– No tak. – Uła się krzywi. – Pozwól, że nie skomentuję.

Pozwalam, bo sama miewam z tym problemy. Z komentarzem, nie z parafiliami.

W gabinecie mówię zwykle, że to piękne, że ludzie tak bardzo się różnią. Przecież gdybyśmy wszyscy byli tacy sami, to świat byłby nudny i smutny. Prywatnie jednak wysłuchując problemów związanych z życiem seksualnym, myślę sobie, że miałam wielkie szczęście, że trafiłam w młodości na Gabriela. Boję się pomyśleć, co by było, gdybym rozwijała swoją seksualność przy kimś, kto miałby zupełnie inne potrzeby niż ja.

– Podczas terapii grupowej rozmawialiśmy przede wszystkim o poczuciu satysfakcji. No

wiesz, o byciu szczęśliwym. W wielu wątkach pojawiał się seks, bo przecież bez niego nie da się być szczerze i w pełni szczęśliwym. Każdy człowiek potrzebuje nie tyle zaspokojenia fizjologicznej potrzeby kopulowania, ale satysfakcji płynącej z połączenia, bliskości czy zrozumienia i wykonywania ruchów frykcyjnych.

– Hałka, Karbowski, Sternal mieli nieudane życie seksualne. Nasz morderca chciał im pomóc czy ukarać? Pomóc, by skrócić cierpienia, czy ukarać za parafilię?

– Nie wiemy, co było pierwsze. Nieudane życie seksualne czy parafilia? Bo może ciągoty do inności spowodowały niepowodzenia i nieporozumienia w sypialni, a co za tym idzie słabe związki i łaknienie miłości. A może źle dobrany partner i brak bliskości sprawiły, że parafilik coraz bardziej zatracił się w swoim świecie?

– Mamy trzy trupy, twoja grupa liczyła sześć osób. Też z parafiliami.

– Obawiam się, że tak.

– Na co mamy się nastawić?

– Sitofilię, *cuckold* i...

Mam dość. Muszę zmienić temat. Tylko na jaki? Boże, pomóż mi coś znaleźć. Teraz! Dokładnie w tej chwili, bo za kilka minut będzie za późno.

– Ulka, a co to jest?

Sięgam po leżące na podłodze zdjęcie.

– Nieśmiertelnik. Wojskowy system identyfikacji żołnierzy. Co prawda w oryginalnej wersji na blaszce powinny znajdować się dane noszącej go osoby, ale teraz takie ozdoby są modne w różnych uproszczonych lub przeinaczonych formach.

Przyglądam się błyszczącemu łańcuszkowi i blaszce z wygrawerowaną linią.

– Czyje to? – Nie przypominam sobie, żeby któryś z moich klientów nosił łańcuszki, ale przecież od naszych spotkań minął już jakiś czas.

– Podobne nieśmiertelniki znaleźliśmy przy wszystkich ofiarach. Każdy ma wygrawerowane inne linie.

– Czyli co? Gdyby znaleziono to tylko przy jednym ciele, to pewnie należałby albo do ofiary, albo do sprawcy?

– Myślałam o tym. Ale to mało prawdopodobne. No i znaleźliśmy go na każdym miejscu zdarzenia. Albo sprawca zostawia swoją wizytówkę, co pasowałoby do hipotezy seryjnego mordercy, a taki właśnie lubi bawić się z policją w kotka i myszkę, albo...

– Albo?

– Nie wiem. Albo wszystkie ofiary należały do jakiejś organizacji? A nieśmiertelniki były czymś, co nosi przy sobie każdy jej członek.

– Tajna organizacja? Też o tym myślałam, to byłoby coś, co mogłoby ich połączyć, nie licząc mnie. Może to dobry trop?

– A może po prostu sprawca jest żołnierzem? Albo lubi żołnierskie klimaty? Może pracować w zawodach pokrewnych. Nie wiem, jakaś służba mundurowa. Może policjant?

Antek Dropiński wszedł do mieszkania, powiesił kurtkę na nadal rozbawiającym go wieszaku przedstawiającym dwie tylne nogi psa i podniesiony ogon. Kupili komplet kolorowych psich ogonów w sklepie meblowym i od razu zawłaszczyli sobie te o ulubionych kolorach. Pomarańczowy był Antka, a niebieski – Remika.

Jeden rzut oka wystarczył, żeby ustalić, który jest w domu. Na niebieskim wieszaku wisiała kurtka Remigiusza.

Nie widzieli się od piątku, co stanowiło w ich związku najdłuższą, bo aż trzy dniową rozłąkę. Antek nie mógł wykręcić się z udziału w konferencji, co zaowocowało krótką kłótnią w dniu jego wyjazdu, szybkim godzeniem się przez telefon i koniecznością bycia w miejscu, w którym być nie chciał.

Po przekroczeniu progu mieszkania w pierwszym odruchu chciał pójść do Remika i się przytulić, ale uznał, że jeśli wytrzymał prawie trzy dni, to wytrzyma jeszcze kwadrans. – Już jestem! – krzyknął, w razie gdyby to Remik chciał go przywitać, a sam udał się do łazienki.

Podróż pociągiem stanowiła dla niego pasmo męczarni. Obecność przypadkowych osób, które kaszlą, smarkają, dotykają wszystkiego dookoła oraz świadomość, że przed osobami, które widzi, pociągiem tym jechała nieokreślona liczba innych ludzi sprawiały, że czuł się tak bardzo brudny, że najpierw musiał się umyć.

Podszedł do zlewu, odkręcił kran z ciepłą wodą i zwilżył dłonie. Następnie nacisnął kilkukrotnie pompkę wystającą ze zbiornika z mydłem antybakteryjnym, z której wydobyło się kilka kropel różowawej substancji. Złapał je na dłonie i zaczął mydlić. Mydło zmieniło się w pachnącą pianę. Mydlił dokładnie środek dłoni i ich grzbiet, bardzo dużo uwagi poświęcając fragmentom, w których lubiły się ukrywać drobnoustroje. Przestrzenie między palcami, paznokcie... newralgiczne miejsca zostały potraktowane z należytą starannością.

Opłukał dłonie i od razu poczuł się odrobinę lepiej. Brud go przytłaczał, do tego stopnia, że nawet zabawy z Remikiem kojarzyły mu się raczej z dyskomfortem niż radością.

Remik wymyślił kiedyś, że będą zjadali z siebie smakołyki. Kupił opakowanie lodów czekoladowych, rozebrali się, a porcja lodów trafiła na ciało Antka.

To było jedno z najbardziej ohydnych doznań. Lody po zetknięciu ze skórą zaczęły się topić. Klejące się czekoladowe krople spływały po Antku, a ten nie mógł opanować chęci niezwłocznego wskoczenia pod prysznic. Nie pomogło nawet podniecenie Remika, który chętnie zlizywał z niego roztopioną słodką maź.

Drugim z najbardziej ohydnych doznań było odwrócenie zabawy. Lody trafiły na brzuch Remika, a Antek je zlizywał. W ten sposób znienawidził smak czekoladowych lodów. Od tamtej chwili nie mógł myśleć o nich w inny sposób niż taki, że są brudne. Zlizywał je co prawda z ciała ukochanego mężczyzny, z którym przed zabawą wspólnie zaliczył prysznic, ale mimo tego nie mógł pozbyć się myśli, że na ludzkiej skórze roi się od bakterii, wirusów i grzybów.

– Remik, idę pod prysznic! Dołączysz? – krzyknął, a po chwili, kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, zawołał jeszcze raz, tym razem otwierając drzwi od łazienki.

Odpowiedziała mu cisza.

Spojrzał kontrolnie na przedpokój. Na wieszaku nadal tkwiła jedyna zimowa kurtka Remika, a na ziemi stały jego buty. Musiał być w domu.

– Remik! – krzyknął ponownie, zdejmując ubrania. Został jedynie w bokserkach i poszedł w stronę pokoju.

– Remik? – Ściszył głos, bo pomyślał sobie, że być może partner zasnął.

W pokoju panował półmrok. Okna były zasłonięte, więc Antek podszedł do nich, rozsunął i odwrócił się. To, co zobaczył, sprawiło, że był w stanie wydać z siebie jedynie krótki, pełen agresji krzyk:

– Kurwa, Remik!

*

Tomasz Chmielewski stał w drzwiach pokoju i nie mógł oderwać wzroku od ofiary. Widok należał do tych, których się nie zapomina. Bynajmniej nie dlatego, że był przerażający czy krwawy.

Zresztą – ciała z odciętymi kończynami, roztrzaskaną głową, nienaturalnym ułożeniem nóg czy rąk... To wszystko nie robiło na nim już wrażenia. Naoglądał się tego podczas kilku lat pracy w wydziale kryminalnym.

Czegoś takiego jednak nigdy nie widział. Nagie ciało ułożone było na wznak na kanapie. Mężczyzna wyglądał, jakby spał. Miał zrelaksowaną twarz, ręce spoczywały wzdłuż ciała, a nogi delikatnie rozchyłały się na boki.

– Ale, kurwa, gość miał fantazję.

– Pozazdrościć.

– Czy ja wiem, czy jest czego?

– Nie mów, że tak byś nie chciał! – Jeden z mężczyzn zarechotał.

Technicy policyjni rozpoczęli czynności od prywatnych i głupich uwag. Stali w tych swoich białych kombinezonach pół metra przed nim. Jeden trzymał w ręku protokół, drugi aparat fotograficzny.

– Z interesem na talerzu, no nie wiem, nie wiem.

– Do roboty, panowie – zareagował trzeci, pełniący funkcję kierownika zespołu. –

Oględziny rozpoczęto o godzinie szesnastej dwadzieścia pięć. Krzysiek, piszesz?

– Ta jest! Szesnasta dwadzieścia pięć.

Tomasz sam nie wiedział, czy powinien się śmiać, czy płakać, bo widok zwiotczalego penisa i rozkurczonej moszny leżących na środku papierowego talerza, wypełnionego nieapetyczną mazią był przerażająco dołujący. Mężczyzna, który znalazł ciało, wyglądał na zbulwersowanego. Tomasz zaprowadził go kilka minut wcześniej do znajdującego się w tym samym bloku mieszkania jego rodziców, uprzedzając ich oczywiście, że niebawem wróci, by ich przesłuchać.

– Wiecie, co jest na tym talerzu? – spytał technika stojącego najbliżej.

– Jeszcze nie, ale jak chcesz, to możesz spróbować.

– Nie, dzięki.

– Co mamy?

Dokładnie w tej chwili w mieszkaniu pojawiła się Urszula. Stała w przedpokoju i wpatrywała się w Tomasza. Miała zaczerwienione policzki i nos, a na butach trochę śniegu. Wyglądała dość śmiesznie na tle wiszących na ścianach krzykliwych komiksowych obrazków.

– Remigiusz Krupa, znaleziony przez swojego partnera, z... no, z talerzykiem na przyrodzeniu – referował.

– *Fuck*, Krupa? – Wychyliła się w stronę pokoju, żeby spojrzeć na ciało. – Kolejne nazwisko z terapii grupowej prowadzonej przez Aleksandrę.

– Czwartym... członek. I umarł z członkiem na wierzchu.

– Zostało już tylko dwóch. Musimy ich prześwietlić, bo jeden może być mordercą. Chłopaki? – zwróciła się do techników. – Znaleźliście już nieśmiertelnik?

– Jeszcze nie. Dopiero zaczęliśmy ten pokój. A co?

– Powinniście go znaleźć. Na poprzednich miejscach zdarzenia był, a podejrzewamy, że to ten sam sprawca. Trzeba szukać pod przedmiotami, które sprawca przestawił. Jest tu ten jego partner? Musimy zapytać...

– Zaraz, zaraz! – zaprotestował kierownik zespołu techników. – Powoli. Nikt tu nie wejdzie przede mną. Dajcie mi pracować. Jak skończę, to wprowadźcie sobie i stado delikwentów. Niech zdeptują, co chcą. Teraz najważniejsze jest ujawnienie wszystkich śladów.

– Wiadomo – mruknęła i przewróciła oczami.

Zdjęła z siebie kurtkę i włożyła rękawiczki.

– Widziałas? Talerz na fiucie? Czy może fiut na talerzu, kurde, sam nie wiem. Gość był pojechany. – Tomasz nie mógł sobie darować komentarza.

– To parafilii. – Wzruszyła ramionami, jakby nie robiło to na niej żadnego wrażenia. – Wszystkie ofiary miały specyficzne oczekiwania seksualne.

– Jednym słowem: zboki.

Prowokował ją. Chciał sprawdzić, jak zareaguje, bo powoli nabierał podejrzeń, że z życiem seksualnym Urszuli coś musi być nie tak. Nie wiedział, czy kogoś ma. Zbyt krótko się znali i zbyt mało piwa wypili, żeby zaczął wypytywać ją o życie prywatne.

– *Fuck*, Tomasz. Nie spodziewałabym się, że jesteś tak pruderyjny. Dlaczego zboki? Bo są inni niż ty? Czy to, że kręcą cię kobiety w szpilkach albo fantazjowanie na temat seksu w miejscu publicznym czy w windzie czyni z ciebie zboka?

– Ulka, proszę! Gdzie obcasy, a gdzie fiut na talerzu?

– W parafilii przesuwają się granice. Albo nie, inaczej. W parafilii sam chcesz przesuwac granice, bo potrzebujesz coraz silniejszych bodźców. Jeśli więc kręci cię noga w pończosze i na obcasie, to w pewnym momencie możesz uznać, że taki obcas i pończocha to nuda. I zdejmiesz obcas, powąchasz kobiece stopy i uznasz, że to bardziej podniecające. Ten zapach stopy, która pocila się w bucie na wysokim obcasie, poruszając się po mieście i przyciągając spojrzenia mężczyzn.

– Co w tym złego?

Urszula się roześmiała.

– W sumie nic. Jeśli jesteś parafilikiem, to ani się nie obejrzysz, a miniesz kolejne przystanki, siedząc w tramwaju zwanym pożądaniem i skończysz na przykład, czekając na listonosza, który przynosi ci kupione w internecie używane pończochy.

– Takie rzeczy można kupić? Gdzie?

– Wszędzie. Zerknij chociażby na portal aukcyjny. Masz tam spory wybór: noszone rajstopy, zużyte majtki... Wszystko nieświeże i pachnące.

– Kurwa. – Skrzywił się. Nie potrafił wyobrazić sobie nic podniecającego w wężaniu śmierdzących gaci czy capiących skarpetek. – Ludzie mają nierówno pod sufitem.

– Dopóki zabawa nie przeszkadza partnerowi, to tylko zabawa. Jesteś dorosły i powinieneś zdawać sobie sprawę z tego, że nie istnieje problem normalności lub nienormalności zachowań seksualnych. Istnieje za to problem wolności i stopnia jej ograniczeń, a także stopnia tolerancji lub nietolerancji. I to bardzo duży problem. Wielu ludzi jest nieszczęśliwych nie z powodu swoich specyficznych upodobań, lecz z powodu lęku, że nie zostaną zaakceptowani przez partnera.

– Skąd się bierze to cholerstwo? To choroba?

– Nie, to zaburzenie. Kiedyś nazywano je dewiacją. Skąd się bierze? Mówi się, że w bardzo wczesnym dzieciństwie uruchamiają się odpowiednie mechanizmy. W okresie dojrzewania mogą wytwarzać się pewne połączenia czy skojarzenia, które wpływają na to, co jest twoim fetyszem.

– Bzdura – zaprotestował.

Technicy właśnie zbierali swoje zabawki, co oznaczało, że skończyli zabezpieczanie śladów. Za chwilę Tomasz z Ulką będą mogli przystąpić do przesłuchania partnera ofiary.

Urszula usiadła na krześle i roześmiała się głośno.

– Bzdura? To przypomnij sobie proszę, w jakich okolicznościach doszło do twojego pierwszego razu. W jaki sposób otwierałeś się na seks. Jak drażniłeś się z pierwszą partnerką. Przypomnij sobie sytuacje, kiedy byłeś młody i rosło twoje podniecenie. Tomasz nie mógł się skupić. Kątem oka widział penis na talerzu i chwilowo myślenie o seksie wydawało mu się wysoce niestosowne.

– Już? – Urszula nalegała.

Odczekał chwilę i przypomniał sobie Edytę, klatkę schodową, zimną ścianę, o którą opierał się rękoma i ciągle gasnące światło.

– No.

– I teraz odpowiedz sobie w myślach, czy to samo miejsce, pozycja, klimat lub fantazje na ten temat nie działają na ciebie pobudzająco?

Odpowiedział błyskawicznie. Był zbyt dorosły na seks na klatce schodowej, ale myślał o tym, że ktoś mógłby go nakryć, potęgowała przyjemność. Podobnie jak przyciskanie partnerki do ściany.

– Masz rację.

– No właśnie. Pytanie, czy potrafisz czerpać satysfakcję z seksu również w innych sytuacjach czy pozycjach. Czytałam kiedyś o dziewczynie ze wsi, która wymykała się ze swoim chłopakiem do obory. W miarę upływu czasu zmieniał się powód tych

„ucieczek”. Najpierw się tam całowali, potem uprawiali petting, aż w końcu przeszli do seksu. Po kilku latach bycia razem i miętoszenia się w śmierdzącym pomieszczeniu pełnym krów, chłopak się jej oświadczył, rodzice urządzili huczne wesele, wybudowali młodym dom. Problemy w alkowie zaczęły się, kiedy młodzi zamieszkali razem. Mogli już uprawiać seks właściwie w każdym momencie dnia i nocy. Nie musieli się przed nikim ukrywać. Dziewczyna jednak nie mogła odnaleźć satysfakcji. Trochę im zajęło, zanim ustalili, że to nie chodzi o to, że przestała go kochać albo straciła zainteresowanie seksem. Okazało się, że bodźce z obory, to znaczy smród i dźwięki, w psychice dziewczyny połączyły się z odczuwaniem podniecenia i rozkoszy, że potem, kiedy ich zabrakło, ona nie była w stanie się podniecić.

– I co?

– Musieli wrócić z seksem do obory.

– Ciekawe, ale ten trup utrudnia mi myślenie. Musimy pójść kiedyś na piwo. Tymczasem idę przesłuchać partnera ofiary, idziesz ze mną?

*

– Halo?

– Halo.

– Tu telefon zaufania. Z tej strony zaufania Krzysiek. Jak masz na imię?

– Artur.

– Artur, cieszę się, że dzwonisz.

– No tak...

– Słucham. Jak mogę ci pomóc?

Szczepan dotarł już do miejsca, w którym myśli dotyczące tej sprawy były ciężkie i brudne jak kamienie.

Stracił lekkość życia, radość z codziennych spraw. Czuł się tak bardzo dociążony przez kamloty, które zalegały mu w żołądku i nijak nie mógł ich zignorować. Postanowił je wszystkie z siebie wydobyć. Wypowiedzieć na głos. Uzyskać od kogoś obcego opinię inną od tej, którą zwykle częstowała go jego żona.

– Czasem trzeba wyrzucić z siebie coś, co dusi cię od środka.

– Zgadzam się z tobą, Arturze. Trzeba. Ja tak robię, i tak robi wiele ludzi. Bo na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że nie tylko ciebie coś dusi.

– Być może, ale ja mam... mam...

– Co masz?

– Mówią, że jest obleśne. Że zboczone. Że...

– A dla ciebie jakie jest?

– To zależy od dnia. Czasem miłe, przyjemne i odprężające. Czasem bolesne, bezsensowne.

– Jaki dziś masz dzień?

– Zły.

- Dlaczego?
- Żona mnie nie rozumie. Namawiam ją. Tłumaczę, jakie to dla mnie ważne. Już nie wiem, co robić, żeby zechciała spróbować.
- Do czego ją namawiasz?
- Masz żonę?
- Tak. Wiem, że czasem trudno się rozmawia z kimś, kto jest z innej planety, niemniej rozmowa to podstawa. Brzmi jak banał, ale to prawda.
- Czy żona zabrania ci być szczęśliwym?
- Twoja ci zabrania?
- Tak. I robi to jeszcze w bardzo perfidny sposób. Od dwóch lat tłumaczę jej, co sprawiłoby mi ogromną przyjemność. A ona słucha i sprawia wrażenie, że rozumie. Co gorsze, daje mi nadzieję, że tym razem się uda, że się nie wycofa, że spróbuje! A potem w ostatniej chwili wyzywa mnie od zбочeńców.
- Czyli wasz problem dotyczy seksu?
- To jej problem, ja z tym nie mam problemu. Ona ma problem z seksem, a ja z byciem szczęśliwym, a przecież chyba każdy na prawo do szczęścia, nie?

*

– Tak, oczywiście. Tak. Tak. Jeśli dla państwa to nie jest problem... Nie, ja nie mam nic przeciwko.

Matce Piotrka usta się nie zamykają. Miałam szansę przebić się przez jej gadanie jedynie kiedy spotykałyśmy się oko w oko. Podczas przekazywania sobie dzieci albo w szkole. Wtedy widziałam, kiedy bierze oddech i wtrącałam swoje trzy grosze. Podczas rozmowy przez telefon to niemożliwe. Ona gada, gada i gada i właściwie dzwoni do mnie nie tyle, żeby poznać moje zdanie, a raczej po to, żeby zagadać mnie na śmierć.

Chłopcy wymyślili sobie, że pójdą dziś do kina i przekonali do tego rodziców Piotrka. Kuba odziedziczył spryt po Gabrielu. Nie zadzwonił do mnie sam spytać, czy wyrażam na to zgodę, tylko wyręczył się kobietą-katarynką, myśląc, że będzie mi trudniej jej odmówić.

Cholera, nie mylił się.

– Dobrze, w takim razie o której mam odebrać Kubę?

Kobieta opowiada mi, że po kinie pójdą jeszcze na deser na Stary Rynek, więc po prostu go odwiozą.

– Świetnie, tylko poproszę o informację, jak będziecie już wyjeżdżać, żeby na pewno była w domu.

Czuję ulgę, kiedy się rozłączam. Matka Piotrka nie ma denerwującego głosu, ale ten nadmiar słów jest męczący.

Weronika została na weekend w Łodzi, Kuba zabawił dłużej u kolegi, a ja mam wolny dzień. Gdybym wiedziała, że tak będzie, to zostałabym dłużej u Krystiana. A tak? Zajmę

się... zajmę się... No właśnie, czym?

Okna są brudne i przed świętami powinnam je umyć, ale jakoś mi się nie chce. Jest zbyt zimno. Spokoju nie daje mi ta sprawa.

Nieśmiertelniki mogą wskazywać, że to żołnierz albo osoba należąca do organizacji paramilitarnych. Raczej mężczyzna niż kobieta, bo przecież babki nie noszą takich rzeczy. No chyba że jakieś ozdobne, ale wtedy bez grawerunku.

Dziwne, że te mają na sobie tylko linie, które z niczym się nie kojarzą.

Gdzie ta kartka, na której odrysowałam nieśmiertelniki ze zdjęć? Wydawało mi się, że położyłam ją na ławie. Jest, pod kanapą.

Trzy nieśmiertelniki i linie, które nie mają ze sobą żadnego związku. Boże, jak ja nie lubię takich zagadek.

– Cześć, Ula. Z tej strony Olka. Dotarłaś już na miejsce zabójstwa?

– Tak.

– I co? – pytam, chociaż bardzo boję się odpowiedzi.

– Twój kolejny klient.

Wiedziałam. Powinnam coś zrobić. Wcześniej. Już po drugim trupie. Powinnam ostrzec pozostałych członków grupy. Porozmawiać z nimi. Poprosić, żeby byli ostrożni.

Zabrakło mi jednak odwagi. Byłam pod domem Remigiusza, widziałam, jak wychodzi z klatki z jakimiś ludźmi. Pamiętałam, że utrzymywał w tajemnicy nasze spotkania. Nie mogłam więc przecież stanąć przed nimi i powiedzieć, że być może morderca wybiera ofiary spośród moich klientów.

– Znalazłaś u niego nieśmiertelnik? – Jedyne, co mogę jeszcze zrobić, to zaangażować się bardziej.

– Tak, dosłownie kilkanaście sekund temu.

– I co? Kolejna linia?

– Wiesz co, raczej nie linia...

– Podeślij mi zdjęcie. Mam pomysł, jak to ugryźć.

*

Mieszkanie rodziców Antka Dropińskiego wyglądało zupełnie zwyczajnie. Urszula powiedziałaaby nawet, że zbyt zwyczajnie. Nie знаła wielu rodziców, którzy akceptowaliby odmienną orientację seksualną swojego dziecka do tego stopnia, że byliby gotowi oglądać obściskujących się zakochanych codziennie. Dropińscy wyrazili zgodę na to, żeby ich syn zamieszkał ze swoim chłopakiem w tym samym bloku, tej samej klatce, piętro nad nimi. Widzieli i słyszeli więc dużo więcej, niż chciałby przeciętny rodzic. Odgłosy kłótni, seksu, imprez...

– Proszę, niech państwo usiądą. – Dropińska miała na sobie kolorowy dres. –

Przepraszam za mój strój... – Zauważyła, że Ula taksuje ją spojrzeniem. – Dopiero co wróciłam z biegania, kiedy okazało się, że Remik... Nie zdążyłam się przebrać.

– Proszę się tym nie przejmować. – Urszula machnęła ręką.

Zajęła wskazane miejsce przy ławie, ale po chwili zorientowała, się że uwiera ją komórka, którą schowała do kieszeni spodni. Wyjęła ją i położyła na blacie ekranem do góry.

– Chcieliśmy zapytać o Remika. Byliście parą, tak? – Tomasz rozpoczął rozpytywanie młodego mężczyzny.

– Tak. Od dwóch lat. Po tygodniu znajomości zamieszkaliśmy ze sobą.

– Państwo nie mieli nic przeciwko?

– Dlaczego mielibyśmy mieć? – zapytała kobieta. Jej mąż siedział obok i wpatrywał się w podłogę.

– No bo to jednak niespodziewane?

– Niespodziewane? Proszę pana, to kiedyś było zamiatane pod dywan. Aferę robiono z homoseksualizmu. A wie pan, że to nie jest żadna fanaberia? Że to często następstwo pewnego leku branego na podtrzymanie ciąży?

– Kolega nie miał na myśli nic złego. Chodzi o to, że nieczęsto rodzice chcą mieć na oku dzieci, które wchodzi w dorosłość. Ile pan ma lat? – zwróciła się do Antka.

– Dwadzieścia trzy.

– No właśnie, a denat skończył trzydzieści siedem. Czternaście lat to duża różnica wieku, niezależnie od płci.

– Chłopcy stanowili udaną parę, jeśli o to pani pyta – wtrąciła Dropińska.

Urszula i Tomasz spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Prowadzenie rozmowy z Antkiem i jego matką miało się z celem.

– Panie Antoni, czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? – Tomasz wstał i pokazał głową w stronę przedpokoju.

– Możecie iść do sypialni. Albo nie, w sypialni jest bałagan. Do gabinetu ojca! – rzuciła Dropińska, po raz kolejny odpowiadając za syna. Zupełnie jakby nadal myślała, że jest małym chłopcem i bez niej nie potrafiłby się zachować.

Antek posłusznie wyszedł z pokoju, nawet nie oglądając się na Tomasza. Policjant pomaszerował za nim. Urszula została sama z małżonkami.

– Nie akceptował pan związku syna i Remigiusza Krupy? – zwróciła się do Dropińskiego.

Mężczyzna nie zdążył nawet otworzyć ust – uprzedziła go żona.

– Proszę wybaczyć mężowi. On od początku znosi to wszystko... – Rozłożyła ręce. – Trochę gorzej niż ja. Ale przecież kocha naszego syna.

– Rozumiem. Pani Magdaleno, czy podczas tego weekendu działo się tu coś niezwykłego? Czy ktoś odwiedzał Remigiusza? Czy ktoś się kręcił w okolicy? Czy słyszała pani z góry odgłosy jakiejś imprezy? Klótni?

– Nie. Raczej nie.

– Jak to nie? – Po raz pierwszy Dropiński wydał się zainteresowany tym, co się działo wokół. – Kręciła się tu jakaś ruda baba. Widzieliśmy ją na klatce schodowej. Wyglądała dziwnie. Jakby się zastanawiała, czy wejść. Mówiłem ci, że szła do Remika! Czaiła się!

– Przestań, proszę cię.

– Nie przestanę. Antek wyjechał na konferencję, więc Remik musiał zadbać o rozrywkę.

- Na miłość boską, przecież oni byli razem.
- No i? Ile znasz małżeństw, które są razem i się zdradzają?
- Przestań. Oni nie byli małżeństwem. Kochali się. I nie mogliby się zdradzać. Poza tym byli parą gejowską.
- Jaka ty naiwna jesteś, Magda. Zawsze byłaś. Łykasz wszystko, w co chcesz wierzyć. To, że Remik sypiał z Antkiem, nie znaczy, że nie pociągały go kobiety. Na pewno był bi!
- Nie, nie, nie! – Dropińska zatkała uszy i kręciła głową. – Niech pani go nie słucha. Urszula nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo rozdzwoniła się jej komórka leżąca na ławie.
- O właśnie! Ta kobieta wyglądała prawie tak jak ta. – Dropiński wskazał na wyświetlacz.

*

- Ula? No nareszcie. Czemu tak długo nie odbierasz telefonu?
- Jestem w pracy.
- Brzmi tak lodowato, że mogę przypuszczać, że tym razem znaleźli trupa w chłodni i Ula wraz ze swoim partnerem stoją tam najmniej od dwóch godzin.
- To dobrze, bo dzwonię z niesamowitym odkryciem.
- Jakim?
- Jestem podekscytowana i chcę podzielić się z nią energią, a ona odzywa się do mnie służbowym tonem.
- W tle słyszę jakieś głosy. Nie jestem w stanie ich wyodrębnić.
- Ważnym. Przesłałaś mi ten ostatni nieśmiertelnik. Zrobiłam mały eksperyment...
- Opowiadam jej o tym, jak odrysowałam je wszystkie flamastrem na kartce, jak poprzycinałam, tak żeby były papierowymi blaszkami, nałożyłam je na siebie i podeszłam do okna.
- Właściwie nadal stoję przy oknie i trzymam cztery odwzorowania nieśmiertelników.
- Olka, nie mam czasu. Konkrety, dobrze?
- Słuchaj! Po złożeniu ich w całość te wszystkie linie się połączyły w obraz. Ten ostatni element wygląda jak źrenica, a reszta to jakby części oka.
- Oka?
- Tak. Mocno przerysowanego. Takiego... Nie z komiksu, ale raczej z przewodnika po Egipcie? Tak mi się skojarzyło. Poszperałam w necie i mam trafienie. Te linie tworzą niepełne jeszcze oko Horusa. Brakuje dwóch linii. Oko Horusa w mitologii egipskiej to symbol odrodzenia i powrotu do zdrowia. Dzięki oczom Egipcjanie mieli odnajdywać szczęście, które nie jest darem od boga, lecz spoczywa w ich wnętrzach. Pozwalały żyć świadomie i bez strachu. Oko Horusa było wysławiane jako lustro, w którym odbija się nasza prawdziwa natura. To amulet. Pomaga tym, którzy są przygnieceni swoim życiem.
- Aha.

– Cholera jasna, Ulka, nie kumasz? Prawdziwa natura, pomoc tym przygniecionym przez życie! Idealnie zgrywa się to z parafiliami. Parafilia stanowi prawdziwą naturę człowieka. Tę, którą skrywa. I ostatecznie każdy w jakimś momencie życia czuje się przytłoczony koniecznością jej ukrywania. Przytłoczony chęcią pokonywania kolejnych granic, żeby uzyskać ten sam poziom pobudzenia seksualnego. To ich autentycznie boli! Ta świadomość, że znowu pokonałaś siebie i jest OK, ale za chwilę i to może być dla ciebie zbyt mało...

Wzdycha i chyba w końcu do niej dociera, ale zamiast radosnego krzyku odzywa się nagle tonem męczennicy:

– Oła, proszę cię, przyjedź na komendę.

– Wiesz, że nie lubię policji. Wpadnij do mnie. Jak skończysz.

– Nie! Przyjedź na komendę. Za chwilę stąd wyjdę, spotkajmy się na Szylinga przed wejściem do budynku za pół... Albo nie, bezpieczniej za godzinę. Dobrze?

– Uła? Coś się stało?

– Opowiem ci wszystko, jak się zobaczymy.

*

Wszystko potoczyło się zupełnie nie tak. Z umówionego miejsca Urszula zaprowadziła Aleksandrę nie do swojego gabinetu, a do pokoju przesłuchań.

Nijakie ściany oddzielały ją od policyjnego życia. I to był jedyny pozytyw, który umiała znaleźć w tej sytuacji. Cała reszta ją przerażała. Otaczająca ją przestrzeń nie była duża, ale Aleksandra wręcz czuła strach wiszący w powietrzu.

– Znowu się spotykamy. – Zaraz po tym, jak zajęła miejsce wskazane przez Urszulę, w pokoju pojawił się Tomasz Chmielewski i od razu naruszył jej osobistą strefę bezpieczeństwa. Najpierw wpatrywał się w nią bezczelnie, a później obszedł jej krzesło, próbując ją osaczyć. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy usiadł obok Urszuli.

Aleksandra straciła wszelką nadzieję. Wszystko wskazywało na to, że Uła nie zaprosiła jej na towarzyską rozmowę, ale znowu ją oszukała i zwabiła na przesłuchanie.

– Nie bardzo rozumiem... – próbowała oponować, ale Urszula pokręciła głową, dając jej znak, żeby pozwoliła Tomaszowi dokończyć.

– Jak to się stało, że jest pani tak bardzo pomocna w prowadzeniu tego śledztwa?

– Nadal nie rozumiem.

– Znalazła pani nieśmiertelnik. Przekazała nazwiska ofiar. A teraz sama połączyła znaki z nieśmiertelników w oko Horusa.

– Tak wyszło. – Aleksandra wzruszyła ramionami.

– Tak wyszło? – Uśmiechnął się i pokiwał głową. – Tak wyszło też, że przypadkiem znalazła się pani w miejscu zabójstwa Piotra Sternala, podobnie jak w mieszkaniu Katarzyny Hałki.

– Do mieszkania Kasi zabrała mnie Urszula.

– Dzisiaj odkryliśmy ciało kolejnej ofiary, Remigiusza Krupy. Wie pani, gdzie on mieszka?

– Na pewno mam to wpisane w kartotece.

– W kartotece? Nie w głowie?

Urszula siedziała przy stole i uważnie obserwowała Aleksandrę. Jej dłonie jednak zdradzały nerwowość. Włączała i wyłączała długopis trzymany w dłoni. Obracała nim. Odkładała na stół, po czym znowu chwyciła.

– W kartotece na pewno. Dlaczego pan pyta?

– Bo chcę po raz ostatni dać pani możliwość, żeby w końcu przestała kłamać i zaczęła mówić prawdę.

Aleksandra oderwała wzrok od policjanta i z przerażeniem spojrzała prosto w oczy przyjaciółki. Nie tak się umawiały. Miały razem pracować nad rozwiązaniem sprawy!

– Ulka? O co chodzi? Dlaczego mnie tu zwabiłaś?

– Oła, musisz w końcu powiedzieć całą prawdę. My wiemy i zatajanie nie działa na twoją korzyść.

Twarz przyjaciółki była szara niczym ściana za jej plecami.

– Nie okłamuję cię przecież.

– Nie mówisz też całej prawdy.

– Co chcesz wiedzieć?

Urszula zerknęła na policjanta i to on zadał pytanie, które zamurowało Aleksandrę:

– Była pani u Remigiusza Krupy. Mamy świadków.

Spanikowała. Przez dłuższą chwilę nie mogła złapać oddechu.

Właśnie tego obawiała się najbardziej. Że znowu chęć niesienia pomocy członkom grupy rzuci na nią cień.

– Rzeczywiście, przyznaję, że chciałam porozmawiać z żyjącymi członkami grupy.

Remik był pierwszy na mojej liście. Nie był jednak sam, odczekałam, poszłam do niego do mieszkania. Pukałam, nie otworzył mi. Albo nie było go w domu.

– Czyli o uprawdopodobnienie twojej wersji tej wizyty możemy popytać pozostałych uczestników terapii, bo u nich też byłaś, żeby uprzedzić?

– Nie. Po wyjściu z bloku pomyślałam, że to bez sensu. Że nie będę tak chodzić, nie chcę patrzeć im w twarz. Próbowałam się dodzwonić do pozostałej dwójki, ale bezskutecznie.

Tomasz i Urszula wymienili się spojrzeniami i chyba również zamienili rolami, bo policjant przycichł, a Urszula ożywiła.

– Spokojnie. Jeśli nie kłamiesz, to na pewno nie masz się czego obawiać. Byłaś tam w sobotę. Co widziałaś? Musisz powiedzieć mi o wszystkim. Przybliżony czas zgonu i czas twojej wizyty się zazębiają. Istnieje prawdopodobieństwo, że mogłaś widzieć zabójcę.

– Proszę się dobrze zastanowić, bo jeśli go pani widziała, to on widział panią... A jeśli widział, to również pani może być w niebezpieczeństwie. Sprawca ma już na koncie cztery zabójstwa – dodał Chmielewski.

Myśl o tym, że morderca mógł ją widzieć, sprawiła, że Aleksandra wpadła w panikę. Nerwowe i krótkie wdechy nie dostarczały organizmowi odpowiedniej ilości tlenu.

Nagle cały świat wokół niej zawirował, a dźwięki, które do niej docierały, stawały się coraz bardziej stłumione.

– Olka, spokojnie. Oddychaj powoli. Spokojnie i powoli. Tomasz, otwórz okno, bo ona zaraz nam tu zemdleje!

– Widziałam go. I on mnie też – wydukała i opuściła głowę. Wyprostowała się dopiero wtedy, kiedy uspokoiła oddech. – Ale nie wczoraj, nie u Krupy. Wtedy, u Sternała.

Właśnie sobie uświadomiłam, że mijałam wtedy kogoś, który wychodził z pracowni.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem. Chyba mężczyzna. Większy ode mnie. W kapturze, wpatrzony w ziemię. Nie miałam szans, żeby spojrzeć w jego twarz.

– Czyli od czwartku wie pani, że widziała pani zabójcę i nie pomyślała pani, żeby nas o tym poinformować? Gdyby nie pani, to Krupa mógłby nadal żyć. Czy to nie jest współudział? Zostanie pani z nami.

– Tomasz, możemy porozmawiać? – Urszula wstała z krzesła i próbowała wzrokiem przywołać kolegę do porządku. Ten jednak wcale nie miał zamiaru nawet na nią spojrzeć.

– Za chwilę. Najpierw zaprowadzę twoją koleżaneczkę na dołek. Niech spędzi noc w celi i zastanowi się, co jeszcze ukrywa.

Podszedł do Aleksandry, wykręcił jej rękę i założył kajdanki.

– Ula? Ula! – zaprotestowała.

– Spokojnie, Olka, wszystko będzie dobrze, to tylko formalność. Zaopiekuję się Kubą.

– Ula!

*

Tomasz zaatakował ją słownie, kiedy tylko wrócił z dołka. Nie pozostała mu dłużna.

– Jesteś naiwna! Baba dawkuje ci informacje, manipuluje tobą, a ty jej wierzysz?!

– Wiem, że nie zabiłaby czterech osób.

– A ja wiem, że wszystko wskazuje na razie na to, że utrudnia śledztwo. Jaki ma motyw? Zastanowiłaś się? No powiedz! Myślałaś o tym?

Myślała o tym tak intensywnie, że nawet nie zauważyła, kiedy przemieścili się samochodem z komendy na ulicę Swoboda. Czuła zawroty głowy i mdłości, ale była tak bardzo skupiona na rozmyślaniu o Aleksandrze, że pomyślała, że to reakcja organizmu na myśl o ewentualnym błędzie i złych założeniach, których chciała się kurczowo trzymać.

– O wszystkim pomyślałam. Nie traktuj mnie jak panienki świeżo po szkole.

– To się tak nie zachowuj. – Tomaszowi nie zamykały się usta. Wysiedli z samochodu i pomaszzerowali w stronę klatki schodowej, a on gadał w kółko o tym samym. –

Wszystko, co jest z nią związane, przemawia na jej niekorzyść.

– Przesadzasz!

- No zobacz, nawet jej miejsce zamieszkania pasuje.
- Pasuje do czego?
- Do profilu geograficznego.
- Zrobiliście profil?
- Jeszcze nie, ale...

Stanęli przed drzwiami, przed którymi Urszula stawała wcześniej. Zawsze sama i z uśmiechem na twarzy. Teraz była zmartwiona. Przyjaciółka została w areszcie, Kuba miał spędzić kolejną noc u kolegi, a ona wraz z Tomaszem musiała przeszukać jej mieszkanie.

- Jeszcze nie, ale już się pomądrzę i dopasuję wszystko – przedrzeźniała go – co tylko mi się uda do profilu, który jeszcze nie powstał.
- Urszula, dobrze wiesz, że według Cantera można wskazać obszar, na którym prawdopodobnie mieszka sprawca. I jeśli to seryjny, który dokonał przynajmniej trzech czynów, to należy połączyć wszystkie miejsca, tak by stały się wierzchołkami figury geometrycznej.
- Tak, wiem. Istnieje prawdopodobieństwo, że sprawca mieszka w obszarze tej figury. Chciałam jedynie zauważyć, że jeśli połączysz Bukowską, czyli mieszkanie Hałki z 23 Lutego i z rogiem Bukowskiej i Grochowskiej, to wyjdzie ci bardzo długi, ale wąski trójkąt. Pracownia Sternala znajduje się zaraz obok mieszkania Hałki. I choćbyś nie wiem jak się nagimnastykował, to mieszkanie Olki i tak nie wejdzie w obręb trójkąta.
- Niby nie wejdzie, ale znajdzie się zaraz za nim...
- Tomasz, może skupmy się na konkretach. – Urszula wyjęła z kieszeni rękawiczki i przystąpiła do przeszukania. – Mamy już cztery ofiary, więc trójkąt się zdezaktualizował. Jeśli, tak jak sugerujesz, Aleksandra jest zamieszana w morderstwa, to znajdziesz dowody tu lub w jej gabinecie. Szukamy strzykawek i fiolek z pavulonem. Tomasz chyba jej nie słuchał. Owszem – przestał się odzywać, włożył rękawiczki, ale zamiast zająć się przeszukaniem, pokoju usiadł do komputera. Urszula przeszukała sypialnię Aleksandry, ale oczywiście nie znalazła niczego, co mogłoby ją zainteresować. Wróciła więc do pokoju, w którym zostawiła Tomasza. Siedział dokładnie w tym samym miejscu, w którym widziała go po raz ostatni. Wpatrywał się w komputer, a pokój wydawał się nietknięty.
- Pierdołę, idę do domu! Dziś jest niedziela, powinnam odpoczywać, a nie cię wyreczać! Nie muszę tego robić, bo dam sobie głowę uciąć, że nic tu nie znajdziemy!
- Słucham? – Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.
- *Fuck*, Tomasz!
- Mówiłaś coś?
- Że idę do domu. Mieliśmy przeszukać jej mieszkanie, a nie siedzieć przed komputerem.
- Rozpocząłem przeszukiwanie od sprawdzenia, czy nie ma czegoś na dysku. Jakichś dokładniejszych notatek dotyczących zamordowanych klientów. Nie znalazłem, zajrzałem więc do skrzynki odbiorczej, bo pomyślałem, że może nad czymś pracowała w domu, a potem wysyłała sobie do pracy, jednocześnie usuwając z dysku. Zajrzałem i... musisz to zobaczyć.

– Czekaj, niech zgadnę! Znalazłeś kolejne głupstwo, które zamierzasz podciągnąć pod swoją teorię?

– Nie sądzę, żeby to było głupstwo. – Jako że Urszula nadal stała w drzwiach do sypialni, Tomasz zaczął czytać na głos: – „Nie mogę przestać myśleć o... No właśnie, o czym? O nas wczoraj? O tym, jak nasze ciała idealnie do siebie pasowały? Nie, nie mogę tak napisać, bo zwrócisz uwagę na to, że myślę tylko o seksie. A to nieprawda. Gdyby to, co wczoraj nas zaskoczyło, to był jedynie seks, to dziś czułbym się zrelaksowany i zaspokojony. A ja, pomimo wczorajszego orgazmu, nadal czuję głód. Nawet większy niż wczoraj, kiedy w ostatnich sekundach niepewności czy pozwolił mi w siebie wejść, wydawało mi się, że mój penis eksploduje i rozpadnie się na milion cząsteczek. Olu, to nie był tylko zajebisty seks. Mam nadzieję, że podobnie jak ja zauważyłaś wyładowania intelektualne i emocjonalne iskry. Nie wiem, co to było. Nie wiem, w jaką stronę zmierza. Wiem tylko, że chcę więcej. Moje palce nadal pachną tobą... Przyjdź dziś do mnie. Czekam. Spróbujemy znaleźć odpowiedzi na kolejne pytania”. – Tomasz skończył czytać i spojrział triumfalnie na Urszulę. – I wiesz, co ona mu odpisuje?

– No co?

– „To była pomyłka, nie dzwoń do mnie, nie pisz, zapomnij. Przepraszam”. A on jej na to, że się myli i tego tak nie zostawi.

– Klótnia kochanków. Czym się tak podekscytowałaś?

– Oczywiście, że kochanków. Kim jest ten kochanek?

– *Fuck*, Tomasz. Ola ma faceta, Krystiana, poznałam go. Chyba ostatnio im się nie układa.

– Aaa, czyli ona ma faceta? Dlatego chciała, żeby kochanek zapomniał!

– Czyli to nie z Krystianem wymieniała się mailami?

– Nie.

– A z kim?

– Z Marcinem Karbowskiem. Denatem numer dwa.

VII

Poniedziałek

Trzy kropki znowu migwały. Ten obraz tak bardzo zakorzenił się w umyśle Szczepana, tak silnie połączył się z emocjami, które występowały podczas każdej internetowej rozmowy z nim, że już same kropki wystarczały, by czuł ekscytację.

On był pierwszą osobą, z którą mógł rozmawiać szczerze, bez obaw o to, że zostanie potępiony. On go rozumiał. On zadawał pytania. On ciekawy był odpowiedzi. On. Szczepan polubił go i nabrał zaufania. Cieszył się każdą ich rozmową. Ekscytował się, nie tylko oczekując na jego odpowiedź, ale także wysyłając mu swoją. Emocje, których wtedy doświadczał, były niesamowicie przyjemne i złożone. Zwykle z drobnymi obawami przelewał myśli na ekran komputera, a potem uderzał w Enter z taką prędkością, jakby sam się bał, że jeśli szybko tego nie wyśle, to usunie to, co napisał... Bo przecież było zbyt osobiste, zbyt intymne, zbyt zboczzone. Ale on przyjmował wyznania Szczepana zupełnie normalnie.

„Już jestem. Jak tam?”

Na ekranie pojawiła się jego wypowiedź. Szczepan uśmiechnął się do siebie i poczuł, że ogarnia go kolejna fala przyjemnego podniecenia.

Co prawda siedział w pracy, więc nie było mowy o chwili zapomnienia, musiał regularnie zerkać na drzwi, żeby kontrolować, czy w pokoju nie pojawi się szef, ale i tak był gotowy ponieść ryzyko. Już dawno temu zauważył, że zadowolający poziom satysfakcji przynosi mu nie tyle realizacja fantazji – bo o tym na razie mógł jedynie sobie pomarzyć – ale zaangażowanie we wszystkie czynności, które prędzej lub później mogłyby zaprowadzić go do celu. Rozmowa lub myślenie o fantazjach, wizualizowanie ich sobie, zastanawianie się, co by było, gdyby, oglądanie podniecających filmów lub wizyty w sexshope, by zastanawiać się, które z produktów mógłby wykorzystać.

„Tak sobie pomyślałem, że dobrze, że na siebie przypadkiem wpadliśmy” – napisał. Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

„To nie był przypadek, ale zrzączenie losu”.

„Dokładnie. Ale mogliśmy się minąć, przejść obok siebie obojętnie. Wiesz, że gdyby nie fakt, że mamy wspólną... znajomą, tobym ci nie zaufała?”.

„Czyli nie opowiedziałabyś mi tego, co ci chodzi po głowie?”.

„Nie!”.

To było śmieszne, że rozmawiał z mężczyzną, bo przecież podniecały go kobiety.

Kobiety, a właściwie jedna kobieta.

„To mamy szczęście. Bo dla mnie twoje fantazje są boskie i kręcące, a i chyba ty lubisz o nich opowiadać, co?”.

„No”.

Szybko przytaknęła, uciekając od myśli, że podczas rozmów z żoną czuje się jak zbok.

„To co? Brzoskwinka dojrzała już do tego, żeby fantazje zmienić w rzeczywistość?”.

„Nadal nad nią pracuję. Wysłałem ją na forum. Zgodnie z twoją propozycją. Może jak poczyta, że jest bardzo dużo ludzi takich jak my, którzy są na tyle dorośli, żeby bawić się seksem, to zmięknie. Dziś ma dać mi ostateczną odpowiedź. Ale wiesz co? Trochę się boję”.

„Czego?”.

„Że przekroczenie tej granicy zniszczy moje życie. Że to będzie nieodwracalne. Że może nie powinienem tego robić. Jeśli mi się nie spodoba, a jej tak? Stracę ją”.

„W takim razie nie róbmy tego. Jeśli ma być ci źle, to zrezygnujmy”.

„Nie! – Szczepan nie mógł pozwolić, żeby on się wycofał. – Wszystko idzie zgodnie z planem. Chcę tego. Naprawdę. To tylko głupie obawy. Wiesz przecież, jak jest. Próbowałem kiedyś to zwalczyć. Nie wyszło. Teraz to jest już *mission impossible*. Nie wygram z bestią. Nie mam szans. Oddałem jej już całe swoje życie”.

*

Urszula nie miała złudzeń – wizytę w gabinecie komendanta zawdzięczała Tomaszowi. – Doszły mnie niepokojące słuchy, jakoby byłaby pani blisko związana z jedną z podejrzanych w sprawie. – Komendant brzmiał jak ojciec znudzony koniecznością ciągłego prowadzenia rozmów wychowawczych.

– Oczywiście słuchy z anonimowego źródła? – Przystąpiła do ataku, tak na wszelki wypadek.

Dla Tomasza stało się oczywiste, że zatajenie intymnego związku z ofiarą jest świetnym motywem. Jakoś nie dopuszczał do siebie tłumaczenia, że nawet jeśli Aleksandra poszła do łóżka z Karbowskiem, to nie uprawiała seksu z innymi klientami, wobec czego nie miała motywu, by ich również zabijać. Chmielewski nie zgadzał się z nią, a kiedy uznał, że jej nie przegada, pobiegł naskarżyć przełożonemu, jak jakiś dzieciak.

– Proszę sobie darować. Słyszałem, że jest pani niepokorna i że trudno się z panią współpracuje. To, co uchodziło pani na sucho w Łodzi, nie jest akceptowalne

w Poznaniu. Nie u mnie, rozumiemy się?

– Niepokorna? Ja?! Czyżby opinia o mnie dotarła do pana przede mną?

– Moim zadaniem jest wiedzieć wszystko o nowych pracownikach. Muszę eliminować słabe ogniwa. Wracając do sedna. Aleksandra Wilk ma problem z panowaniem nad sobą. Bywa agresywna. Prześwietlano ją przy sprawie ataku na Drzewiecką. –

Komendant posiłkował się aktami, z których odczytywał nazwiska. – W aktach znajdzie pani zeznanie kobiety, która była świadkiem ataku agresji. Sprawa została umorzona, co nie czyni jednak z Wilk łagodnej owieczki.

– Problem w tym, że nasz sprawca nie jest agresywny. Ma dostęp do pavuloniu i chlorku potasu, a Aleksandra nie. Do nazwisk uczestników terapii dostęp mieli pozostali uczestnicy i jeszcze ktoś – przypomniawszy sobie. – Do gabinetu Wilk jakiś czas temu było włamanie. Sprawca mógł wykraść dane uczestników terapii. Nie uważa pan, że to byłoby głupie, gdyby Wilk zabijała swoich klientów, zostawiając na miejscu zdarzenia nieśmiertelniki z fragmentami oka Horusa, a później próbowała nam pomóc rozwiązać zagadkę?

– Psychole nie w takie gierki bawią się z policją.

– Psychole tak. Nie ona. Wiem, co mówię, nie dlatego, że ją znam, ale dlatego, że jestem psychologiem policyjnym i bardzo trudno mnie oszukać.

Komendant przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Następnie odsunął się od biurka, sięgnął do szuflady, wyjął z niej granatowe opakowanie z gumami do żucia. Jedną z nich włożył do ust, a następnie skierował opakowanie w stronę Urszuli. Pokręciła głową, więc schował gumy do szuflady, zasunął ją i oparł łokcie o blat biurka.

– I o to właśnie mi chodzi. Uważam, że Wilk może być zabawką w rękach mordercy. Nie chciałbym też, żeby i ją zabito, bo jak to wycieknie do mediów, to nas wszystkich powieszają za jaja. – Spojrzał na jej krocze i chyba zdał sobie sprawę, że się zagalopował, bo cmoknął i pokręcił nerwowo głową. – A zresztą... Jest taka zasada, że przyjaciół trzeba trzymać blisko, a wrogów jeszcze bliżej. Rozmawiałem z Chmielewskim, wypuścił Wilk i da jej ogon, a pani będzie się z nią nadal kontaktować jak gdyby nigdy nic. Może uda się wyciągnąć z niej coś jeszcze? Przydałby się nam przełom w sprawie, bo media... A właśnie, co w temacie starej sprawy?

– Działam i wrócę do pana z konkretnymi informacjami. Na razie mam trop, który muszę sprawdzić.

– Świetnie. Proszę też spróbować sprawdzić, czy Wilk nie kłamała w temacie relacji z Karbowskiem. Jest cwana, przyznaje się tylko do tego, co jesteśmy w stanie jej udowodnić. Mamy jeden mail, więc mówi o jednorazowym seksie, może jednak w rzeczywistości romans trwał dłużej?

– Tak jest. Sprawdzę to.

– Czy ma pani już listę kandydatów do zespołu?

– Tak. – Podała mu kartkę z trzema nazwiskami.

– Świetnie. Powiadomię kandydatów. – Zerknął na listę i roześmiał się głośno. – Widzę, że mimo otwartego konfliktu z Chmielewskim podała pani również jego nazwisko.

– Nie widzę powodu, żeby chwilowa różnica zdań miała wpływać na ocenę jego pracy. Jest dobrym specjalistą, chociaż czasami zbyt szybko wyciąga wnioski. Zwłaszcza, gdy

musi działać na bieżąco. Potrafi się jednak dostosować, szybko się uczy i jeśli tylko chce, skupia się na szczegółach. W Archiwum Z najpierw będzie musiał przekopać się przez dokumentację, dzięki czemu zyska potrzebny dystans.

*

Upewniłam się, że z Kubą wszystko w porządku. Tak świetnie bawił się ze swoim kolegą i ucieszył się z możliwości spędzenia u niego kolejnej nocy, że nawet nie zorientował się, że coś może być nie tak.

I dobrze. Nie wiem, jak miałabym mu wytłumaczyć noc spędzoną w areszcie.

– Pani Olu, nareszcie.

– Przepraszam za spóźnienie, zapraszam do gabinetu. – Wprowadzam klientkę do środka.

Zajmuje miejsce na fotelu, a ja rzucam torebkę i oddycham głęboko. Stojący na biurku odświeżacz powietrza sprawia, że momentalnie przełączam się w tryb pracy.

Nie wiem, ilu ludzi jest w stanie się przyznać do pracoholizmu, czyli do stanu, w którym miłość do tego, co się robi, jest tak duża, że najlepiej wypoczywa się podczas pracy. Ja mogę się przyznać. Tylko w tym gabinecie czuję się panią swojego życia. Cała reszta to gra w teatrze. Udaję, że znam rolę. Staram się wierzyć w to, że jestem przygotowana. Że nikt przecież mnie nie ocenia. Że nikt na mnie nie patrzy. Improvizuję. Bo przecież tak naprawdę nie mam pojęcia, jak być dobrą matką. Nie miałam dobrych wzorców. Nie wiem, jak być dobrą partnerką dla Krystiana, bo całe swoje dorosłe życie kochałam tylko jednego mężczyznę. Kiedy umarł, umarła też ta kobieta we mnie.

– I co dobrego, pani Dario?

Kobieta opowiada podekscytowana o efektach naszej ostatniej rozmowy. A nawet nie tyle efektach, ile o swoich przemyśleniach i próbach zmiany postępowania.

Jestem z niej dumna. Po raz kolejny przypomina mi się, że kocham tę pracę. Rozmowy z klientami sprawiają, że czasem czuję się poruszona, a czasem zawstydzona. Niekiedy po kilku miesiącach pracy siadam naprzeciwko klienta i tak jak dziś jestem zaskoczona jego przemianą. Wydawało mi się, że ta kobieta nigdy nie zmieni siebie, nie poczuje tego, co jej mąż chciałby, żeby poczuła.

– Pani Olu, dziękuję! Wszystko, co mi pani powiedziała, przyniosło w końcu efekt. Powiedziałam Szczepanowi, że spróbuję...

*

Wśród ludzi wylewających się właśnie z fabryki Volkswagena Tomasz bezbłędnie

wypatrzył kobietę, na którą czekali.

– To ona! – Pokazał ją Urszuli.

Elżbieta Lesińska była pracownicą działu zapewnienia jakości. Miała krótkie, białe, wymodelowane włosy. Grzywka sterczała niepokornie. Mocno pomalowane oczy i dość masywne nogi wystające spod obszernej kurtki nasuwały skojarzenie, że wygląda jak sobowtór Pink.

– Starszy sierżant Tomasz Chmielewski. Pani Elżbieta Lesińska?

– Tak – odpowiedziała niepewnie.

– Uczestniczyła pani w terapii grupowej prowadzonej przez Aleksandrę Wilk?

– Słucham? – Zmarszczyła brwi i otworzyła usta ze zdziwienia.

– Musimy z panią porozmawiać – dodała Urszula i delikatnie odciągnęła kobietę na bok.

– Przejdźmy do samochodu.

Warunki atmosferycznie nie sprzyjały rozmowie na powietrzu. Temperatura oscylowała wokół zera, a natrętny wiatr potęgował nieprzyjemne wrażenie.

Kobieta nie stawiała oporu. Podeszli do samochodu. Tomasz otworzył drzwi i wpuścił ją i Urszulę do tyłu, a sam usiadł na miejscu kierowcy.

– Uczestniczyła pani w terapii, prawda? – powtórzył pytanie.

– Tak.

– Terapia dotyczyła?

– Przepraszam, że zapytam, ale skąd państwo o tym wiedzą? Przecież chroni nas tajemnica lekarska, czy jak to się nazywa.

– Nad wszelkimi tajemnicami znajduje się konieczność ochrony życia.

– Jak to? Nie rozumiem.

– Wytłumaczę to pani, ale proszę najpierw odpowiedzieć na nasze pytania. – Tomasz był niesympatyczny i odpychający.

– Słucham – skapitulowała Elżbieta.

– Czego dotyczyła terapia?

– Poszukiwania szczęścia, rozmów o życiu, chęci pozbycia się nadmiaru myśli czy może raczej dyskomfortu.

– U pani dyskomfort wiązał się z...?

– Naprawdę muszę o tym mówić?

Siedząca do tej pory cicho Urszula postanowiła wesprzeć kolegę, stawiając na strategię dobrego i złego gliny. Uśmiechnęła się więc do kobiety i pokiwała głową.

– Naprawdę – powiedziała tonem pełnym rezygnacji, spokoju i zrozumienia. – Jesteśmy z wydziału kryminalnego. Nie będziemy osądzać pani jako człowieka. Informacje te potrzebne nam są do prowadzonego śledztwa. Szukamy seryjnego zabójcy. Tak więc najlepiej będzie, jeśli sama powie nam pani, z czym wiązał się pani dyskomfort.

– Z tym, że koleżanki mają z kim przyjść na imprezę, na grilla, na imieniny. Że unikają mnie przez to, że jestem singlem. Przeszkadzało mi to.

– A jest pani samotna, ponieważ? – Nachalne wtrącenie Tomasza popsuło atmosferę, którą chwilę wcześniej zaczęła budować Urszula.

– Nie powiedziałam, że jestem samotna.

– Ale nie ma pani partnera. – Tomasz się zawahał i dodał po chwili namysłu: – Ani

partnerki.

– Nie, nie mam faceta na stałe.

Urszula wyczuła w głosie kobiety zniecierpliwienie, zdyscyplinowała więc Tomasza spojrzeniem.

– Jaki klimat panował w grupie terapeutycznej? – zapytała.

– Czy ja wiem? Dobry. Sprzyjający pracy nad sobą.

– Rozumiem. Jak określiłaby pani poszczególnych członków grupy?

– Nie bardzo ich wszystkich pamiętam. Spotykaliśmy się raz w tygodniu przez osiem miesięcy. Zawsze w tym samym gronie. Rok temu grupa się rozwiązała.

– Czy między uczestnikami dochodziło do jakichś relacji prywatnych? Może zawiązały się jakieś przyjaźnie? Romanse?

– Nie, kontrakt psychologiczny, który podpisywaliśmy, zawierał zapis, że nie możemy spotykać się poza zajęciami. I wszyscy to rozumieliśmy. Bo przegadywanie problemów z zajęć poza nimi miało się z celem.

– Czy był ktoś, kto wydawał się wrogo nastawiony do grupy?

– Wszystkich wkurzał Szczepan. On nie miał wycucia i walił bez ogródek to, co myślał.

– Ale przecież na tym polega terapia?

– Nie do końca, bo owszem, trzeba rozmawiać szczerze, ale trzeba też pokazać drugiemu człowiekowi akceptację czy przynajmniej tolerancję, a Szczepan pokazywał nam wszystkim, że czuje się od nas lepszy.

– Pomówmy teraz o pani problemie.

– Moim? Nie mam żadnego problemu.

– Pani Elżbieto – Urszula ściszyła głos – wiemy, że wszyscy mieliście dość specyficzne potrzeby seksualne.

– Nie, nie, to nieprawda. Owszem, niektórzy byli specyficzni...

– Muszę spytać wprost, jakie są pani preferencje?

– Zupełnie normalne. Gustuję w mężczyznach.

– Pani Elżbieto?

– Nie rozumiem, dlaczego mam z wami o tym rozmawiać!

– Bo czterech uczestników pani grupy zostało zamordowanych. Musimy wiedzieć, jaki jest pani słaby punkt. No chyba że woli pani zostawić to dla siebie i niedługo stać się w naszych policyjnych aktach ofiarą numer pięć.

Spojrzenie Urszuli zdradziło Tomaszowi, że zagrał za mocno.

Elżbieta Lesińska milczała przez dłuższą chwilę, aż w końcu wyznała:

– Moim słabym punktem jest ksenofilia. Moim fetyszem jest anonimowość partnera.

Uprawiam seks tylko raz z jednym mężczyzną. Zwykle poznaję go w barze lub na dyskotece. Czasem w sklepie... Czy w innych miejscach, w których nie trzeba ze sobą rozmawiać.

– Niebezpieczne hobby.

– Właśnie bardzo bezpieczne. Wyklucza jakiegokolwiek zaangażowanie emocjonalne.

Daje sto procent zabawy bez tych wszystkich beznadziejnych dodatków. Oczekiwań, pretensji, poznawania się i doznawania rozczarowań. Jest więc najpierw polowanie,

potem osaczenie i zaprowadzenie zwierzyny gdzieś na bok, a później seks. Nie chcę nawet znać imion wybranków. Bo po co?

– A jeśli z któryś byłoby pani szczególnie dobrze?

– To i tak nie ma znaczenia, bo to jednorazowy numer. Ostra zabawa, nie równia pochyła. Przyjemny seks i żegnaj, zamiast spotkań, na których nie wiadomo jak się zachować; zamiast rozmów, które budzą nadzieje; zamiast spoglądania na komórkę i myślenia, czy zadzwoni. To wszystko mnie nie bawi. Samce mocno tracą przy bliższym poznaniu. Zawsze następuje taki etap, kiedy mężczyzna uznaje, że już zdobył kobietę, że ona jest jego. Że nawet jeśli jeszcze nie zaciągnął jej do swojej jaskini, to ona otworzyła się przed nim, co oznacza, że tylko czeka na to, żeby ją tam zaprowadził. I wtedy zaczynają się jazdy. Ona mu o sobie przypomina, on ją przeprosza. Potem znowu i znowu. Ona ma dość przeproszania, on wie, że jak coś, to ona się przypomni. I męczą się ze sobą tylko po to, żeby pójść do łóżka kilka razy w tygodniu albo nawet rzadziej. To się mija z celem.

– Czy po terapii zmieniła pani swoje postępowanie?

– Nie. Zrozumiałam, że robię tak dlatego, że boję się bliskości emocjonalnej z drugim człowiekiem. Że boję się siebie, swoich nieprzewidywalnych reakcji. Że muszę mieć kontrolę nad wszystkim, by poczuć podniecenie. Muszę rozdawać karty, muszę mieć świadomość, że wiem, jak to się skończy. Świadomość, że większość z tych facetów chciałaby ode mnie więcej, ale ja im niczego więcej dać nie mogę, bo liczy się tylko tu i teraz, daje mi siłę. Chociaż ostatnio rzeczywiście znacznie zmniejszyłam liczbę polowań...

*

– Spałaś z klientami? – Głos Urszuli nie zawierał w sobie żadnych emocji. Ta obojętność była dla Aleksandry najgorsza.

– Wiem, wiem, Ulka, przecież wiem! Popełniłam kardynalny błąd. Nigdy nie powinno do tego dojść. I nie dochodziło nigdy wcześniej. Nigdy nie miałam problemu ze stawianiem granic w relacjach z klientami. To jest takie beznadziejne... – Schowała twarz w dłoniach.

Nie chciała widzieć swojego gabinetu, foteli i niebieskich ścian. Na chwilę musiała zapomnieć o wykonywanym zawodzie i o tym, że siedzi przed nią policjantka. Potrzebowała kilku minut szczerzej rozmowy z przyjaciółką. Odkąd Olga wyjechała za granicę, jej bratnią duszą stała się Ula.

– Marcin i ja... Rozmawialiśmy na czacie. To znaczy nie. – Nie była pewna, od czego powinna zacząć. Urszula wpatrywała się w nią ze skupieniem, co wcale jej nie ułatwiało. – To może od początku. Najpierw był moim klientem. Otworzył się przede mną, opowiedział o tym, co go boli, wkurza, cieszy. Potem uczestniczył w zajęciach grupowych. Kiedy się skończyły, każde z nas poszło w swoją stronę. Dobrze wiesz, że rozstanie się klienta z psychologiem to złożony proces. Często występuje

przyzwyczajenie i mentorska relacja. Ale nieważne. Skończyliśmy współpracę. Po kilku miesiącach ciszy wpadliśmy na siebie przypadkiem. – Zamilkła, zerkając kontrolnie na twarz Urszuli. Nie zauważyła na niej potępienia. Spuściła więc wzrok i zdecydowała się wyznać wszystko: – Po śmierci Gabriela odcięłam się od ludzi. Nie chciałam, żeby mnie widzieli, żeby współczuli, żeby klepali po ramieniu i mówili, że ból kiedyś minie. Przez przypadek odkryłam, że rozmowy na czacie są bezpieczne. Nikt mnie nie widzi, nie wie, kim jestem. Mam czystą kartę. Kładłam dzieci spać i siadałam do komputera. Rozmawiałam z różnymi ludźmi. Nie tylko facetami. Ale jeden z nich wydał mi się szczególnie intrygujący. Nie wiem, gdzie tkwił haczyk. Co mi się w nim spodobało? Może to, że był nieprzewidywalny? Nigdy nie robił tego, czego bym po nim oczekiwała. Rozśmieszał mnie, a wtedy wcale nie było mi do śmiechu. Potrafił też mnie wzruszyć, opowiadając o swoim życiu. Był taki naiwny. Jak mały chłopiec. A jednocześnie odpowiedzialny jak stary dziadek. Zaczęliśmy rozmawiać regularnie. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że to Marcin. Marcin z terapii. Zresztą on nigdy nie ukrywał swojego prawdziwego imienia, ale skąd mogłam wiedzieć, że wśród wszystkich Marcinów z całej Polski trafię akurat na tego? Pomyślałam, że się zabawię, że sprawdzę, czy to na pewno on. Wiedziałam trochę o nim, więc zaczęłam poruszać odpowiednie tematy, nie zdradzając oczywiście, że znamy się z reala. Trafiłam w punkt. Facet odpłynął... – Aleksandra spojrzała na Urszulę. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Zmarszczone czoło, zaciśnięte usta, zmrużone oczy. – Wiem, nie patrz tak na mnie. Nie powinnam była się nim bawić. Nie miałam prawa wykorzystać tej wiedzy przeciwko niemu. Ale był taki uroczy... Nie mogłam się oprzeć. Zabrnęliśmy w końcu do miejsca, w którym zaproponował kolację. Zgodziłam się. Kiedy mnie zobaczył... Najpierw przez pół godziny walczył z sobą, ze sprzecznymi uczuciami. No bo niby byliśmy już blisko, ale przecież znaliśmy się zawodowo i żadnemu z nas nie przeszła przez myśl fascynacja erotyczna. Marcin próbował zachowywać dystans, jednocześnie udając, że jest wyluzowany. Stresował się. Widziałam to po jego dłoniach, nogach i twarzy. Drgały mu mięśnie na policzkach. I wiesz co, Ulka? Odetchnęłam z ulgą, bo pomyślałam, że to dobre zakończenie znajomości. W takiej atmosferze, w której oboje nie czujemy się zbyt komfortowo, łatwiej jest powiedzieć: „Jesteś fajny, ale nasza relacja nie ma sensu”. Chciałam poczekać z tym do deseru. Zanim jednak go podali, Marcin wypuścił z siebie parę. Zrzucił wszystkie maski i zaczął rozmawiać ze mną szczerze i otwarcie. Ale nie tak jak podczas terapii, kiedy to ja muszę zadawać pytania, a klient na nie odpowiada. Opowiadał tak jak ja tobie teraz. Zupełnie jakby stanął przede mną nagi i po prostu mi zaufał. Nie bał się, że go zranię, że sprawię mu przykrość. Ja nadal się bałam, ale jego szczerłość zadziałała jak afrodyzjak. Kiedy więc po kolacji zaproponował, żebyśmy poszli do niego... – Znowu zawiesiła głos i spojrzała prosto w oczy przyjaciółki. – Czulałam się przy nim jak zakochana nastolatka, może dlatego nie chciałam mu odmówić! Tak, poszliśmy do łóżka. Nie pytaj mnie, jak dobrze mi było. Po wszystkim wróciłam do domu i zdałam sobie sprawę z tego, że go wykorzystałam, że nie grałam fair. Że być może gdyby nie moja wiedza, to wcale by się mną tak mocno nie zainteresował. Powiedziałam mu, że tego nigdy nie powtórzymy, że to koniec naszej relacji. Nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Ulka, nie pamiętam, co mu pisałam w tych mailach.

Chciałam go odstraszyć. Obrzydzić mu siebie. Chciałam, żeby przestał o mnie myśleć. Ale go nie zabiłam. Przecież gdyby nie łączyła nas przedtem relacja zawodowa, z chęcią sprawdziłabym, czy do siebie pasujemy!

Aleksandra skończyła opowiadać. Zza drzwi dobiegały odgłosy rozmów z korytarza.

– Pójdę już. – Urszula wstała z fotela i bardziej stwierdziła, niż zapytała: – To pewnie kolejny klient.

– Pewnie tak. Mogę go odwołać.

Aleksandra nie miała dziś siły stawiać czoła problemom obcych ludzi. Spojrzała na Urszulę błagalnym wzrokiem. Potrzebowała jednego sygnału, który z czystym sumieniem pozwoli zrujnować jej plan dnia, zaszyć się w ciszy i wyrzucić z siebie wszystkie emocje.

– Nie, pracuj.

– Rozmawialiście z żyjącymi uczestnikami grupy?

– Tak. I z tą dziewczyną, i z masochistą od dzielenia się żoną.

– I jak?

– Uprzedziliśmy ich, żeby zrezygnowali z niebezpiecznych zachowań, żeby nie spotykali się z obcymi ludźmi. Oboje przyjęli to w miarę spokojnie.

Doszły już do drzwi. Zanim Urszula nacisnęła klamkę, zatrzymała się, spojrzała Aleksandrze prosto w oczy i powiedziała:

– Nie potępiam cię, ale... nie rozumiem. Dlaczego, jeśli sprawy z Marcinem zaszły tak daleko, jeśli tak bardzo ci pasował... Dlaczego powiedziałeś mi, że to koniec?

*

Anestezjolog Stefan Waligórski skończył właśnie duży zabieg. Dzięki niemu chirurdzy rozprawili się z kolejnym tętniakiem aorty. Znowu był Bogiem. Zmienił życie człowieka. Odjął mu konieczność funkcjonowania z obawą, że tętniak pęknie.

Właściwie podarował mu nowe życie.

W szpitalu, w którym pracował, odchodzono od stosowania pavulonu przy krótszych procedurach. Ze względu na dłuższy – w stosunku do innych leków z tej samej grupy – czas działania pogarszała się sterowalność. Łatwiej było podać pacjentowi lek o krótszym czasie działania i ewentualnie w razie konieczności dołożyć kolejną dawkę, niż stosować coś, co sprawi, że po zabiegu pacjent jeszcze bardzo długo będzie dochodził do siebie.

Jednak w wypadku tętniaków aorty i dużych zabiegów naczyniowych, pavulon sprawdzał się idealnie. Miał pozytywny wpływ na układ krążenia, co było ważne podczas operacji, w której możliwe było znaczne wahanie ciśnienia tętniczego i spory upust krwi.

Pacjent został przekazany do oddziału, na którym miał się wybudzać, a on wypełniał właśnie kartę znieczulenia. W rubryce, w której powinien podać liczbę ampułek

zużytych na pacjenta, wpisał pięć. Co prawda dziś wykorzystał tylko dwie, ale średnio na tętniaka schodziło od dwóch do pięciu ampulek.

Nie pamiętał nawet, od kiedy tak robił. Rozpisywał większą liczbę niż użyta i chował do kieszeni nadprogramowe ampułki. W sposób niezauważony od lat wynosił ze szpitala lek, który nie powinien wpaść w niepowołane ręce. Ale przecież jego dłonie nie były niepowołane.

Wiedział dokładnie, ile pavulonu należy podać, by wywołać określony efekt.

Przecież był Bogiem. Był Bogiem i uświadomił to sobie. Już dawno.

*

„Mamy nie mają wolnego” – przypomina mi się tekst z reklamy telewizyjnej i uśmiecham się do siebie. Biegnę obwieszona zakupami.

Lodówka nie uzupełni się sama. Podobnie jak nie zrobi się obiad, kolacja czy porządek w mieszkaniu. Nieważne, gdzie spędziłam ostatnią noc, dla Kuby wszystko ma wyglądać zupełnie normalnie. Nie może chodzić głodny tylko dlatego, że matka znowu wplątała się w coś niebezpiecznego.

Ładuję reklamówki do bagażnika, siadam za kierowcą i jadę pod szkołę. Kuba już na mnie czeka.

– Cześć!

– Cześć, kochanie. Jak minął weekend?

– Dobrze.

– Powiesz coś więcej?

– Zmęczony jestem. Trochę się nie wyspaliśmy.

– Dlaczego się nie wyspaliście?

– Bo graliśmy na konsoli. Mamo, czy Piotrek może dziś do mnie przyjechać i zostać na noc?

– Kubusiu, przecież nie widzieliśmy się przez weekend. Moglibyśmy spędzić razem czas...

– Maaamooo!

Spoglądam w lusterko. Mój rodzony syn siedzi z tyłu i wygląda jakoś dziwnie. Jest zbyt duży. Głowa wystaje mu ponad tylne oparcie. Nawet nie zauważyłam, kiedy tak urósł. Kiedy to wszystko zaczęło się zmieniać. Kiedy w układzie matka – syn nastąpiło przegrupowanie sił.

Kiedyś nie potrafił przemieścić się bez mojej pomocy. Miał mnie za guru, partnera do zabawy, przyjaciela i matkę. A potem jakoś tak wszedł w środowisko rówieśników i zaczął się zmieniać. Nie jest już tylko moim Kubusiem. Jest Kubą, którego zachowanie jest wypadkową tego, co otrzymuje ode mnie i od świata. Tego zewnętrznego, przed którym nie jestem w stanie go chronić.

– Dobra, niech ci będzie. Zgadzam się. Niech przyjdzie. Ale nie ma mowy o tym, żeby

został na noc. Musisz w końcu pobyc w domu. Sam ze mną. I wygodnie wyspać się w swoim łózku.

– Super! – odpowiada.

Łapię jego spojrzenie i błysk w oku. Wiem, co oznacza. Cieszy się, że wygrał bitwę i powoli się szykuje do następnego ataku. Mimo że jasno określiłam zasady, on jest przekonany, że uda się mu mnie namówić na zmianę zdania.

Boże, dlaczego tak trudno jest być matką?

*

Ustalenie, gdzie obecnie powinien przebywać Ireneusz Olendrowicz, nie stanowiło dla Urszuli większego problemu. Wyzwaniem było natomiast dotarcie na miejsce.

Z Szylinga na osiedle Rusa miała spory kawałek. Chmielewski powiedział jej, że powinna podjechać autobusem do ronda, a później przesiąść się w tramwaj.

Nie podjechała, tylko poszła pieszo, a później jechała tramwajem na raty. Mniej więcej co trzy przystanki wysiadała i odpoczywała. Zdążyła oswoić się ze zdiagnozowaną paniką. Starła się ukrywać przed otoczeniem swój lęk społeczny, obawy przed ścisaniem, tłumem, brakiem przestrzeni, dotykaniem przez obcych. Podczas jazdy samochodem starała się czytać, odwracać uwagę, koncentrując się na czymś zupełnie innym. W komunikacji miejskiej radziła sobie dużo gorzej. Musiała przecież kontrolować drogę i tych wszystkich obcych ludzi, którzy przypadkiem mogli się o nią otrzeć.

Dotarła na osiedle zmęczona i zniecierpliwiona. Dłuższą chwilę postąa przed klatką schodową, żeby uspokoić myśli i ustabilizować swój wewnętrzny wariograf.

Przypomniała sobie zdjęcia ciała Marysi. Zmasakrowane narządy płciowe i kwiaty rozsypane na prowizorycznym grobie.

– Ireneusz Olendrowicz? – spytała mężczyznę, który otworzył jej drzwi.

– Nie.

– Zastałam Olendrowicza?

– Jest, ale śpi.

– To niech go pan obudzi – zdecydowała i nie czekając na reakcję, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Na korytarzu leżało kilka par męskich, mocno zużytych butów. Zapach, który ją przywitał, był skuteczniejszy niż niejeden ochroniarz. Z trudem opanowała odruch wymiotny.

– Wietrzycie tu czasem?

– A po co?

– Gdzie jest? – Stanęła przed dwojgiem drzwi.

– Tu. – Mężczyzna wskazał na te prawe.

Weszła bez pukania i podeszła do okna. Na materacu spał Olendrowicz. Nie zmienił się

za bardzo w stosunku do zdjęć, które znalazła w policyjnej bazie danych. Jedynie się zestarzał.

– Pobudka! – Kopnęła w materac.

– Co jest?! – Przestraszony skoczył na równe nogi.

Miał okrągłą twarz, małe oczy i spojrzenie dziecka.

– Podkomisarz Urszula Zimińska. – Machnęła mu przed oczami policyjną blachą.

– Czego znowu? Nic nie zrobiłem!

– To się jeszcze okaże. Pamięta pan Marysię?

– O nie, tak nie będziemy rozmawiać! – krzyknął. Założył rękę na rękę i zaczął dłońmi ocierać o przedramiona, jakby chciał się sam uspokoić. – To, że siedziałem w więzieniu, nie znaczy, że... że... Jestem niewinny! Żyję normalnie. Nie robię niczego złego.

– Pytam o Marysię, pana kuzynkę. Bywał pan u nich na osiedlu Bajkowym.

– Marysię?

– Jej ciało znalezione zostało w zagłębieniu, przysypane ziemią i gałęziami akacji.

– Nie! – Pokręcił głową. – Nie pamiętam. To było dawno.

– Ooo, ale jednak pan coś pamięta.

– Niby, że co?

– Że to było dawno.

– No i co z tego?

– Podczas pogrzebu dziewczynki było panu jakoś specjalnie smutno?

– Czy ja wiem? Nie pamiętam.

– A kiedy widział pan ją po raz ostatni?

Zamyślił się. Przestał się ruszać, a Urszula mogłaby się założyć, że na ułamek sekundy w jego oczach zapaliły się iskierki radości. Obliznął usta i z trudem zapanował nad kącikami ust, które ewidentnie chciały się unieść. Zupełnie jakby jego pamięć wyemitowała właśnie bardzo przyjemny obraz.

Urszula nie potrzebował nic więcej, żeby nabrać przekonania, że znajduje się w odpowiednim miejscu.

– Nie pamiętam. A czemu pani jeszcze o to pyta? Przecież to już trzydzieści lat minęło! Odpowiedź właściwie jej nie zdziwiła. Widziała od początku rozmowy, że mężczyzna kręci. Niby nie pamiętał, niby wiedział tylko, że to było dawno, ale jednocześnie świetnie orientował się, kiedy sprawa się przedawni.

Czas działał na niekorzyść organów ścigania i rodziny zamordowanej. Gdyby rozmawiała z Olendrowiczem bezpośrednio po gwałcie i zabójstwie, miałyby szansę w prosty sposób zagrać tak, by jego wewnętrzny świat runął, a on sam przyznał się do winy.

Potrzebowała jednak czegoś więcej niż tylko przeczucia. Do zamknięcia sprawy nie wystarczyło wskazanie prokuratorowi osoby, która dopuściła się zbrodni sprzed lat.

Potrzebowała dowodów lub przyznania się do winy.

– Nie pamięta pan dziewczynki, ale wie, ile dokładnie czasu minęło?

– Nie wiem, strzelam.

– Gdzie pan był w dniu, w którym Marysia zaginęła?

– Nie pamiętam.

- Miał pan wtedy dziewiętnaście lat, gdzie pan mieszkał, co robił?
- Byłem pomocnikiem w warsztacie samochodowym. Mieszkaliśmy tutaj, to mieszkanie mojej matki.
- Miał pan prawo jazdy? Bo rozumiem, że nie było dla pana problemem wzięcie auta z warsztatu i pojechanie na Bajkowe o dowolnej porze dnia i nocy?

*

Szczepan nie posiadał się ze szczęścia. Daria wyglądała precudnie. Miała na sobie czarne pończochy, ciemną bluzkę z dużym dekoltem i czerwone... czerwone coś. Nie był pewien, czy to spódniczka, czy może sukienka, bo jakoś nie ogarniał tych babskich ciuchów i ciągle mylił te dwa wyrazy. Czerwone coś zaczynało się w pasie, a kończyło przed kolanami i odsłaniało jej nogi.

Nie były może szczególnie zgrabne, ale przynajmniej proste i szczupłe. Daria nie lubiła ich pokazywać, ale sam ją namówił, żeby tym razem je wyeksponowała. Nie szła przecież ani na biznesową kolację, ani do cioci na imieniny, ani tym bardziej na pogrzeb. Miała wyglądać seksownie.

To dlatego kupił jej pończochy. Nawet najbrzydsze uda, na których znajduje się koronka sygnalizująca zakończenie rajstop, zyskują na atrakcyjności. Zwłaszcza, że w głowie mężczyzny pojawia się wtedy myśl, że dostęp do stref, które najbardziej go interesują, jest wolny. Nieograniczony jakimiś rajstopami, które najpierw trzeba zdjąć... Być może nawet nieograniczony majtkami.

Może kobieta, która dyskretnie pokazuje, że ma na sobie pończochy, siedzi naprzeciwko mężczyzny bez majtek? I czuje, jak robi się mokra? Jak jest nieskrępowana? I jak bardzo przydałoby jej się coś, co ten mężczyzna ma...

Szczepan nie wiedział, czy dla byczka, z którym umówił swoją żonę, ważne są kobiece nogi czy może raczej piersi. Nie zdążył o tym z nim porozmawiać.

– Wyglądam... – Daria stała przed lustrem i zagryzała usta.

– Wyglądasz cudownie.

– Czy ja wiem? Jakoś tak wulgarnie. Cycki na wierzchu, nogi na wierzchu.

– Wyglądasz seksownie.

– Szczepan? Jesteś pewien, że tego chcesz?

– Kochanie, rozmawialiśmy już o tym. Nie masz się czym przejmować. Jesteś piękna. Spodobał mu się. Zabawisz się i wrócisz do mnie.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– Nie. Leć, bo się spóźnisz! – Klepnął ją w pośladek. Myśl, że za kilkanaście minut inny mężczyzna będzie robił to samo, sprawiła, że podniecił się jeszcze bardziej. – Baw się dobrze.

Daria posłała mu szybki uśmiech, włożyła płaszcz i wyszła.

Został sam z przeogromnym zadowoleniem. On też zamierzał się dobrze bawić.

I wiedział, że nie pozwoli, żeby ktokolwiek zepsuł mu tę zabawę. Nawet policjant, który rano kazał mu być ostrożnym, bo podobno grasuje morderca zabijający członków grup terapeutycznych.

Szczepan przecież był ostrożny. Siedział w domu i czekał na informacje od żony.

*

– Łączymy się z naszym redakcyjnym kolegą, Przemkiem Garczyńskim, który specjalnie dla państwa przygląda się pracy policji. Przemku, czy mnie słyszysz? Beata Waligórska siedziała przed telewizorem i jednym okiem śledziła to, co działo się na ekranie, a drugim czytała książkę. Koleżanka z pracy poleciła jej wzruszającą opowieść o poszukiwaniu miłości, ale przeczytała już ponad sto stron i jakoś nic nie łapało jej za serce.

Stefan był jeszcze w pracy, a Marek – o dziwo – wpadł do nich na obiad i nie spieszył się z powrotem do siebie.

– Tak, słyszę. Witaj, Amelio, witam państwa. Stoję przed budynkiem komendy. To tutaj toczą się sprawy dotyczące tajemniczych zgonów. Informowaliśmy państwa ostatnio o kilku samobójstwach, okazuje się jednak, że ofiar przybywa, a policyjne hipotezy się mnożą. Czy w Poznaniu grasuje seryjny morderca? Rzecznik policji zaprzecza takim doniesieniom. Mnie jednak udało się porozmawiać anonimowo z pracownikiem komendy. Na liście podejrzanych o dokonanie zabójstw czterech osób znajduje się nazwisko poznańskiej psycholog, która znana jest zarówno nam, mediom, jak i policji oraz państwu.

– Przemku, dziękujemy za rozmowę z anonimowym informatorem, którą będziecie mogli państwo obejrzeć zaraz po wiadomościach, a teraz zmieniamy temat. We wrocławskim zoo na świat przyszedł hipopotam.

Beata sięgnęła po pilot i wycelowała go w telewizor, ale siedzący obok niej syn zaprotestował:

– Nie wyłączaj!

– No proszę cię, nie oglądaj takiego badziewia. Telewizja zeszła na psy. Kiedyś podawali istotne informacje społeczne, polityczne, gospodarcze. Teraz tylko leją wodę. Po co nam informacja, że urodził się hipopotam? Nie on pierwszy, nie ostatni. Albo że jakaś psycholog jest podejrzana? Nazwisko by jej podali, żeby omijać jej gabinet, a nie mówią tak, żeby nic nie powiedzieć.

*

Ilona potrzebowała kilku minut, żeby zorientować się, czy Paweł jest sam w firmie.

Było już dobrze po osiemnastej. Maszerując korytarzem, widziała przez szyby, że kolejne gabinety są puste. Tylko w tym prezesa paliło się światło.

– Cześć. – Weszła do środka bez pukania.

Paweł stracił kupę pieniędzy na urządzenie idealnego gabinetu. Najdroższe meble, nowoczesna sztuka i ukryta bieżnia. To dlatego trudno było mu z niego wychodzić. Tłumaczył, że tylko w nim potrafi skupić się wystarczająco, by odfajkować kolejne zadania. Zostawał w pracy po godzinach, a Ilona chwilami nienawidziła tego miejsca. Mężowie jej koleżanek też dużo pracowali, ale wieczorami zazwyczaj byli w polu widzenia swoich żon. Siedzieli przy komputerach i stukali w klawisze. Paweł zamykał pracę w pracy, a do domu przychodził tylko po to, żeby odpocząć.

– Ilona? Co ty tu robisz? Jak się czujesz?

– Coraz lepiej, dziękuję. – Usiadła na stojącej w rogu kanapie, zmuszając go tym samym do podejścia.

– Mogłaś zadzwonić, jeśli czegoś potrzebujesz. Przyjechałbym.

– Naprawdę? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Naprawdę. – Nawet nie mrugnął. – Mówiłem ci przecież, że mimo wszystko możesz na mnie liczyć.

– Liczyć? – powtórzyła jak echo.

Usiadł naprzeciwko niej i najwyraźniej nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Ilona... Coś się stało?

– Nie, nic – odpowiedziała spokojnie. Tak to sobie właśnie zaplanowała.

Jego twarz się rozpromieniła, a całe ciało rozluźniło. Ułożył je wygodnie na fotelu.

– Układasz sobie życie z młodą dziunią z mojego salonu?

– Ilona?

– No co?

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać? Miłość się skończyła, każde ma prawo ułożyć sobie życie jak chce.

– Nadal jesteśmy małżeństwem.

– Zgadza się. Wydawało mi się, że nie musimy się spieszyć z rozwodem. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

Zagotowało się w niej. Biała ściana stanowiąca tło dla kanapy, niemalże żywo wyciętej z „Ojca Chrzestnego” zaczęła falować. Tak się Ilonie przynajmniej wydawało.

– Mój drogi przyjacielu... Rzniesz moją pracownicę w moim domu, wykorzystasz pełnomocnictwo do sprzedaży mojego salonu i franczyzy, żeby oddać je za grosze! Jak powinnam ci dziękować?! Może kupić ci nowy zegarek? Albo zrobić loda? Przecież nie posiadam się z wdzięczności! – W końcu po tylu dniach od wyjścia ze szpitala mogła być sobą.

Agresja zbierała w niej przez kilka dni, a udawanie nawróconej i świętej chwilami było trudne. Starła się, ale zaliczyła kilka niepowodzeń. Mąż nie przyjął jej do domu, nie stać go też było na szczere wyznanie, że już sobie kogoś znalazł. Policja nie uwierzyła w jej zeznania, a oszczędności topniały w zastraszającym tempie.

– Brawo, brawo, brawo! – Paweł klaskał i śmiał się histerycznie. – Naprawdę ci się to udało! Nabrałaś mnie. Brawo!

- Jutro wnosimy sprawę o rozwód. Możesz sobie zostawić dom i sprowadzać do niego te wszystkie dziunie. Musisz mnie spłacić. Masz trzy dni na pierwsze dwieście tysięcy. Majątek podzielimy równo, bo równo przyczyniliśmy się do jego zdobycia.
- Chyba oszalałaś. Chcesz mi stawiać warunki?
- Nie chcę. Muszę. A ty musisz je spełnić. W przeciwnym razie stracisz wszystko. Pracę, przyjaciół i kasę, a zaraz potem te wszystkie dziunie, które lecą tylko na twoje karty kredytowe. Dobrze wiesz, że moja wiedza na temat tego, jak doszedłeś do takiej pozycji zawodowej, jest warta dużo. Cholernie dużo. Nawet więcej niż połowa majątku.

*

Szczepan leżał na łóżku. Miał zamknięte oczy i słuchał audycji. Prezenter opowiadał o perypetiach grupy muzycznej, której nazwy nie usłyszał. Członkowie kłócili się i rozchodzili, potem schodzili, zagrali kilka wspólnych koncertów i znowu się kłócili. On prawie nie kłócił się z Darią. A już na pewno nie tak, żeby się rozchodzić. Owszem, przez dwa ostatnie lata, kiedy próbował oswoić żonę z myślą o tym, że mogłaby uprawiać seks z innym mężczyzną, miewali lepsze i gorsze chwile. Lepsze, kiedy dawał jej do zrozumienia, że zapomniał, do czego ją namawiał i że temat nie wróci. Gorsze – kiedy myśli stawały się tak natarczywe, że musiał z nimi coś zrobić. Nie chciał oglądać pornoli, nie chciał czytać wypowiedzi innych rogowców. Sam chciał zobaczyć, jak inny facet posuwa jego żonę. Zaobserwować, jak ona reaguje na niego, jak budzi się w niej pożądanie, chciał też...

Dźwięk SMS-a przerwał mu rozmyślenia. Sprawdził komórkę.

„Miałeś rację. Rzeczywiście nie jest taki zły. Zamówił butelkę wina i powiedział, że go podniecam” – odczytał i z podniecenia aż usiadł na łóżku.

Wiedział, że Daria spodoba się byczkowi. Co miało mu się nie podobać? Nowe ciało do rżnięcia, z dobrymi cyckami i w gruncie rzeczy wcale nie najgorszymi nogami? Zaczął się denerwować, bo w wiadomości od żony oprócz suchych informacji nie było nic, co zdradziłoby jej reakcję na obcego mężczyznę. Czy to, że nie jest rzeczywiście taki zły, oznaczało, że wpatrywała się w niego z zainteresowaniem i robiła mokra? Czy może nadal była tak spięta tą zaplanowaną zdradą, że nie mogła się wysłowić? A może nieważne, jaki by był, bo i tak stanowił dla niej atrakcyjny kąsek? Byli przecież małżeństwem od ponad piętnastu lat, zakładał więc, że od tylu też lat nie dotykała innych fiutów.

Lubił sposób, w jaki go łąpała, jak ustawiała palce i jak zaczynała nimi poruszać, ale nie było to tak erotycznie drażniące jak myśl, że dłoń Darii być może właśnie wciska się w spodnie obcego faceta.

Dwa lata przekonywał ją, że zdrada kontrolowana to nic złego czy zboczonego. Że jeśli ludzie się kochają i są dojrzały, to nie ma nic dziwnego w tym, że kobieta uprawia seks z innym za zgodą i wiedzą męża.

Oczywiście kładł wtedy nacisk na seks – w rozumieniu czynności zaspokajającej fizjologiczne potrzeby. Tłumaczył jej, że seks jest czymś innym niż romans. Kiedy kochankowie spotykają się w tajemnicy, kiedy rozmawiają ze sobą i flirtują, mogą się zapomnieć. Przez przypadek się zakochać się lub zatracić w atmosferze wspólnej tajemnicy.

Seks jest czynnością, która może się nudzić. Kiedy przez lata do dyspozycji masz tylko jedno nagie ciało, mogą towarzyszyć ci odczucia zbliżone do tych, kiedy przez piętnaście lat ktoś kazałby jeść ci na śniadania i kolacje tylko chleb z Nutellą. Lubisz ten smak, ale jednak tęsknisz za kanapką z szynką.

Poszukiwanie podnieć poza domem byłoby nie fair wobec partnera, zdradzanie go tym bardziej, ale otwarta i szczerza rozmowa... świadczy o miłości właśnie i dojrzałości. Bo to, że ktoś potrzebuje dodatkowych bodźców nie oznacza przecież, że przestał kochać partnera.

Daria zgodziła się w końcu zostać *hot wive* i Szczepan cieszył się z tego powodu. To był ogromny sukces. Co prawda marzył o tym, żeby znaleźć się w pokoju, w którym byczek, czyli kochanek, zaspokaja jego żonę, ale ustalili z Darią, że za pierwszym razem jego obecność tak bardzo by ją krępowała, że na pewno nie potrafiłaby wyciągnąć z tej zabawy żadnej radości.

Zgodził się zostać w domu i oczekiwać na informacje od niej, pod warunkiem że przyniesie mu niespodziankę.

„Zabiera mnie do hotelu, bo chce mnie przelecieć z każdej strony – odczytał kolejny SMS. – Odezwę się po pierwszym bzykanku i powiem ci, czy ma większego od ciebie. Całuję”.

Rozkręcała się i była skuteczna jak zawsze. Nie tylko zakomunikowała mu, że dobrze się bawi, ale także, mimo że była daleko od niego, sprawiła, że mu stanął.

*

– Ilona Drzewiecka, słucham?

– Dzień dobry, Janusz Głowacki, nieruchomości Łódź. Spotkaliśmy się na prezentacji mieszkania. Chciałem zapytać, czy podjęła już pani decyzję.

– Tak. Kupuję, proszę przygotować umowę przedwstępną. Za trzy, cztery dni powinnam mieć pieniądze na zadatek. Rozumie pan, muszę pójść do banku, rozwiązać lokaty, takie tam bankowe formalności.

– Jest tylko jeden problem, właściciele zmienili plany, to znaczy muszą przyspieszyć wyjazd. Jeśli byłaby pani zainteresowana, umowę należy podpisać jutro.

– Świetnie. W takim razie widzimy się jutro. Dziewięta może być?

Agent potwierdził, a Ilona się rozłączyła.

Po wyjściu z firmy Pawła czuła się jak nowo narodzona. Odzyskała wigor, poczucie sprawczości i siły witalne. Podjęła decyzję o przeprowadzce do Łodzi i była przekonana, że jej życie ułoży się na nowo. Dokładnie tak jak tego chce.

Odnalazła w komórce numer Weroniki – do której wysłała wiadomość z informacją, że zdecydowała się na mieszkanie – oraz numer prawnika, którego poleciła jej dziewczyna, u której mieszkała.

Potrzebowała kogoś taniego, kto zgodnie z prawem zajmie się realizacją planu B. A plan był taki, że musi sprzedać mieszkanie po rodzicach, by zapewnić sobie gotówkę. Mina Pawła ewidentnie świadczyła o tym, że nie spłaci jej połowy domu w określonych przez nią terminach.

*

Było już dobrze po dwudziestej trzeciej. Daria wysłała mu ostatni SMS dwie godziny temu.

„Ma wielkiego fiuta, gorący i sprawny język oraz zajebistą kondycję”.

Od stu dwudziestu minut zerkał na ekran komórki i za każdym razem czuł to samo bolesne ukłucie w sercu.

Więc stało się. Obcy facet rznął jego kobietę i oboje mieli z tego powodu niesamowitą satysfakcję. Szczepan mógł tylko się domyślać, co robili. Zanim podsunął byczkowi swoją *hot wive*, dokładnie omówił z nim scenariusz spotkania.

Byczek i żonka mieli wypić kawę na mieście, a potem pojechać do hotelu, w którym Szczepan zarezerwował im pokój z jacuzzi. Mieli mało rozmawiać i dużo się pieprzyć. Szczepanowi zależało na tym, żeby podczas następnego razu znaleźć się w tym samym pokoju co oni. Nie, nie zamierzał ich kontrolować. Chciał ich widzieć. Po prostu usiąść gdzieś w kącie i obserwować, jak reagują na siebie nawzajem. Czytał na forum, że żony mogą zupełnie inaczej reagować na dotyk obcego faceta.

Dziś ich nie widział, ale nie potrzebował wiele, żeby ich sobie wyobrazić.

Daria podskakująca na kolanach byczka i wbijająca swoje drobne palce w jego bicepsy. I on, podjarany byczek poszukujący pozycji, w której weźmie sobie wystarczająco dużo rozkoszy.

Szczepan wielokrotnie wyobrażał sobie tę sytuację i wiedział, co będzie dalej. Byczek zdejmie z siebie Darię, postawi ją na podłodze, odwróci do siebie tyłem i wejdzie w nią jednym zdecydowanym ruchem.

Dzięki takiemu ustawieniu Szczepan będzie mógł jednocześnie obserwować wykrzywiająca się od rozkoszy twarz byczka i bezczelnie zmysłowe spojrzenie swojej żony.

Kiedy byczek skończy, wyjdzie z niej i da jej swojego wielkiego fiuta do wylizania, a wtedy Szczepan dołączy do Darii. Ich języki się spotkają, smak obcej spermy zmieszanej ze znanym mu smakiem żony wynagrodzi upokorzenie, które przeżywał, siedząc samotnie w kącie. Na koniec Daria użyje swoich cudownych dłoni, by ich obu doprowadzić do kolejnej ekstazy z finałem na jej poczerwieniałej od podniecenia twarzy.

Marzył o tym tak mocno, że wypuścił komórkę z dłoni, rozpiął spodnie i zaczął się masturbować. Wyobraźnia przyszła mu z pomocą i niemalże po chwili zobaczył przed swoim fiutem twarz rozanielonej Darii. Obie jej dłonie się poruszały. Onieśmielony spojrzał na tę drugą i znajdującego się w jej objęciu penisa. Chciał porównać jego długość i objętość ze swoim, ale właśnie poczuł, że nadchodzi zalewająca go fala rozkoszy.

Co dziwne, tak się wkręcił w wizję, że niemalże czuł obecność tego drugiego mężczyzny. Jakby stali obok siebie i za chwilę mieli wytrysnąć na twarz Darii. Poczul ukłucie w ramię. Otworzył oczy, ale niewiele widział. Sperma właśnie wydostawała się na zewnątrz, chciał przeżyć ten orgazm w spokoju. Dopiero po chwili odwrócił głowę w bok i zobaczył, że to nie była wyobraźnia.

Naprawdę nie był sam.

VIII

Wtorek

– Powiesz mi, dlaczego tu jesteśmy?

Kuba siedział na parapecie naprzeciwko drzwi gabinetu dyrektora i machał nogami. Nie wyglądał na skorego do rozmowy. Miał zaciśnięte usta, zmarszczone czoło i podwójnie zamkniętą pozycję ciała. Przypominał swojego ojca Gabriela, który pytany o sprawy, które chciał przemilczeć po fazie głupich uśmiechów i udawania, że nie wie, o co chodzi, przyjmował dokładnie taką samą pozycję.

Aleksandra stała naprzeciwko syna i zastanawiała się, co takiego mogło się stać, że dopiero dziś rano wychowawczyni zadzwoniła do niej i poprosiła o niezwłoczne spotkanie w gabinecie dyrektora.

– Kuba, bardzo cię proszę. Powiedz, o co chodzi. Jeśli będę wiedziała, będę mogła jakoś wcześniej zareagować. Może zdołam jakoś cię wytłumaczyć?

Spojrzał na nią w taki sposób, jakby chciał się upewnić, że nie wpuszcza go w maliny.

– Nie wiem, o co chodzi. – Wzruszył obojętnie ramionami. – Pewnie o to, że uderzyłem takiego jednego chłopaka.

– W co go uderzyłeś?

– W nos. I poleciała mu krew...

– Boże, Kubuś, dlaczego?

– Bo, bo, bo... Bo powiedział, że jestem sierotą i pójdę do domu dziecka, bo tatę zamordowali, a ty za chwilę pójdiesz siedzieć.

– Ja?

– Tak, powiedział, że już mówili w telewizji, że zabijasz ludzi.

– Boże, Kuba...

Chciała go przytulić, ale się odsunął.

Potrzebowała jego bliskości, pozornego poczucia, że go chroni, chociaż przez chwilę.

Dla uspokojenia wyrzutów sumienia. Uzmysłowanie sobie, że nie udało jej się utrzymać problemów z dala od dzieci, było bolesne.

– Nie powinieneś go bić. – To było jedyne, co jej przyszło do głowy.

– Nie powinien mówić o tobie takich rzeczy!

Kuba nie spytał, czy kogoś zabiła, czy kolega mówił prawdę. Jakby się bał usłyszeć odpowiedzi. Nadal miał zaciśnięte usta. Był gotowy do walki.

Aleksandra poczuła się, jakby była od niego mniej dojrzała. Po raz kolejny dała się zaskoczyć życiu. Po raz kolejny nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić.

Żeby pohamować łzy napływające do oczu, sięgnęła do torebki. Rano odebrała list polecony. Przesądowe wezwanie do opuszczenia mieszkania. Nadawcą była kancelaria prawnicza działająca na zlecenie Ilony Drzewieckiej. Ilona, wbrew wcześniejszym deklaracjom, nie odpuszczała, zmieniła jedynie prawnika. Aleksandra nie miała innego wyjścia. Musiała przygotować się do ostatecznego starcia.

*

Urszula nie mogła się skupić. Pracujący w tym samym pokoju kryminalni głośno dyskutowali o hipotezach. Przez chwilę przysłuchiwała się ich argumentom oraz sposobowi dyskusji. Bynajmniej nie po to, by się wtrącić, ale raczej by zweryfikować swoje decyzje.

Jednego z nich wpisała na listę, którą przekazała przełożonemu. Podobał się jej jego umiłowanie szczegółu i uważała, że wraz z Tomaszem mogliby stworzyć idealny i skuteczny zespół.

– Chyba cię popierdoliło. Baba o szesnastej była w zupełnie innym miejscu. Nie zdążyłaby się przemieścić, okraść przyjaciółki i wrócić. Nie w kwadrans!

– Panowie! – warknęła, kiedy straciła cierpliwość. – Inni też tu pracują.

Byli tak skupieni na udowodnianiu swoich racji, że nawet na nią nie spojrzeli. Wyjęła więc z torebki słuchawki, podłączyła je do telefonu i uruchomiła odtwarzacz.

Na biurku leżały akta Marysi W., a w komputerze miała otwarty plik z profilem psychologicznym nieznanego sprawcy zabójstwa. Chciała go dzisiaj skończyć i przekazać przełożonemu, by uzgodnić z nim dalsze postępowanie.

Ślady psychologiczne pozostawione na miejscu zdarzenia przez sprawcę były podstawą nie tylko do rozpoznania cech indywidualnych sprawcy, ale także kontekstu zbrodni.

Pozbawił życia dziewięcioletnią dziewczynkę. Zaatakował w czasie i w pobliżu miejsca, gdzie przebywali inni dorośli. Rozebrał ofiarę i zgwałcił, powodując rozerwanie krocza dziewczynki. Udusił ofiarę ręką, następnie umieścił ją w zagłębieniu, przysypał ziemią i przykrył kopczyk świeżo ułamanymi gałęziami. Ubrania dziewczynki umieścił w zagłębieniu razem z jej ciałem, a część twarzy pozostawił nieprzysypaną.

Takie ślady dużo mówiły o sprawcy, jego stosunku do ofiary, jego mentalności i sytuacji, w jakiej działał. Urszula nie miała wątpliwości. Motywem wiodącym zdarzenia był motyw seksualny na tle psychopatologicznym. Ślady psychologiczne wskazywały na to, że w czasie zdarzenia nastąpiło u sprawcy zakłócenie czynności

psychicznych, przejawiające się działaniami impulsywnymi.

Trudno było nie zauważyć nadmiaru emocji sprawcy. Przypadkowy zabójca – obojętny czy zdystansowany – porzuciłby zwłoki, nie tracąc czasu na ich symboliczne pochowanie. Kwiaty na prowizorycznym grobie świadczyć mogły albo o bardzo dużych pokładach religijności, albo o silnym emocjonalnym związku z ofiarą.

Ireneusz Olendrowicz często się bawił z młodszą kuzynką. Lubili się, rozmawiali, spotykali. Idealnie pasował do ustaleń płynących z profilu.

Sprawca przed utratą kontroli nad własnym zachowaniem czuł się zestresowany i pobudzony. Urszula podejrzewała, że napięcie seksualne, które odczuwał, narastało w nim od dłuższego czasu i tego dnia po prostu musiało znaleźć ujście.

Wpisała w profilu kolejny punkt w kategorii: „Hipotezy i wnioski”, a następnie go pogrubiała. Muzyka sączyła się do jej uszu podczas wypełniania kolejnych wersów.

Sprawcą był mężczyzna w wieku od piętnastu do czterdziestu lat, który ukończył co najwyżej szkołę podstawową, pracował fizycznie, być może nadużywał alkoholu, mógł doświadczać przemocy ze strony ojca, mógł być dzieckiem zaniedbywanym. Sprawiał trudności w szkole, wdawał się w bójki, miał problemy z utrzymaniem się w dojrzałych rolach społecznych. Nie był obcy dla rodziny ofiary.

Jego intelekt działał sprawnie, poza momentami emocjonalnych wybuchów, kiedy procesy poznawcze się wyłączały. Był osobą neurotyczną i niedojrzałą. Doświadczał silnego lęku w kontaktach społecznych. Z jednej strony chciał nawiązywać bliskie relacje z ludźmi, z drugiej bał się odrzucenia i negatywnego odbioru. Przez to mógł zachowywać się wrogo i mieć słabe relacje, zwłaszcza z kobietami. Prawdopodobnie nie miał wtedy partnerki, w momencie zabójstwa mieszkał z rodzicami lub jego małżeństwo go nie satysfakcjonowało, czuł się nieszanowany przez żonę, zdominowany. Przed zdarzeniem doświadczył jakiegoś upokorzenia – kłótni, odrzucenia, nieudanego współżycia lub ośmieszenia.

Muzyka ucichła, sprawiając, że na pierwszy plan ponownie wysunęły się odgłosy dyskusji kryminalnych.

Urszula spojrzała na telefon, poszukała następnej *playlisty*, ponownie uruchomiła odtwarzacz i wróciła do swojego pliku. Uznała, że zanim rozwinie ostatni punkt profilu, zawierający wskazówki dla organów ścigania, w punkcie z wnioskami dopisze jeszcze jeden.

– Sprawca zdolny do przeżywania wyrzutów sumienia – wypowiedziała go na głos, bo to właśnie na tym zamierzała się oprzeć w przyszłości.

*

– Zamieszkać ze mną.

Deklaracja Krystiana zabrzmiała tak nierealnie, że nie wiem, czy mam się zakrzusić kawą, udać, że tego nie słyszałam, czy poprosić o powtórzenie. Może w kawiarnianym gwarze nie usłyszałam tego, co chciał mi powiedzieć? Może dźwięk ekspresu mielącego

ziarna kawy zagłuszył część jego wypowiedzi? Może powiedział, że mi współczuje, ale nie mogę z nim zamieszkać?

– Słucham?

– Zamieszkaj ze mną. Znaczący zamieszkajcie. Ty i dzieci.

– Krystian, dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony, ale...

Proponując mu kawę i opowiadając o wezwaniu z kancelarii prawniczej, nie myślałam, że może tak zareagować. Potrzebowałam bliskości drugiego człowieka, a grono moich bliskich jest... Dość mocno ograniczone.

– Przestań dziękować. Nie proponuję, tylko mówię poważnie. Zamieszkajcie u mnie.

– Ale jak?!

– Zwyczajnie. Pakujesz walizki, przewozisz wszystkie rzeczy do mnie, rozpakowujesz...

Wpatruje się we mnie, a ja próbuję przeanalizować jego spojrzenie. Rozłożyć na czynniki pierwsze wszystkie mrugnięcia i drgnięcia powieki. Mówi poważnie.

Rozumiem. Ale dlaczego? Cieszy się, że może wykorzystać ten moment dla siebie? Czy wręcz przeciwnie? Nie jest mu to na rękę, ale proponuje, bo jest dobrym człowiekiem?

– Przecież wiesz, że nie o to pytam.

– A o co?

– Jak mamy zamieszkać razem? Przecież ostatnio nam się nie układa. Nie zmienimy tego, zamieszkując razem.

– Skąd wiesz? Może się zmienimy?

– Nie zapominaj, że jestem psychologiem. Wiem, że problemy same nie znikają. Mogą jedynie narastać.

– No właśnie, jesteś psychologiem. – Uśmiecha się delikatnie. – Pomyśl. Może powinniśmy podejść do tego dojrzałe? Powinniśmy się postarać. Nie uważasz, że ostatnio za mało się staramy? Miłość sama nie zakwitnie. Jesteśmy za starzy na to, żeby czekać, aż pojawią się motyle w brzuchu czy grom z jasnego nieba. Za starzy, by myśleć, że miłość to niespodziewanie przychodzące zjawisko atmosferyczne, któremu nie możesz się oprzeć. Dla którego jesteś w stanie rzucić wszystko. Tak myślą tylko nastolatki. Jesteśmy dojrzałymi, prawda?

– Prawda.

– Więc się nie oszukujmy. Miłość nie przezwycięży naszych problemów. Nie przezwycięży żadnych problemów. To człowiek musi sam sobie z nimi poradzić. Związek to kompromis, rozmowa, tolerancja, nie żadne motyle w brzuchu.

– Skąd ty tyle wiesz o związkach? – Śmieję się, bo dawno nie widziałam Krystiana takiego zdeterminowanego, skupionego i przekonanego o własnej racji. Lubię go takiego. – Przecież nie masz dużego doświadczenia! – prowokuję.

Nigdy nie miał żony, nie mieszkał z dziewczyną. Po skończeniu studiów przestał wchodzić w interakcje z kobietami, a skupił się na pracy.

– Przeczytałem kilka podręczników. Teoretycznie jestem bardzo dobrze przygotowany.

– Tak?

Rozmawiamy o wspólnej przyszłości, ale oboje chyba czujemy przyjemny spokój i luz. Zaczepia mnie wzrokiem w sposób, który zawsze kończy się tak samo.

– Skoro mowa o tych... No, zjawiskach atmosferycznych. – Ścisza głos, przewraca oczami i przelyka głośno ślinę. – Czuję, że właśnie coś nadeszło. Masz godzinkę? Pojechalibyśmy do mnie? Mam bardzo wygodne łóżko. Idealne schronienie przed huraganem!

– Nie, niestety nie... – Urywam, chcąc podkreślić jeszcze to przyjemne uczucie, kiedy jeszcze nie wiadomo, czy uda się spełnić to, o czym właśnie myślę. – Ale wiesz co? Kolejnego klienta mam za pół godziny. Jeśli wyjdziemy stąd w ciągu dwóch minut, za pięć będziemy w moim gabinecie, a za piętnaście powiesz, że jednak twoje łóżko byłoby wygodniejsze niż mój fotel...

*

– Jestem już, przepraszam. Miałam problem z zaparkowaniem.

Śnieg zaczął padać już w nocy. Nad ranem ulice przykryte były białym puchem, a drogowcy jak zwykle zaspali. Urszula nie musiała się jednak martwić śniegiem, na ulicę Staszica, na której miała spotkać się z Aleksandrą, dotarła pieszo.

Z komendy miała do celu tylko kilka minut szybkiego marszu. Co prawda cel spotkania był trochę niejasny. Aleksandra zadzwoniła do niej, by przekazać, że przeprowadziła wczoraj miłą rozmowę z żoną swojego klienta i dopiero dziś skojarzyła, że to była żona jednego z członków TEJ grupy terapeutycznej.

– Nie szkodzi, czekam i rozglądam się po okolicy. To jest ta ulica, o której rapował Peja? „Rozjebane okna, ulica pełna śmieci. Takie jest podwórko dla jeżyckich dzieci” – zadeklamowała.

– Nie mów, że słuchasz rapu?

– Czasami.

– Nie no! – Aleksandra rozejrzała się dookoła. – Słuchaj, rozmawialiście ze Szczepanem Czajkowskim? Uprzedziliście go o niebezpieczeństwie?

– Tak.

– To dobrze, bo jak dziś do mnie dotarło, że jego żona mi dziękowała za wskazanie, jak się mają dogadać, to zamarłam. Czajkowski preferował *cuckold*. Namawiał żonę na stosunki z innymi facetami, oczywiście na jego oczach. Jeśli ona mi dziękowała, to znaczy, że się dogadali. Właśnie teraz? Kiedy grasuje zabójca? Podejrzane, co? Urszula zdawała sobie sprawę z tego, że w takich sprawach nie istnieją zbiegi okoliczności. Aleksandra uparła się, że pojedzie sprawdzić, czy ze Szczepanem wszystko w porządku.

– Podejrzane, dlatego tu jestem. Nie mogłam pozwolić ci przyjść tu samej. Numer mieszkania znasz?

– Tak, ósemka.

Urszula wdusiła odpowiedni przycisk przy domofonie. Cisza. Spróbowała jeszcze raz.

– Ty, to chyba ta żona! – Syk Aleksandry sprawił, że obejrzała się za siebie.

Do klatki zbliżała się kobieta. Miała bardzo krótką spódnicę, podarte rajstopy,

rozmazany makijaż i potargane włosy. Wyglądała jak wracająca z nocnej zmiany dziwka.

– Pani Czajkowska? – spytała, kiedy kobieta podeszła do drzwi.

– Nie pani interes – burknęła.

– Pani Dario, to ja. – Aleksandra rozpoznała głos kobiety. Z twarzą miała problem, bo nigdy nie widziała jej tak ufryzowanej i umalowanej. Była jednak pewna, że to z nią rozmawiała. – A to moja znajoma, mamy do pani kilka pytań.

Kobieta spojrzała na nią, zmarszczyła czoło i zaczęła krzyczeć:

– To wszystko pani wina! To pani namawiała mnie, żebym go wysłuchała, żebym pomyślała, jak on się czuje, żebym spróbowała! To pani wina!

– Spróbowała pani? Coś się stało? – Pytania same cisnęły się na usta.

– A co panią to obchodzi? Nie przypominam sobie, żebyśmy umawiały się na spotkanie!

Czajkowska otworzyła drzwi i weszła na klatkę schodową. Chciała je zamknąć

Aleksandrze przed nosem, ale ta się nie dała. Popchnęła je i stanęła obok. Za nią weszła Urszula.

– Widzę, że jest pani wzburzona, ale pójdziemy z panią. Nie zajmiemy dużo czasu, ale musimy porozmawiać z pani mężem.

– Proszę bardzo, rozmawiajcie sobie z nim ile chcecie, ja już nie zamierzam – powiedziała Czajkowska i ruszyła w górę.

Szły za nią w ciszy.

Kiedy dotarły na drugie piętro, Czajkowska nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte.

Wyjęła z torebki klucze, po czym weszła do mieszkania, wrzeszcząc:

– Szczepan? Szczepan? Szczepan, do kurwy nędzy!

*

Szczepan Czajkowski leżał na środku niepościelonego łóżka. W jednej ręce trzymał komórkę, a w drugiej, wciśniętej w spodnie, swoje zwiotczone przyrodzenie. Lampa podłogowa stojąca przy łóżku wciąż się świeciła, chociaż dochodziło południe.

– Piękna śmierć – zażartował Tomasz.

Zanim funkcjonariusz dojechał na miejsce, Urszula zawiadomiła też techników i pomogła Aleksandrze zaprowadzić mdlejącą Darię Czajkowską do sąsiedniego pokoju.

– Przestań, jego żona jest obok! – upomniwała partnera.

– I co z tego? Jest z nią ta twoja psycholożka, to po pierwsze. A po drugie, to powinna być zadowolona, że mąż nie umarł w męczarniach, tylko podczas doznawania przyjemności. Oglądał na komórce gorące dupy i robił sobie dobrze, w czym problem?

– W niczym – skapitulowała. – Zostawmy ten bajzel technikom i porozmawiajmy z żoną.

Przeszli do pokoju obok.

Daria siedziała przy otwartym oknie, co w Urszuli wywołało złe skojarzenia. Jeszcze

tego brakowało, żeby żona – zapewne jedyna osoba mogąca przypuszczać, co tu się wydarzyło – wyskoczyła przez okno.

– Otworzyłam, bo było jej słabo – wytłumaczyła Aleksandra.

– Ale już czuje się pani lepiej, prawda?

Kobieta kiwnęła głową. Po jej twarzy spływały łzy.

– Pani Aleksandro... – Tomasz nadal stał przy drzwiach. – Jestem zmuszony poprosić, żeby poczekała pani na klatce schodowej. Musimy porozmawiać z wdową na osobności. Aleksandra bez słowa wstała i opuściła pokój.

Tomasz upewnił się, że wyszła na klatkę, a nie do sypialni, w której leżały zwłoki i zamknął za nią drzwi.

– Dobrze, teraz możemy rozmawiać. Czy drzwi były zamknięte na klucz?

– Tak.

– Kiedy widziała się pani z mężem po raz ostatni?

– Wczoraj. Wczoraj wieczorem – uściśliła Czajkowska.

– Dlaczego nie spędziliście nocy wspólnie?

– Szczepan był moim mężem od piętnastu lat, nie czuliśmy przymusu spędzania ze sobą każdej wolnej chwili.

– I co pani robiła w tym czasie?

– Byłam w kawiarni, a potem w kilku klubach. Tańczyłam.

– Kto może to potwierdzić?

– Obawiam się, że nikt. To znaczy... Wszyscy, którzy mnie zauważyli, ale nikt konkretny. Byłam sama, bez znajomych.

– Jakie odwiedziła pani miejsca?

– Nie pamiętam. Jak jakieś mi się podobało, to do niego wchodziłam.

– A jakie plany na ten wieczór miał mąż?

– Takie jak zwykle. Pewnie telewizja i sen.

– Nie pytała pani?

– Myśli pan, że mąż po piętnastu latach może mnie jeszcze czymś zaskoczyć? – Czajkowska zaczęła płakać.

– Podobno pani mąż miał jakieś specyficzne upodobania seksualne? – spytała Urszula. – Czy myśli pani, że mógł z kimś się umówić i spotkać podczas pani nieobecności?

– Nie, to wykluczone. Mąż... On gardził zdradą. Na pewno nie umówiłby się z żadną inną kobietą.

– Skąd ta pewność? – drążył Tomasz. – Przed chwilą mówiła pani, że nie znała jego planów.

– Znałam je na pamięć. Jak miał gorszy dzień i chciał sobie poprawić humor, to oglądał zboczony film. Nie lubił tego robić, kiedy kręciłam się po domu, bo zdarzały się sytuacje, kiedy wchodziłam mu do pokoju w... w środku akcji. Mieliśmy różne podejście do takiej rozrywki. Mnie to denerwowało, jego relaksowało. Podejrzewam, że wykorzystał moją nieobecność na... No wie pan.

Czajkowska wyglądała na szczerze zawstydzoną. Tomasz zaczął dopytywać ją o sprzęt, na którym mąż najczęściej oglądał filmy, a Urszula wyszła z pokoju. Podejrzewała, że nie są w stanie dotrzeć do kobiety standardowymi pytaniami. O szczegóły wczorajszego

wieczoru powinna wypytywać osoba zaufana. A przynajmniej taka, której ufał Szczepan Czajkowski – Aleksandra Wilk.

Musiała też sprawdzić, czy przy ofierze znaleziono nieśmiertelnik z kolejnym fragmentem oka Horusa. Jeśli tak, to oznaczało to, że Szczepan jest przedostatnią ofiarą. Jeśli nie zdążą ustalić, kto jest mordercą i zapobiec kolejnemu zabójstwu, może się okazać, że sprawca zapadnie się pod ziemię, a ich wysiłek pójdzie na marne.

*

Śnieg zaczął sypać jeszcze w Łodzi, przez co droga do Poznania zajęła Ilonie więcej czasu, niż planowała. Zmęczona zaparkowała samochód za blokiem i nie zdążyła nawet dojść do klatki, gdy zaczepił ją Paweł:

– Gdzie się podziewałaś?

Był opatulony szalem, miał czerwoną twarz i pełen pretensji ton.

– A co? Martwiłeś się?

– Byłem u Dagmary. Mówiła, że wyjechałaś z samego rana. Czekam tu na ciebie.

– Miałam kilka spraw do załatwienia. – Nie zamierzała się zatrzymywać. Zwolniła jednak, by mógł dotrzymać jej kroku. – Przywiozłeś pieniądze?

Nie odpowiedział jej od razu, bo z naprzeciwka szedł mężczyzna z psem. Odczekał, aż ich minie i dopiero wtedy złapał ją za rękę.

– Zapomnij. Nie dostaniesz ode mnie kasy. Nie mam wolnych środków – wysyczał.

– To lepiej miej! – Próbowała uwolnić się z uścisku. – Bo za chwilę nie będziesz miał nawet dobrego imienia.

– Ilona, przestań. Wiesz, że ze mną nie wygrasz! Nie próbuj mnie szantażować. Nie boję się ciebie.

– Nie? To może czas, żebyś zaczął? Pilnie potrzebuję pieniędzy. Podpisałam właśnie przedwstępną umowę kupna mieszkania w Łodzi. Paweł, tym razem nie odpuszczę.

Chcę zacząć życie w nowym miejscu i gwarantuję ci, że pożałujesz, jeśli spróbujesz mi stanąć na drodze.

– Twojej drodze? Drodze do kolejnego świętego Graala? Tym razem? Śmieszna jesteś!

– Puścił jej rękę, robiąc taką minę, jakby go obrzydzała. – Mam tego dość. Ty nigdy nie odpuszczasz. Nawet gdy koszty przewyższają zyski. Twój poprzedni cel zniszczył nasze małżeństwo.

– To ty je zniszczyłeś.

– Ja? Nie zauważałaś mnie! Ciągle tylko myślałaś o tym, jak odebrać dzieci tej suce.

I co? Zaniedbałaś mnie i to, co nas łączyło, a dzieci i tak nie masz.

– Nie powinno cię to już obchodzić.

– Jakaś głupia chęć posiadania bachorów była dla ciebie ważniejsza niż wszystko, co razem zbudowaliśmy. I nawet to upozorowanie wypadku... Byłaś w stanie zaryzykować własne życie, żeby ją zrobić!

– O nie, mój drogi! Za zrobienie byłeś odpowiedzialny ty! I jak zwykle dałeś ciała! Nie umawialiśmy się na to, że tak mocno ucierpię! Poza tym wykpiła się, a obiecywałeś, że ktoś ją zobaczy przy salonie, ktoś zezna...

– Zbyt dużo czasu minęło! Nie uwzględniliśmy tego, że stracisz przytomność na tak długo!

– Oczywiście, ty zawsze znajdziesz sobie jakąś wymówkę. Zejdź mi z drogi. Nie dzwoń do mnie, nie nachodź mnie. Po prostu prześlij pieniądze. Numer konta znasz.

*

Daria Czajkowska została przewieziona do gabinetu Aleksandry Wilk. Urszuli zależało, żeby zapewnić jej komfort i wyeliminować jak najwięcej stresujących bodźców, dlatego zrezygnowała z obecności Tomasza i przesłuchania na komendzie. Był, jaki był i w gruncie rzeczy zadawał interesujące pytania, ale to, o czym miała opowiedzieć Czajkowska wchodziło w sferę najmocniej chronionej intymności, a natrętne pytania mężczyzny mogły znacznie opóźnić albo całkowicie uniemożliwić dotarcie do sedna problemu.

– Pani Dario, proszę się nie obawiać. Szczegóły państwa relacji nie będą przez nas oceniane. – Aleksandra siedząca naprzeciwko Czajkowskiej wskazała na Urszulę, która przysiadła z boku. – Potrzebne są jedynie po to, by zebrać jak najwięcej informacji o zabójcy. Wierzę, że zależy pani na tym, żeby poniósł karę.

– No tak, zależy, ale jak ja mam o tym opowiadać? – Zawstydzona Czajkowska rozłożyła ręce.

– Tak jak zawsze u mnie. Spokojnie i po kolei. Nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie realizują swoje potrzeby seksualne. Różnimy się nie tylko fizycznie, ale również pod kątem preferencji seksualnych. *Cuckold* to nie choroba ani zboczenie. To sposób życia, połączenia miłości i seksu. Dobrze się domyślam, że pani nieobecność w mieszkaniu podczas ostatniej nocy ma związek ze zdradą kontrolowaną?

Czajkowska westchnęła tak głęboko i głośno, jakby coś zalegało w jej wnętrzu. Coś, czego chciałyby się pozbyć, a jednocześnie wstydziła się w ogóle tego dotknąć.

– To od początku był poroniony pomysł. Szczepanowi tak bardzo na tym zależało, a ja czułam, że to jest złe. Poszliśmy kiedyś do lokalu. Takiego z muzyką, z tańcami. Usiadł przy barze i miał mnie na oku. Kazał mi być miłą dla zagadujących mnie facetów. Długo nie musiałam czekać, przysiadł się do mnie jakiś podchmielony gość. Postawił mi drinka, a potem zabrał na parkiet. Tańczyliśmy przez chwilę, ale kiedy jego dłonie zaczęły błądzić po moim ciele, poczułam, że to chore. Nie czułam żadnego podniecenia. Wręcz przeciwnie. – Czajkowska się skrzywiła. – To było obrzydliwe i psychicznie bolesne. Świadomość, że gdzieś tam w tłumie stoi Szczepan, że obserwuje, jak obcy facet mnie dotyka. Dla mnie to było nie do zniesienia. Nie na początku. Czułam, że robię mężowi krzywdę, że to głupia zabawa... Że za chwilę przestanie mu się podobać

i zacznie nazywać mnie kurwą. Nie rozumiałam, jak można czerpać przyjemność z tego, że ktoś obcy obmacuje twojego partnera.

– Ale udało się pani przełamać?

– Bardzo długo to trwało. Szczepan oswajał mnie z każdym elementem tej gry. W końcu postawił sprawę na ostrzu noża i rozumiałam, że albo dam mu to, czego ode mnie oczekuje, albo nasz związek tego nie przetrwa. Musiałam się przemóc! Wytłumaczyłam to sobie jakoś, że to z miłości i w ogóle. I zastrzegłam, że to ja mam ostatnie zdanie co do wyboru mężczyzny, z którym mam pójść do łóżka. Kilka tygodni temu podsunął mi zdjęcie fajnego faceta. Postanowiłam zaryzykować. Plan był taki, że pierwsze nasze spotkanie odbędzie się bez Szczepana. Wstydziłabym się, cholernie wstydziłam. Własnych reakcji. Rozumie pani?

– Oczywiście.

– Po kilkunastu latach małżeństwa... odzwyczaiłam się od innych mężczyzn. Chciałam więc najpierw się z tym oswoić. Szczepan się zgodził, pod warunkiem że będę przysyłać do niego zboczony SMS-y. Chciał wiedzieć, co robimy, co robiliśmy albo co za chwilę będziemy robić. Z pikantnymi szczegółami. Chciał też... – Czajkowska zamilkła i się rozplakała.

Aleksandra podsunęła kobiecie chusteczki i powiedziała:

– Bardzo dobrze, niech pani płacze, pozbędzie się tej całej negatywnej energii. Emocje nie zabijają, trzeba tylko umieć się z nimi obchodzić. Płacz jest dobry. Oczyszcza. Urszula siedziała w kącie i patrzyła na to wszystko z boku. Nie otrzymała jeszcze informacji, które mogłaby wykorzystać w toku śledztwa, ale z satysfakcją stwierdziła, że dobrze to sobie wymyśliła. Atmosfera tego miejsca, kolor ścian i te przyjemne w dotyku fotele – wszystko budowało atmosferę intymności i spokoju. A słuchając opowieści snutej przez Czajkowską, trudno było nie odnieść wrażenia, że właśnie tego teraz potrzebuje.

– Przepraszam. – Czajkowska po kilku minutach wzięła się w garść.

– Proszę nie przepraszać. Ja też płaczę. To o wiele zdrowsze niż duszenie emocji w sobie. Skończyliśmy na tym, czego chciał Szczepan.

– Tak. Zgodził się na moje samotne spotkanie z byczkiem, bo tak się nazywa w *cuckoldzie* tych facetów gotowych spotykać się z *hot wives* według scenariuszy ich mężów. Zgodził się pod jeszcze jednym warunkiem. Opłacił nam pokój w hotelu. Miałam spędzić z byczkiem noc, a przed wyjściem do domu ten byczek miał mnie... no... – Mówienie o intymnych sprawach sprawiało Czajkowskiej dużą trudność. – Miał mnie napełnić spermą, rozumie pani? W sensie, że miał jeszcze raz się ze mną... I miałam wrócić z tą spermą do domu. Szczepan od kilku dni jarał się myślą, że wróczę rano pachnąca namiętnością, pożądaniem i innym facetem, a on będzie zlizywał wypływającą ze mnie spermę innego faceta.

Urszula starała się zapanować nad sobą i nie skrzywić w geście obrzydzenia. Spojrzała na Aleksandrę, ale ta wydawała się niewzruszona. Poruszała się bardzo delikatnie, ale zmierzała w kierunku, który wcześniej uzgodniła z Urszulą.

– Wyszła pani wczoraj z domu. I co dalej?

– Stałam przed kawiarnią, w której mieliśmy się spotkać. Podszedł do mnie mężczyzna,

chwycił pod rękę i szepnął do ucha, że Szczepan zafundował nam małą zmianę planów. Nie wiem, kiedy straciłam przytomność. Obudziłam się w piwnicy. Chociaż nie wiem, czy to była piwnica. Graciarnia bez okien. Brudna, zimna... Wołałam, ale nikt nie reagował.

– Czyli nie uprawiała pani seksu z byczkiem?

– Nie, z nikim wczoraj nie uprawiałam. I nawet w pewnej chwili pomyślałam sobie, że już nigdy nie zrobię tego nawet ze Szczepanem. Przyszło mi do głowy, że jednak obudziła się w nim zazdrość i że chciał mnie ukarać za to, że się zgodziłam.

– Przepraszam, że się wtrączę. – Urszula uniosła się z krzesła. – Mamy komórkę pani męża. W pamięci znajduje się kilka świeżych SMS-ów na temat wielkości przyrodzenia kochanka, tego, co będziecie robić i...

– Niemożliwe! Nie zdążyłam wysłać mu ani jednej wiadomości.

– W pomieszczeniu nie było zasięgu?

– Nie wiem. Po prostu nie miałam komórki. Ktoś mi ją zabrał z torebką.

– A jak została pani uwolniona?

– Wszedł do pomieszczenia, zasłonił mi oczy i powiedział, że jeśli nie pisnę słowa, to mnie uwolni. Pokiwałam głową.

– I co dalej? Co pani pamięta? Schody, hałasy? Coś, co pomogłoby nam ustalić, gdzie panią przetrzymywano?

– Tak, było kilka schodów. A może nie? Przepraszam, byłam tak zestresowana, że nie docierało do mnie nic z zewnątrz. Zapamiętałam, że jechaliśmy samochodem. Zatrzymaliśmy się, on otworzył drzwi, pomógł mi wysiąść i powiedział, że mam policzyć do trzydziestu, zanim ściągnę opaskę z oczu, i że jego współnik mnie obserwuje, więc będzie wiedział, jeśli ich oszukam, a wtedy...

– Otworzyła pani oczy i?

– Byłam przy jakichś garażach. Poszłam na pierwszy lepszy przystanek i wróciłam do domu. Boże, Szczepan... Czy ten sam mężczyzna, który mnie porwał, zabił Szczepana? Czajkowska znowu zaczęła płakać, a Urszula poczuła, że brud, który kobieta wylała z siebie, przykrył nawet ten sterylny gabinet.

*

– Halo?

– I jak? – Tomasz wyartykułował krótkie pytanie, nie mogła więc odmówić mu krótkiej odpowiedzi.

Kiedy skończyła przesłuchanie Darii Czajkowskiej, partnera nie było na komendzie. Widocznie teraz wrócił i chciał uzupełnić informacje.

– Według mnie ten sam sprawca. – Urszula spojrzała przepraszająco na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Skinął głową i uśmiechnął się ze zrozumieniem, jakby dając jej przyzwolenie do przeprowadzenia rozmowy. – Działa z premedytacją – kontynuowała, wpatrując się w blat kawiarnianego stolika. – Tym razem musiał

zatroszczyć się o dwie osoby. Żonę zamknął w jakiejś piwnicy, męża zamordował, a kobietę wypuścił dopiero rano. Ewidentnie nie zabija byle kogo, według mnie z ogromną satysfakcją realizuje swoją misję oczyszczania świata z parafilików.

– Zgadzam się. Kto mógłby chcieć oczyszczać świat ze zbrojczyków? Jakiś fanatyk religijny? A właśnie, znaleźliśmy na miejscu zabójstwa kolejny nieśmiertelnik. Jest na nim linia, tym razem dolna część oka Horusa.

– Dzięki za info. Tomasz, przepraszam, ale muszę kończyć.

– Urszula, poczekaj. Dostałem też listę wielkopolskich szpitali, w których stosuje się jeszcze pavulon.

– Świetnie, zacznijmy je sprawdzać. Najpierw poznańskie. Podeślij mi ze dwa adresy, sprawdzę w drodze powrotnej.

Urszula odłożyła telefon, a starszy mężczyzna odstawił właśnie na spodek pustą filiżankę.

– Przepraszam bardzo – chciała się usprawiedliwić – już wyciszam.

– Nie szkodzi, wszystko rozumiem. Całe życie byłem psem. Czyżby jakiś przełom w sprawie?

– Zobaczymy – odpowiedziała najkrócej, jak tylko mogła.

Błysk w oku starszego mężczyzny zaczął słabnąć. Zmarszczki wydały się głębsze niż kilka sekund wcześniej, a włosy jeszcze bardziej siwe. Rzeczywiście wyglądał jak pies. Stary pies myśliwski. Taki, który właśnie wyczuł zwierzynę i chętnie rzuciłby się w pościg, ale robi trzy kroki i staje, bo przypomina mu się, że już nie jest w stanie dogonić niczego, co ma więcej niż jedną nogę.

– Panie Włodzimierzu, wracając do tematu, który sprawił, że zaprosiłam pana na kawę... W aktach widnieje informacja, że to pan zatrzymał Ireneusza Olendrowicza.

– Tak, sprawdziłem w notatkach. Rzeczywiście, w osiemdziesiątym dziewiątym go zgarnąłem, nawet pamiętam akcję. To był jego pierwszy czyn, więc naprawdę przekonująco udawał niewinnego. Dlaczego pani pyta?

– Muszę znaleźć sposób, żeby go podejść. Pracuję nad sprawą z osiemdziesiątego siódmego. Olendrowicz jest podejrzany.

– Z tego, co pamiętam, to był już dojrzały facet. To znaczy fizycznie, ale psychicznie raczej duże dziecko. Ale mogę się mylić, to nie był mój jedyny pedofil... Ci wszyscy zwyrodnialcy zlewają mi się w jedno. Na pewno skierowano go na przymusowe leczenie, niech pani spróbuje u seksuologa, on powinien mieć trochę informacji w kartach pacjentów... o ile jeszcze ich nie zniszczył. Kijowa taka robota przy sprawach z archiwum, co nie?

*

Śnieg prószyl z taką siłą, jakby się uparł, że zmieni świat na lepsze, nakrywając szare chodniki i ulice białą kołdrą. Pytanie Tomasza dotyczące tego, kto może oczyszczać

świat z parafilików, towarzyszyło Urszuli podczas drogi do szpitala wojskowego. Szła oczywiście pieszo.

Kiedy dotarła do celu, otrzepała kurtkę, szal i czapkę, kilka razy podskoczyła, chcąc pozbyć się śniegu z butów. Nie chciała zostawiać za sobą mokrych śladów. Podeszła do portiera, spytała o to, jak dotrzeć do gabinetu dyrektora, a następnie udała się we wskazanym kierunku.

Zanim zapukała do drzwi, zapisała sobie w komórce, że jak tylko skończy z anestezjologami, musi sprawdzić, czy Ireneusz Olendrowicz ma alibi na czas ostatnich zabójstw parafilików. Oczywiście teza, że to on zabija innych parafilików, była raczej chwiejna. Olendrowicz nie sprawiał na niej wrażenia człowieka, który mógłby zorganizować coś takiego. Poza tym to byłby ogromny przypadek, gdyby ten jeden człowiek stanowił rozwiązanie obu spraw, w które była zaangażowana – i tej współczesnej, i tej z archiwum.

– Proszę!

Urszula pchnęła drzwi i podeszła do mężczyzny wciśniętego w garnitur.

– Dzień dobry. Podkomisarz Urszula Zimińska, mogę?

– Niech pani usiądzie. – Wskazał drewniane krzesło z wysokim oparciem.

– Dziękuję, stoję – zaprotestowała. – Nie zajmę panu zbyt dużo czasu. Właściwie chciałam zapytać tylko o pavulon.

– Co z nim?

– Podobno po aferze z łowcami skór w szpitalach odchodzi się od stosowania tego środka, ale nie u państwa.

– Bzdura! – Dyrektor rozpostarł się w swoim fotelu.

– Proszę uściślić.

– Ale co?

– Co jest bzdurą? Bo jeśli twierdzi pan, że nie stosuje się u was pavulon, to albo celowo chce pan wprowadzić w błąd policję, albo nie wie pan, co się dzieje w pańskiej placówce.

– Bzdurą jest łączenie pavulon, i łowców skór oraz znajdowanie w tym połączeniu wniosku uzasadniającego rezygnację ze stosowania tej substancji. Poza tym pavulon to nazwa handlowa, pani pewnie chodzi o pankuronium. Medyczne wskazania...

– Pan pozwoli, że będziemy szanowali własny czas. Nie interesuje mnie medycyna. Chcę zobaczyć, ile kupujecie i zużywacie tego leku. Czy przypadkiem nie ginie?

– U nas nic nie ginie.

Nie oczekiwała, że usłyszy inną odpowiedź. Przywykła, że dyrektorzy szpitali w kontaktach z policją najpierw zaprzeczali, a później dopiero sprawdzali. W tej sytuacji przygotowana była na dodatkową porcję zaprzeczeń. W końcu znajdowała się w szpitalu wojskowym.

Popołudniowej kawie w domu Waligórskich zawsze towarzyszyło ciasto. Zwłaszcza kiedy Stefan nie miał dyżuru. Zasiadał wtedy o szesnastej przy ławie, a Beata przynosiła z kuchni tacę, na której stały filiżanki, dzbanek z kawą i talerzyki z ciastem drożdżowym. Rozkładała wszystko na ławie, nalewała im kawę i sięgała po książkę. Stefan zajadał się ciastem, popijał je gorzkim, gorącym napojem i gapił się w telewizor. Interesowało go tylko to, co się działo na świecie. Polska już dawno go rozczarowała, a rozmowa z żoną nudziła.

Tego dnia wszystko jednak było inaczej. Minęła szesnasta, a na ławie brakowało imbryka i ciasta. Beata od rana skarżyła się na ból kręgosłupa, nie upiekła więc ani ciasta, ani nawet nie przygotowała kawy. Leżała na kanapie i czytała książkę. Nie miał więc wyjścia. W kuchni znalazł filiżanki, wsypał do nich granulki kawy i zalał wrzątkiem. Osobiście nie rozumiał konieczności brudzenia imbryka, jednak nie wyobrażał sobie picia kawy bez delectowania się czymś słodkim. Przeszukał kuchenne szuflady i szafki, aż w końcu natknął się na opakowanie kruchych ciastek z cukrem. Skrzywił się, bo była to kiepska alternatywa, ale nie miał wyjścia. Nie potrafił przecież upiec ciasta drożdżowego. A nawet gdyby potrafił, to i tak by tego nie zrobił. Uważał, że pieczenie i gotowanie to zajęcia dla kobiet.

– Dziękuję. – Beata uniosła się z kanapy, kiedy postawił przed nią kawę. – Nie ma innych ciastek?

– Nie ma – odburknął.

Znała go przecież wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że gdyby znalazł inne, toby je wziął. Nie przepadał za kruchymi z cukrem. Kojarzyły mu się z komuną.

Beata wróciła do lektury, a Stefan do śledzenia wydarzeń z zagranicy. Lubił takie spokojne popołudnia, pod warunkiem że miał ich nie więcej niż dwa w tygodniu. Dużo bardziej kochał swoją pracę. Siedzenie w domu nie było dla niego.

– Ktoś puka – głos Beaty wyrwał go z zamyślenia.

Spojrzał najpierw na telewizor. Litery przemieszczające się po czerwonym pasku na dole ekranu informowały o unieważnieniu jakiegoś przetargu. Wzdrygnął się z obrzydzenia – polska polityka od jakiegoś czasu stała się po prostu obrzydliwa. Nie mógł tego znieść.

– I co z tego?

– Pójdiesz otworzyć?

– Nie.

– Stefan?! – Spróbowała go zdyscyplinować, nasączając jego imię pretensją.

– No co?

– Idź otwórz.

– Nie chce mi się z nikim gadać, więc nie widzę sensu, żeby się ruszać z fotela.

– A jeśli to Marek?

Ich syn dawno temu skończył trzydzieści lat, a Beata nadal traktowała go, jakby był przedszkolakiem.

– To powinien mieć klucze.

– Może zapomniał.

– To następnym razem nie zapomni.

Beata wetchnęła ciężko i powoli sama wstała z kanapy. Pukanie do drzwi się powtórzyło, ale chwilę później usłyszał czyjeś głosy. Nie rozpoznał ich.

– Dzień dobry, aspirant Wójcik. Pan Stefan Waligórski?

– O co chodzi?

– Jest pan anestezjologiem w szpitalu wojskowym, zgadza się?

Stefan kiwnął głową i odruchowo złapał za swój nieśmiertelnik. Schował go pod koszulkę i przystąpił do ataku:

– Anestezjologiem jestem w szpitalu, a teraz jestem obywatelem, któremu burzy pan spokój.

– Spokojnie, nie zajmę panu dużo czasu. Przyjechałem jedynie po pana paluchy.

– Słucham?!

Policjant wyjął z torby kilka gadżetów, które do tej pory Stefan oglądał tylko w filmach.

– Potrzebne są pana linie papilarne, żeby wykluczyć pana udział w morderstwie.

– Tego już za wiele! O czym pan mówi?! – W Stefanie się zagotowało. Wstał z fotela z takim impetem, że trącił talerzyk z filiżanką, a porcelanowa zastawa rozbiła się o podłogę. – To jakieś insynuacje! To, że czasem ktoś umiera na stole operacyjnym, nie oznacza, że... – zapowietrzył się. Przypomniał sobie, że przecież jest Bogiem. A Bóg nie powinien tak reagować. Powinien być spokojny.

– To rutynowe działanie. Sprawdzamy szpitale, poszukując podejrzanego. Może pan odmówić współpracy z policją, ale wtedy...

Beata była tak zaaferowana, że zapomniała o bolących plecach. Stała obok Stefana i prężyła się, jakby chciała zasłonić męża. Wyglądało to dosyć komicznie i całkiem inaczej niż rano, kiedy poruszała się po mieszkaniu niemal zgięta w pół.

– Mój mąż jest niewinny! – wydusiła w końcu. – I ma alibi! – dopowiedziała dumna. Stefan zamknął oczy. Poziom inteligencji jego żony czasem w ogóle nie odbiegał od poziomu polskiej dyskusji politycznej.

– Odmawia pan, czy...?

Po tym jak żona zapewniła mu alibi, nawet nie wiedząc jeszcze, na kiedy alibi byłoby mu potrzebne, nie miał zbyt dużego pola manewru. Musiał się zgodzić, by policjant nie nabrał podejrzeń.

– Niech pan robi, co musi. Byle szybko. Nie mam czasu na takie głupoty.

*

– Wydaje się, że jesteśmy już bliżej niż dalej. – Urszula wydusza z siebie kolejne zdanie, które ma mi coś powiedzieć, nie mówiąc jednocześnie nic. Jest w trudnej sytuacji. Rozumiem ją, a jednocześnie chciałabym wiedzieć wszystko o śledztwach, które prowadzi ten jej beznadziejny partner.

– Bliżej, bo?

– Prześwietlamy środowisko poznańskich anestezjologów. Oni mają dostęp do leków,

które zabójca podaje ofiarom. W większości szpitali zrezygnowano już ze stosowania tej konkretnej substancji. W kilku stosuje się ją nadal. Dostaliśmy wgląd w dokumentację. No wiesz, protokoły zniszczenia leków czy zużycia ich do zabiegów. Wiemy już, komu „wypadły” z ręki, albo kto podaje je pacjentom. Sprawdzamy tych gości.

– I co?

– Czynności w toku.

Nie komentuję, ale patrzę na nią tak, żeby zrozumiała. Nie jestem byle kim, żeby zbywać mnie tak banalnymi odpowiedziami. Nie szukam sensacji ani rozgłosu. Nie opublikuję artykułu z przeciekami z policji. Zwyczajnie wolę wiedzieć. Bo umierają moi klienci. Bo być może znam mordercę. Bo może będę jego kolejną ofiarą.

– Tak między nami...

Chyba czyta mi w myślach, bo chce coś dopowiedzieć. Widzę jej wahanie.

– Oczywiście.

– Wytypowaliśmy czterech. Dwóch odpadło niemal od razu, dwóch kolejnych obserwujemy. Jeden jest młody, od trzech lat w zawodzie. Drugi wręcz przeciwnie.

– Mamo? – Do pokoju wchodzi Kuba.

– Tak, kochanie?

– Boli mnie brzuch.

Wypytyuję go, co jadł w szkole i jednocześnie zaparzam miętową herbatę. Nie wygląda to zbyt dobrze, mam tylko nadzieję, że to nie jelitówka.

On będzie cierpiał i leżał w łóżku, a ja będę musiała odwołać wszystkich klientów.

W takich chwilach myślę sobie, że praca na etacie była dużo bezpieczniejsza.

Wystarczyło przynieść zwolnienie lekarskie lub opiekę na dziecko i miało się wolne.

Owszem, zwykle trzeba było przez chwilę oglądać obrażoną minę szefa, ale ostatecznie miało się za co żyć.

Po kilku łykach herbaty Kuba siada mi na kolanach, a ja go przytulam i głaszczę po głowie dokładnie tak, jakby znowu miał trzy lata. Urósł, ale na szczęście nie na tyle, by całkowicie odcinać się od mojej czułości.

– Może chcesz się zdrzemnąć? – pytam.

– Może, ale nie chcę iść do siebie do pokoju. – Wtula się we mnie mocniej.

Całuję go w głowę. Widzę, że ma zamknięte oczy. Kiedyś lubił zasypiać na moich kolanach.

– I co dalej? – Spoglądam znacząco na Urszulę.

Możemy przecież rozmawiać przy Kubie, musimy jedynie unikać niektórych słów.

– Zobaczymy, jaki będzie efekt obserwacji. Chwilowo nie ma kolejnych... – Ula milknie na chwilę i dopowiada: – szczęśliwców.

– Być może dlatego, że sprawca wie, że go obserwujecie? Może to potwierdza hipotezę, że to anestezjolog?

– Istnieje taka możliwość, chociaż nie wydaje mi się, żeby wiedział. Obaj mają ogony.

Nie powinni zbyt szybko się zorientować. Zwłaszcza, że kontakt z policją ograniczyliśmy do minimum. Pobraliśmy od każdego paluchy, na wypadek, gdyby jednak udało się ujawnić na którymś miejscu zdarzenia odbliski palców.

– Czyli co? Anestezjologowie nie wiedzą, w jakim celu z nimi rozmawialiście?

– Otrzymali bardzo ogólną informację o jednym zgonie i poszukiwaniu winnego. Nie mogę odeprzeć myśli, że nawet jeśli sprawca wie, że ktoś go śledzi, to i tak wymyśli coś, żeby zrealizować swój plan do końca.

– Mamy już pięciu, jak to powiedziałaś, szczęśliwców...

– No tak, nie znalazłam na poczekaniu innego słowa. – Urszula uśmiecha się i spogląda znacząco na Kubę.

Trudno rozmawia się o zabójcy, sposobie jego działania i hipotezach, kiedy się jest matką. Dzieci utrudniają bycie detektywem. Być może właśnie dlatego w filmach, serialach czy książkach śledczymi są zwykle mężczyźni lub samotne kobiety. Nie zamknę cierpiącego dziecka w pokoju, żeby móc swobodnie rozmawiać z policjantką. Najważniejszy dla mnie jest on. On i Werka. Muszę dziś do niej zadzwonić, bo od niedzieli się do mnie nie odzywała.

– Pięciu szczęśliwców – powtarzam – daje nam pięć nieśmiertelników, czyli pięć linii. Oko Horusa składa się z sześciu kresek, co oznacza, że na bank pojawi się jeszcze jeden... szczęśliwiec.

Urszula kiwa głową i spogląda w notatki. Oddech Kuby zdradza, że zasnął. Mogę go już zanieść go do łóżka. Staram się unieść z kanapy, ale z takim obciążeniem nie jest mi łatwo. Ula spieszy mi z pomocą.

– Czekaj, ja go zaniosę. – Podnosi Kubę i wychodzi z pokoju.

Chcę iść za nią, ale kusi mnie świecący ekran komórki, którą Urszula odłożyła na bok, kiedy zobaczyła, że chcę wstać.

Jeśli świeci, to jeszcze nie jest zablokowana. Nie mam ani chwili do stracenia. Jeśli chcę zajrzeć do jej notatek, muszę to zrobić teraz.

Chociaż... może nie powinnam?

Nie! Lepiej żałować, że się coś zrobiło, niż zadręczać się myślami, że była okazja, z której się nie skorzystało!

*

– Mogę wejść?

W drzwiach stała Ilona. Jak zawsze elegancka i mocno pomalowana, dziwnie wyglądała na tle szarej klatki schodowej.

– Jestem zajęta... – skłamała Aleksandra. Od razu skarciła siebie w myślach, bo przecież mogła po prostu odmówić i zamknąć szwagierce drzwi przed nosem.

– Przyniosłam chińszczyznę.

– Nie jadam.

– Mimo wszystko nalegam.

– Po co?

– Musimy porozmawiać.

– Rozmawiamy.

– Na klatce schodowej? To kiepskie miejsce na wyjaśnienie kilku ważnych spraw.

– Możemy wyjść na dwór.

– Jesteś dorosłą kobietą, a zachowujesz się jak dziecko. Problemy nie rozwiążą się same, trzeba o nich porozmawiać.

– Rozmowa z tobą nie ma większego sensu. Mówisz jedno, a robisz drugie. Znam cię, Ilona. Być może zbyt długo.

– Chcę zgody. Z tobą... i z dziećmi.

– Ostatnio też tak mówiłaś, a potem nasłałaś na mnie policję.

– Przepraszam. Pomyliłam się. Wiem, że jesteś niewinna.

Ilona uśmiechnęła się nieznacznie i po raz kolejny podniosła reklamówkę z dwoma plastikowymi pojemnikami. Aleksandra wciąż stała w uchylonych drzwiach, skupiając się na tym, by zasłonić wnętrze. Nie chciała wpuścić Ilony do środka.

– Wiesz? To po co to było?

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że za wszystkim stoi Paweł. Pomyliłam się i chciałam cię przeprosić. Nie lubisz mnie, ale przecież nie zrobiłabyś mi krzywdy. Jestem siostrą twojego zmarłego męża.

– Po co tu przysłałaś?

– Rozwodzę się z Pawłem. Nie mam nikogo. Tylko was. Gabriel by chciał, żebyśmy się wspierały. Kochał nas obie. Przyniosłam chińszczyznę na zgodę. – Znowu uniosła reklamówkę.

– Nie jadam glutaminianu sodu. Słuchaj, Ilona, przykro mi, że posypało ci się małżeństwo, ale... Zrobiłaś zbyt wiele złego, żeby o tym zapomnieć.

– Przepraszam, że cię oskarżałam. Nie powinnam. Byłam wzburzona i tak to wszystko wyglądało. To znaczy Paweł chciał, żeby tak to wyglądało. To on zorganizował napad na mnie.

– Byłaś na policji? Powiedziałaś, że to on? A może wcale to nie on, tylko teraz wygodnie jest ci go oskarżać? Nie wiem, czy jest ktoś, kto uwierzył w twoją przemianę, ale mnie tak łatwo nie oszukasz.

– Rozpaczam nowe życie. W Łodzi. Kupuję mieszkanie, w którym może zamieszkać Weronika. Jest zbyt młoda, żeby spędzać czas w bursie. Urządzam dla niej pokój. Dla Kuby zresztą też, jeśli więc będziesz potrzebowała pomocy lub chwili odpoczynku i wyjazdu z tym swoim... facetem, to ja chętnie zajmę się dziećmi. Bo one przecież są takie... takie nasze.

– Odczep się od moich dzieci!

– Wiem, że jest ci trudno. Chcę tylko pomóc.

– Tylko pomóc? – Aleksandra zaśmiała się szyderczo. – Pomóc mnie?

– I tak zamieszkać w Łodzi.

– Proszę bardzo, ale bez moich dzieci.

Chińszczyzna uderza o podłogę. Ilona cofnęła się, a jej twarz zmieniła wyraz. Zmarszczyła czoło, wykrzywiła wypełnione kwasem hialuronowym usta i wysyczała:

– Przyszedłam do ciebie w dobrej wierze, a ty potraktowałaś mnie jak... jak...

– Masz rację! – Aleksandra nie pozwoliła jej dokończyć. – Powinnam ci podziękować za to, że twój prawnik wzywa mnie do opuszczenia mieszkania, które należy się mnie i dzieciom. Nie wiem, dlaczego zapisał je tobie, a nie nam.

- Chciał zostawić je dzieciom, ale są jeszcze niepełnoletnie. Bał się, że po jego śmierci znajdziesz sobie innego faceta i zaniedbasz dzieci. Ja miałam być gwarancją jego spokoju!
- Gratuluję! Musiałaś się mocno napracować, żeby go do tego przekonać!
- Ta rozmowa nie ma sensu.
- Mówiłam o tym kilka minut temu.
- Ostatni raz wyciągnęłam do ciebie rękę. Mam nadzieję, że znalazłaś już nowe lokum, bo mieszkanie jest wystawione na sprzedaż i za dzień lub dwa pojawi się tu agent nieruchomości z klientami. Pożałujesz, jeśli będziesz utrudniać prezentację!

*

Kiedy Stefan wyszedł z domu, a Beata wygodnie ułożyła się na kanapie, rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

Zignorowała je, bo plecy bolały ją już tak mocno, że nie miała siły wstać.

Stres związany z wizytą policji zrobił swoje. Chciała sobie z nim poradzić, stanęła więc przy garach, usiłując skupić całą uwagę na przygotowaniu dobrego obiadu. Przeglądała książki kucharskie w poszukiwaniu inspiracji, mieszała sos, tarła marchew na surówkę, piekła mięso i przygotowywała szagówki. Wszystko na stojąco.

Pukanie stało się głośniejsze i jakby natarczywsze. Pomyślała, że może Stefan zapomniał któregoś ze swoich gadżetów niezbędnych do biegania. Zacisnęła więc zęby i dość zdecydowanym ruchem najpierw usiadła, a później się uniosła.

– Cholera! – syknęła z bólu.

Poczępała do drzwi i otworzyła je na oścież.

– Dobry wieczór.

Ku jej zdziwieniu stała przed nimi kobieta, której twarz kojarzyła.

– Mogę wejść?

– Proszę – powiedziała, odsłaniając wejście do przedpokoju.

– Nie wiem, czy pani mnie pamięta. Jestem psychologiem. Była pani u mnie z mężem jakiś czas temu.

Drobna wskazówka pozwoliła Beacie na dotarcie do zapamiętanego obrazu.

Rzeczywiście – twarz kobiety nierozzerwalnie łączy się we wspomnieniach z futurystycznymi fotelami i błękitnymi ścianami.

– Pamiętam. Byliśmy u pani, ale tylko raz.

– Zgadza się. Ja oczywiście rozumiem, że czasem terapeuta i klient sobie nie przypasują i wtedy lepiej jest poszukać innego terapeuty, bo szkoda tracić czas na eliminowanie osobistych uprzedzeń...

Ból pleców dawał o sobie znać. Beata oparła się o najbliższą ścianę, licząc, że choć trochę odciąży kręgosłup. Wolałby usiąść, ale nie chciała zapraszać obcej kobiety do pokoju.

- Zapłaciliśmy przecież za wizytę, więc chyba nie ma pani powodu, by nas nachodzić.
- Chciałam spytać, czy znaleźliście państwo innego terapeutę?
- Nie. Byliśmy u pani jedynie na prośbę syna. Zrealizowaliśmy ją i ciąg dalszy nie miał sensu. Mężowi bardzo przeszkadzały te wszystkie pytania. Wie pani, jesteśmy ludźmi starej daty. Kiedyś jak człowiek miał problem, to rozwiązywał go w czterech ścianach. Teraz wszystko się zmieniło. Jest moda na psychologów, więc ludzie biegają do gabinetów i rozmawiają z takimi jak pani, zamiast z tymi, z którymi powinni.
- Być może to nie kwestia starej daty, ale tego, że ma się coś do ukrycia.
- Co pani sugeruje? Że mój mąż ma tajemnice? Jak pani śmie?!
- Wie pani, zwykle jest tak, że my, żony, pewnych rzeczy nie chcemy widzieć. Odwracamy głowę. Przyjmujemy najłagodniejszą z możliwych interpretacji zdarzeń. Tłumaczymy sobie, że niepotrzebnie się czepiamy. Jednak widzimy, zauważamy i zapamiętujemy.
- Czego pani ode mnie chce?
- W Poznaniu giną ludzie, którzy cierpią na parafilie. Chciałam spytać, czy pani mąż nie miał przypadkiem do czynienia z parafiliami? Może ktoś go kiedyś molestował? A może od jakiegoś czasu dziwnie się zachowuje?
- Mój mąż jest normalny. I dobry. Jest lekarzem!
- Oczywiście, rozumiem. Tyle że jedno nie wyklucza drugiego. Kręgosłup Beaty protestował coraz mocniej. Złapała się za plecy, otworzyła drzwi i zaczęła napierać na kobietę, by zmusić ją do wycofania się z holu.
- Proszę już iść.
- Ale...
- Niech pani idzie!
- Proszę pomyśleć! – Kobieta wycofywała się, ale najwyraźniej nadal liczyła na to, że coś z niej wyciągnie. – Jeśli coś wpadnie pani do głowy, niech pani do mnie zadzwoni.
- Wie pani co? – spytała Beata, kiedy psycholog była już za drzwiami. – Przypomniało mi się – zawiesiła głos, by po chwili z premedytacją dopowiedzieć: – słyszałam o pani ostatnio w telewizji. To pani jest podejrzewana o zabójstwo kilku osób. Przysięgam, że jeśli jeszcze raz się pani pojawi w okolicach mojego domu, to zadzwonię na policję!

*

Policja to hasło, które działa na mnie zawsze tak samo. Tym razem jednak negatywne wrażenia potęguje przekonanie, że gdyby Urszula zobaczyła mnie przed domem Waligórskich, przestałaby ze mną rozmawiać... Może nawet by mnie zamordowała? Nie byłabym w stanie wytłumaczyć jej tego, że kiedy wyszła z pokoju, zajrzałam do jej notatek, a dane podejrzanych anestezjologów same rzuciły mi się w oczy. Nazwisko Waligórski brzmiało znajomo. Doczekałam do wieczora. Gdy położyłam Kubę spać, sprawdziłam kartoteki klientów

i przyjechałam pod dom Waligórskich.

Sama nie wiem, po co tu przyszłam. Rozmowa z obojgiem małżonków nie miała żadnego sensu. Urszula nie uwierzyłaby mi, gdybym starała się jej wytłumaczyć, że nie chciałam utrudniać śledztwa i że właściwie postanowiłam już, że wrócę do domu bez pukania do drzwi Waligórskich, ale wtedy na horyzoncie pojawił się on. Głowa rodziny. Ubrany był w dres. Zrobił kilka skłonów i zaczął biec przed siebie.

Nie mogłam nie skorzystać z okazji... Jego żona została sama w domu, przez co miałam większe szanse na wyciągnięcie z niej jakichś informacji. Oczywiście w teorii – bo praktyka okazała się zupełnie inna. Byłam. Rozmawiałam. Spróbowałam. Niczego się nie dowiedziałam.

Pora wracać do domu.

Jest już całkiem ciemno. Leżący na chodnikach śnieg przyjemnie skrzypi pod butami. Gdzieś w oddali szczeka pies. Najbliżej stojąca latarnia gaśnie i ponownie się zapala. Gdyby śnieg nie przestał padać, musiałabym teraz odśnieżać moje clio. A tak wystarczy, że znajdę klucze i za kwadrans będę w domu. Udam, że w ogóle z niego nie wychodziłam.

Nie ma szans, żebym przy tym braku światła dostrzegła cokolwiek w torebce. Kuba mówi, że mam w niej bałagan, a ja zwykle odpowiadam mu, że to tylko twórczy chaos. Zdejmuję rękawiczkę i zanurzam prawą rękę w torebce.

Czemu ona jest taka duża?

Receptory zmysłu dotyku gromadzą i przetwarzają docierające do nich bodźce.

Miękkie i śliskie opakowanie rozpoznaję jako paczkę chusteczek higienicznych, coś dużego i miłego w dotyku musi być portfelem, twarde podłużne opakowanie obracam chwilę w dłoni i dochodzę do wniosku, że to błyszczak do ust.

Zanurzam dłoń jeszcze głębiej. Klucze zwykle spadają na samo dno.

Przekonuję się, że zmysł dotyku spełnia ważną funkcję obronną, kiedy dotykam szczotki do włosów. Kilkanaście metalowych igiełek sprawia, że cofam rękę. Po chwili wracam jednak do poszukiwań. Bez kluczyków nie odpalę samochodu.

Powinnam odkładać je zawsze w jedno miejsce, a nie wrzucać do wielkiej torebki byle jak, a później szukać i szukać. Nawet w ciągu dnia, kiedy mogę pomagać sobie oczami.

Impuls informujący mózg, że właśnie palce wyczuły chłodny dotyk metalu dociera dokładnie w tej samej chwili, w której czuję czyjś dotyk.

Latarnia właśnie się zapala i widzę męską rękę, która oplótła moje ręce i klatkę piersiową. Nie mogę się ruszyć.

Druga ręka przechyla moją głowę w bok i odgarnia włosy z karku.

– To się doigrałaś... – szepce prosto do ucha.

Czuję delikatny powiew powietrza i zapach, którego nie jestem w stanie zidentyfikować. Chcę krzyknąć. Nawet przełykam ślinę i przygotowuję się wrzasku, ale rezygnuję, kiedy na swojej szyi czuję to.

Nie zimne, metaliczne ostrze noża, ale gorące i wilgotne usta.

Ktoś zaczyna mnie całować.

W oku Horusa brakuje jednej linii. Urszula odnajdzie jeszcze jedną ofiarę o specyficznych upodobaniach seksualnych, a ja sama przyjechałam pod dom mordercy.

Brawo ja...

IX

Środa

Wokół panowała całkowita ciemność.

Przekręciła się na bok, szukając pozycji, w której znowu zaśnie. Zgięła jedną nogę, drugą wyprostowała i zapewne zapadłaby w drzemkę, gdyby nie dziwne drapanie w okolicach piersi.

Nie otwierając oczu, przesunęła dłonią po swoim biuście, jakby chciała strącić gryzące ją mrówki. Drapanie ustąpiło, a do mózgu Aleksandry dotarły impulsy informujące, że między opuszkami palców a brodawkami nie było żadnego materiału.

Zlekceważyła je jednak, mimo że przecież nigdy nie sypiała nago. Być może była zbyt zmęczona. Może jej świadomość nie była jeszcze wystarczająco wybudzona. Kusił ją powrót do głębokiego snu. Nie pamiętała, co jej się przed chwilą śniło, ale musiało to być coś miłego, bo czuła się bardzo usatysfakcjonowana.

Kiedy jej umysł po raz kolejny zaczął odpływać, poczuła coś, co kazało jej się skupić na bodźcu. Niechętnie szturchnęła swoją świadomość, żeby sprawdziła, co tym razem utrudnia jej sen.

Delikatne łaskotanie zaczęło się w okolicach pięty i powoli przesuwało się ku górze. Kiedy dotarło w okolice kolana, Aleksandra drgnęła. Cieńsza skóra potęgowała wrażenia. Oprócz łaskotania poczuła przyjemność i ochotę na więcej.

Powoli zaczęła się budzić. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, ani co w tej chwili przemieszcza się po jej udzie. Otworzyła oczy. Okno było szczelnie zasłonięte, drzwi zamknięte, a ściana wyglądała jak ta w jej mieszkaniu.

Łaskotanie dotarło do pośladków, ale nie przeszło wyżej, na linię pleców. Ponownie przesunęło się po pośladkach, by chwilę później zuchwale zacząć kręcić się wokół najbardziej nabrzmiałych części jej ciała.

Aleksandra leżała bez ruchu. Była już na tyle przytomna, by czuć pożądanie, które tajemnicze łaskotanie gotowało na małym gazie przez kilkanaście minut, z premedytacją

doprowadzając je do wrzenia, ale jednocześnie na tyle niewybudzona, że było jej obojętne, kto tak drażnił jej zmysły.

Była już pewna, że ktoś wodzi po jej ciele opuszkami palców. Znała to uczucie. Fizyczną reakcję odbioru bodźców. Nie wiedziała jednak, że tajemniczość może ją tak bardzo spotęgować.

Łaskotanie zakreślało coraz mniejsze kręgi. Pragnęła więcej. Bała się jednak odezwać lub obejrzeć.

Wielokrotnie podczas rozmów z parafilikami czuła, że rozumie ich nie tylko dlatego, że jest psychologiem i potrafi rozkładać sytuacje na czynniki pierwsze, po to, żeby je przeanalizować. Sama również miała specyficzne upodobania seksualne. Nauka nazywała to somnofilią lub też zespołem śpiącej księżniczki.

Ona sama daleka była od nazywania swoich preferencji parafiliją. Po prostu od czasu do czasu lubiła, kiedy Gabriel wchodził w nią w nocy. Kiedy budziła się rozepchana jego członkiem, słyszała jego przyspieszony oddech i mogła bezkarnie przeżywać rozkosz płynącą pomiędzy swoich nóg.

Tymczasem łaskotanie dotarło do łechtaczki i zmieniło się w rozkoszne drażnienie.

Najchętniej odwróciłaby się i rozchyliłaby nogi, ale bała się, że jakikolwiek ruch zepsuje całą zabawę.

– Dzień dobry. – Usłyszała za sobą męski głos.

Nie miała jednak czasu zastanowić się, czy go zna, bo palce chwilę wcześniej drażniące łechtaczkę wdarły się właśnie do jej wnętrza. Jęknęła z pożądania i odwróciła głowę. Uśmiechnięta twarz Krystiana błyskawicznie przywróciła jej pamięć.

Wczoraj wieczorem czekał na nią przy samochodzie, złapał ją od tyłu, zaczął całować i sprawił, że po raz pierwszy od dawien dawna miała ochotę. Na seks i na niego.

W takiej właśnie kolejności.

Wszystkie ich poprzednie razy były takie schematyczne. Rozmowa. Zastanawianie się, czy może teraz? Czy jego pocałunki oznaczają, że chce czegoś więcej? Przechodzenie z punktu A do punktu B z ciągle włączonym myśleniem. Trudno było przy czymś takim wypracować kosmiczny orgazm.

Seks nagle nabrał kolorów – bez wstępów, rozmów o pogodzie i zastanawiania się, czy nie robi Krystianowi krzywdy. Znowu był zabawą, a nie czynnością, którą wypada odklepać, jeśli jest się z kimś blisko.

– Dzień dobry – odpowiedziała, odwracając się na plecy i rozchylając nogi.

Potraktował to jako zaproszenie. Błyskawicznie znalazł się między jej biodrami.

– Mamo! – Zza drzwi rozległ się głos Kuby. – Mamo! Chyba zaspaliśmy do szkoły!

*

– Weronika! – Ilona wypatrzyła nastolatkę na szkolnym korytarzu. – Weronika!

Dziewczyna nie słyszała jej wołania, Ilona musiała więc przecisnąć się przez potok młodzieży.

Ilona dawno nie była w takim miejscu, więc przyglądała się wszystkim dorastającym kobietom z zainteresowaniem. W czasach, kiedy ona chodziła do szkoły, dziewczynki dzieliły się na te lepiej ubrane oraz te, które nie przywiązują wagi do ubioru. Teraz niemal wszystkie dziewczęta były starannie wystylizowane – od ubrań zaczynając, na makijażu i fryzurach kończąc. Księżniczki, modelki, typy sportowe, undergroundowe...

– Weronika! – Ilona dotarła do dziewczyny i położyła rękę na jej plecach. Dziewczyna odwróciła się w końcu i spojrzała na nią złowrogo. Oczy miała Gabriela, ale nos, usta i czoło Aleksandry.

– Co tu robisz?

– Dzwoniłam. Nie odbierałaś.

– Nie chciało mi się z tobą gadać.

– Przyjechałam do Łodzi i pomyślałam, że zjemy razem lunch. Albo lody.

– Nie chcę.

– Dlaczego? Masz zły humor?

– Nie. – Weronika zrobiła minę, która zakomunikowała coś zupełnie odwrotnego.

– To umawiamy się na coś, co ci go poprawi. O której kończysz?

– Przestań udawać dobrą ciotkę! Mam cię dość, rozumiesz? Nigdzie z tobą nie pójde!

Krzyk Weroniki nie tylko zaskoczył Ilonę. Sprawił, że nastolatki stojący nieopodal, zajęci do tej pory rozmowami, zamilkli. Wszystkie oczy zwróciły się na Ilonę i Weronikę.

– Moja droga, uspokój się. – Ilona próbowała poradzić sobie z emocjami, ale to nie było łatwe.

Przyjechała do Łodzi właśnie po to, żeby podczas rozmowy z Weroniką naładować akumulatory. Kłótnia z Pawłem, kłótnia z Aleksandrą, sprzeczka z Dagmarą, u której mieszkała – to wszystko sprawiło, że uciekała do wyobrażeń swojego przyszłego życia. Do Łodzi, przytulnego mieszkania i obecności Weroniki. Chciała dziś z nią porozmawiać, żeby się uspokoić. Chciała przekonać siebie, że wszystko gra, że jest tak, jak to sobie wyobraża, a Weronika kocha ją, akceptuje i na pewno z nią zamieszka.

– Broniłam cię! Długo cię broniłam, nawet wczoraj! Ale mama przesłała mi zdjęcie pisma z kancelarii. Sprzedajesz nasze mieszkanie, żeby kupić sobie to w Łodzi? I co? Przygarniesz mnie i Kubę, a mamie każesz zamieszkać na ulicy? Jak mogłaś to zrobić mamie? Jak mogłaś to zrobić mnie?!

Weronika rozplakała się, a zza obserwującego ich tłumu wyszedł mężczyzna, najprawdopodobniej nauczyciel.

– Kim pani jest?

Jego lodowaty ton uświadomił Ilonie, że najwyraźniej nikim.

*

Sylwia Małecka wyglądała zupełnie inaczej niż podczas ich pierwszego spotkania. Bez

bankowego uniformu sprawiała wrażenie dużo starszej.

Uśmiech, którym powitała ich kilka dni wcześniej w banku, znikł, zupełnie jakby był jedynie elementem służbowego stroju.

– Dziękuję, że mogliśmy się spotkać. – Urszula przestąpiła próg mieszkania Małeckiej.

– Dzień dobry. – Idący za nią Tomasz nie mógł nie zaakcentować swojej obecności.

– Proszę i od razu przepraszam. Moja córka jest chora, to właśnie dlatego nie ma mnie w pracy. Córka leży w łóżku w dużym pokoju, więc jeśli pani... – Sylwia spojrzała na policjanta – to znaczy państwo pozwolą, nie wpuszczę was dalej. Nie chcę, żeby córka słyszała naszą rozmowę.

– Oczywiście. My tylko na chwilę. Pani Sylwio, chciałam zapytać, czy ma pani kontakt z kuzynem?

– Z kuzynem?

– Z Ireneuszem Olendrowiczem.

– Ach, nie. Wie pani, jak jest. Dzisiaj mało kto żyje tak jak kiedyś. Mama świętowała wszystkie urodziny i imieniny w gronie rodzinnym. To właściwie ona organizowała takie towarzyskie życie. Mój były mąż jest jedynakiem i nie bardzo lubił klimat rodzinnych nasiadówek, dlatego dawno temu wypisaliśmy się z życia rodzinnego. Po rozwodzie jakoś tak zostało. Utrzymuję jedynie kontakt z rodzicami męża i moimi, ale unikam większych imprez rodzinnych.

– Kiedy widziała pani Ireneusza po raz ostatni?

– Nie pamiętam. Możliwe, że na pogrzebie. Dlaczego pani pyta?

Urszula nie zdążyła odpowiedzieć, gdy jedne z drzwi się otworzyły, a ich oczom ukazała się dziewczynka.

Miała nie więcej niż dziesięć lat, długie, rozpuszczone blond włosy, okrągłą twarz, małe oczy i pulchne rączki. Wyglądała jak słodki cherubinek, który trafił do chatki Baby Jagi i był tuczony przez ostatni miesiąc.

– Mamo?

– Zaraz przyjdę.

– Źle się czuję.

– Połóż się, zaraz przyjdę.

Dziewczynka wróciła do pokoju, a Sylwia Małecka rozłożyła ręce, jakby chciała wygonić policjantów z mieszkania.

– Przepraszam, muszę zająć się córką, jeśli to wszystko...

– Chwileczkę. – W głowie Urszuli zakiełkowała myśl.

Okropna i obleśna, ale dająca nadzieję.

– To pani córka?

– Tak, to Agnieszka.

– Z góry przepraszam za pytanie, ale... czy tylko mi się wydaje, czy jest podobna do Marysi?

Urszula dysponowała jedynie zdjęciami zamordowanej dziewczynki. Nie widziała jej nigdy uśmiechniętej ani z otwartymi oczami. Znała szczegóły anatomiczne ciała, kolor włosów, proporcje twarzy, kształt uszu i nosa. Widziała też wielu nieboszczyków i mogła porównać ich wygląd sprzed i po śmierci. Zmieniali się, ale pewne szczegóły

pozostawały niezmiennie.

– Tak. To jest między innymi powód, dlaczego unikamy rodzinnych spędów. Agnieszka wygląda jak Marysia. Dla mojej mamy to dowód, że Marysia do nas wróciła, w sensie, że wrócił na ziemię jej duch. Nie chcę, żeby ktokolwiek traktował moje dziecko jak moją siostrę. Nie chcę, żeby Agnieszka była dla kogoś relikwią. Ona jest dzieckiem. Moim oczkiem w głowie. I zupełnie nie rozumie tego wszystkiego. Byliśmy kiedyś na urodzinach mamy. Agnieszka miała trzy lata. Któraś z ciotek powiedziała, że to skóra zdarta z Marysi. Ojciec się popłakał, a matka zaczęła gadać głupoty. To była nasza ostatnia impreza. Wpadam do mamy najczęściej sama.

*

Jeśli opierać się na matematyce, to pionowa kreska w oku Horusa oznaczała jedną sześćdziesiątą czwartą. Nie przepadał jednak za matematyką, wolał więc skupić się na innych znaczeniach.

Pionowa kreska wyglądała intrygująco na blaszce ostatniego nieśmiertelnika. Oderwana od całości mogła być wszystkim i niczym zarazem. Dla niego najbardziej jednak przypominała ślad po łzie ściekającej z kącika oka.

Nigdy nie zgadzał się z banalnym stwierdzeniem, że mężczyźni nie płaczą.

Dlaczego nie mieliby się wzruszać? Z powodu podwyższonego poziomu testosteronu? Braku rozwiniętych gruczołów piersiowych? Nie! Nie rozumiał, dlaczego społeczeństwo odmawiało mu przeżywania dowolnych emocji.

Wzruszały go pogrzeby. Nie godził się na śmierć. Śmierć tych wszystkich, którzy przegrywali z chorobą. Tych, którzy prowadzili normalne życie, a przypadek sprawił, że znaleźli się na drodze rozpędzonego samochodu czy szaleńca z nożem. Uważał, że to niesprawiedliwe. Że na świecie pozostaje mnóstwo śmieci, a normalni, wartościowi ludzie muszą odejść.

Ostatni nieśmiertelnik czekał na podłożenie go ostatniej ofierze. Wiedział, że tym razem musi zadbać o bardziej spektakularny efekt, inaczej jego akcja przejdzie niezauważona. Do tej pory w mediach pojawiły się tylko strzępy informacji, na dodatek mocno odbiegające od prawdy.

Kiedy planował pierwsze zabójstwa, myślał, że jego misja obije się szerszym echem w mediach. W końcu bawił się w Boga! To zawsze dobrze się sprzedawało w telewizji, radiu i w gazetach. W niedzielę doszedł jednak do wniosku, że świat zszedł na psy, a media emitują już tylko materiały, za które ktoś im zapłacił. Podjął więc decyzję, że tym razem zaszerwuje społeczeństwu coś, co nie tylko przerazi i zaszokuje, ale i wprost pokaże, jak ogromna jest skala problemu, na który chce zwrócić uwagę.

*

– Pani Aleksandra Wilk?

Na dzień dobry zamordowałabym tych wszystkich, którym obce są zasady *savoir-vivre* 'u. Jeśli ktoś do mnie dzwoni, to najpierw powinien się przedstawić, a potem dopiero pytać, czy ja to ja.

– Słucham?

– Aldona Andrzejewska, dzwonię ze szkoły.

– Boże, czy coś się stało?

Od prawie siedmiu lat jestem matką ucznia, ale ciągle reaguję tak samo. Telefon ze szkoły sprawia, że moja wyobraźnia projektuje katastroficzny obraz. Moje dziecko leży nieprzytomne na zimnej szkolnej posadzce. Albo leci mu krew z nosa, bo ktoś uderzył je drzwiami...

– Czy Kubie coś się stało?

– Nie – odpowiada kobieta. Wypuszczam powietrze z płuc i słyszę ciąg dalszy. – Z Kubą nie. Dzwonię ze szkoły Weroniki.

– Boże, z Weroniką...

– Nie, nic jej się nie stało – przerywa mi gwałtownie. – To znaczy doszło dziś rano do pewnego incydentu, o którym chciałam panią zawiadomić.

Incydentu? Świetnie. Wczoraj tłumaczyłam się w szkole Kubie, dziś będę słuchać skarg ze szkoły Wery.

– Weronika bardzo się zdenerwowała, bo odwiedziła ją dziś kobieta. Pani córka mówiła, że to jej ciotka, ale nie chce, żeby ta ją nachodziła i że chodzi o konflikt rodzinny.

Zdenerwowała się tak bardzo, że była u higienistki, a potem przyszła do mnie. Jestem szkolnym psychologiem. Porozmawiałyśmy i już jej lżej, ale pomyślałam, że na koniec naszej rozmowy zadzwonimy do pani...

Szkolny psycholog? Weronika alergicznie reaguje na wszystko, co pachnie psychologią. Jeśli dotarła do psychologa, to naprawdę musiała się zdenerwować.

– Dziękuję pani za telefon i za to, że zajęła się pani Weroniką. Dobrze zrozumiałam, że jesteście jeszcze razem?

– Tak.

– Czy mogę z nią porozmawiać?

– Oczywiście.

Kilka trzasków w słuchawce najwyraźniej oznacza, że telefon przekazywany jest z rąk do rąk.

– Mamo? – Weronika brzmi na zmęczoną.

– Cześć, aniołku! Bardzo się cieszę, że cię słyszę.

– Ciotka Ilona tu była. Powiedziała pani, że nie chcę, żeby ją tu wpuszczano.

– Dobrze, kochanie. Bardzo dobrze. Nic ci nie zrobiła?

– Nic, tylko znowu udawała, że jest super. Ale wygarnęłam jej. Tata nie byłby ze mnie dumny.

– Tata zawsze nam powtarzał, że najważniejsze jest to, żeby żyć w zgodzie ze sobą. Jeśli poczułaś, że musisz powiedzieć to, co myślisz, to nie ma w tym nic złego. Kochanie,

a może zwolnię cię z lekcji w tym tygodniu, co? Przyjedziesz do domu?

– Nie, mam, w piątek rano mam ważne zawody.

– W takim razie zaraz po zawodach cię odbiorę. Przyjedziemy razem z Kubą i zabierzemy cię do Poznania.

Weronika się zgadza i dopytuje o szczegóły przyjazdu. Przyda nam się chwila odpoczynku, wspólnego spędzenia czasu, leżenie do góry brzuchem i rozmowy na te wszystkie tematy, o których ostatnio nie mieliśmy czasu rozmawiać.

Odkładam telefon, spoglądam do kalendarza, myśląc, jak to wszystko zorganizować. Rozważania przerywa mi dzwonek do drzwi.

Podchodzę do nich i wyglądam przez wizjer. Na pierwszym planie widać obcego mężczyznę. Za nim stoi para w średnim wieku.

Otwieram drzwi.

– Dzień dobry, nazywam się Artur Nowaczewski, jestem z agencji Twój broker, a to państwo zainteresowani zakupem mieszkania. Możemy je obejrzeć?

*

Tomasz Chmielewski nie miał tego dnia zbyt wiele zajęć. Zaproponował nawet Urszuli, że pójdzie z nią na spotkanie z pedofilem, którego podejrzewała o zabójstwo sprzed lat, ale stanowczo zaprotestowała. Zadzwoił więc kontrolnie do zespołów śledzących wytypowanych anestezjologów i kiedy usłyszał od jednego z policjantów, że obserwowany przez niego klient zachowuje się co najmniej dziwnie, postanowił dołączyć do ogona.

Pierwsza ofiara zabita została we wtorek, druga w środę, trzecia w czwartek. W piątek zabójca zrobił sobie wolne. W sobotę zabił Krupę, w niedzielę zbierał siły, by zaatakować w poniedziałek. Chmielewski był przekonany, że po wtorkowym odpoczynku sprawca spróbuje zabić kolejnego parafilika właśnie dziś.

Wszystko miał pod kontrolą. Wydawało mu się, że przewidział wszystko.

Z takim przekonaniem wsiadł do samochodu, w którym siedział jeden ze śledzących zespołów.

– Siema, jak jest?

– Za krótko go obserwujemy, żeby wyciągać wnioski, ale wydaje się, że facet do czegoś się przygotowuje.

– Albo ma ADHD – dodał drugi, siedzący na miejscu pasażera policjant. – Zobaczcie, wychodzi!

Rzeczywiście – mężczyzna opuścił właśnie budynek szpitala i zmierzał do swojego samochodu.

– Kurwa, myślałem, że chociaż tutaj będziemy mieli trochę spokoju, przecież powinien siedzieć w pracy. Rysiek, weź sprawdź, o co chodzi.

– Dobra, to jedźcie za nim, a ja pogadam z ludźmi ze szpitala.

Rysiek wysiadł i trzasnął drzwiami, a policjant siedzący za kierownicą ruszył za obserwowanym.

– Jest nerwowy, jakby nie mógł usiedzieć na miejscu. Wchodzi gdzieś, by wyjść po chwili. Nigdzie nie odpoczywa. Jedynie w nocy był w domu, ale też nie spał.

W pokojach świeciło się światło i widać było, że snuje się po kątach.

Michał przekazywał Tomaszowi kolejne informacje, które zgrabnie układały się w jedno: wizję zachowania zabójcy chwilę przed dokonaniem kolejnego zabójstwa.

– A ten drugi obserwowany?

– Tamten jest zupełnie normalny. Praca, dom, praca, dom. Wczoraj wieczorem wyszedł pobiegać, ale chłopacy nie stracili go z oczu ani na chwilę. Jest grzeczny jak aniołek.

Anestezjolog, którego przez szyby samochodu obserwował Tomasz, też nie wyglądał na potwora. Miał na sobie czarne dżinsy, czarną kurtkę i szarą czapkę. Nie rzucał się w oczy na ulicy. Właśnie wysiadał przed kwiaciarnią.

– Schematy, wszyscy żyjemy zgodnie z codziennymi schematami. – Michał się roześmiał. – A każde ich złamanie świadczy o tym, że dzieje się coś, co wychodzi poza rutynę.

Jeździli po mieście przez ponad godzinę. Zatrzymywali się w różnych miejscach.

Anestezjolog wychodził z samochodu, wchodził do różnych sklepów i biur, po czym wracał do auta najpóźniej po kilku minutach.

Tymczasem Rysiek zameldował, że anestezjolog rozmawiał z przełożonym o urlopie.

Wziął dwa dni na żądanie.

– Kolejny przystanek? Kurwa, bo pomyślę, że facet jest dilerem i rozwozi prochy po klientach.

Tym razem zatrzymali się przed cukiernią. Anestezjolog zniknął za szklanymi drzwiami, ale wrócił po chwili, trzymając w ręku papierowe zawiniątko.

– Kurwa! To on! – Tomasz zaczął kojarzyć fakty. – Jak nic przygotowuje się do zabójstwa. Kwiaciarnia. Sklep z bielizną. Cukiernia. Umawia się z ofiarami na takie niby-randki. Może znowu zamierza zabić kogoś, kto lubi rozsmarowywać na swoim ciele krem czekoladowy?

– Rozsmarowywać czy zlizywać? Bo wiesz, chciałbym wiedzieć, czy jestem w grupie ryzyka. – Michał znów zarechotał. – Osobiście nie miałbym nic przeciwko czekoladowej ścieżce na piersiach mojej pani.

*

Ilona kontrolowała emocje od momentu wyjścia ze szpitala. Starła się, by wszystkie okazywane były zbieżne z oczekiwaniami rozmówców. Nie czuła się z tym niekomfortowo. Lata życia z Pawłem nauczyły ją odpowiedniego podejścia do ludzi. Powtarzał jej, że jeśli chcą do czegoś dojść, to muszą liczyć tylko na siebie. I że bycie zbyt szczerym wobec społeczeństwa zawsze prowadzi do bólu i rozczarowania.

Nigdy nie traktowała dzieci Gabriela jak reszty społeczeństwa. Dzieci znajdowały się za murem oddzielającym jej świat od całego tego brudu, którego nie chciała zauważać. Dała im wszystko: uczucie, pieniądze, najdroższe zabawki, ale one, te małe wredne bachory, pokazały jej, że Paweł miał rację.

Opuściła Łódź z ogromnym ładunkiem emocjonalnym. Kiedy wjechała na autostradę, zobaczyła przed sobą przestrzeń i dwa szerokie pasy, poczuła, że właśnie tego było jej trzeba.

Szerokości.

Tak właśnie powinna pozbyć się wszystkich emocji. Szybko i konkretnie. Nie małym, kontrolowanym strumieniem, a porządnie i mocno.

Przyspieszyła i wybrała numer Pawła.

– Halo? – odezwał się jakoś tak miękko, że uznała, że to jest właśnie najlepsza chwila na powrót do tego, co nie powinno minąć.

– Cześć. To ja. Wracam z Łodzi. Dzwonię, bo...

– Bo?

– Bo myślałam o tym wszystkim, co się stało. Masz rację. Przegięłam z tymi dziećmi...

Tylko ty wiesz, jak mi zależało na tym, żeby urodzić nam dziecko. I to było chyba dobre, co? Ucieszyłbyś się ze swojego kłona, prawda?

– Gdyby miał moje oczy, nos i mądrość...

– No właśnie. Chciałam dobrze. Tyle że się pogubiłam. Skupiłam się na dzieciach Gabriela, zapomniałam o tobie.

– Ilona? Gdzie jesteś?

– Na autostradzie. Wracam z Łodzi. Rozmyśliłam się. Nie kupię tego mieszkania.

– Ale przecież chciałaś rozpocząć nowe życie. Wpłaciłaś zaliczkę...

– Ale już nie chcę. Wolę swoje stare. Z tobą. Paweł, kocham cię, chcę, żebyśmy popracowali nad naszym małżeństwem. Damy radę, prawda? Tyle nas łączy.

– Coś się stało w Łodzi?

– Zrozumiałam, że to bez sensu. Że bachory są niewdzięczne. Że wolę ciebie.

– Wkurzyły cię?

– Bardzo.

– I znowu próbujesz rozładować złość szybką jazdą?

– Nie – skłamała. Właśnie zredukowała bieg i wjechała na lewy pas. Zamierzała wyminąć ciężarówkę, która nie dość, że ciągnęła się z prędkością sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, to jeszcze ograniczała pole widzenia. Ilona chciała mieć przed sobą przestrzeń, by gdzieś na horyzoncie wypatrzyć perspektywę.

– Nie? – Roześmiał się, a jej spadł kamień z serca.

Jeszcze nie wszystko było stracone. Mogła go odzyskać.

– Nie. Nie wyładowuję złości, tylko się śpieszę. Porozmawiamy, wyjaśnimy sobie wszystko, może wyskoczymy razem na Malediwy?

– Nie.

– Nie?

– Nie mamy o czym rozmawiać, Ilona. – Jego ton nagle się zmienił.

– Paweł! Wiem, potraktowałam cię ostatnio okropnie, ale musisz mnie zrozumieć.

Byłam potwornie sfrustrowana. Paweł, przepraszam, to już nigdy się nie powtórzy.

– Ilona, ja nie mam już o czym z tobą rozmawiać. Nie będę się z tobą spotykał.

Agnieszka byłaby niezadowolona.

– Agnieszka?! Paweł, przecież ona jest młoda i nie ma tobie do zaoferowania nic poza jeszcze przez chwilę jędrnym ciałem.

– Kocham ją, Ilona!

Powiedział to, a ona jeszcze mocniej przycisnęła pedał gazu. Liczby na liczniku zmieniły się. Sto czterdzieści pięć, sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt pięć.

– Dobra, przeżyję to jakoś. – Starła się trzymać obranej strategii. Zawiodła go, wielokrotnie raniła. Widocznie musiała teraz przyjąć odpowiednią porcję ciosów. – Zamroczyło cię, nie ma sprawy. Uznajmy, że to kryzys wieku średniego.

– Nie, Ilona. To prawdziwa miłość. Poza tym Agnieszka jest w ciąży. W końcu będę ojcem. Rozumiesz to?

W ostatnim pytaniu zawarł tyle radości, że nie miała siły nawet przerwać połączenia. Odrzuciła komórkę na siedzenie. Jego słowa zabolowały ją tak bardzo, że na chwilę przestała oddychać.

– Nie! – krzyknęła, a później powtórzyła to jeszcze kilka razy.

Nie mogła pozwolić, żeby ból psychiczny odbierał jej oddech. Uderzyła się w twarz. Prawie tego nie poczuła.

Pomyślała, że zjedzie na pobocze, zatrzyma samochód i kilka razy uderzy głową w kierownicę. Chciała poczuć ból. Że doznaje czegoś, co naprawdę istnieje. Miała dość cierpienia duszy.

Skręciła kierownicą w prawo i w chwili, w której usłyszała ogromny huk, przypomniała sobie, że nawet nie zerknęła w lusterko boczne, nie mówiąc już o ograniczeniu prędkości.

Po huku pojawił się ból. Okropny, rozrywający ból. I ulga, że dobrze się stało, bo i tak umarłaby, gdyby kiedyś przyszło jej zobaczyć Pawła trzymającego na rękach swoje dziecko.

*

Klient zniknął w swoim mieszkaniu i od kilkunastu minut z niego nie wychodził. Dochodziło południe, a Tomasz w myślach rozważał poszczególne warianty postępowania.

Jeśli przyjąłby, że sprawca działa według tego samego modus operandi, to mógłby założyć, że kolejna ofiara umrze dopiero wieczorem. Czas zgonu wszystkich dotychczasowych ofiar określony został na przedział między dwudziestą a dwudziestą trzecią.

Oznaczało to, że wejście do mieszkania sprawcy teraz nie będzie tak spektakularne, jak zaskoczenie go wieczorem, już w trakcie odgrywania swojego rytuału.

Największy efekt zarówno na przełożonych, jak i na mediach zrobiłaby informacja, że Tomasz udaremnił plany mordercy i złapał go na gorącym uczynku. Sprawa byłaby czysta również dla prokuratora.

Istniało jednak ryzyko, że do wieczora zgubią anestezjologa, rano odnajdą kolejnego trupa, a gnida zapadnie się pod ziemię.

– Dobra, nie ma wyjścia. Wchodzimy – zdecydował. Wybrał mniejsze zło.

– Wezwać wsparcie? – spytał Michał.

– Chyba damy sobie radę z tym anestezjologicznym chucherkiem, co?

– Jasne.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby oboje zrozumieli, że przyszedł czas działania.

Wyszli z samochodu, bez słowa pokonali klatkę schodową i stanęli przed drzwiami numer trzy.

Tomasz zapukał.

Brak reakcji sprawił, że ponowił pukanie.

Po trzecim razie usłyszeli szuranie kapturami w przedpokoju i przekręcanie zamka.

Kiedy drzwi się otworzyły, nie zadawali zbędnych pytań. Byli do tego szkoleni.

Zdziwiony mężczyzna nie wyglądał groźnie, jeśli jednak był zabójcą, którego szukali, to nie mogli pozwolić sobie na ani jedną chwilę nieuwagi.

– Policja! – krzyknął Tomasz, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Michał wszedł zaraz za nim i nie bacząc na reakcję mężczyzny, założył mu kajdanki i zaczął przeszukiwać.

Tomasz widząc, że Michał zajął się anestezjologiem, wszedł głębiej do mieszkania, żeby sprawdzić, czy mężczyzna jest sam.

Wszystkie pomieszczenia były puste. Na ławie w pokoju leżały fiołki z lekarstwami, męska szaszetka na pas wypełniona fabrycznie zapakowanymi igłami i strzykawkami.

Tomasz włożył rękawiczki i sięgnął po jedną fiołkę.

– Pankuronium – odczytał nazwę z etykiety.

– Siadaj! – Michał wprowadził mężczyznę do pokoju i pchnął go w kierunku kanapy.

– Jest pan zatrzymany jako podejrzany o dokonanie serii zabójstw.

– Panowie, to jakaś pomyłka! – Mężczyzna odpowiedział łamiącym się głosem.

– Pomyłka? Kwiaty, ciastka... Szykowałeś się na miły wieczór, co?

– Nie!

– I taki zapas pankuronium? Osiem ampułek, no, no... Też na wieczór?

– Panowie, to jakaś pomyłka! – zawył ponownie anestezjolog.

– Pomyłka? Chcesz mi powiedzieć, że przez pomyłkę zabijasz niewinne osoby?

– Nie jestem niewinny. Mam swoje za uszami. Moja dziewczyna o tym nie wie. Matka też nie. To dla nich są te kwiaty. Kwiaty i list...

Mężczyzna się popłakał, a Tomasz spojrzał najpierw na stojące w wazonie kwiaty.

Rzeczywiście składały się z dwóch podobnych bukietów.

Potem jego wzrok padł na leżący obok fiołek list. Kończył się słowami: „Żegnam i przepraszam”.

Wreszcie spojrzał na zawodzącego mężczyznę. Kajdanki miał zapięte z tyłu, więc wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale teraz przyjrzał się jego lewej ręce. Nad zgięciem

łokciowym mężczyzna miał zaciśniętą opaskę uciskową, a na stole leżała strzykawka z igłą.

– Co pan chciał zrobić? – spytał Tomasz. – W czym panu przeszkadziliśmy?

– Ja już mam dość. Takiego życia. Pracy. Wszystkiego. Jestem do dupy. I zabić się też zwyczajnie nie umiem...

*

Urszula odebrała od Tomasza wiadomość, że wiozą anestezjologa na komendę kilka sekund przed tym, jak weszła do mieszkania Ireneusza Olendrowicza.

– Znowu pani?

– Niestety. Zajmę panu jeszcze chwilę. – Weszła do środka, nie czekając na odpowiedź.

Spojrzała w kierunku pokoju. Zauważyła, że na stole stoi butelka najtańszego jabola.

Podejrzewała, że nie jest zbyt pełna, bo Olendrowicz dość mocno się chwia.

Zrezygnowała więc z przejścia głębiej. Złapała drzwi i zamknęła je.

– Chwi... Chwileczkę! – próbował zaprotestować. – Nie mamy o czym rozmawiać.

– Wydaje mi się, że jednak mamy. Pan spojrz. – Podeszła do niego na tyle blisko, że poczuła woń strawionego alkoholu.

Wypacał nadmiar alkoholu, co oznaczało, że musiał pić od kilku dni. Przez głowę przemknęła jej myśl, że mógł być pod wpływem alkoholu także w momencie dokonywania gwałtu i zabójstwa.

Cofnęła się pół kroku, ale wcisnęła Olendrowiczowi przed oczy kopie trzech zdjęć z osiemdziesiątego siódmego roku. Rozerwane krocze dziewczynki. Kopczyk, w którym została znaleziona. Odkopane ciało nagiej dziewczynki.

– Poznaje pan?

– Co mi pani takie rzeczy pokazuje?!

– Pamięta pan, jak to było?

Pokręcił głową. Z jego ust wydobyło się głośnie beknięcie, a do Urszuli doleciał odór alkoholu i kiełbasy.

– Leżała tam taka niewinna, w białej sukience... Patrzyła na pana z ufnością, prawda? To dlatego przysypał pan ją kwiatami?

– Niech pani już idzie.

– Nadal robi to na panu wrażenie. Nie żałuje pan? – Nie zamierzała odpuścić. Po rozmowie z policjantem, który po raz pierwszy wsadził Olendrowicza do więzienia, pojechała spotkać się z seksuologiem, który pracował z osadzonym. Doktor Madejski był już na emeryturze, ale zwrócił uwagę Urszuli na to, że pedofile dzielą się na preferencyjnych i regresyjnych.

Dla pedofili preferencyjnych dziecko jest wyłącznie obiektem zaspokojenia żądz.

Działają z premedytacją, a ciało dziecka jest dla nich czymś w rodzaju fetyszu.

Organizują oni całe swoje życie wokół dewiacji i często wykazują się cechami

psychopatycznymi.

Pedofile regresyjni sami czują się trochę dziećmi. Dla nich czynności zmierzające do zaspokojenia parafilii nie mają nic wspólnego z dominacją. To raczej proces uwodzenia i zapraszania do swojego świata kogoś, kto wydaje im się w miarę równy. Często chcą obcować ze swoimi ofiarami nie tylko fizycznie.

Olendrowicz, według Madejskiego, należał właśnie do tej drugiej grupy. Był naiwny, wrażliwy emocjonalnie i szukał w swoich ofiarach nie tylko zaspokojenia popędu seksualnego, ale przede wszystkim zadurzał się w nich.

Terapia polegała na pracy nad odzyskiwaniem czucia i uzmysłowieniem mu, że zadał krzywdę nie tylko dziecku, ale także sobie. Bo przecież przemoc wobec kogoś bezbronego na pewnym poziomie jest także traumatyczna dla osoby, którą tę przemoc zadaje.

– Marysia musiała być wtedy przerażona. Błagała, żeby pan ją wypuścił? Żeby przestał pan robić jej krzywdę?

– Nic jej nie zrobiłem! Wynocha!

Olendrowicz podszedł do drzwi i je otworzył. Urszula na to właśnie czekała. Stała w drzwiach tak, żeby uniemożliwić ich zamknięcie, obejrzała się za siebie, skinęła głową i spojrzała w oczy Olendrowicza.

Trzymał się jak na pedofila przystało. Od lat nosił w sobie dwa światy – ten, który pokazywał wszystkim naokoło i ten, który ukrywał bardzo głęboko w sobie. Seksuolog doradził Urszuli, że jedynym sposobem dotarcia do pedofila regresyjnego po tylu latach będzie uruchomienie jego poczucia winy.

Po rozmowie z seksuologiem Urszula nie bardzo wiedziała, jak wykorzystać zdobytą wiedzę, ale podczas wizyty u Sylwii Małeckiej ją oświeciło.

– Zaraz wyjdę. Nie chce pan ze mną rozmawiać? Rozumiem. Ale przyszedł ze mną ktoś, kto chciał pana zobaczyć.

Do mieszkania weszła Sylwia Małecka, trzymając córkę za rękę.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczynka.

Olendrowicza sparaliżowało. Najpierw zaczął przecierać oczy ze zdumienia, a później poszedł do pokoju, złapał butelkę z winem, pociągnął kilka sporych łyków i wrócił do przedpokoju.

– To ty? Marysiu, to ty?! – Olendrowicz pytał, klękając przed dziewczynką. Oglądał jej oczy, włosy, ręce, tułów, nogi. – To ty, Marysieńko? Ty żyjesz... Ty jednak żyjesz! – Miał łzy w oczach.

Nie zwracał uwagi na Urszulę i Sylwię. Wpatrywał się w dziewczynkę, jakby zobaczył właśnie Matkę Boską. Z uwielbieniem, samozadowoleniem, niedowierzaniem i miłością.

Urszula podniosła z ziemi rzucone przed chwilą zdjęcia Marysi i podała je Olendrowiczowi.

– To kopie, może je pan sobie zostawić.

Spojrzał na nie. Zerkał to na dziewczynkę, to na zdjęcia.

– Dlaczego? Dlaczego nie dałaś znaku życia? Nie zakopywałbym cię. Byłaś dla mnie wszystkim... – Wyciągnął rękę w stronę twarzy dziewczynki, ale nie zdołał jej dotknąć.

Sylwia stojąca obok córki zareagowała w porę i odsunęła dziewczynkę w stronę wyjścia.

– Chwileczkę! – zaprotestował. – Przecież my się z Marysią znamy i lubimy, prawda?

– Nie znam pana. – Słowa dziewczynki zmroziły Urszulę.

Nie tak się umawiały. Jej córka miała tylko wejść, pokazać się Olendrowiczowi i nie wchodzić w żadne interakcje. Kobieta zgodziła się, chociaż dość długo się opierała.

Urszula zapewniła ją, że będzie czuwać nad bezpieczeństwem dziewczynki.

– Nie znasz mnie? – Olendrowicz się zaśmiał.

To nie było przyjacielskie rozbawienie. Raczej diabelski chichot. Oczy mężczyzny zmieniły się, a Urszula postanowiła interweniować. Stała między mężczyzną a dziewczynką, dając Sylwii znak do odwrotu.

Kobieta zaczęła iść w stronę wyjścia, lecz Olendrowicz rzucił się za nią.

– Nie znasz mnie? Po tym wszystkim? Wiesz, ile razy o tobie myślałem? Dręczyłaś mnie przez te wszystkie lata! I jestem na ciebie zły! Gdybyś mnie posłuchała... Gdybyś się nie wrywała... Nie stałaby ci się krzywda! Wszystko byłoby dobrze! Kochałem cię przecież, ale wiedziałem, że nie mogę ci ufać! Pozwoliłaś, żebym myślał, że cię zabiłem! A ty rosłaś i piękniałaś z każdym dniem!

*

– Co na obiad?

Marek jak zwykle wpadł do domu w tym samym celu. Nie chciało mu się iść do sklepu i kupować po raz kolejny obiadowego zestawu pierwszej pomocy: słoika z czymś, co smakowało jak breja, której smak sugerowała jedynie etykieta.

– Nie mówiłeś, że będziesz jadł z nami.

Matka nie lubiła zaskoczeń, ale od dwóch lat uczył ją, że w końcu powinna się z nimi oswoić, bo jeśli będzie zmuszony uprzedzać o swoich wizytach, to po prostu przestanie ją odwiedzać.

– Podobno to nadal mój dom, i jest otwarty jak lodówka dwadzieścia cztery ha.

– Nie no, oczywiście, Mareczku. Mam dziś ogórkową. – Nie spieszyła się z przejściem do kuchni, jakby nauczyła się już, że po zaspokojeniu potrzeby Marek wyfruwa z gniazda, nie czując przymusu rozmowy z rodzicami.

– Ojciec jest?

– Nie, dziś w szpitalu.

Marek przeszedł do kuchni. Matka pomaszzerowała za nim, ale zamiast zająć się odgrzewaniem zupy, usiadła naprzeciwko niego przy stole i zaczęła głośno wzdychać. Nauczył się już, że takie zachowanie miało wymusić na nim pytanie.

– Czym się martwisz? – W końcu je zadał.

– Ojciec był przepytywany przez policję.

– Ooo, dlaczego?

– Wzięli jego odciski palców. Chodzi o jakiś zgon. Początkowo myślałam, że to sprawy

związane ze szpitalem. No wiesz, może ktoś mu zmarł na stole operacyjnym i teraz szukają kozła ofiarnego, ale chyba jednak to nie to.

– A co?

– Nie wiem. Była tu wieczorem ta psycholożka. No ta, mówili o niej w telewizji.

– Była? Po co?

– Pytała, czy ojciec się dziwnie nie zachowuje... Zostawiła mi wizytówkę, gdybym sobie coś przypomniała.

– Ale jak dziwnie?

– No nie wiem. Nie powiedziała tego wprost, ale odniosłam wrażenie, że chodzi o ten tego... – Spojrzała na niego dość wymownie.

– Nie rozumiem. Jakże ten tego?

– No ten tego.

– Ten tego?

– O seks! – powiedziała cicho i zasłoniła sobie usta rękoma.

– O seks?

– Ja wiem, że ojciec jest niewinny. Nikogo nie zabił, przecież praca jest dla niego wszystkim, ale ta kobieta patrzyła na mnie w taki sposób, że zaczęłam szukać dziury w całym... Wiem, głupia jestem, że w ogóle o tym myślę, ale czy ty widziałeś, żeby ojciec robił coś dziwnego?

*

– Nie był pan umówiony?

Twarz mężczyzny stojącego w drzwiach gabinetu wydaje mi się znajoma, ale nie mogę przypomnieć sobie nazwiska.

– Nie. Ja tylko na chwilę. Była pani u mojej matki i zostawiła to...

Pokazuje mi moją wizytówkę. Szybko przeszukuję w pamięci ostatnie dni. Ostatni raz wizytówkę dałam Waligórskiej.

– Proszę. – Zapraszam go gestem do środka. – Niestety nie uprzedził mnie pan, że przyjdzie, więc nie mam zbyt wiele czasu.

– Nie szkodzi. Nie zajmę pani więcej niż pięć minut.

Zamykam za nim drzwi, oglądam się, a on już siedzi na fotelu, który zwykle wskazuję klientom.

Jego twarz dobrze komponuje się z uspokajającym wnętrzem. Bywał już u mnie wcześniej.

– Słucham.

– Podobno pytała pani o ojca. O dziwne zachowania... Czy mogłaby pani sprecyzować, o jakie zachowania chodzi? Matka jest z nim od lat i pewnych rzeczy nie chce widzieć, ale ja... Ja widzę wszystko.

– Co dokładnie? Co pana niepokoi?

– No właśnie jego dziwne zachowanie. Wie pani... Ma tajemnice. Zaczęłam się im

kiedyś przyglądać. Spytałem raz, co robił, kiedy wrócił do domu podekscytowany. Powiedział, że biegał, ale jestem nieufny. Stosuję w życiu zasadę trzech punktów podparcia. Jedna osoba może cię oszukać, dwie mogą wprowadzić w błąd, dlatego wszystkie istotne informacje, które do mnie docierają, sprawdzam w trzech niezależnych źródłach.

Zasada trzech punktów podparcia? Zasada stosowana we wspinaczce przełożona na życie codzienne? Kiedy przychodził do mnie na terapię, też wspominał o tej zasadzie. Zwykle łączę twarze z problemami, o których mi opowiadają. Zapamiętuję też nazwiska i imiona, ale to już w oderwaniu od twarzy. Odkładają się w mojej pamięci. Właśnie odnajduję w niej jego problemy.

– Sprawdziłem. Z tym jego bieganiem coś jest nie tak.

– Rozmawialiśmy już kiedyś, prawda? Był pan moim klientem.

– Zgadza się. – Mężczyzna uśmiecha się onieśmielony. Jego niebieskie oczy skrywają tajemnicę. – Ponad rok temu.

– Ale nie ukończyliśmy terapii. Pan... – Zaczynam się, bo nie pamiętam jego imienia.

Wiem o nim dużo. Zwłaszcza to, że gdy miał osiemnaście lat, zdiagnozowano u niego nowotwór. Wprowadzono go w śpiączkę, a po kilku miesiącach, kiedy się obudził, okazało się że nie pamięta niczego. Swojego życia, rodziców, emocji, szkoły, przyswojonej wiedzy. Był czysty jak kartka papieru i nikomu o tym nie powiedział.

Trafił do mnie, próbując poradzić sobie z problemami partnerskimi. Poznawał kolejne dziewczyny, a kiedy ich znajomość przechodziła z fazy: „Jak cudownie jest się z tobą spotkać” do fazy: „Co dalej, może zamieszkajmy razem?” – wpadał w panikę.

Nie wiedział, co jest jej powodem. Poszukiwaliśmy odpowiedzi także podczas spotkania z jego rodzicami. To po nim przestał do mnie przychodzić.

– Marek...

– Pamiętam pana, panie Marku. Amnezja wsteczna. Problemy z nawiązywaniem głębszych relacji. Dotarliśmy do tego, że fizycznie jest pan dorosłym mężczyzną, a emocjonalnie zaledwie piętnastolatkiem...

– To było trudne doświadczenie. Proszę mi wybaczyć, że nie uprzedziłem pani, że rezygnuję z terapii.

Nie zdziwiło mnie to wtedy. Marek Waligórski miał emocje piętnastolatka. Od czasu wyjścia ze śpiączki na nowo uczył się świata. Nie pamiętał przecież nic. Relacji z rodzicami. Swoich pierwszych miłości, bójek, kłótni z rówieśnikami. Nie potrafił więc stawiać czoła trudnym sytuacjom, dokładnie tak samo jak większość piętnastolatków.

– Było, minęło. Co z ojcem?

– Dlaczego pani o niego pytała?

– Bo... – Nie, nie mogę mu powiedzieć o podejrzeniach. – Bo wiem, że pana problemy z kobietami nie wiązały się jedynie z problemem amnezji... Między panem i ojcem istniało negatywne napięcie.

Zapisałam sobie w kartotece, że sposób, w jaki ojciec patrzył na syna, a syn na ojca, miał w sobie tyle tłumionej przez lata złości, że może problemy Marka z kobietami spowodowane są nie tylko amnezją, ale również molestowaniem seksualnym. Nie zdążyłam nigdy zweryfikować tej hipotezy, bo Marek po sesji z rodzicami przestał mnie

odwiedzać.

– Negatywne napięcie?

– Czy zauważył pan kiedyś, że ojciec ma specyficzny... stosunek do dzieci? – Już chyba nie stać mnie na więcej subtelności.

– Pyta pani o to, czy ojciec jest pedofilem?

Zaskakuje mnie jego postawa. Nie wydaje się ani onieśmielony, ani speszony, ani zawstydzony.

Pukanie do drzwi przerywa nam wpatrywanie się w siebie nawzajem.

Spoglądam w ich kierunku.

– Przepraszam, myślałam, że jest pani sama. – Krótka przystrzyżona damska głowa przypomina, że nadeszła pora na kolejną klientkę.

– Już, już, pani Małgosiu. Zaraz kończymy, proszę o chwileczkę.

Głowa znika za drzwiami, a Marek Waligórski unosi się z fotela.

– Przepraszam, zasiedzialem się.

– Nie odpowiedział pan na pytanie.

– Swoje czy pani? – Patrzy na mnie w taki sposób, że wiem, że nie powinnam się odzywać. Jest gotowy do kontynuowania, próbuje tylko podkręcić napięcie. – Tak, mój ojciec jest pedofilem. Wszyscy o tym wiemy, i ja, i matka, ale ona tego nie chce zauważyć.

– Dziękuję. Dziękuję, że pan do mnie przyszedł. – Ściskam jego dłoń, odprowadzam go do wyjścia i informuję, że gdyby miał ochotę wrócić na terapię, to zapraszam.

Proszę kobietę z poczekalni do gabinetu i uciekam z telefonem komórkowym do łazienki.

Jak najszybciej muszę dać znać Urszuli, że Waligórski jest parafilikiem. Ta informacja wiele zmienia. Kto inny może zabijać osoby mające parafilie, jak nie parafilik, który dobrze wie, jak mocno człowiek może odczuwać cierpienie z powodu swojej dewiacji? Może on chce im pomóc, skoro nie potrafi pomóc sobie?

*

– Mów.

Tomasz niechętnie wyszedł z pokoju przesłuchań, ale widział na ekranie komórki, że Urszula próbuje się do niego dodzwonić już kolejny raz.

– Wiem, że macie anestezjologa, ale to na bank nie jest ten, którego szukamy. – Urszula była podekscytowana.

– A ty skąd wiesz? Założyłaś mi pluskwę czy co? Miałaś się zająć dziś swoim archiwalnym pedofilem.

– I zajęłam się nim. Chłopcy go zgarnęli. A jak wasz anestezjolog zwinięty z domu?

– Wzięliśmy go na przesłuchanie i kurwa, faktycznie. Okazało się, że przeszkadziliśmy mu w żegnaniu z tym światem. Wyobraź sobie, że gościu chciał strzelić sobie samobója. Przygotowywał się do tego, a my mu wlecieliśmy na chatę. Masakra. Tak jak mówisz, to

na bank nie jest ten, którego szukamy. Wynosił ze szpitala pavulon, bo chciał je sobie wstrzyknąć w ostatnią drogę... Jest tak bardzo skupiony na sobie, że nie byłby w stanie zorganizować tylu zabójstw. Ma też alibi na wszystkie wieczory. Od tygodnia regularnie kłóci się na zmianę, to ze swoją matką, to z kobietą. Swoją drogą... Gadałem też z tymi babami. Ulka, nie dziwię się, sam bym popełnił samobójstwo z takimi dwiema.

– Dobra, teraz się skup. Rozmawiałam z Aleksandrą, u której przed chwilą był syn tego drugiego obserwowanego anestezjologa. Wiesz, że facet jest pedofilem?

– Czeka, czeka. Który? Syn czy ojciec?

– Ojciec! Kumas? Dzwon do chłopaków, którzy go obserwują. Niech go zgarną i przywiozą na dołek. Musimy go wziąć w obroty. Tomasz, to on! To on jest mordercą!

– Pedofil z dostępem do pavulonu? Kurwa, a to miał być taki luźny dzień. Dobra, dzwonię.

– Wracam na komendę.

Urszula się rozłączyła, a Tomasz podszedł do choinki, która pojawiła się już na korytarzu. Z bliska wyglądała jeszcze gorzej. Była niska, wypłowiata i miała tyle wspólnego z prawdziwą sosną, co coroczne świętowanie Wigilii w polskim domu ze świętowaniem, które emitowano w tym czasie w telewizji. Huczne przyjęcia, radość ludzi z rodzinnych spotkań, wyjazdy do Nowego Jorku, białe koszule i postanowienia zmian.

Tomasz miał zwykle pod koniec grudnia jedno postanowienie. Dotrwać do świąt, wypić dużo na sylwestra i wrócić do pracy w nowym roku, niekoniecznie z nową energią. Wizja zamknięcia seryjnego mordercy przed świętami była na tyle atrakcyjna, że bez zwlekania wybrał numer.

– Czołem, Chmielewski z tej strony. Zawijajcie delikwenta i przywoźcie go do nas na Szylinga. Musimy z nim porozmawiać.

– Jest tylko jeden problem.

– Nie jestem ani waszym przełożonym, ani matką... Nie będę rozwiązywał waszych problemów, wystarczająco dużo mam swoich. Czekam.

– Problem w tym, że go nie ma.

– Jak to, kurwa, nie ma?!

*

– Dobrze, że jesteś. Idziesz ze mną.

Informacja o tym, że policjanci śledzący Stefana Waligórskiego od kilku godzin nie mogą ustalić, gdzie przebywa mężczyzna, którego powinni mieć na oku, dotarła do Urszuli chwilę po tym, jak minęła próg komendy policji. Nie zdążyła nawet dotrzeć do swojego biurka.

– Dokąd?

– Waligórski zerwał się chłopakom ze smyczy. Szukają go. Pojedziesz ze mną do żony anestezjologa, może wyciągniemy z niej coś, co pomoże nam go odnaleźć.

– *Fuck!* – Urszula spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta. – Jak to zerwał się ze smyczy? Kto go obserwował? Jakies nieopierzone dupki? Pierwszy lepszy lekarz robi ich w chuja?!

Dotarli do samochodu Tomasza. Policjant usiadł już za kierownicą i czekał, aż ona wejdzie do środka.

Otworzyła drzwi i zapytała:

– Daleko jedziemy?

– A co? Jak daleko to dobrze czy źle? No dalej, wsiadaj!

Uległa. Zajęła miejsce pasażera, zapięła pas i zaczęła szukać czegoś do czytania.

Musiała odwrócić uwagę od podróży. Tomasz dodał gazu tak gwałtownie, że koła przez krótką chwilę buksowały na śliskiej nawierzchni.

– Zdajesz sobie sprawę, że brakuje nam tylko jednej ofiary? Zabije ją i zniknie!

– Nie musisz mi tego tłumaczyć. Zwykle zabija późnym wieczorem. Musimy go znaleźć do dwudziestej...

– Sprawdziliście telefon?

– Wyłączony, nie ma go ani w domu, ani w szpitalu, ani w okolicach przebywania pozostałych członków grupy terapeutycznej Aleksandry Wilk.

– Tego ostatniego jesteś pewien? Bo wiesz, żeby się nie okazało, że poznańscy policjanci nie radzą sobie z prostą obserwacją obywateli. Może kolejni stoją pod pracą jednego z członków grupy, podczas gdy ten dawno opuścił firmę i zabawia się teraz z naszym poszukiwanym?

Tomaszowi nie spodobała się ta wizja, bo spojrzął na Urszulę wymownie.

– A co ty taka zielona jesteś na twarzy?

Przyjęła jego stwierdzenie za pewnik. Nie wyobrażała sobie teraz kontrolnego spojrzenia w lusterko, bo wiązałoby się z koniecznością zauważenia ruchu, który odbywał się za oknami.

– Nie lubię jazdy samochodem – wyznała, po czym dodała, żeby zmiękczyć wyznanie: – Szczególnie nie lubię jazdy z tobą.

– Zupełnie nie rozumiem, ale spoko, jak chcesz. Mogę jechać wolniej, żebyś czuła się bezpieczniej.

– Nie – zaprotestowała. – To nic nie zmieni. Lepiej żebyś jechał szybciej, żebyśmy mogła jak najszybciej wyjść na zewnątrz.

– Dziwna jesteś – bąknął pod nosem.

Nie powiedział nic więcej, bo rozdzwoniła się jego komórka. Odebrał ją, mruknął kilka razy, po czym wyjął koguta i włączył go.

– Niekoniecznie tak szybko! – Chciała zażartować, ale jej nie wyszło.

Czuła się coraz gorzej. Atak zbliżającej paniki właśnie zeskokczył z wierzchołka lodowca i toczył się w jej kierunku. Nabierał pędu. Nie była pewna, czy zdąży uciec z samochodu, zanim się z nim spotka.

– Mała zmiana planów. Jedziemy na Asnyka.

Zanim weszła do budynku, pozbyła się treści, którą ściśnięty i spanikowany żołądek chciał wyrzucić z siebie już kilka minut wcześniej. Na szczęście Tomasz przemknął przez miasto tak szybko, że zwymiotowała na chodnik, nie na wypielęgnowaną tapicerkę samochodową.

– Dobrze się czujesz?

– Coś musiało mi zaszkodzić – odpowiedziała, obiecując sobie, że przy kolejnej nadarzającej się okazji wytłumaczy mu, że ma problem z podróżowaniem zarówno komunikacją miejską, jak i samochodem.

– Gotujesz sobie czy jesz na mieście?

Na to pytanie nie odpowiedziała. Pokonywali kolejne piętra w bloku numer dziesięć. To ten adres wskazał anonimowy obywatel, zawiadamiając o zwłokach, a znajdujący się najbliżej patrol policji podjechał i doniósł, że rzeczywiście pod wskazanym adresem można znaleźć trupa.

– Załatwmy to szybko, bo musimy znaleźć jeszcze anestezjologa.

Wypowiedziała pobożne życzenie i weszła za Tomaszem do mieszkania. Trup musiał być świeży, bo nie było czuć jeszcze specyficznego fetoru rozkładającego się ciała. Krótki i ciemny przedpokój prowadził prosto do jasnego kwadratowego pokoju. Część widoku zasłaniał Urszuli idący przed nią Tomasz.

Najpierw zwróciła uwagę na zielono-brązową wykładzinę. Później na jedną ścianę zabudowaną półkami pełnymi lalek. Porcelanowe brzydactwa z powykręcanyimi rękami i nogami, lalki szmaciane i plastikowe. Wszystkie były rozebrane, a w kącie leżała sterta kolorowych ubranek.

Miała złe przeczucia. To nie był pokój dziecięcy. Nagie lalki kojarzyły jej się jednoznacznie. Z szaleństwem.

– O kurwa!

Głos Tomasza sprawił, że spojrzała najpierw na niego, a później w kierunku, w którym patrzył. W przeciwległym rogu znajdowało się ciało nagiego mężczyzny. Plecami oparte o ścianę, z rękoma obejmującymi ugięte nogi i głową opartą o kolana. Denat znajdował się w pozycji embrionalnej, zupełnie jakby zwinął się w kłębek ze strachu.

– Zobacz, co ma na szyi.

Urszula nie mogła stać w miejscu. Włożyła rękawiczki, podeszła do łańcuszka złożonego z kuleczek. Wyglądał znajomo.

– Nie ruszaj! – zaprotestował kierownik techników.

– Muszę – odpowiedziała, jednocześnie pociągając za łańcuszek.

Jej oczom ukazał się nieśmiertelnik z ostatnim brakującym elementem oka Horusa.

Odruchowo złapała denata za włosy i uniosła jego głowę, tak, by zobaczyć twarz.

– O kurwa! – krzyknął Tomasz. – Przecież to ten anestezjolog! Kurwa! Nasz podejrzany! Miał być sprawcą, a nie ofiarą!

X

Czwartek

Kondukt pogrzebowy podążał przez cmentarz na Junikowie. Sącząca się z głośników karawanu „Sonata b-moll” Chopina wprowadzała żałobny nastrój. Dźwięki miały ciężar, siłę i smolisty kolor. Niosły ze sobą smutek i pytania, na które nikt nigdy nie doczeka się odpowiedzi. Nadawały też rytm maszerującym za trumną żałobnikom.

Sonata skończyła się i rozpoczęła na nowo dokładnie w chwili, w której kondukt dotarł do najbardziej przerażającego miejsca na świecie. Granicy pomiędzy światami. Między historią i współczesnością. Między poczuciem indywidualności a masową produkcją. Między niebem a piekłem.

Aleksandra wzdrygnęła się na myśl, że kiedyś też zostanie tu pochowana. W miejscu, które nie ma klimatu starego cmentarza; które nie zapewnia ani odrobiny intymności. Które wygląda raczej jak miejsce seryjnego pochówku ginących w walkach żołnierzy. – Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Głos księdza wyrwał ją z zamyślenia. Słowa, które wypowiedział, sprawiły, że podobnie jak na innych pogrzebach, znowu doszła do wniosku, że w życiu ma znaczenie jedynie tu i teraz. Miłość, przyjaźń i dobre samopoczucie. Bo po co męczyć się i brać za bary z życiem, skoro prędzej lub później trafi się do ziemi?

Mocny wiatr wiał żałobnikom prosto w twarze, czyniąc bałagan na głowach tych, którzy nie włożyli dziś czapek. Z determinacją atakował również folie, w którą zawinięte były pogrzebowe wiązanki.

Żałobnicy zaczęli podchodzić do grobu i składać na nim kwiaty.

Ilona zginęła w wypadku samochodowym siedem dni temu. Paweł Drzewiecki stał z boku z zupełnie obojętnym wyrazem twarzy i po kolei ścisnął dłonie podchodzących do niego osób.

– Nie wiem, czy przyjmujesz kondolencje – powiedziała, kiedy się do niego dopchała. Odpowiedział jej obojętnym kiwnięciem głowy.

Z jednej strony ulżyło jej, bo nie lubiła Ilony. Jej śmierć oznaczała dla Aleksandry jedno – koniec konieczności przeskakiwania przez kolejne klody, której rzucała jej bliźniaczka męża.

Z drugiej strony wiedziała też, że od ponad pół roku między Iloną a Pawłem nie układało się dobrze. Dziwiło ją zachowanie Pawła. Uczestniczył w pogrzebie, jakby chciał podkreślić, że był kochającym mężem, ale jednocześnie zachowywał się tak, jakby znajdował się na nieinteresującym go spotkaniu biznesowym.

– Wypadek samochodowy? – wydusiła z siebie pytanie, które zadawała sobie od tygodnia. – Podejrzone, nie sądzisz?

– Ilona lubiła szybką jazdę.

– Być może, ale to źle wygląda. – Ściszyła głos. – Wiesz, że jej nie lubiłam, ale najpierw ktoś pobił ją w samochodzie, a kilka dni po wyjściu ze szpitala zginęła w wypadku...

Patrzyła mu w oczy, bo wiedziała, że nie będzie stać go na szczerą odpowiedź. Łudziła się, że zobaczy ją w jego źrenicach. Nie zdążyła. Złapał ją mocno w pasie i przyciągnął do siebie, jakby się wtulał, chcąc ukoić rozpacz.

– Zostaw to – wysyczał. – Ciesz się tym, co masz. I pozwól się cieszyć innym. Za kilka miesięcy przepiszę na ciebie mieszkanie po Gabrielu. Nie szukaj dziury w całym. To ci się nie opłaca.

*

– *Fuck*. To jesteśmy w czarnej dupie. Prawdopodobny sprawca pięciu zabójstw tydzień temu zakończył życie, a pytania zostały bez odpowiedzi.

– Jak to prawdopodobny? Sprawca. Zabił ich, a na końcu siebie.

Siedzieli przy swoich biurkach i spoglądali to na siebie, to na stojącą między nimi poinsecję. Gwiazda betlejemska pojawiła się kilka dni temu. Przyniósł ją jeden ze śledczych, wielbiciel świątecznego klimatu. Urszula cieszyła się, że skończyło się na czerwonym kwiecie i żalostnej sztucznej choince w holu komendy. Gdyby ktoś zaczął puszczać kolędy przez radiowęzeł, wzięłaby L-4 i przeczekała, aż z otoczenia znikną zabójcze prątki świąt.

Nie lubiła świąt. W grudniu zawsze łapały ją myśli, że była tak bardzo skupiona na profilowaniu przestępców, że nie zdążyła przygotować profilu mężczyzny niemalże idealnego, z którym byłaby gotowa założyć rodzinę. Spędzała więc święta raczej samotnie, nie licząc odwiedzin u rodziców, którzy nawet w te dni nie ograniczali się z wyrażaniem krytycznych uwag dotyczących tego, jak potoczyło się życie ich córki.

– Wiem, że najwygodniej byłoby uwierzyć w wersję o samobójstwie – przyznała rację Tomaszowi. – W końcu znaleziono przy nim fiolki i strzykawkę. Mógł podać sobie śmiertelną dawkę trucizny i umrzeć w taki sposób, w jaki zabił swoje ofiary.

– Masz coś przeciwko temu, żeby było najwygodniej?

– Stefan Waligórski miał mnóstwo wrogów. Nikt go nie lubił. Był zadufanym dupkiem. I pedofilem. Ten pokój... i stwierdzenie naiwnej sąsiadki, że Stefan był dobrym

człowiekiem, bo dzieci go lubiły.

– Ta, rozbawiło mnie to jak cholera. Bo to on lubił dzieci, a nie one go. Zwabiał je na zabawki do mieszkania i realizował swoje chore fantazje.

– No właśnie. Wracając do sedna. Jestem przeciwna przyjęciu hipotezy o samobójstwie. Facet miał mnóstwo wrogów. Ktoś mu pomógł się zabić.

– Na miejscu zdarzenia nie ujawniono żadnych śladów. Nie było tam osoby trzeciej.

– To, że nie ujawniono, nie znaczy... Tomasz! – zniecierpliwiła się. – Wczytałeś się w notatkę pooględzinową? Sprawca mógł zatrzeć ślady. Na sucho. – Podała mu dokument, o którym mówiła.

Zerknął na niego niechętnie.

– Burzysz mi moją wersję. Nie mamy nic, co potwierdzałoby udział osoby trzeciej. Sąsiedzi nie widzieli nikogo obcego.

– Lew jak idzie to zaciera swoje ślady ogonem. Ale kto zatrze ślady ogona?

– Nikt.

– No właśnie. Zostaną, tak samo jak zostały na miejscu zdarzenia ślady tego, że sprawca wycierał przedmioty, których dotykał. Gdyby Waligórski chciał się zabić, to nie latałby ze szmatą i nie ścierał swoich paluchów z klamki, strzykawki i z fiolek.

– Jeśli założymy, że ktoś przyczynił się do śmierci Waligórskiego, wciąż nie zmienia to faktu, że ktoś musiał też wykończyć pięciu parafilików. Jeśli to anestezjolog ich zabił, a jego zabił ktoś inny, to znaczy, że powinniśmy tego kogoś znaleźć i mu podziękować, co?

– Bardzo śmieszne. Pamiętasz jeszcze o nieśmiertelniku? Waligórski miał go na szyi, inaczej niż poprzednie ofiary. Zawiesił go sobie? Był ofiarą czy sprawcą?

*

Przemek Garczyński był z siebie dumny. Udało mu się zrealizować swój plan w całości.

– Leżałam na podłodze i nie mogłam się ruszyć. To było okropne. Widziałam, byłam w pełni świadoma tego, co się dzieje wokół. Widziałam, że ten pan rozpina spodnie. Nie rozumiałam, dlaczego. Byłam przerażona. Płakałam, bo bałam się, że się rozchorowałam. A on mnie uspokajał. Mówił, że jest lekarzem, że musi mnie zbadać, że będzie przyjemnie. Rozpinał mi bluzkę...

Siedemnastolatka siedziała tyłem do kamery i opowiadała, co przydarzyło się jej dziesięć lat temu. Jej matka obserwowała ekran. Kontrolowała, żeby obraz nie nosił w sobie cech, które umożliwią widzom późniejsze zidentyfikowanie dziewczyny.

Przemek trafił na dziewczynę przez przypadek. Kiedy tydzień temu pojawił się na miejscu zabójstwa kolejnej ofiary z nieśmiertelnikiem, ustalił jej dane, a później rozpoczął swoje śledztwo polegające na przepytywaniu mieszkańców okolicznych bloków.

Wiedział, że zawsze na osiedlu znajdzie się ktoś – najczęściej starsza kobieta – kto,

niezależnie od pory dnia czy roku, siedzi przy oknie i prowadzi darmowy monitoring osiedla. Tak też trafił do mieszkania babci dziewczyny siedzącej teraz przed kamerą. To ona zaprowadziła go do babci, i ona sama dogoniła na klatce schodowej, żeby powiedzieć, że znała Waligórskiego.

– Mieszkałam blisko. Myślałam, że jest miły. Że może da mi jedną z lalek, skoro mówił, że ma ich tak dużo.

– Rozpinał bluzkę?

– Nie tylko. Zdejmował moje spodnie i majtki. Mówił, że musi zmierzyć temperaturę takim dziwnym termometrem, po czym wpychał się we mnie. Bolało. Płakałam. Chciałam do mamy, ale on tłumaczył, że jeśli powiem mamie, to ona zawiezie mnie do szpitala, a tam dużo lekarzy będzie chciało mnie zbadać i zmierzyć temperaturę.

– Powiedziałaś komuś?

– Nie! – Dziewczyna się rozplakała, ale Przemek nie zamierzał przerywać nagrywania. Uznał, że jeśli płacz będzie trwał zbyt długo, to najwyżej skróci go w trakcie montażu. Wiedział, że stacja telewizyjna, której sprzedaje swoje materiały, nade wszystko ceni czas antenowy. – Nikomu. Bałam się. Dlatego przychodziłam do niego. Bo on mówił, że mnie wyleczy. I dawał za każdym razem zastrzyk, mierzył temperaturę... Wiedziałam, wiedziałam, że coś jest nie tak. Że żaden dorosły mężczyzna nigdy przedtem nie patrzył na mnie w taki sposób! A kiedy mierzył mi temperaturę... To znaczy kiedy... kiedy we mnie wchodził... Miał taką okropną twarz. Zmienioną, jakby opuchniętą, zaczerwienioną. Ohydną.

– Twój oprawca nie żyje. Myślisz, że zasłużył na śmierć? – spytał, kiedy uznał, że dziewczyna za mocno się rozkleiła i że powiedziała już wszystko, co chciał zarejestrować.

Pytanie było mocne, ale nie mógł się powstrzymać. Gardził zbrojeńcami. Sam nie miałby problemu z odpowiedzią na tak zadane pytanie.

*

– Żona Waligórskiego zeznała, że według jej wiedzy mieszkanie po rodzicach było wynajmowane. Sąsiedzi zaprzeczają i mówią, że od dawna nikt tam nie mieszkał, że pojawiał się jedynie Stefan w towarzystwie dzieci. To nie była jednorazowa sytuacja. Ciągnęło się to latami. Ta kobieta była ślepa czy tylko nie chciała widzieć?

Nadal tkwili nad sprawą zabójstw parafilików. Urszula powoli czuła, że ma dość. Za oknem sywał śnieg, a z radia leciał właśnie najbardziej cukierkowy utwór świąteczny – „Last Christmas”. Nienawidziła go. Podeszła do odbiornika i zmieniła stację.

– Proszę cię, Tomasz! Żony pedofili czy innych parafilików często tego nie widzą. Parafilik bierze sobie na partnerkę kobietę, która, podobnie jak on, ma problemy z nawiązywaniem głębokiej i bezpiecznej więzi z drugim człowiekiem. Nie są ze sobą więc zbyt blisko. To znaczy nawet nie wiedzą, że nie są zbyt blisko, bo nie znają prawdziwej bliskości. Jej się wydaje, że to zupełnie normalne. Nie niepokoją jej dziwne

zachowania. Bo jej ojciec też się dziwnie zachowywał. Inni znani mężczyźni także.

– Może jednak widziała i miała dość? Zabiła go?

– Zabiła i upozorowała zabójstwo dokładnie tak samo jak przy poprzednich pięciu ofiarach? Niemożliwe. Poza tym żona i syn dają sobie wzajemnie alibi. Ustaliliśmy, że Waligórski zerwał się z naszej policyjnej smyczy. Wszedł do szpitala i wyszedł z niego niezauważony. Planował coś, w czym policyjny ogon by mu przeszkadzał. Ostatnią osobą, z którą rozmawiał przez telefon, był syn.

– Ale ten zeznał, że rozmowa dotyczyła prezentu gwiazdkowego dla matki, możemy więc odpuścić ten trop.

– Zginął w scenerii, w której odnajdywał seksualną satysfakcję. Nie umówił się w niej z dzieckiem, bo dziecko by go nie zabiło.

– Ale rodzic dziecka już tak. Musimy ustalić, kogo obecnie molestował. Wiemy, że zwykle używał dziecka kilka, czasem kilkanaście razy. Może któreś powiedziało swojej mamie, ta ojcu i ojciec przyszedł za dzieckiem?

– Dobra, ustalmy to, tylko że i tak wtedy złapiemy jedynie mordercę Waligórskiego. Co z poprzednimi zabójstwami?

– Przycisnęliśmy pozostałych dwóch członków grupy terapeutycznej. Są czyści. Może to on ich zabijał, a chichot losu sprawił, że ktoś inny zabił jego? Sprawdziliśmy bliskich ofiar, w razie gdyby ktoś z nich chciał się mścić. Nikt nie wiedział, że podejrzewamy Waligórskiego, bo właściwie podejrzewaliśmy go bardzo krótko... Wiesz co?

Urszula spojrzała na zegarek. Kręcili się w kółko, od ponad godziny roztrząsając wszystkie możliwe hipotezy.

– Nie wiem, ale muszę iść, mam coś do załatwienia.

Wyłączyła komputer, a Tomasz siedział przez chwilę w ciszy, a potem odezwał się, jakby właśnie dokonał odkrycia kolejnej planety w układzie słonecznym.

– Coś nie dawało mi spokoju. Już wiem, co! Każdy, dosłownie każdy, nawet najmniejszy przełom w sprawie zawdzięczamy... – zawiesił głos i spojrzał znacząco na Urszulę. – Zawdzięczamy tej twojej Aleksandrze. Dlaczego podjęliśmy decyzję o zgarnięciu Waligórskiego? Bo twoja koleżaneczka powiedziała nam, że Waligórski jest pedofilem. To mocno podejrzane. Nie mów, że nie odnosisz wrażenia, że ta baba sterowała naszym śledztwem od samego początku? Dawkowała informacje, udawała niewinną i miała romans z jedną z ofiar!

*

Teresa nie wiedziała, w co włożyć ręce. Przygotowania do świąt ruszyły pełną parą. Na kuchence dochodził rosół, w którym gotowała warzywa do sałatki. Na kuchennym blacie leżało rozwałkowane ciasto na pierniki, a Jerzy właśnie wniósł do mieszkania świerk.

Zapach żywego drzewka zawsze kojarzył się jej z dzieciństwem. Nie jej, ale

z dzieciństwem jej dzieci. Kiedy mieszkali na Bajkowym, Jerzy przynosił choinkę z lasu, a dziewczynki czekały, by przyozdobić drzewko własnoręcznie przygotowanymi łańcuchami.

– Gdzie mam je postawić? – Zniecierpliwiony głos męża informował, że oczekuje od niej, że rzuci wszystko i pobiegnie mu pomóc.

– Chwila! – krzyknęła.

Nie dotarła jednak do pokoju, bo mniej więcej w połowie drogi usłyszała pukanie do drzwi. Zatrzymała się więc przy nich i je otworzyła.

– Dzień dobry, Urszula Zimińska. Nie wiem, czy mnie pani pamięta, rozmawialiśmy jakiś czas temu...

– Pamiętam – burknęła i przymknęła drzwi. Nie chciała, żeby Jerzy zobaczył policjantkę.

– Mogę wejść?

– Święta są... Nie chcę... Jerzy jest w domu. Zdenerwuje się tylko.

– Wiem, ale przynoszę dobre wieści.

– Dobrze?

Teresa nie wierzyła w takie deklaracje, ale kobieta stojąca na progu patrzyła na nią w taki sposób, że nie umiała dłużej jej odmawiać.

– Proszę – burknęła.

Nie zamierzała jej zachęcać. Wiedziała przecież, jak na taką wizytę zareaguje Jerzy. A święta były za pasem. Na Boże Narodzenie zaprosili gości, pierwszy raz od dawna mieli spędzić ten czas w dużym rodzinnym gronie. Mieli się cieszyć sobą i rozmową, a nie tłumić wściekłość i bolesne uwagi Jerzego.

– Panie Jerzy. – Policjantka skinęła głową. – Przepraszam za najście. Nie zajmę państwu dużo czasu. Usiądźmy.

– Postoję! – zdecydował Jerzy, więc Teresa nie mogła zrobić inaczej.

Stała obok męża, chcąc dać mu oparcie i odebrać argumenty, którymi zarzucał ją po podobnych spotkaniach z policją. Zwykle miał pretensje, że była dla mundurowych zbyt miła, że dziękowała im za nic, że nie zachowywała się tak opryskliwie jak on.

– Wiem, że zbliżają się święta i w sumie mogłabym poczekać z wizytą do nowego roku

– policjantka odetchnęła głęboko i się uśmiechnęła – ale pomyślałam, że ta informacja jest dla państwa tak samo ważna jak dla mnie. Zatrzymaliśmy mordercę Marysi.

Przyznał się do zarzucanych mu czynów. Nie wywinie się od odpowiedzialności.

– Zatrzymaliście? – Teresa nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Tak.

– Przyznał się?

– Zgadza się.

Spojrzała na męża. Na jego twarzy drgały mięśnie, dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy był wzruszony i próbował opanować łzy.

– Nie wywinie się? – spytał.

– Nie, był już skazywany za podobne przestępstwa. Mamy jego zeznania.

– Co to za człowiek?

– Kuzyn Marysi, Ireneusz Olendrowicz. Chciałam powiedzieć, że nie udałoby się nam

tego osiągnąć, gdyby nie pomoc państwa córki, Sylwii. Zaufała mi i pozwoliła przygotować prowokację.

– Irek? – Teresa się rozplakała.

Nie potrafiła wyobrazić sobie, co czuła jej córka, kiedy ktoś z bliskiej rodziny zadawał jej tyle bólu. Gwałcił ją i udusił.

Jerzy zbladł, oparł się o choinkę i ją przewrócił.

– Mówiłem ci, że ten dzieciak jest dziwny, broniłaś go!

– Nie ja ją zabiłam! – wykrzyczała, najwyraźniej zapominając o obecności policjantki. Podobne rozmowy prowadzili od lat. Wzajemnie obarczali się winą za rzeczy, których nie zrobili, a które mogli zrobić. Ona mogła pójść z Marysią do kościoła na nabożeństwo. On mógł przynajmniej odebrać ją z kościoła. Kilkadziesiąt lat szukali winnego wśród siebie.

– Dwadzieścia dziewięć lat temu... – Jerzy opadł na kanapę. – Kiedy odnaleziono ciało Marysi, a milicja podejrzewała mnie... Byłem na was wściekły. Na to, że zamiast szukać prawdziwego mordercy, tracicie siłę, środki i czas na zmuszanie mnie do przyznania się do winy. Wie pani co? Byłem już bliski... bliski załamania nerwowego i przyznania się tylko po to, by zapewnić spokój sobie i bliskim. Mieliliśmy dość ciągłego nachodzenia i zadawania trudnych pytań. Żona i córka chciały jakoś dalej żyć, bez piętna... Nie zrobiłem tego, chociaż wydawało mi się przez chwilę, że to dobre wyjście. Że żona się uspokoi, wiedząc, że zabójca jest za kratkami. Przecież i tak mnie podejrzewała.

– Jerzy...

– Cicho, kobieto, teraz ja mówię! Teraz widzę, że procedury policyjne mają sens. I dziękuję pani. – Jerzy wstał i uściśnął dłoń policjantki. – Dziękuję, że mimo tego, że minęło ponad ćwierć wieku, chciała się pani pochylić nad tą sprawą. Że rozwiązała pani zagadkę. Ja wiem. To nie zwróci życia naszej córce, ale przywróci nam spokój. Morderstwo nigdy nie powinno uchodzić na sucho.

*

– Witam najbardziej roztrzepaną poznańską psycholog.

Głos Krystiana odrywa mnie od myślenia o tym, co za chwilę nastąpi.

Zerkam na wyświetlacz telefonu, żeby się upewnić, że to z nim rozmawiam.

Z nim. Chociaż właściwie z kim innym mogłabym rozmawiać? Oprócz Krystiana i dzieci nikt nie ma mojego numeru telefonu.

Kupiłam go wczoraj, kiedy uznałam, że nie poradzę sobie bez komórki. Poprzednia gdzieś mi zginęła. Nawet nie wiem, gdzie. Szukałam jej dwa dni.

– Cześć, cześć. Widzę, że humor szanownemu panu informatykowi dopisuje?

– No pewnie, że dopisuje. Nie tylko mnie, ale również małemu dżentelmenowi.

Słyszę w tle głosik Kuby.

– Jesteście już razem? – dopytuję, czy wszystko idzie zgodnie z planem.

– Tak. Odebrałem Kubę ze szkoły i właśnie idziemy na świąteczny jarmark na placu Wolności.

– Super. Krystian, tylko proszę, bądźcie rozsądni, dobrze? Jak Kuba zobaczy te wszystkie karuzele, kolorowe bombki i inne badziewie, będzie cię namawiał, żebyś opróżnił cały portfel.

– Spokojnie, nie martw się nami. Poradzimy sobie, prawda, Kuba? A właściwie co ja mówię. Nie tyle poradzimy sobie, ale przede wszystkim będziemy się dobrze bawić! Słyszę ich śmiechy i czuję, że Kuba jest bezpieczny. Trochę żałuję, że nie mogę im towarzyszyć, ale mam do załatwienia jeszcze jedną rzecz.

– Kiedy wrócisz?

Krystian nie byłby sobą, gdyby nie zadał tego pytania.

– Nie wiem. Jak załatwię wszystkie sesje. Mam dziś jeszcze kilku klientów. Muszę kończyć, bo właśnie jeden z nich wszedł do gabinetu. Całusy dla was, pa!

Nie czekam na odpowiedź i chowam telefon do torebki. Nie lubię okłamywać Krystiana. Tym razem nie mam jednak wyjścia. Dla niego nie ma przecież znaczenia, czy jestem teraz w gabinecie, czy... Czy tu, gdzie jestem.

*

Dagmara Witczak pchnęła drzwi prowadzące do kancelarii. Jej oczom ukazało się wnętrze łączące ze sobą surowe cegły, przemysłowe lampy i szeroki drewniany blat, za którym stała sekretarka.

– Dzień dobry, czy rejent Pawelczyk jest wolny? – spytała.

– Była pani umówiona?

– Nie, ale proszę mu przekazać, że przyszła Dagmara i że zajmę mu tylko pięć minut. Znała się z Kamilem Pawelczykiem z liceum. Kiedyś ją podrywał, ale nie był zbyt atrakcyjny, więc udawała, że go nie zauważa. Potem role się odwróciły. On ukończył studia, nabrał ogłady, zaczął zarabiać duże pieniądze i nosić eleganckie garnitury. Ona skończyła kurs kosmetyczny i zaczęła spoglądać na niego łakomym wzrokiem.

– Może pani wejść, zaprowadzić panią?

– Nie, dziękuję. Sama trafię.

Podarowała sekretarce triumfujące spojrzenie. Może nie była tak wykształcona jak ta studentka prawa, ale na pewno miała o wiele ładniejszą cerę, paznokcie i możliwość rozmowy z Kamilem na luzie. Bez tych wszystkich sztywnych formułek, grzecznościowych form i podległości służbowej.

– Cześć! – Pchnęła drzwi od jego gabinetu i weszła do środka.

– Daga? – Wstał od biurka i wyszedł, żeby ją przywitać.

Nie poczuła na policzkach jego ust, ale przytulili się, a jej ucho wychwyciło cmoknięcie. Poczuła się usatysfakcjonowana.

– Co cię sprowadza?

- Pamiętasz, kilka dni temu przyprowadziłam ci klientkę, która spisywała u ciebie testament.
- Pamiętam. Mam jeszcze jej teczkę na biurku.
- No właśnie, to lepiej jej nie chowaj. Ilona nie żyje. Wracam właśnie z pogrzebu. Zamilkła. Zza drzwi dochodził odgłos dzwoniącego domofonu.
- Rozumiem. W takim razie zajmijmy się zaproszeniem gości na odczytanie testamentu. Przepraszam, ale to pewnie przyszli klienci na kolejną umowę.
- Nie ma sprawy. Nie będę ci przecież przeszkadzać. Jeśli miałbyś ochotę wieczorem na piwo, wino... – Przyjrzała się jeszcze raz jego drogiemu garniturovi, antycznym meblom i pióru, które leżało na biurku, i pomyślała, że nawet nie wie, co mężczyźni tej klasy pijają po pracy.
- Jasne. Orientujesz się może, czy do pani Aleksandry Wilk mam wysłać zawiadomienie na adres mieszkania, które zapisano jej dzieciom?

*

Aleksandra weszła do mieszkania. Marek Waligórski nalegał na spotkanie w miejscu dla niego ważnym. Nie dopytywała. Uznała, że w sytuacji, w której próbuje sobie poradzić ze stratą bliskiej osoby, nie będzie utrudniała mu życia i wyjątkowo zgodziła się na sesję poza gabinetem.

W mieszkaniu pachniało PRL-em. Mogłaby przysiąc, że kiedyś jej rodzice mieli podobną tapetę w przedpokoju i taką samą meblościankę.

– Tu mieszkasz? – spytała, starając się pamiętać, żeby rezygnować z formy „pan”. Dzień wcześniej Marek zaproponował, żeby przeszli na ty.

– Nie. To mieszkanie po dziadkach. Proszę, usiądź. – Wskazał jej fotel.

Zajęła miejsce. Marek usiadł naprzeciwko niej.

– To tu został zabity mój ojciec – powiedział i wpatrywał się w nią, jakby chciał zbadać jej reakcję.

Trochę ją zdziwił. Kiedy do niej dzwonił, brzmiał jak ktoś głęboko wstrząśnięty tym, co się stało. Podświadomie spodziewała się, że otworzy jej drzwi zapłakany. Tymczasem zamiast obserwować Marka, któremu rozsypał się świat, przyglądała się mężczyźnie, który ukrywał się za maską opanowania.

– Rozumiem. Jak się z tym wszystkim czujesz?

– Nie godzę się na śmierć.

Tego mogła się domyślać. Przez to, że jego mózg skasował wszystkie doznania, które gromadził przez pierwsze osiemnaście lat życia, Marek Waligórski na nowo musiał uczyć się przeżywania emocji, doznawania porażki, nawiązywania kontaktów.

– Nie godzę się, że odchodzą od nas ludzie, którzy chorują. Którzy stali się ofiarami wypadków. Którzy przypadkowo stanęli na drodze psychologa trzymającego nóż i mającego nieodpartą potrzebę pokazania światu swoją siłę – kontynuował Marek,

żywo gestykulując. – Z drugiej jednak strony śmierć jest najlepszym sposobem ukarania kogoś. Już w dawnych czasach karano śmiercią. Nie powtarzasz, że rozumiesz – zaśmiał się nerwowo – bo nie jesteś w stanie tego pojąć. Nie zrozumiesz bólu i cierpienia, którego nie doświadczyłaś. Mój ojciec był pedofilem. Przez chwilę po wybudzeniu się ze śpiączki tkwiłem w cudownej niewiedzy. Kiedy wyszedłem ze szpitala i wróciłem do domu, wszyscy wokół mnie biegali. Walczyłem ze sobą, żeby nie pokazać im, że ich nie pamiętam. Walczyłem z lękiem przed wyjściem z domu. A potem walczyłem o każdy metr... Wychodziłem z domu i bałem się, że nie wytrzymam, ani ja, ani moje chore płuco, że zacznę się dusić, nie zdążę wrócić do domu, a karetka nie przyjedzie na czas. I kiedy oswoiłem się z tym wszystkim, kiedy przestałem walczyć, zaczęły nawiedzać mnie te obrazy. Ręka ojca na moim penisie i jego zadowolona mina. Na szczęście byłem już na tyle dorosły, żeby nie mieścić się w kręgu jego zainteresowań. W ciszy obserwowałem, jak chodzi do mieszkania dziadków z nowymi dziećmi. Tak, śledziłem go. Powiedziałem kiedyś mamie. Odpowiedziała, że coś mi się pomyliło. Miałem dość oglądania, jak jego cała aktywność pozazawodowa skupia się jedynie na realizowaniu swojego zbrojenia. To on, to mój ojciec ponosi winę za te wszystkie zabójstwa. Kasi, Marcina, Piotra, Remka i Szczepana...

*

Przemek Garczyński właściwie był już gotowy do wyjścia. Jedyne, co mu pozostało, to sprawdzić drogę. Najprościej byłoby, gdyby zamówił taksówkę, wsiadł do niej i podał adres. Wtedy to ktoś inny martwiłby się, gdzie znajduje się określony blok. Nie miał jednak na to pieniędzy. Wydatki w grudniu już dawno przekroczyły akceptowalny limit. Kupił prezenty dla rodziców, zamówił bukiet na grób siostry i kupił nową grę na konsolę. Czaił się na najnowszą strzelankę od dawna, a był już w wieku, w którym każdy wiedział, że jeśli chce się dostać prezent od Gwiazdora, to trzeba najpierw samemu go sobie kupić. Zrobił to tydzień temu, a później przekonywał sam siebie do tego, żeby odpakować prezent przed wigilią. Kilka dni przed wigilią.

„Zwierzyniecka” – wpisał nazwę ulicy w komórkę.

– Dotrzesz do celu około siedemnastej dwadzieścia – odpowiedział głos z nawigacji.

*

– Nie masz pojęcia, jak to jest nie czuć nic. Nie wiesz, jak to jest, kiedy dorosły człowiek musi uczyć się emocji, jednocześnie ukrywając przed innymi, że ich nie zna. Kilka miesięcy po chorobie siedziałem z kolegą w pubie. Koło baru stanęła jakaś dziewczyna. Kolega szturchnął mnie, skinął głową w kierunku dziewczyny i zaczął się

śmiać. Pyta mnie, co się dzieje, czy nie poznaję Aśki? Tej Aśki, za którą szalałem w liceum. Z którą się całowałem, a później ona poszła na studniówkę z kimś innym, bo ja bałem się jej zaprosić. Spojrzałem na dziewczynę. Była dla mnie zupełnie obca. Tego wieczoru, kiedy wróciłem do domu, usiadłem do komputera i przeczytałem o zakochaniu. O emocjonalnym związku z drugą osobą, obsesyjnych myślach, motylach w brzuchu, trudności w skupieniu się na czymś innym, o pragnieniu przebywania w obecności tej osoby. Nie potrafiłem sobie ani tego wyobrazić, ani zrozumieć. To była dla mnie czarna magia. Wiedziałem, że żeby nie budzić sensacji, muszę ukrywać swoją emocjonalną pustkę. Obserwowałem więc ludzi, a kopiując ich zachowania, dawałem im to, czego ode mnie oczekiwali. Dzięki temu zyskałem dar zauważania ludzi, którzy oszukują siebie. Tak zauważyłem ciebie, a kiedy dotarło do mnie, że swój swego zawsze zauważy, a ciebie być może nie będę mógł oszukać, wycofałem się z terapii. Marek przerwał na chwilę, bo zauważył, że Aleksandra najpierw spogląda na zegarek, a potem wstaje.

– Późno już...

– Chciałem ci jeszcze coś pokazać. – Zaprowadził ją do przedpokoju i otworzył dotychczas zamknięte drzwi.

Weszli do środka, a Aleksandra zaczęła rozglądać się dookoła. Podeszła do regału z lalkami i sięgnęła po najpiękniejszą z nich.

– To tu mój ojciec sprowadzał wszystkie swoje ofiary. Tutaj też umarł...

*

Ula nie chciała nawet myśleć o słowach Tomasza. Aleksandra nie mogła manipulować śledztwem, nie mogła zabijać tych ludzi, nie mogła jej oszukać. Nie była święta. Nie zawsze mówiła prawdę, ale przecież pomagała ludziom, a nie ich krzywdziła. Trzaśnięcie drzwiami sprawiło, że rozejrzała się wokoło. Znowu siedziała w samochodzie. Skończyli właśnie z Tomaszem rozpytywanie w barze, w którym został pobity mężczyzna.

– Nowa sprawa, nowe szambo do ogarnięcia. – Policjant jak zwykle swoim skrzypiącym głosem komentował rzeczywistość. – Widziałaś? Barman udaje ślepią niewinną owieczkę, ale założę się, że ma grubą policyjną kartotekę.

Tym razem nie czuła dyskomfortu i zbliżającego się poczucia paniki. Nie czuła albo nie chciała czuć. Zwierzyła się Tomaszowi ze swojej dolegliwości, a on przyjął to zupełnie normalnie. Uzgodnili plan postępowania i hasło bezpieczeństwa, po wypowiedzeniu którego Tomasz – nieważne, gdzie będą się znajdować – zatrzyma samochód i da Urszuli kilka minut na uspokojenie się.

Być może dlatego czuła się teraz bezpiecznie.

– A ty co tak nic nie mówisz? Skomentuj zastaną w barze rzeczywistość!

Otworzyła usta, żeby się odezwać, ale nie zdążyła nic powiedzieć. Dokładnie w tym

momencie rozdzwoniła się jej komórka.

– Halo?

– Dzień dobry, pani Urszula Zimińska?

– Tak, słucham?

– Nazywam się Kaźmierczak i dzwonię ze szkoły sportowej w Łodzi. Od rana nie mogę dodzwonić się do matki Weroniki Wilk, a mam w dokumentach wpisany również pani telefon, jako osoby znajdującej się tutaj, na miejscu. Podczas zajęć sportowych miał miejsce wypadek. Niegroźny, ale Weronikę zabrało pogotowie. Ma złamaną rękę. Dobrze by było, gdyby któraś z pań pojawiła się w szpitalu.

– Rozumiem. W którym szpitalu?

– Barlickiego.

– Dziękuję.

Urszula rozłączyła się i przez chwilę tkwiła z telefonem w dłoni.

– Co w szpitalu? – spytał Tomasz.

– Nie, nic. Wyszadysz mnie?

– Ale co? Tak tutaj?

– No, mam pilną sprawę.

– Coś się stało? – bardziej stwierdził niż spytał.

– Tak, muszę wpaść do Olki. Jej córka trafiła do szpitala.

– Nie możesz do niej zadzwonić?

– Nie, od dwóch dni nie mam z nią kontaktu. Dzwonię, ale telefon jest wyłączony.

– Dziwne, nie uważasz?

– Nie. Przyczepiłeś się do niej. Wszystko ci się wydaje dziwne. Poleciałam cię do Archiwum Z, ale teraz się zastanawiam, czy zrobiłam dobrze. Chyba lepiej odnalazłbyś się w filmowym Archiwum X z tymi wszystkimi dziwnymi klimatami, kosmitami i magią.

– Skoro nie odbiera telefonu, to dokąd chcesz jechać? Podwiozę cię.

– Nie wiem? Do gabinetu? O tej porze powinna tam być.

– A jeśli jej nie ma?

– To jest w domu, nie wiem. Gdzieś przecież musi być. Będę wymyślać na bieżąco.

Czekaj.

Tomasz przyhamował, zjechał na pobocze, włączył światła awaryjne i sięgnął po swoją komórkę.

– Nie będziemy jeździć bez sensu.

– Nikt ci nie każe. – Urszula złapała za drzwi. – Załatwię to sama.

– Nie, czekaj! Też chętnie rzucę okiem na tę twoją niewinną Aleksandrę. Zobacz – odpalił portal społecznościowy – ludzie czasem meldują się w miejscach, w których bywają. Podczas prowadzenia śledztwa byłem kilka razy na jej profilu. Jest dość aktywna, ma dużo znajomych. Zobaczmy, czy tym razem też zameldowała się w gabinecie.

Samochód jadący z tyłu zatrąbił głośno, a Tomasz wydał z siebie krótkie, aczkolwiek soczyste:

– O kurwa.

Urszula była przekonana, że sytuacja będzie miała ciąg dalszy, gdyż kierowca, który zatrąbił, zatrzymał się przy nich i popukał się w głowę.

Tomasz jednak nawet tego nie zauważył. Wpatrzony był w komórkę.

– Tomasz?

– Kurwa, Ulka. Zobacz, to jest transmisja na żywo.

Podał jej swój telefon. Na profilu Aleksandry rzeczywiście trwała transmisja na żywo, chociaż na ekranie niewiele się działo. Aleksandra stała przy regale i oglądała kolejne lalki.

– Wiesz, gdzie to jest? – spytał.

Nie mogła nie wiedzieć. Regał z lalkami zrobił na niej ogromne wrażenie. Na zawsze wyryła w pamięci skojarzenie, że na Zwierzynieckiej w Poznaniu znajduje się jaskinia pedofila.

*

Pukanie do drzwi sprawiło, że Marek wyszedł z pokoju, przymykając za sobą drzwi. Aleksandra nie wiedziała, co jest grane. Wydawało jej się, że cel tego spotkania był oczywisty. Jednak im dłużej rozmawiała z mężczyzną, tym bardziej była przekonana o tym, że cel, był oczywisty, ale tylko dla niego.

– Jestem.

– Proszę, rozbierz się i wejdź. Prosto, za drzwiami znajduje się pokój uciech seksualnych mojego ojca. Powinien ci się spodobać.

Najpierw dotarły do niej odgłosy rozmowy Marka i jakiegoś mężczyzny.

Chwilę później go zobaczyła. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem, ciemne spodnie i spojrzenie do tego stopnia wypełnione samozadowoleniem, że budził w niej lęk.

*

Jazda samochodem stała się na tyle uciążliwa, że Urszula zakryła oczy dłońmi i starała się oddychać głośno i regularnie.

– Wytrzymasz? Jeszcze tylko chwila. Za chwilę będzie rondo Kaponiera, to już blisko. Już prawie widać Zwierzyniecką.

Tomasz chciał ją uspokoić. Nie był pewien, czy kobieta da radę. Wyglądała na spanikowaną, ale jednocześnie była zbyt twarda, żeby odpuścić. Konieczność zatrzymania się na poboczu oznaczałaby, że dotrą na miejsce za późno.

– Jedź! – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Dlaczego Aleksandra transmituje na żywo? – spytał, żeby pomóc jej się skupić na

czymś innym niż rosnąca panika.

– Nie wiem.

– Jest mordercą i właśnie zamierza pozbyć się kolejnego parafilika?

– *Fuck*, jak ty mnie potrafisz wkurwić!

Uśmiechnął się. Prowokował ją, licząc na to, że jeśli poruszy ją wystarczająco mocno, przynajmniej na chwilę zapomni o tym, jak się czuje.

– No co? Wiesz dobrze, że idealnie zgrywa się z ofiarami, a teraz jeszcze ta transmisja... Jakby chciała pochwalić się znajomym, że jest właśnie w tym miejscu...

– Nie, to niemożliwe. Pomyśl logicznie. Ola nie pasuje do profilu sprawcy. Zabójcą na sto procent jest mężczyzna. *Fuck!*

Wjeżdżał na rondo, więc nie mógł za bardzo spojrzeć na ekran komórki, którą Ula usiłowała wetknąć mu przed oczy.

– Chwilę, tylko zjadę.

– Ona nie jest sama. Jest z nią jeszcze dwóch facetów. *Fuck*, Tomasz, przypomnij mi, co wiemy na temat osoby widzianej podczas trzeciego zabójstwa?

– No właśnie niewiele. Czarne spodnie, kurtka, buty trekkingowe, kaptur na głowie.

*

Straciłam kontrolę. Już dawno powinnam się ewakuować. To jakaś chora sytuacja. Nie wiem, co robi tu ten drugi mężczyzna.

Nie podoba mi się ani on, ani stojące w dwóch kątach statywy z telefonami.

Zauważyłam je dopiero przed sekundą. Przedtem skupiałam całą uwagę na lalkach.

Gdybym jako mała dziewczynka weszła do takiego pokoju, poczułabym się jak w siódmym niebie.

Nawet teraz nie byłam w stanie powstrzymać się od dotykania tych wszystkich lalek.

Niektóre były brzydkie i stare, inne porcelanowe, jeszcze inne takie, jakimi bawiłam się w dzieciństwie. No i oczywiście jest też piękna Barbie i kilka słodkich bobasów.

Zaraz. Na jednym ze statywów przypięty jest telefon, który wygląda dokładnie tak samo jak mój. Ten, który zgubiłam dwa dni temu.

– Marek, o co chodzi z tymi statywami?

– Nie zwracaj na nie uwagi.

– Kim on jest? – Wskazuję na przybyłego mężczyznę.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Przemysław Garczyński. Jestem dziennikarzem.

– Dziennikarzem?

– Przyszedłem zrobić wywiad z panią. Jest pani jedyną osobą, która знаła wszystkich zabitych. Widzów to zainteresuje. Była też pani podejrzewana przez policję, chodzi jednak pani wolno. Czy to znaczy, że to nie pani ich zabiła?

To już jest bezczelność. Nie będę z nim gadać. Nie umawiałam się na żaden wywiad. Nie będę odpowiadać na tendencyjne pytania. Cokolwiek powiem, zostanie użyte

przeciwko mnie. Przecież wiem, że przytnie moją wypowiedź, tak żeby pasowała mu do tezy, którą przyszedł tu udowodnić.

Chcę wyjść, podchodzę do drzwi, ale w ostatniej chwili blokuje mi je dziennikarz.

– Przepraszam, muszę już iść. – Staram się okazywać spokój. Nie może poczuć mojego lęku. Jeśli jest niestabilny, to zadziała to na niego jak płachta na byka. – Ktoś na mnie czeka. Na dole... – blefuję.

– Niestety w tej chwili nikt z nas nie opuści tego pokoju. Jest pani jedyną osobą, która знаła wszystkie ofiary. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda?

– Nie. – Słyszę głos Marka.

Odwracam się i widzę, że stoi w drugim kącie pokoju. Nie wiem, czy jest po mojej stronie, czy mogę na niego liczyć, czy...

– Nie tylko ona znała wszystkie ofiary. Ja również.

*

– Przybywa oglądających. Jest ich już ponad trzystu.

Właśnie podjechali pod krawężnik na Zwierzynieckiej. Zachmurzone niebo potęgowało atmosferę zagrożenia.

– Pospiesz się! – Urszula wyskoczyła z samochodu. – Pojawił się drugi facet. Widzę, że Ola jest zdenerwowana, chce wyjść z pokoju, ale ten przybyły ją blokuje. On robi jej krzywdę, Tomasz, szybciej!

Wyłączył silnik, trzasnął drzwiami i podbiegł do Urszuli. Zerknął na ekran komórki. Reakcja Urszuli być może była trochę babska, ale najważniejsze było to, że nie przesadzała. Rzeczywiście – w pomieszczeniu, w którym tydzień temu znaleziono martwego Waligórskiego, znajdowały się trzy osoby.

– Co on tam robi? – Zwrócił uwagę na mężczyznę, który usadzał właśnie Aleksandrę Wilk na krześle przed kamerą. – Co jest, kurwa, z tym dźwiękiem?

– Nie wiem, w pewnym momencie zniknął. Znasz tego faceta?

– To sfrustrowany dziennikarzyna. Kręcił się wokół komendy i szukał kogoś, kogo może obarczyć odpowiedzialnością za śmierć siostry.

– Dobra, wzywamy posiłki i wchodzimy.

– Nie poczekamy?

– Jak chcesz, to sobie czekaj. – Urszula wyjęła broń i dodała stanowcze: – W środku jest moja przyjaciółka.

*

– Znałem ich wszystkich. Całą grupę. Siedziałem w poczekalni, czekając na swoją sesję z psychologiem, kiedy oni kończyli swoje spotkania. Wychodzili i spoglądali na mnie ze

współczuciem. Wydawało im się pewnie, że są tam dla przyjemności, a ja jestem świrem.

Marek Waligórski się rozgadał, ale Garczyński nie zamierzał mu przerywać. Jego zawodowa intuicja dobrze go poinformowała, że dziś zdobędzie ekskluzywny materiał. Nie wiedział tylko, kto mu go dostarczy.

Marek, syn ostatniego odnalezionego denata, zadzwonił do niego rano i podał swój adres. Powiedział, że ma coś ciekawego o rzekomych samobójstwach. Garczyński nie pytał o nic więcej.

– Siedziałem na korytarzu i słyszałem, o czym rozmawiacie... Fetyszyzm, transwestytyzm, ekshibicjonizm, oglądactwo, pedofilia, sadomasochizm i inne zaburzenia preferencji seksualnych. Powiedziałaś kiedyś swojej grupie, że przypuszczasz, że istnieje znaczna liczba osób, które posiadają jakąś parafilię i wybierają inne niż preferowane, ale za to dopuszczalne obiekty i zachowania prowadzące do zaspokojenia seksualnego, nawet jeśli satysfakcja jest mniejsza. To rozumiem. Każdy, kto ma dziwne preferencje, sam podejmuje decyzję o tym, czy je realizuje za wszelką cenę, czy je w sobie tłamsi.

– Ale w parafilii nie chodzi o realizację popędu za wszelką cenę. Nie na początku. Parafilia zasysa. Niepozornie. Jak papierosy. Pierwszy nie jest zbyt smaczny, ale świadomość, że robisz coś niekoniecznie dobrego, a jednocześnie wkraczasz w nowy świat, sprawia, że czujesz się silniejszy. Dostarcza ci to satysfakcji. Dużo satysfakcji. Zwłaszcza gdy sięgasz po drugiego, trzeciego czy piątego. Wtedy jeszcze myślisz, że palisz dla zabawy, tylko wtedy, kiedy masz na to ochotę. I rzucisz, kiedy tylko ci się znudzi, bo przecież jesteś silny. Budzisz się po kilku latach i nawet nie zauważasz, że fajki rządzą twoim życiem. Że nie rozpoczniesz dnia bez papierosa.

– Słabe porównanie, pani doktor. Nie palę. Nie rozumiem palaczy. Nie rozumiem też parafilików. Nie rozumiem tego, że przestają dbać o ars amandi, bo źródłem satysfakcji są dla nich zboczone zachowania. Rozmawiałem na przykład z dziewczyną, która czekała, aż jej chłopak wyjdzie z mieszkania, a ona będzie mogła się rozebrać i nago paradować po balkonie. Bo spojrzenia innych podniecały ją o wiele bardziej niż starania jej chłopaka.

– Skoncentrowanie się na niezwykłym bodźcu seksualnym może pojawić się u osób względnie zdrowych, na przykład w sytuacjach obniżonej odporności emocjonalnej, przewlekłego stresu czy przemęczenia – starała się opanować narastający stres. Wiedziała, że emocjonalna reakcja w tej chwili może jedynie pogorszyć jej położenie.

– Pierdolenie. Wszystko może nam się przytrafić. Ale to my jesteśmy homo sapiens. Myślmy, więc możemy oszacować, czy podjąć działanie, czy zaniechać. Osoby, które leczyłaś, podjęły decyzje o tym, żeby wejść do lasu rozpusty. Tylko ta kobieta od seksu z obcymi zawróciła ze złej drogi. Reszta biegła przed siebie. Szukała coraz silniejszych doznań. I jednocześnie raz na jakiś czas chciała zerwać ze swoim dotychczasowym życiem. Odciać się od parafilii i wrócić do normalnego seksu. Ale nie potrafili. A ja chciałem im pomóc. Przynieść im ulgę, odrodzenie...

– Chciałeś pomagać tym, którzy czuli się przygniecieni życiem? To skąd oko Horusa? Zabiłeś ich wszystkich?

*

Winda nie działała. Już poprzednio kiedy Urszula wracała z oględzin miejsca znalezienia Waligórskiego, zacięła się w niej i spędziła kwadrans w bezruchu. Przypomniała to sobie i ucieszyła, że tym razem nie zdążyła do niej wejść Pobieglą w stronę schodów. Zatrzymały ją drzwi broniące nieproszonym gościom dostępu do środka. Obejrzała się. Tomasz był tuż za nią. Spojrzała na niego, a on chyba czytał jej w myślach.

Nie mieli czasu ani na poszukiwanie dozorczy, który otworzyłby im drzwi, ani na oglądanie transmisji na portalu społecznościowym. Od kilku minut nie wiedzieli, co dzieje się w mieszkaniu, do którego zmierzali. Musieli działać.

*

– Zabiłem... ale tak naprawdę to im pomogłem. Podarowałem im to, o czym marzyli. Z jednej strony emocje karmiące ich wewnętrzną bestię, a z drugiej doznania, których domagała się racjonalna częśćka ich. Dałem im ulgę. Każdy z nich umierał zadowolony, że w końcu uwalnia się od swojej parafilii. Kasia żegnała się ze swoją adipofilią z małym żalem. Chyba do końca wierzyła, że wśród świrów podniecających się tym, że je i tyje, znajdzie miłość. Tak ją ograłem. Pozorowałem przypadkowe spotkanie. Wpadaliśmy na siebie. Fakt, że widywaliśmy się u ciebie na korytarzu, sprawiał, że dawali mi początkowy kredyt zaufania. A ja po prostu wiedziałem, jak zmienić kredyt w otwartą linię kredytową. – Roześmiał się. – Każdemu wmawiałem, że mam dokładnie taki sam problem. Że go rozumiem. I że też bardzo, bardzo chciałbym zrealizować swoje fantazje, ale trochę się boję.

– Skąd miałeś zamiary na nich?

Psycholog wyglądała na wzburzoną. Markowi to właśnie się podobało. Wiedział, że przyznanie się do winy będzie ciekawym emocjonalnie przedstawieniem. To dlatego zaplanował, że ostatni akt rozegra się tutaj. W miejscu, w którym wszystko się zaczęło. Pomyślał o każdym szczególe. O dziennikarzu, który miał uczestniczyć w wydarzeniu, a potem je opisać. O transmisji na żywo, która miała zrobić trochę szumu. To dlatego transmitował dwa różne ujęcia, z dwóch różnych telefonów. Swojego i ukradzionego Aleksandrze Wilk.

Dał z siebie wszystko, żeby oczyścić świat z kilku parafilików. Teraz zależało mu na rozgłosie. Nie! Nie chciał stać się sławnym zbawcą świata. Pragnął uświadomić ludzi, że przekraczanie pewnych granic może być nieodwracalne, a poszukiwanie nowych bodźców i zabaw w sypialni może prowadzić do dewiacji. Gdyby jego ojciec

zlekceważył kiedyś swoje ciążoty w kierunku małych dzieci, nigdy nie skrzywdziłby ani jego, ani innych maluchów. Podjął jednak decyzję, której negatywne skutki wiele osób miało odczuwać do końca życia.

– Troszeczkę mi pomogłaś. Pożyczyłem sobie kartoteki, które prowadziłaś. To znaczy przejrzałem i sfotografowałem. No co tak na mnie patrzysz? Tak, to było włamanie, ale nic nie zginęło. Miałem ich adresy, zacząłem ich obserwować. Sprawdziłem miejsca, w których bywali. Także anonimowe fora w necie. Pojawiałem się tam, jasno komunikując swoją parafiliję. Większość z moich ofiar była tak bardzo spragniona pokrewnej duszy, że sami się do mnie odzywali. Manipulowałem nimi, ale na końcu uświadamiałem im jak, bardzo stali się bezbronni, oddając się swoim parafiliiom. Marcinek, przystojny Marcinek, był tak mocno podniecony mrówkami, które kładłem mu na fiuta, że nawet nie przeszkadzało mu, że jestem facetem, a on nie jest homo. Przegrał ze swoją formikofilią. Artystycznego Sternala pokonał sadomasochizm. Światowego Remika sitofilia, a Szczepana, który miał naprawdę fajną dupę za żonę, pokonał *cuckold*! Musiał się upodlić, żeby poczuć ulgę. Chciał zlizywać spermę wyciekającą z cipki jego żony. Spermę obcego faceta, który właśnie przeleciał jego cholerną żonę! Nie powiesz mi, że to urozmaicenie życia seksualnego. To chora perwersja!

– Nie pomyślałeś nigdy o tym, że gdybyś ich nie podpuszczał, to daliby sobie spokój? Że nie przekraczali by kolejnych granic swoich perwersji?

– Nie podpuszczałem ich. Sprawdzałem, czy są w stanie odpuścić. Kobieta od sypania z obcymi odpuściła. Reszta... nie. Musiałem uwolnić ich od męki.

*

– Uwolniłeś ich. I co teraz?

Sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie. Przed chwilą czułam się zagrożona przez przybyłego mężczyznę. Teraz wiem, że po Marku można spodziewać się wszystkiego. Nie przyznał się do sześciu zabójstw tak po prostu, żeby wypuścić nas z pokoju. Muszę przejąć kontrolę. Muszę pokrzyżować mu szyki. Prowokować, by zadziałał spontanicznie. Może wtedy oboje z dziennikarzem będziemy mieli szansę uciec.

– Co teraz? – Śmieje się diabolicznie. – Pomagałem im, ale i sobie. Dlatego właśnie spotykamy się tu w takim gronie. Dziennikarz ma zadbać o rozpowszechnienie informacji, a psycholog...

– Tobie przydałby się psychiatra, nie psycholog. Zabiłeś też swojego ojca?

– Ojca czy oprawcę? Psycholog czy psychiatra? To szczegóły, na które nie mam czasu. Chciałem coś powiedzieć, zanim... Bo ja też mam problem. Seks nie sprawia mi przyjemności, nie przynosi oczekiwanej satysfakcji. Ciało kobiety jest dla mnie obojętne, jakby ktoś rozciął w moim mózgu przewody, które wcześniej łączyły obrazy cycków z podnieceniem. Od jakiegoś czasu o wiele bardziej podniecające jest dla mnie

planowanie, realizowanie i wspomnianie zabójstw. To mnie jara. Dlaczego, pani psycholog?

– Myślałeś kiedyś sam o sobie jak o parafiliku? – odpowiadam pytaniem na pytanie. Po minie wnioskuję, że go to dotyka, kontynuuję więc z premedytacją: – Jest taka parafilia, w której fetyszem jest pozbawianie człowieka życia.

– Parafilia. Właśnie. Słowo-klucz. Sam się z nią męczyłem. Odkryłem to intrygujące odczucie, kiedy mieszkałem w Gdańsku. To tam po raz pierwszy, przez przypadek, pozbawiłem kogoś życia. Nie pisz o tym! – Marek spogląda na dziennikarza.

Byłam tak długo skupiona na Marku, że dopiero teraz zauważam, że dziennikarz jest równie zaskoczony przebiegiem spotkania jak ja.

– Nie pisz! Nie mów. Niech mnie zapamiętają jako zbawiciela dziwaków. Możemy pominąć fakt, że nigdy nie zainteresowałam się cierpieniem seksualnych dziwaków, gdybym nie był jednym z nich.

– Powiedziałaś, że zabiłeś Kasię i Marcina, no i pozostałych. Policja myślała, że to samobójstwa. Jak to zrobiłeś?

– Zawsze tak samo. Umawiałem się na spotkanie, które miało być parafiliczną ucztą zmysłów. Oczywiście za każdym razem uczta oznaczała coś innego. Pozwoliłem doznawać im podniecenia związanego z dostarczeniem bodźca, który ich poruszał, a potem niepostrzeżenie wbijałem w ich ciała strzykawkę. Nie rozumieli, co się dzieje, ale nie odpowiadałem na pytania do chwili, w której tracili kontrolę nad ciałem. Tracili je. Tracili ciało, które chciało doznawać nowych stymulacji. Zostawali ze mną jedynie ze sprawnym umysłem. Prawiłem im kazanie, a kiedy wydawało mi się, że rozumieją już swoją winę, podawałem im dożylnie chlorek potasu. Podarowywałem każdemu z nich poczucie ulgi, a jednocześnie wymierzałem karę.

– Ojcu też?

– Zwłaszcza jemu. Co prawda umówiłem się z nim w mieszkaniu dziadków, żeby pogadać o czymś ważnym, ale ciąg dalszy był taki sam. Zastrzyk z zaskoczenia, kazanie, drugie wkłucie. Ojciec wynosił ze szpitala pavulon. Miał go zawsze w zapasie w tym mieszkaniu. Chorek potasu kupiłem na mieście. Dobra! – Marek spogląda na zegarek i wstaje z krzesła.

Ja też. Muszę zmniejszyć dysproporcję między naszymi siłami. Nie mogę siedzieć. Podchodzi do regału i wyjmuje zza niego dwie strzykawki. Patrzy na nas, jakby się zastanawiał, komu podać truciznę jako pierwszemu.

– I co? Teraz chcesz zrobić sobie dobrze? – Znowu prowokuję, ale nie chcę, żeby wstrzyknął mi pavulon. Nie dam się zabić. Będę walczyć. Wiem, że drzwi są zamknięte, widziałam, jak przekręcał klucz w zamku i chował go do kieszeni. – Zabijesz nas i zrobisz sobie dobrze? To takie banalne...

Patrzy na mnie z wyższością, jakby był postawnym facetem, a ja malutkim szczeniakiem próbującym go przestraszyć.

– Od początku zależało mi na tym, żeby media zainteresowały się morderstwami, dbałem o estetyczną stronę swojego przekazu. Mam nadzieję – zwraca się do dziennikarza – że maksymalnie wykorzystasz swoją obecność tutaj. Że powtórzysz wszystkim, że między zabawami w sypialni a bolesną perwersją nie ma tak długiej

drogi, jak niektórym się może wydawać, a parafilie można leczyć. I liczę, że sprawisz, że moje sześć przedstawień teatralnych i epilog, który właśnie odgrywamy, pójdzie w świat!

*

– Wchodzimy na trzy.

– Raz, dwa, trzy! – Urszula prawie bezgłośnie wypowiedziała kolejne liczby.

Tomasz nacisnął klamkę, a drzwi ustąpiły. Wszedł do przedpokoju pierwszy. Oboje mieli ten komfort, że znali układ pomieszczeń. Nie mieli jednak pewności, ile osób znajduje się w mieszkaniu, ponieważ transmisja obejmowała tylko jeden pokój.

Nie wiedzieli też, czy zabójca ma przy sobie broń. Musieli zachować ostrożność. To, że nie zauważyli broni na filmie, nie oznaczało, że sprawca nie miał jej na przykład schowanej za paskiem.

Zatrzymali się przy drzwiach prowadzących do łazienki. Tomasz pokazał jej, że sprawdzi to pomieszczenie. Wycelowwała więc w drzwi prowadzące do pokoju, w którym była Ola, a Tomasz wszedł do łazienki.

– Czysto – szepnął, kiedy wyszedł po kilku sekundach.

Wskazała pokój, w którym znajdowała się Aleksandra. Podeszli bliżej. Ze środka dochodziły trudne do zidentyfikowania odgłosy. Tomasz pokazał głową w bok, informując, że zanim wejdą do środka, musi sprawdzić, czy w znajdujących się z prawej strony pomieszczeniach nikogo nie ma. Urszula kiwnęła głową, a partner zniknął z jej pola widzenia. Nagle z pokoju dobiegł krzyk Olki:

– Nie!

Zaczęła działać, nie czekając na powrót Tomasza. Nacisnęła klamkę, ale kiedy drzwi nie ustąpiły, kopnęła je z całej siły. Pokój stanął przed nią otworem. Na podłodze leżał syn anestezjologa.

– Karetka! Wzywaj karetkę! – krzyczała spanikowana Aleksandra, klęcząc przy leżącym mężczyźnie.

Drugi stał nad nimi i był cały czerwony na twarzy.

– Gleba! – krzyknęła Urszula i pchnęła go na podłogę, a kiedy już na niej leżał, skuła go kajdankami.

– Jest pan zatrzymany jako podejrzewany o zabójstwo sześciu osób – wycodziła przez zęby.

Do pokoju wpadł Tomasz i zamiast podbiec do Urszuli, podbiegł do statywów, na których znajdowały się telefony.

– Co robisz, Tomasz?! Wzywaj karetkę! Przystępuję do reanimacji!

– Już! Wyłączę tylko tę, kurwa, pierdoloną transmisję na żywo!

Jakiś czas później

Miło wiedzieć, że w końcu mieszkanie jest moje. To znaczy nie do końca moje, a moich dzieci, ale to przecież wystarczy. Ilona zapisała je im w testamencie. Dzięki temu mamy gdzie mieszkać i nikt nigdy nie będzie nas stąd wyrzucać.

Krystian kręci się po kuchni. W kapciach i spodniach od dresu. Wprowadził się do nas zaraz po sylwestrze. Nasz poranny seks był całkiem fajny. Krótki, ale zachęcający do tego, by stawiał czoła codziennym wyzwaniom i wrócić do domu po więcej. Nie wyzwania, oczywiście, ale doznań. Zmysłowych.

Kuba bawi się w pokoju z kolegą. Śmieją się tak głośno, że zagłuszają moje myśli. Weronika siedzi obok mnie. Moja córeczka wróciła do Poznania. Ma rękę w gipsie i dość życia z dala od domu. Uznała, że szkoła w Łodzi to jednak był głupi pomysł. Nie mogłam się z nią nie zgodzić. O wiele przyjemniej jest obserwować, jak zmienia się w kobietę w moim domu, codziennie, a nie tylko raz w tygodniu.

Ciągle wracają do mnie wydarzenia z tamtego czwartku. Odgłos upadającego na podłogę ciała. Widok pustych strzykawek. Twarz Urszuli, która do czasu przyjazdu pogotowia uciskała na zmianę z Tomaszem klatkę piersiową Marka Waligórskiego. Pamiętam jego oczy. Najpierw widziałam w nich samozadowolenie, które dość szybko zastąpiły ból i przerażenie.

Muszę przyznać, że Marek rozegrał to wszystko dokładnie tak, jak chciał. Najpierw sprawił, żebyśmy pomyśleli, że to nam poda śmiertelne zastrzyki. Odsunęłam się wtedy od niego z obawy o swoje życie. Podobnie zrobił ten dziennikarz.

Oboje szukaliśmy drogi ucieczki i pewnie za chwilę rzucilibyśmy się do drzwi, żeby otworzyć je siłą, ale właśnie wtedy Marek wkłuł igły w swoje ciało i błyskawicznie wstrzyknął sobie zawartość obu strzykawek. Upadł.

Nie chciałam, żeby umierał. Podbiegłam do niego, a wtedy on wyszeptał:

– Dobrze się do tego przygotowałem. Byłem wierny zasadzie trzech punktów podparcia.

Chciałem w to wszystko zrobić ojca. Zabiłem go, by poniósł karę i żeby nie powiedział policji, że mogłem mieć dostęp do wynoszonych przez niego ze szpitala leków. A kiedy wszystkich już zabiłem, przez chwilę czułem się spełniony, ale bardzo szybko zrozumiałem, że prędzej czy później znowu będę musiał zabić, żeby pozbyć się tego napięcia. Musiałem w końcu pomyśleć o sobie, musiałem pomóc sobie...

Kiedy budzę się w nocy, wstaję z łóżka i spaceruję po mieszkaniu. Słyszę oddechy Kuby, Weroniki i Krystiana. Zastanawiam się wtedy, czy tak teraz będzie?

Będziemy żyć długo i szczęśliwie?

Nie wiem. Wyuczona teoria i doświadczenie życiowe podpowiadają mi, że bajkowe zakończenia to jedynie wstęp.

W najlepszym przypadku do szarego życia codziennego.

W najgorszym... to cisza przed burzą.

Posłowie

Gra o wszystko miała opowiadać zupełnie inną historię, ale dzięki Urszuli Cur dotarłam do miejsca, w którym być mnie nie powinno; gdzie usłyszałam o parafiliach i zobaczyłam coś... Coś, co wróciło do mnie po kilku tygodniach ze zdwojoną siłą. Nie miałam więc wyboru – musiałam o tym napisać.

Dzięki rozmowie z seksuologiem Marcinem Adamskim dowiedziałam się nie tylko, jak pracuje się z parafilikami, ale również zrozumiałam, jak bardzo parafilia powoli odbiera radość z normalnego życia, a także jak mocno seks związany jest z emocjonalnością, nawet jeśli próbujemy temu zaprzeczać.

Wojtek Domagalski przybliżył mi tematykę związaną z prowadzeniem terapii grupowej, zwrócił uwagę na dobór jej uczestników i zasady, których należy przestrzegać, by terapia była skuteczna.

Borys Piątkowski opowiedział mi o kilku zdarzeniach, które zainspirowały mnie do ponownego poruszenia tematu amnezji.

Krzysiek Gic, mój stały konsultant kryminalny, nie tylko odpowiadał na pytania, ale dzielił się też czasem mądrościami zawodowymi typu: „To nie piekarnia ani OIOM, tu pacjentowi się nie spieszy”.

Technicy kryminalistyki, Leszek Koźmiński i Sebastian Dropiński wsparli mnie wiedzą w zakresie ujawniania i zacierania śladów, także tych, które można odnaleźć w zamku. W procesie obrobienia starej sprawy pojawiającej się na łamach książki pomogła mi oczywiście wspomniana wyżej Urszula. Rozmowy z nią pozwoliły mi poczuć się tak, jakbym była członkiem zespołu Archiwum Z.

Na pojawiające się w książce podwórko przy bardzo znanej restauracji dotarłam przypadkiem, zachęcana opowieścią Danuty Köckerlitz. Dotarłam i poczułam, że to idealne miejsce na podrzucenie zwłok.

Anestezjolog Mariusz Gezela opowiedział mi o mięśniach poprzecznie prążkowanych, szpitalnych procedurach i zatrutych strzałach.

Jacek, mój mąż oraz Dawid Wiktorski, redaktor, którzy czuwali nad tym, żebym podczas snucia tej opowieści nie nadużywała słów i nie robiła błędów.

Moi drodzy, wymienieni wyżej – dziękuję Wam za okazane mi zaufanie, cierpliwość i otwartość.

Dziękuję też wszystkim tym, którzy wspierają mnie w inny sposób, zwłaszcza fanom aktywnym na Facebooku, osobom używającym swoich nazwisk (Anno i Piotrze, mam nadzieję, że spodobają się Wam Wasze książkowe odpowiedniki) i osobom wpuszczającym mnie do swoich światów.

Dziękuję również Tobie, Czytelniku, za to, że znowu mnie czytasz.
Do następnego razu!



Fot.

Beata Cichecka

Joanna Opiat-Bojarska

Autorka poczytnych serii kryminalnych, których tempo zabiera czytelnikom oddech, a montaż scen i przełomy w akcji dają niesamowicie filmowy efekt. Dociekliwa, pomysłowa i bezkompromisowa. Ukończyła ekonomię w Poznaniu, lecz niech nikogo nie zwiedzie jej wykształcenie. Kryminał w wykonaniu ekonomistów święci tryumfy na całym świecie, czego przykładem są powieści Jo Nesbø czy Camilli Läckberg. Wie, jak przekuć porażkę w sukces. Pasję pisania odkryła dzięki przebytej chorobie. Dziś nie boi się już niczego – ani tematów tabu, ani najbardziej wymyślnej zbrodni. Opracowała wzór na najlepszy kryminał: realizm, emocje i zwroty akcji. Wzór na Joannę Opiat-Bojarską.